

NORA ROBERTS

BRACIA Z KLANU MACGREGOR

TOM PIERWSZY

TOM PIERWSZY

DANIEL

Z DZIENNIKÓW DANIELA DUNCANA MACGREGORA

Kiedy człowiek przeżyje tyle lat co ja, czas mija mu coraz szybciej. Pory roku zmieniają się jak w kalejdoskopie, dzień goni za dniem. Ani się obejrzyysz, jak przychodzi zima, po niej lato, potem znowu zima, i tak w koło. Dlatego uważam, że nie wolno marnować ani chwili. Trzeba cieszyć się życiem w całej pełni, smakować każdą jego minutę. Kiedy miałem trzydzieści lat, myślałem dokładnie tak samo.

W ostatnich latach nie brakowało mi powodów do radości. Widziałem, jak czworo z moich ukochanych wnucząt zakochuje się szczęśliwie, a potem zakłada rodziny. Najpierw Laura, po niej Amelia, wreszcie Maks. Wszyscy znaleźli swoją drugą połowę i zaznali szczęścia, jakie może dać spełniona miłość. Tylko dlaczego, u licha, tak długo trwało, zanim zrozumieli tę oczywistą prawdę, że bez rodziny człowiek jest nikim?

Jedno jest pewne - gdyby nie ja, wciąż jeszcze chodziliby po tym świecie sami jak palec i nawet nie pomyśleli o tym, że już najwyższa pora uradować moje oczy widokiem zdrowych, rumianych prawnuków. Całe szczęście trzymałem rękę na pulsie i dzięki temu moja Anna ma teraz kogo przytulać i rozpieszczać. I czy oczekuję słówka podziękowania? Nie, absolutnie nie! Tak długo, jak Bóg pozwoli mi decydować o losach mojej rodziny, będę wypełniał obowiązki, nie licząc na niczyją wdzięczność. Po to jestem, żeby dbać o szczęście najbliższych.

Już miałem nadzieję, że po tylu wspaniałych ślubach moje pozostałe wnuki wezmą dobry przykład z rodzeństwa i kuzynów. Ale skądże, ani im to w głowie! Swoją drogą, nie byłiby MacGregorami, gdyby nie upierali się przy swoim. I dobrze, takich właśnie ich kocham. Co oczywiście nie znaczy, że będę przyglądał się beczynnemu, jak marnują swoje najlepsze lata, żyjąc samotnie albo, co gorsze, wikłając się w głupie związki. Pomogłem trzem moim wnuczkom znaleźć drogę do ołtarza, doprowadziłem tam pierwszego wnuka, to i poradzę sobie z resztą towarzystwa. A że niektórzy kręcą nosem i mówią, że niepotrzebnie się wtrącam? Ba! Co zrobić. Po to człowiek przez całe życie nabiera mądrości i doświadczenia, żeby w odpowiednim czasie podzielić się tym bezcennym skarbem z innymi. I to ma być wścibstwo?

Bez względu na to, co sobie różni gadają, doszedłem do wniosku, że czas zająć się moim wnukiem Danielem Campbellem MacGregorem. Bystry z niego chłopak, zadziorny, z temperamentem. A do tego jaki przystojny! Powiem nieskromnie, że prócz imienia, odziedziczył po mnie także urodę. Nic więc dziwnego, że kobiety lecą na niego jak muchy do

miodu i w tym cały ambaras. Mówią, że od przybytku głowa nie boli, ale to nie zawsze prawda. Poza tym ilość nie zawsze znaczy jakość, niestety! Nie byłbym jednak sobą, gdybym nie znalazł na to sposobu.

Daniel jest artystą i wszystko wskazuje, że chłopak ma prawdziwy talent. Co prawda ja sam niewiele rozumiem z jego malarstwa, za to inni wręcz przeciwnie, bo odniósł duży sukces i stał się bardzo popularny wśród znawców sztuki. Do pełni szczęścia brakuje mu już tylko odpowiedniej kobiety, z którą mógłby podzielić się swoim sukcesem. A gdyby jeszcze po jego pracowni zaczęły biegać dzieciaki, częściej odrywałyby się od sztalug. Do tego trzeba oczywiście odpowiedniej partnerki, dziewczyny z klasą, charakterem, ambicjami, no i oczywiście właściwym pochodzeniem. Dawno już taką znalazłem. Jeszcze w czasach, kiedy obydwójce z Danielem byli małymi brzdącami. Czekałem cierpliwie, aż wreszcie nadeszła pora, żeby działać.

Najważniejsze, by zachować dyskrecję, bo z moim Danielem trzeba bardzo uważać. Twarda z niego sztuka, lubi skakać i wierzgać jak rozbrykany żreback. Kate mu się iść w lewo, a on daje susa w prawo. Taka już jego buntownicza natura. Zdaje się, że rekompensuje sobie wszystkie wyrzeczenia dzieciństwa, gdy jako syn prezydenta musiał przestrzegać niezliczonej ilości nakazów i zakazów.

Po to są wypróbowani przyjaciele, żeby od czasu do czasu skorzystać z ich pomocy. Mam nadzieję, że jedna z moich starych znajomych pomoże mi popchnąć Daniela we właściwym kierunku i przypilnować, żeby nie zboczył z kursu. Oczywiście wszystko po cichu i dyskretnie. Niech chłopak myśli, że sam sobie sterem. Jedna z dewiz mądrego człowieka nakazuje, by nigdy nie domagać się podziękowań. Najważniejsze są wyniki.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przez wysokie okna wpadały promienie słońca, w których wirowały drobinki złotego pyłu. Szerokie smugi światła kładły się jasnymi plamami na drewnianej podłodze. Pośrodku jednej z takich świetlistych plam stał młody mężczyzna i wpatrywał się ze skupieniem w rozpięte na sztalugach płótno, gdzie agresywna purpura zmagiała się z głębokim szafirem. Podchodził co chwila do swojego obrazu, wyciągał energicznie dłoń uzbrojoną w pędzel, ale zaraz cofał ją niecierpliwie.

Szybkie, zdecydowane ruchy i smukła, silna sylwetka przywodziły na myśl bardziej antycznego wojownika niż współczesnego malarza. Posługiwał się pędzlem jak nożem albo mieczem. Szerokie barki, wąskie biodra i długie mocne nogi zdradzały fizyczną siłę, skupiona twarz odznaczała się niepokojącą dzikością. Mężczyzna miał regularne rysy, choć ostre kości policzkowe były wyraźnie zaznaczone, pełne usta mocno zaciśnięte. Przymrużone jasnoniebieskie oczy kryły w sobie jakby wieczny chłód lodowca. Ich intensywny kolor kontrastował z kasztanowym odcieniem falujących, długich włosów. Niesforne pasma co chwila wpadały mu do oczu, więc odgarniał je szorstkim ruchem, napinając przy tym mięśnie ramion, które wyłaniały się spod wysoko podwiniętych rękawów znoszonej dżinsowej koszuli.

Poplamione farbą szczupłe dłonie drżały nerwowo, kiedy pędzel atakował gwałtownie kolejne fragmenty zagruntowanego płótna. Bose stopy nerwowo uderzały o deski podłogi, wystukując na nich rytm, niczym w jakimś tańcu wojennym.

Dla mężczyzny malowanie było właśnie wojną, zaciętą walką z samym sobą i emocjami. W jego wyobraźni aż kipiało od burzliwych uczuć. Pasja mieszała się z pożądaniem, zachłanność z wiecznym głodem wrażeń. Przelewanie tego kłębowiska emocji na płótno przypominało rozgrywanie zaciętej bitwy. Kiedy malarza ogarniało natchnienie, jego determinacja, aby wygrać tę walkę, brała górę nad wszystkim. Malował wtedy w całkowitym zapamiętaniu, głuchy na ryk ostrego rocka, który dudnił w ogromnej pracowni. Stał przy sztalugach aż do wyczerpania, póki nie poczuł, że ramiona bolą go ze zmęczenia, a kark sztywnieje od wielogodzinnego wysiłku. Kiedy zaś natchnienie mijało, nie zbliżał się do zaczętego obrazu przez całe dni, a nawet tygodnie. Dlatego ci, którzy go znali, nigdy nie odmawiali mu wielkiego talentu, ale ganili za całkowity brak dyscypliny.

Daniel MacGregor nic sobie nie robił z cudzych opinii. Z równą obojętnością słuchał zarówno pochlebców, jak i krytyków. Uważał, że tylko on potrafi najlepiej ocenić swoją pracę.

Widocznie tym razem udało mu się osiągnąć zamierzony efekt, bo kiedy na moment odstąpił od płótna, w jego oczach malowała się satysfakcja. Wsunął pędzel między zęby i sięgnął po tubę z farbą. Błyskawicznie rozmieszał ją na palcu i jeszcze raz uważnie spojrzął na barwne plamy. Osiągnął nareszcie to, do czego wytrwale dążył przez długie godziny zmagania się z własną wyobraźnią. Wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec. Cel był już blisko, prawie na wyciągnięcie ręki. Jeszcze tylko trochę wysiłku.

Pot płynął mu po plecach cienką strużką. Pochłonięty pracą, zapomniał włączyć klimatyzację, więc w zalanej słońcem pracowni panował nieznośny upał. Daniel nie reagował na temperaturę ani na nic innego. Zapomniał o bożym świecie. Od kilku dni nie wystawił nosa za próg swojej jaskini, nie odbierał poczty ani telefonów. Pozostawał głuchy na wszystko, nie słyszał nawet burczenia w pustym żołądku, które zresztą skutecznie tłumila ostra muzyka Johna Mellencampa.

Dopiero teraz, kiedy obraz był prawie skończony, mógł z czystym sumieniem powrócić do rzeczywistości. Wpierw jednak popatrzył krytycznie na płótno.

- Dobra! O to właśnie chodzi! - mruknął, odkładając pędzel. - Żądza, po prostu Żądza - zdecydował, zadowolony z krótkiego tytułu, który idealnie pasował do feerii ostrych barw.

Jego pobudzone zmysły zaczęły powoli reagować na otoczenie. Poczul, że w przestronnym wnętrzu pracowni panuje nieprzyjemny zaduch, w którym woń terpentyny miesza się z zapachem farb. Podeszedł do ogromnego okna i otworzył je szeroko. Z przyjemnością wciągnął w płuca potężny łyk świeżego powietrza, po raz kolejny podziwiając wspaniały widok, dla którego kupił właśnie to mieszkanie.

Daniel pomyślał przez chwilę o wszystkich miastach, w których mieszkał, zanim zdecydował się wrócić do Waszyngtonu. Kiedyś mu się wydawało, że osiem lat spędzonych w Białym Domu dostatecznie zniechęciło go do życia w stolicy. A jednak coś go tu ciągnęło. Kierowany jakimś przeczuciem, zostawił Nowy Jork, ów wspaniały tygiel, w którym mieszały się wszystkie kultury, marzenie każdego artysty. Bez żalu zostawił też malownicze uliczki San Francisco, gdzie żyło mu się i pracowało doskonale. Wrócił, bo jego myślom o domu zawsze towarzyszył obraz Waszyngtonu. Tu było jego miejsce.

Dłuższy czas stał zamyślony, wystawiając twarz na pieczętę promieni wiosennego słońca. Zmrużywszy oczy, podziwiał migotliwą grę światła na granatowych wodach kanału.

Jej głęboka toń wspaniale kontrastowała z przepyszną barwą wiśniowych drzew w pełnym rozkwicie.

Bolesny skurcz pustego żołądka wyrwał go z zamyślenia. Przebudzony instynkt samozachowawczy kazał mu udać się do kuchni w poszukiwaniu jakiegoś jedzenia. Po drodze ściszył głośną muzykę, bo nagle zaczęły drażnić go jej dzikie rytmy. Potknął się kilka razy o wciąż nierozpakowane pudła, w których mieścił się jego niewielki dobytek. Otworzył energicznie drzwi lodówki, lecz ku swemu ogromnemu rozczarowaniu znalazł w niej tylko kilka puszek piwa, butelkę wina i dwa jajka. Zdecydowanie za mało jak na obiad po długiej głodówce.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w puste półki. Mógłby przysiąc, że dopiero co robił zakupy. Swoją drogą, ciekawe jaki dziś dzień, pomyślał.

Z ciężkim westchnieniem zostawił lodówkę i zaczął - systematycznie przeszukiwać kuchenne szafki. Niestety, tutaj też było kiepsko. Kilka kawałków czerstwego chleba, płatki kukurydziane, paczka kawy oraz puszka zupy pomidorowej jakoś nie podziały na jego kulinarną wyobraźnię. Zrezygnowany, schrupał na sucho garść płatków, zastanawiając się przy tym, co zrobić najpierw: wziąć prysznic czy zaparzyć kawę. Wybrał wariant pośredni. Kawa pod prysznicem.

Donośny dzwonek telefonu oderwał jego myśli od tej nęcącej perspektywy. Niechętnie podszedł do aparatu i spojrzął bez zainteresowania na migające światełko automatycznej sekretarki. Nie bardzo miał ochotę na rozmowę, telefon jednak uparcie dzwonił, więc Daniel, chcąc nie chcąc, sięgnął po słuchawkę.

- Słucham - powiedział i z trudem przełknął resztkę płatków.

- No, nareszcie, mój chłopcze! Co, u licha, się z tobą dzieje?

- Nic szczególnego. Co tam słyhać, dziadku? - zawołał uradowany. Z jasnych oczu natychmiast zniknął nieprzyjemny chłód.

- Nic dobrego, nic dobrego - westchnął Daniel MacGregor senior. - Powiedz mi lepiej, dlaczego nie oddzwoniłeś. Zostawiłem ci co najmniej tuzin wiadomości na tej przeklętej gadającej maszynie. Babcia tak się zdenerwowała, że już chciała wsiadać do samolotu. Była pewna, że coś ci się stało!

- Spokojnie, dziadku, złego diabli nie wezmą.

- Prawda. Dlaczego nie dawałeś znaku życia?

- Pracowałem.

- To ci się chwali. Ale od czasu do czasu mógłbyś zrobić sobie małą przerwę.

- Właśnie ją robię - Daniel roześmiał się prosto do słuchawki.

- W takim razie świetnie się składa, bo chcę cię prosić o pewną przysługę. Wiesz, że niechętnie obarczam ludzi swoimi kłopotami, ale...

- Wal śmiało!

Daniel senior najpierw ciężko westchnął, następnie zrobił dramatyczną pauzę, a dopiero potem wyniszczył sprawę.

- No więc... Bóg mi świadkiem, mój synu, że nie chcę ci robić kłopotu, ale jestem przyparty do muru. Otóż ciotka Marta...

- Zachorowała! - Zaniepokojony Daniel junior zmarszczył brwi. Marta Dittmeyer była bliską przyjaciółką dziadka i honorowym członkiem klanu MacGregorów. Poza tym była matką chrzestną Daniela, jego ukochaną i szanowaną ciotką, z którą nawet nie raczył się skontaktować, odkąd wrócił do Waszyngtonu. Gdy to sobie uświadomił, zrobiło mu się wstyd i przeklął się w duchu za egoizm, tak bardzo charakterystyczny dla każdego artysty. - Co się jej stało, dziadku?

- Nic, nic. Jest cała i zdrowa, i jak zwykle pełna energii. Zawsze mówiłem, że czas zapomniał o tej kobiecie.

- Więc w czym rzecz?

- Pamiętasz chrzestną córkę Marty? Spotkaliście się parę razy. Lana Drake...

- Coś sobie przypominam - mruknął Daniel, wysilając pamięć. - No i co z tą Laną?

- Ano nic. Właśnie wróciła do Waszyngtonu. Wiesz, ona jest z tych Drake'ów, co to mają sieć domów towarowych. Dziewczyna będzie pracować w ich reprezentacyjnym sklepie. Marta pomyślała sobie, że... Bo wiesz... No dobrze, powiem prosto z mostu: jutro wieczorem jest jakiś ważny bal dobroczynny i ciotka martwi się, że dziewczyna nikogo tu nie zna i nie ma z kim pójść. Dlatego zadzwoniła do mnie, żeby zapytać, czy ty przypadkiem...

- O rany, dziadku!

- Wiem, wiem - w głosie starego MacGregora zadźwięczała nuta zrozumienia. - Co ci będę dużo mówił. Sam rozumiesz, jakie są kobiety. Obiecałem jednak Marcie, że cię zapytam. Wiem, jak bardzo jesteś zajęty, ale może udałoby ci się znaleźć trochę czasu na ten wieczór.

- Słuchaj, jeśli ty i ciotka Marta próbujecie mnie w coś wrobić...

Głośny śmiech po drugiej stronie nie pozwolił mu dokończyć.

- Nic z tych rzeczy, chłopcze. Nie tym razem - huknął Daniel. - Ta panna nie jest dla ciebie, uwierz mi na słowo, bo wiem, co mówię. Co nie znaczy, by czegoś jej brakowało. Wręcz przeciwnie. Jest niezła, do tego wykształcona, doskonale maniery. Ale nie w twoim typie. Zbyt opanowana, powiedziałbym nawet, że to taka góra lodowa. W dodatku lubi

zadzierać nosa, pokazywać, co to nie ona. Naprawdę nie chciałbym, żebyś zawracał sobie głowę kimś takim. Więc jeśli nie możesz, to powiem Marcie, że za późno się z tobą skontaktowałem i że masz już inne plany...

- Mówisz, że bal jest jutro wieczorem? Smoking obowiązkowy? - Daniel nie cierpiał wielkich fet, zwłaszcza gdy organizowano je w celach dobroczynnych.

- Zdaje się, że to duża impreza. No cóż, rozumiem cię, synu - stary MacGregor starał się, by jego głos brzmiał jak najbardziej naturalnie. - Dzwonię w takim razie do Marty i mówię, że nic z tego. Może nawet lepiej, po co masz tracić czas w towarzystwie jakiejś nadętej, nudnej panny, z którą nie miałbyś pewnie o czym rozmawiać. Lepiej zacznij szukać żony. Wiem, że każdy chłopak musi się najpierw wy - szumieć, ale ty miałeś na to dość czasu. Pora się ustatkować, chłopcze. Babcia tak bardzo się martwi, że skończysz jako stary kawaler, samotny w swojej pustej pracowni. Na starość nie będziesz miał nawet do kogo ust otworzyć. Nie mówiąc już o tym, że nie będzie miał kto ci podać filiżanki herbaty. Jeśli teraz masz jeszcze chwilę, to mam tu na oku pewną dziewczynę, w sam raz dla ciebie...

- W porządku, dziadku - Daniel uznał, że rozmowa zaczyna zmierzać w niebezpiecznym kierunku, więc postanowił czym prędzej przerwać monolog starego swata. - Pójdę na ten cholerny bal. Powiedz mi tylko, gdzie i o której mam się spotkać z tą Laurą.

- Laną.

- Dobrze, wszystko jedno.

- Bal zaczyna się o ósmej w hotelu Shoreham. Lana mieszka w domu rodziców. Zapisz sobie adres i numer telefonu...

- Dobra, dziadku, będę tam o wpół do ósmej. Możesz spać spokojnie.

- Dziękuję, synu, nawet nie wiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczny. Naprawdę.

- Nie ma sprawy.

Kiedy się pożegnali, Daniel szybko odłożył słuchawkę. Pakując kolejną garść płatków do ust, spoglądał na porozrzucane wszędzie tekturowe pudła.

- Ciekawe, w którym z nich może być ten cholerny smoking - mruknął niezadowolony.

Lana stała na środku pokoju w samej bieliźnie. Uniosła ramiona do góry i cierpliwie czekała, aż szeleszcząca - fala białego jedwabiu spłynie wzdłuż jej smukłej sylwetki.

- Doprawdy - wymamrotała - nie uważa ciocia, że to kiepski pomysł? Dawno już wyrosłam z lat, kiedy chodziło się na randki w ciemno.

- Ależ kochanie, o czym ty mówisz! Jaka znowu randka w ciemno? Przecież widzieliście się tyle razy jako dzieci, i potem, w liceum. Wiem dobrze, że to dla ciebie kłopot,

dlatego długo się wahałam, czy powinnam cię o to prosić. Z drugiej strony mój stary przyjaciel Daniel tak rzadko zwraca się do mnie o przysługę, że naprawdę nie potrafiłam mu odmówić. Chodzi tylko o jeden wieczór. Zresztą i tak wybierałaś się na ten bal.

- Tak, ale z tobą!

- Przecież tam będę. Uwierz mi, ten młody MacGregor to przemiły chłopak. Trochę w gorącej wodzie kąpany, ale potrafi być czarujący.

Lana rzuciła ciotce przelotne spojrzenie. Białe jak śnieg włosy starszej pani, jej dobre, łagodne oczy oraz ciepły, życzliwy uśmiech były wystarczającym argumentem, zdolnym poruszyć nawet skałę. Marta Dittmeyer doskonale zdawała sobie z tego sprawę, więc od czasu do czasu sprytnie sięgała po ten arsenał wypróbowanych środków, który sama nazywała pozą „miłej, kochanej i bezradnej wdowy”. Jednak dzięki żywemu umysłowi i wrodzonemu sprytowi, ta krucha starsza dama potrafiła doskonale radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach. Bez trudu mogła wywieść w pole młodszych od siebie.

- Powiedz mi coś jeszcze o tym Danielu - poprosiła dziewczyna, choć prawdę mówiąc, nie była zbyt ciekawa.

- No cóż, mój stary MacGregor trochę się o niego martwi. Ja zresztą też.

- Dlaczego?

- Właściwie to nic poważnego. Po prostu chłopak jest bardzo skryty. Niechętnie mówi o swoim życiu.

- To źle?

- Nie, ale... Widzisz, dziecko, Daniel bardzo mnie zaskoczył. Kiedy mu wspomniałam, że niedawno wróciłaś do - Waszyngtonu, i że wybieramy się razem na ten dzisiejszy bal, a on od razu wyskoczył z tym pomysłem, naprawdę nie wiedziałam, co robić. - Marta rozłożyła ręce. - Nie umiałam mu odmówić, choć doskonale wiem, że dla ciebie to kłopot.

- Nie martw się, ciociu. Nie ma o czym mówić. Korona mi z głowy nie spadnie, jeśli spędzę jeden wieczór w towarzystwie obcego faceta.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczna!

- Powiedz mi lepiej, gdzie i kiedy mam się z nim spotkać?

- A właśnie! Mój Boże! - Marta zerwała się z miejsca z energią zadziwiającą u osoby w jej wieku. - On tu zaraz będzie. Przyjedzie po ciebie, a ja spotkam się z wami w hotelu. Pędzę już, bo mój szofer zamartwia się pewnie na śmierć.

- Ale...

- Pa, moje dziecko! Spotkamy się za godzinę! - Marta błyskawicznie pozbiierała swoje rzeczy i już w progu zawołała: - Kochanie, wyglądasz wspaniale! Do zobaczenia!

Lana poczuła się całkowicie zdezorientowana. Nie pierwszy raz ciotka zaskakiwała ją w ten sposób. Westchnęła zrezygnowana i ostrożnie zasunęła suwak prostej sukni, która nadawała jej sylwetce majestatyczny wygląd antycznego posągu. Myślała przy tym, który to już raz przedsiębiorcza starsza pani uszczęśliwia ją na siłę towarzystwem jakiegoś nieznanego adoratora, któremu będzie musiała dać delikatnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowana przedłużaniem znajomości.

Wielokrotnie próbowała wytłumaczyć ciotce, że nie ma najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż, więc szkoda czasu na szukanie odpowiedniej partii. Dorastając w domu rodziców, widziała, jak ich małżeństwo kosztuje w sztywnych ramach konwenansu. Dobre manery i właściwe zachowanie było ważniejsze niż prawdziwe życie, a najczęściej powtarzane zdanie brzmiało: „co też inni sobie pomyślą”. Dlatego jeszcze jako bardzo młoda dziewczyna zdecydowała, że nie ma najmniejszej ochoty powielać tego żalostnego schematu ani odgrywać farsy, jaką było małżeństwo w wykonaniu jej rodziców.

Oczywiście niechęć do tej świętej instytucji nie oznaczała, że całkowicie wykreśliła mężczyzn ze swego życia. Tyle że odgrywali w nim niewielką rolę. Stanowili wyłącznie dekorację w sztuce, którą sama reżyserowała od początku do końca. Swoich partnerów traktowała trochę jak przedmioty, które są dobre, dopóki nie przeszkadzają i spełniają swoje zadania. Zresztą tak naprawdę nie było się nad czym zastanawiać. Praca i kariera były dla niej zawsze najważniejsze i za nic w świecie nie poświęciłaby własnych ambicji dla wspólnej kolacji w sobotni wieczór. Lana dawno już wyznaczyła sobie życiowy cel, czyli osiągnięcie najwyższego szczebla na drabinie rodzinnego interesu. Planowała, że najdalej za dziesięć lat zasiądzie w fotelu prezesa zarządu firmy i miała zamiar dopilnować, by nic nie przeszkodziło jej w tej wspinaczce na szczyt. Dopiero wtedy pokaże światu, na co jeszcze ją stać.

Rodzinną firmę traktowała bardzo poważnie, bardziej jak instytucję niż po prostu zwykłą sieć domów towarowych. Nie tak jak matka, pomyślała, marszcząc brwi, dla której sklepy nie były nigdy niczym więcej, jak prywatną garderobą. Albo ojciec. Zawsze myślał tylko o tym, jak osiągnąć zysk przy minimalnym nakładzie kosztów. Nie interesowały go żadne nowinki ani usprawnienia, nie zależało mu na stworzeniu pewnej tradycji.

Ona, to co innego. Miała mnóstwo pomysłów, jak zarabiać pieniądze w sposób nowatorski, nie tracąc klasy, a jednocześnie budując dobre imię sieci Drake'ów. Aby jednak to zrealizować, musiała mieć dużo czasu i swobody działania, więc nie mogła wiązać sobie rąk mężem i dziećmi. Zresztą od dawna uważała, że jej najlepszą rodziną są pracownicy sklepów. Czuła, że powinna troszczyć się o nich, zapewnić im dobrą atmosferę pracy i dać poczucie bezpieczeństwa, bo tylko wtedy miała prawo wymagać od nich efektów. Ktoś,

patrząc na nią z boku, mógłby pomyśleć, że Lana prowadzi smutne życie pracoholiczki, jednak ona nigdy nie zgodziłaby się z taką opinią. Swoją decyzję uważała za słuszną i miała stuprocentową pewność, że żyjąc tylko w ten sposób, osiągnie satysfakcję i dozna spełnienia.

Wróciła na chwilę myślami do niedawnej rozmowy z ciotką. Czuła, że nie będzie musiała się specjalnie wysilać. Wystarczy przez cały wieczór zabawić rozmową jakiegoś milczka, a z tym na szczęście potrafiła sobie doskonale radzić. Do jej zawodowych obowiązków należało „bywanie w świecie”, więc wywiązywała się z tego zadania z takim samym zaangażowaniem, z jakim przygotowywała plany zakupów na następny sezon. Nie brakowało jej umiejętności, które miała okazję wielokrotnie przećwiczyć na najbardziej nawet gburowatych kontrahentach.

Spojrzała na zegar ścienny. Miała dość czasu, żeby się spokojnie przygotować. Z niewielkiej szkatułki stojącej na stylowej toalecie wyjęła parę prostych brylantowych kolczyków. Podeszła do dużego kryształowego lustra i spojrzała krytycznym okiem na swoje odbicie. Widocznie była zadowolona z efektu, bo uśmiechnęła się do wysokiej kobiety w eleganckiej, białej sukni z odkrytymi ramionami.

Za jej plecami widać było przytulne wnętrze urządzonego ze smakiem pokoju. Wystrój był prosty i bezpretensjonalny, lecz nie pozbawiony tej odrobiny szyku, która sugeruje nieomylnie dostatek właścicieli. Niewielkie szafki, komoda oraz stolicek z polituowanego drewna miały łagodne, gięte linie, na których załamywało się rozproszone światło żyrandola. Obok marmurowego kominka stała wygodna, zachęcająca do odpoczynku sofa. Lana spojrzała tęsknie w jej kierunku, po czym westchnęła ciężko, gdyż nagle poczuła się okropnie zmęczona.

Miała za sobą dziesięć godzin pracy, bolały ją nogi i dokuczał głód, bo w ciągu dnia nie miała czasu, żeby zjeść. Nic więc dziwnego, że perspektywa balu nie wydała jej się zbyt pociągająca. Najchętniej spędziłaby ten wieczór w łóżku, z dobrą książką i filiżanką aromatycznej herbaty pod ręką. Niestety, musiała o tym zapomnieć. Jedyne luksusy, na jakie mogła sobie w tej chwili pozwolić, to pięć minut spokoju. Oczywiście pod warunkiem, że jej nieznajomy towarzysz zjawi się punktualnie.

Uważając, żeby nie pognieść sukni, przysiadła na brzegu fotela. Przyszło jej do głowy, że właściwie nie powinna myśleć o Danielu jak o kimś zupełnie obcym. W końcu musiała go widzieć co najmniej kilka razy, choć w tej chwili zupełnie nie mogła przypomnieć sobie jego twarzy. Widocznie jako nastolatka tak bardzo była przejęta i stremowana wizytą w domu prezydenta, że nie zwracała uwagi na nikogo poza nim samym.

Oczywiście wiedziała, że Daniel MacGregor junior jest znanym, awangardowym malarzem. Wiele razy oglądała w różnych pismach reprodukcje jego prac, ale musiała przyznać, że nie zrobiły na niej większego wrażenia. Nie lubiła, a właściwie nie rozumiała tak zwanej sztuki współczesnej. Zdecydowanie wolała klasyczne prace starych mistrzów.

Nowoczesne malarstwo - to wszystko, co była w stanie przypomnieć sobie w związku z ulubieńcem ciotki Marty. Może jeszcze parę plotek, które od czasu do czasu pojawiały się w mediach. Zdaje się, że jakiś czas temu wszystkie brukowce rozpisywały się o romansie modnego malarza z jakąś baletnicą czy aktorką. Nie pamiętała dokładnie, co było przyczyną skandalu, ale nie czuła się tym ani specjalnie - zdziwiona, ani zgorszona. Ostatecznie syn byłego prezydenta musiał być smakowitym kąskiem dla reporterów polujących na sensacje. Szkoda tylko, że trafia do gazet z tak głupich powodów, pomyślała z lekkim niesmakiem. Ona nigdy nie lubiła rozgłosu i cieszyła się, że ani jej praca, ani pozycja nie czynią z niej ulubionej bohaterki plotkarskich pisemek.

Dzwonek rozległ się w chwili, gdy kolejny raz sprawdzała zawartość wieczorowej torebki. Nie spiesząc się, włożyła krótkie bolerko, dopełnienie jej wieczorowej kreacji, i poszła otworzyć. Przyszło jej do głowy, że jak na artystę Daniel jest bardzo punktualny. Przynajmniej jeden plus na jego koncie, stwierdziła zadowolona, bo wyjątkowo nie lubiła spóźnialskich.

Pomyślała jeszcze, że młody MacGregor to niezbyt interesujący facet, skoro dziadek wyszukuje dla niego dziewczyny na sobotni wieczór. Co ją to zresztą obchodzi? Wzruszyła ramionami i z zawodowym uśmiechem na ustach otworzyła szeroko drzwi.

To, co zobaczyła, kompletnie wytrąciło ją z równowagi. Efekt był tak piorunujący, że w duchu dziękowała wszystkim szwajcarskim bonom, które w dzieciństwie udzielały jej surowych lekcji kindersztuby. Gdyby nie one, pewnie nie zdołałaby się pohamować i szeroko rozwarła usta.

Mężczyzna stojący w drzwiach jej domu z pewnością nie potrzebował niczyjej pomocy, jeśli chodzi o kontakty męsko - damskie, bo z pewnością nie brakowało kobiet, które chętnie spędziłyby z nim wieczór. I noc. Elegancki smoking wspaniale podkreślał jego niepokojącą urodę. Drapieżne rysy szczupłej twarzy, niesforne pasma kasztanowych włosów, a przede wszystkim dziki wyraz intensywnie niebieskich oczu robiły niesamowite wrażenie.

- Lana Drake? - zapytał głosem kogoś, kto pomylił drzwi. Stojąca przed nim smukła i wiotka blondynka w niczym nie przypominała pająkowego podlotka, którego obraz wygrzebał z zakamarków pamięci.

- Tak. Daniel MacGregor? - spytała nienaturalnym głosem, choć miała nadzieję, że tego nie słyhać. Zdecydowanie trudniej było ukryć fakt, że dłoń, którą wyciągnęła na powitanie, delikatnie drżała i była lekko spocona.

- Jestem wnukiem Daniela MacGregora z Bostonu.

- Tak, tak, wiem.

W pierwszej chwili miała zamiar zaprosić go do środka i zaproponować drinka, ale szybko zmieniła zdanie. Zbyt niepewnie czuła się w jego obecności, żeby odgrywać przed nim uprzejmą panią domu. Dlatego szybko przestąpiła próg i bez żadnych wstępów spytała:

- Możemy jechać?

- Jasne.

Idąc do samochodu, Daniel pomyślał, że dziadek bardzo trafnie ocenił Lanę Drake. Piękna i wyniosła. Prawdziwa góra lodowa. Nie ma co, zapowiada się długi wieczór, rozmyślał smętnie, nie dostrzegając, że jego towarzyszką z wyraźnym niepokojem spogląda na jego zabytkowe, sportowe autko.

Czy ten facet oszalał? Ciekawe, co zostanie z mojej sukni po przejażdżce tą puszką sardynek, zastanawiała się Lana, zbierając długie fałdy jedwabiu. Ciociu Marto, w coś ty mnie wpakowała!

ROZDZIAŁ DRUGI

Już po kilku minutach Lana miała niezachwianą pewność, że ta przejażdżka na długo utkwi jej w pamięci. Zamknięta w ciasnym wnętrzu z potężnym facetem za kierownicą miniaturowego samochodziku, czuła, że za chwilę do - zna pierwszego w życiu ataku klaustrofobii. W dodatku Daniel najwyraźniej nie uznawał jazdy z dozwoloną prędkością, a w każdym razie zachowywał się tak, jakby żadne ograniczenia go nie dotyczyły. Samochód zwinnie przedzierał się przez najbardziej nawet zatłoczone ulice i brał kolejne zakręty z głośnym piskiem opon. Przed każdym wirażem Lana sprawdzała, czy ma zapięty pas, modląc się w duchu, żeby wieczór nie skończył się dla niej, zanim jeszcze zdążył się zacząć. Oczami wyobraźni widziała, jak w czasie gwałtownego hamowania rozbija się na przedniej szybie niczym mucha. Aby odegnać te straszliwe wizje, postanowiła zaryzykować jakąś błahą rozmowę.

- Ciotka Marta twierdzi, że spotkaliśmy się już wcześniej, gdy twój ojciec był prezydentem - ostatnie słowo wypowiedziała wyjątkowo wysokim głosem, przerażona rajdowymi wyczynami artysty za kierownicą.

- Zdaje się, że faktycznie tak było. Słyszałem, że dopiero co przeprowadziłaś się do Waszyngtonu.

- To prawda - tym razem odrywała się bardzo cicho, prawie szeptem. Mocno zacisnęła powieki, pewna, że za sekundę wylądują na najbliższej latarni.

- To tak jak ja. - Zapach jej perfum sprawiał, że Daniel czuł się lekko rozkojarzony, więc opuścił przednią szybę i odetchnął głęboko wieczornym powietrzem.

- Naprawdę? - zapytała, choć w rzeczywistości nic ją to nie obchodziło. Z przerażeniem obserwowała, jak przejeżdżają skrzyżowanie na czerwonym świetle. Facet, ty chyba jesteś daltonistą! Albo natychmiast zwolnisz, albo Wysiadam, myślała wściekła i zdenerwowana, choć nikt by w to nie uwierzył, słysząc spokojny ton, jakim spytała: _ Jesteśmy spóźnieni?

- Dlaczego pytasz?

- Jedziesz tak, jakbyś się bardzo spieszył.

- Tak? Zdaje ci się.

- Przejechałeś skrzyżowanie na czerwonym świetle.

- Nieprawda. Było jeszcze żółte.

- Myślałam, że żółte jest po to, żeby się w porę zatrzymać.

- Nie wtedy, kiedy chcesz gdzieś szybko dojechać.

- Aha. Zawsze tak prowadzisz?

- Jak?

- Jakbyś uciekał przed policyjnym patrolem.

- Tak - skinął głową, uśmiechając się przy tym nieznacznie, bo spodobało mu się to porównanie. - Nie lubię marnować czasu.

Zatrzymali się przed hotelem z głośnym piskiem opon, który postawił na nogi całą obsługę parkingu. Daniel błyskawicznie wyskoczył z samochodu i podał kluczyki boyowi. Tymczasem Lana siedziała jak przykuta do krzesła. Z westchnieniem ulgi podziękowała Bogu, że dotarła na miejsce cała i zdrowa, a rozluźniła naprężone mięśnie dopiero wtedy, kiedy Daniel otworzył drzwi i wyciągnął do niej - rękę.

Nogi miała jak z waty, więc mimo woli oparła się na jego ramieniu trochę dłużej niż wypadało. Dzięki temu Daniel miał okazję jeszcze raz poczuć niepokojący zapach jej perfum, poznać ciepło gładkiej skóry i spojrzeć z bliska w zielone oczy. Nie trzeba było oka artysty, żeby właściwie ocenić niezwykłą, choć chłodną urodę tej kobiety. Było w niej coś, co przykuwało spojrzenie, kazało szukać w tym obliczu idei czystego piękna. Daniel właściwie nigdy nie był zainteresowany malowaniem portretów, tym razem jednak zaczęło go kusić, żeby przynajmniej naszkicować wizerunek Lany. Wyobraźnia natychmiast podsunęła mu konkretne wizje, nim jednak na dobre pochłonęły go rozważania o odpowiednim oświetleniu, dotarł do niego spokojny głos przyszłej modelki:

- Ludzie tacy jak ty nie powinni dostawać prawa jazdy. A już na pewno nie siadać za kierownicą takich niebezpiecznych puszek. Właściwie to nie puszka, tylko trumna na kółkach.

- Pomyłka. To jest porsche. Skoro twoim zdaniem jechałem za szybko, dlaczego nie poprosiłaś, żebym zwolnił?

- Bo byłam zbyt pochłonięta modlitwą o życie. Uśmiech, który na moment pojawił się na jego ustach, nie mógł złagodzić ostrości rysów ani surowego spojrzenia. Był jednak sygnałem, że Daniel nie jest do końca pozbawiony poczucia humoru.

- Twoje modlitwy zostały wysłuchane. A teraz powiedz mi, czy zamierzasz spędzić ten wieczór na parkingu?

Nie odpowiedziała od razu, więc pociągnął ją delikatnie w stronę obrotowych drzwi. Bez słowa weszła do holu i ruszyła do windy. Nie oglądając się na niego, wkroczyła do środka i nacisnęła guzik z numerem piętra. Ani razu nie spojrzała w jego stronę, nie mogła więc zauważyć, jak wymownie spogląda na sufit.

- Posłuchaj... - Przez chwilę szukał nerwowo w pamięci jej imienia. - Posłuchaj, Lana, jeśli zamierzasz dąsać się przez cały wieczór, to będzie nam ciężko przetrwać tę imprezę. Zanudzimy się oboje na śmierć.

- Ja się nie dąsam. Nigdy.

Nie raczyła nawet zerknąć w jego stronę. Uparcie śledziła kolejne numery pięter, licząc w myślach do dziesięciu. Czowała, że straci za chwilę panowanie nad sobą. Kiedy winda zatrzymała się wreszcie, miała ochotę zignorować Daniela i pójść dalej swoją drogą, nie troszcząc się specjalnie o jego towarzystwo. Po raz kolejny jednak maniery wzięły górę nad emocjami, więc zamiast ruszyć przed siebie, zatrzymała się w korytarzu i zaczęła, aż do niej dołączy. Jediną oznaką wzburzenia były delikatne rumieńce na jej policzkach.

Daniel musiał przyznać, że owe rumieńce dodały uroku posagowym rysom Lany. Pomyślał nawet, że gdyby był zainteresowany kontynuowaniem tej znajomości, na pewno postarałby się, żeby pojawiały się częściej. Póki co jednak, nie miał najmniejszego zamiaru zawracać sobie głowy uwodzeniem tej chłodnej piękności. Jedyne, co mógł zrobić, to postarać się, żeby wspólny wieczór minął im możliwie szybko i bezboleśnie. Dlatego, przełamując wewnętrzny opór, zdobył się na pojednawcze „przepraszam”. Jego towarzyszka nie poczuła się tym chyba usatysfakcjonowana, bo swoje „nie ma za co” wypowiedziała tonem, który w jednej chwili zamieniłby wodę w lód.

Salę balową wypełniał wielobarwny tłum, powietrze przesycone było aromatem wytwornych perfum i gwarem stłumionych głosów. Widok tych wszystkich eleganckich ludzi podzielał na Lanę kojąco. Przysięgła sobie, że nie spędzi z Danielem ani minuty dłużej niż wymagałoby tego dobre wychowanie. Jeszcze tylko parę chwil i ucieknie od niego, a potem na pewno znajdzie w tym tłumie kogoś, z kim będzie mogła przyjemnie spędzić wieczór. Póki co, nie pozostawało jej nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry i przyjąć ramię, które zaofiarował jej Daniel. Kiedy zapytał, czy napije się wina, a potem poszedł po kieliszek i zostawił ją na chwilę samą, odetchnęła z ulgą.

Jej samotność nie trwała zbyt długo, bo nagle tuż obok niej wyrosła jak spod ziemi ciotka Marta. Przywitała ją z otwartymi ramionami, szczęśliwa, że znowu widzi swoją piękną chrześnicę. Gdy po chwili dołączył do nich Daniel, starsza pani nie posiadała się z radości. Jej bystry umysł natychmiast odnotował, że młodzi tworzą naprawdę wspaniałą parę i że musi powiedzieć o tym swojemu przyjacielowi Danielowi seniorowi. Ostrożność kazała jej zachować to spostrzeżenie dla siebie, mimo to nie mogła powstrzymać się od głośnej uwagi:

- Danielu, jesteś wprost nieprzyzwoicie przystojny!

- A czy chociaż zarezerwowała ciocia dla mnie jakiś taniec? - zapytał, schylając się, by ucałować jej policzek.

- Naturalnie! Wiesz, że twoi rodzice też tutaj są? - Siedzimy przy tamtym stoliku. Może do nas dołączycie? - Nie czekając na odpowiedź, stanęła pomiędzy nimi, otoczyła ich ramionami i poprowadziła we wskazanym kierunku. - Domyślam się, że chcielibyście poszukać znajomych. No i zatańczyć, oczywiście. Orkiestra jest dziś naprawdę doskonała. Mimo to porywam was na parę minut, bo chcę was mieć tylko dla siebie. Mam nadzieję, że mi to wybaczycie.

Zabawiała ich rozmową, prowadząc jednocześnie przez grupki gości, skupione wokół elegancko nakrytych stołów. Zerknęła uważnie na twarze obojga, próbując odgadnąć, jakie wrażenie wywarło na nich to spotkanie. Wiedziała z doświadczenia, że mowa ciała bywa wymowniejsza od stów, dlatego czekała niecierpliwie na pierwszy wspólny taniec Lany i Daniela. Tak bardzo ufała swej kobiecej intuicji, że w myślach układała już listę gości na ich weselu.

- Patrzcie tylko, kogo wam prowadzę! - zawołała, kiedy podeszli do stolika zajętego przez rodziców Daniela.

- Daniel! - Shelby MacGregor poderwała się z *miejsca*. Jedwabna suknia zaszeleściła przyjemnie, gdy obejmowała syna. - Nie wiedziałam, że tu będziesz.

- Sam o tym nie wiedziałem. - Pocałował ją w oba - policzki, popatrzył ciepło w oczy, ale już po chwili utonął w silnym uścisku ojcowskich ramion. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i poklepywali po plecach. W końcu Alan odsunął syna na długość ramion, pokręcił głową i stwierdził:

- Muszę przyznać, synu, że z każdym rokiem stajesz się coraz bardziej podobny do swego dziadka.

Lana przyglądała się z boku tej scenie rodzinnego powitania. Poczwała, jak robi jej się ciepłej na sercu. W pewnej chwili ogarnęło ją nawet wzruszenie na widok ludzi tak bardzo sobie oddanych i tak szczerze okazujących wzajemne przywiązanie. Pod tym względem MacGregorowie bardzo różnili się od jej rodziców. Ze smutkiem uświadomiła sobie, że gdyby spotkała ojca i matkę w takich okolicznościach, ich powitanie ograniczyłoby się do zdawkowych pytań, co słyhać, oraz obowiązkowych słów zachwyty nad strojem i wyglądem.

p - Przedstawiam wam moją chrześnicę, Lanę Drake. - Ciotka Marta dotknęła lekko jej ramienia. - Bardzo mi miło. - Shelby MacGregor energicznie uścisnęła rękę Lany. - Znam pani rodziców, ale od dawna nie miałam z nimi kontaktu.

- Jakiś czas temu przeprowadzili się na Florydę, mieszkają teraz w Miami.

- Proszę ich ode mnie pozdrowić.

- Ode mnie również - odezwał się Alan, wyciągając rękę na powitanie. - Marta sporo nam o pani opowiadała. A więc zdecydowała się pani wrócić do Waszyngtonu?

- Tak, proszę pana. I nie żałuję. - Przyjazny uśmiech i mocny uścisk ciepłej dłoni dodał jej odwagi. - Naprawdę bardzo się cieszę, że mogę pana znowu spotkać. Pamiętam, że za pierwszym razem byłam mocno stremowana.

- Aż taki byłem straszny? - spytał rozweselony, podsuwając jej krzesło.

- Nie. Raczej majestatyczny, taki... prezydencki. A ja właśnie wtedy straciłam mleczne jedyńki i czułam się bez nich okropnie. Ale pan umiał mnie pocieszyć, więc natychmiast się w pana zakochałam - wyznała ze śmiechem.

- No proszę, czego to się człowiek nie dowiaduje. Szkoda, że tak późno.

- Powiem szczerze, że szybko mi przeszło. Przegrał pan w konkurencji z Winnetou.

Niesamowite, myślał Daniel, obserwując rozbawioną grupę. Kiedy patrzył, jak Lana ze swobodą rozmawia z jego rodzicami, nie mógł uwierzyć, że to ta sama kobieta, z którą zjawił się na balu. Metamorfoza jego towarzyszkę była wprost niewiarygodna. Zniknął jej chłodny i irytujący sposób bycia, zmienił się głos, w oczach zapłonęły ciepłe iskierki. Ożywienie dodało barw i wyrazu posągowym rysom twarzy, czyniąc ją bardziej ludzką, a przez to jeszcze piękniejszą. Kiedy śmiała się, w kącikach ust pojawiały się dołeczki, a głos nabierał nowego brzmienia. Było w nim coś uwodzicielskiego, jakaś wibrująca nuta, bardzo zmysłowa, ale nie wyzywająca. Cała postać Lany, oszczędne w gestach zachowanie, prosta fryzura i strój tworzyły doskonałą całość i nie pozwalały oderwać od niej oczu.

Dyskretny urok elegancji, pomyślał z odrobiną ironii, ale musiał przyznać, że widok uśmiechniętej dziewczyny sprawia mu dużą przyjemność. Szczególnie urzekał go jej głos, niski, spokojny, jakby matowy. Daniel musiał przyznać, że woli jej słuchać, niż z nią rozmawiać.

Dalszą kontemplację przerwała mu dość niespodziewanie zdecydowana interwencja ciotki Marty. Energiczna dama mocno chwyciła go za łokieć, zmusiła, żeby się do niej nachylił, i z rozbrajającym uśmiechem na ustach syknęła mu wprost do ucha:

- Chłopcze, co się z tobą dzieje! Poprośże ją wreszcie do tańca!

- Słucham?

- Poproś Lanę do tańca! Chcesz tu stać przez cały wieczór jak kołek? Gdzie twoje maniery?

- Jasne, przepraszam - mruknął potulnie, lekko zbity z tropu. Kiedy jednak ciotka delikatnie popchnęła go w stronę dziewczyny, poczuł, jak znowu ogarnia go złość. Bardzo nie lubił, kiedy go zmuszano do rzeczy, na które nie miał ochoty. Ponieważ jednak sam zgodził się na ten beznadziejny pomysł z balem, musiał do końca grać swoją rolę.

b Kiedy delikatnie dotknął ramienia Lany, drgnęła niczym porażona prądem. Spojrzała na niego z taką miną, jakby widziała go pierwszy raz w życiu, ale szybko odzyskała kontrolę nad sobą. Na jej ustach pojawił się kurtuazyjny uśmiech i choć wolałaby pozostać w miłym towarzystwie MacGregorów, pozwoliła, by ich gburowaty syn zaprowadził ją na parkiet.

Szła za nim jak na ścięcie, pełna najgorszych przeczuć.

Coś jej mówiło, że jeśli Daniel tańczy tak, jak prowadzi samochód, to pewnie nie uda jej się zejść z parkietu o własnych siłach. Na szczęście orkiestra grała właśnie jakąś wolną, romantyczną melodię. Tłum na parkiecie i spokojny, senny rytm dodały Lanie otuchy, nie musiała bowiem silić się na ryzykowne układy choreograficzne. Była więc spora szansa, że Daniel nie zmiażdży jej stóp ani nie wyrwie ramion ze stawów.

Pierwsze kroki były dla niej miłym zaskoczeniem. Jak na mężczyznę tak postawnego, jej partner poruszał się z niebywałą lekkością i wycuciem rytmu. Umiał przy tym pewnie prowadzić, a jego dłonie, choć twarde i mocne, nie były wcale ani szorstkie, ani zbyt natarczywe. Dotyk, który wyczuwała poprzez cieniutką warstwę jedwabiu, promieniował przyjemnym ciepłem. Zapach Daniela, siła i giętkość jego ciała, swoboda, z jaką poruszał się w tańcu, sprawiły, że myśli Lany zaczęły dryfować w niebezpiecznym kierunku. Postanowiła nawiązać zwykłą w takich sytuacjach, banalną rozmowę:

- Masz bardzo miłych rodziców.

- Też tak uważam. - Daniel nie był w nastroju do salonowych konwersacji. Wolał poddać się melodii i spokojnie cieszyć tańcem. Kobieta, którą trzymał w ramionach, poruszała się bardzo zmysłowo, każdy jej ruch miał w sobie jakiś nieuchwytny wdzięk. Przytulił ją mocniej. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że ich ciała idealnie do siebie pasują, jak dwa elementy skomplikowanej układanki. W odpowiedzi przesunęła dłonią po jego plecach, a ten niewinny ruch natychmiast obudził w nim podniecenie. Poczuł je najpierw na karku, skąd gorącą falą spłynęło w dół ciała i zamieniło się w delikatny dreszcz. Jak przez mgłę docierał do niego trochę senny głos Lany. Mówiła coś o wiośnie w Waszyngtonie. Skinął tylko głową na znak, że się z nią zgadza. - Chciałbym zrobić szkic twojej twarzy - powiedział nagle, pod wpływem jakiegoś impulsu.

- Oczywiście - odpowiedziała machinalnie, choć w ogóle nie dotarł do niej sens jego słów. Cały czas myślała o tym, że w całym swoim życiu nie spotkała mężczyzny o równie

intrygującym wyglądem. Największe wrażenie robiły te intensywnie błękitne oczy, a zwłaszcza ich nieodgadniony, trochę groźny wyraz. Można w nich utonąć, pomyślała i poczuła, że ogarnia ją coraz większy zamęt doznań i pragnień, jakich nigdy dotąd nie doświadczyła. Od dłuższego czasu nie zamienili ze sobą ani słowa, aż w końcu milczenie stało się męczące. Żeby je przerwać, powiedziała coś o pogodzie, co Daniel skwitował burknięciem. Najwyraźniej nie był lwem salonowym, postanowiła więc zostawić go w spokoju i nie przejmować się manierami.

Muzyka ucichła, ktoś popchnął ich i przeprosił, pary schodziły wolno z parkietu. Oni również odsunęli się od siebie, a właściwie odskoczyli, co wypadło bardzo niezręcznie. Każde z nich obudziło się jakby z głębokiego snu, lecz już po chwili Lana odzyskała panowanie nad sobą. Podziękowała za taniec chłodnym tonem, który w najmniejszym nawet stopniu nie zdradzał jej uczuć.

Tymczasem tak naprawdę zrobiło jej się dziwnie smutno, że taniec już się skończył i ucichła melodia, która kołysała ich łagodnie. Co za bzdury, zganiła się w myślach, ale nie mogła zaprzeczyć, że dotknął ją brak zainteresowania ze strony Daniela, gdy ten obojętnie prowadził ją do stolika.

Nie wiedziała, że Daniel jest nie mniej zmieszany niż ona. Chciał jak najszybciej oddać ją pod opiekuńcze skrzydła ciotki Marty i natychmiast wrócić do domu. Bliskość Lany drażniła go, wprawiała w nerwowe podniecenie, którego nie potrafił niczym wytłumaczyć. Spotkał w swoim życiu całe mnóstwo kobiet, niejedna z nich była bez porównania bardziej pociągająca i zmysłowa niż ta wyniosła księżniczka ze szklanej góry, która szła teraz, milcząc, u jego boku. A jednak bez przerwy myślał o jej ustach, o tym, jak smakują, jak całują, jak rozchylają się po wpływie rozkoszy. Chyba za dużo ostatnio pracowałem. Trzeba dać sobie trochę luzu, uspokoić nerwy, pomyślał, szczęśliwy, że dotarli wreszcie do stolika. Nie musiał już się martwić o to, kto będzie bawił rozmową jego partnerkę. Mając u boku swego szarmanckiego ojca, mógł spokojnie zająć się sobą i odzyskać równowagę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Plan na niedzielę był prosty - do południa sen, potem obfite śniadanie, a po południu siłownia. Wieczór pozostawał kwestią otwartą. Daniel mógł spędzić go samotnie w pracowni albo pójść na festiwal bluesowy w artystycznej dzielnicy miasta.

Okazało się, że nic z tego. Plan wziął w łeb, kiedy Daniel obudził się bladym świtem, zmęczony i rozbity po kiepsko przespanej nocy. Miał nadzieję, że uda mu się znowu zasnąć, ale ilekroć zaczynał odpyływać, przed oczami pojawiała mu się wiotka sylwetka blondynki w białej sukni. Wtedy unosił powieki i czekał, aż zjawą zniknie.

Za którymś razem poczuł się już tak zirytowany, że postanowił wstać, choć nie było jeszcze szóstej. Zrezygowany, powlókł się pod prysznic, mając nadzieję, że chłodna woda przywróci mu jasność myśli i pomoże odzyskać spokój ducha. Niestety, spotkał go zawód. Stojąc w strugach coraz zimniejszej wody, myślał uparcie o Lanie Drake. Najbardziej złościło go, że podczas całego wieczoru nie wydarzyło się absolutnie nic, co mogłoby tak bardzo poruszyć jego wyobraźnię. Poza tą jedną, krótką chwilą w tańcu, kiedy poczuł się dziwnie zespolony z tą całkiem obcą, a do tego niezbyt sympatyczną kobietą. To jednak nie był jeszcze powód, żeby nie spać po nocach.

Zakręcił wodę, kiedy poczuł przejmujący chłód. Prysznic jednak trochę mu pomógł. Woda spłukała męczące rozkojarzenie i napięcie, które czuł od poprzedniego wieczoru. Nie opuściło go nawet wtedy, gdy odwiózł Lanę do domu i wreszcie uwolnił się od jej niechcianego towarzystwa.

Wycierając się przed lustrem, przypominał sobie drogę powrotną. Jechał wyjątkowo uważnie, nie ignorując ograniczeń prędkości ani żółtych świateł. Zabawiał Lanę rozmową na jakieś banalne tematy i starał się być tak bezosobowo uprzejmy, jakby obok niego siedziała angielska królowa. Przed domem pożegnali się jak para dalekich znajomych, którymi tak naprawdę byli. Sztynny uścisk ręki i życzenia dobrej nocy. Żadnego „Do zobaczenia” albo „To może się zdzwonimy”. Miał wrażenie, że ona również jest zadowolona, iż mają już za sobą ten niefortunny wieczór.

Wyszedł z łazienki, po czym zatrzymał się na środku pracowni, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić o tak wczesnej porze. Zanim zdążył porządnie się zirytować, przyszła mu do głowy myśl, żeby pójść do siłowni. Ruch i fizyczne zmęczenie mogły zdziałać cuda. W ciągu kilku godzin powinien wypocić z siebie wszystkie głupie myśli, a wraz z nimi obraz twarzy o klasycznych rysach antycznego posągu, która uparcie pojawiała się w jego

wyobraźni. Nie tracąc ani chwili, pozbierał potrzebne rzeczy i zatrzasnął za sobą drzwi pracowni. Już wiem, pomyślał, zbiegając po schodach z torbą na ramieniu. Ona interesuje mnie wyłącznie jako model. I nic więcej.

Wrócił do domu zdrowo zmęczony i porządnie głodny. Wysilek oraz świeże powietrze pomogły mu odzyskać dobre samopoczucie, przywróciły energię i jasność myśli. Rzucił w kąt sportową torbę i natychmiast zabrał się z zapalem do przyrządzania ogromnej jajecznicy na bekonie.

Telefon zaskoczył go w chwili, gdy miał wbić jaja na przyrumieniony złociście bekon. Wściekł się, że ktoś zawraca mu głowę w tak ważnym momencie, zaklął więc pod nosem, ale sięgnął po słuchawkę, którą przytrzymał ramieniem, ani na moment nie odrywając się od kuchenki.

- Nie śpisz już? To dobrze! - Natychmiast rozpoznał tubalny głos dziadka. - Chłopcze, przycisz tę muzykę, bo kompletnie ogłuchniesz!

- Jedną chwilę, staruszk. Gdzieś mi się zapodział pilot. - Zanim wziął słuchawkę, zdążył jeszcze chwycić kawałek gorącego bekonu, który parzył go w język, po czym wybełkotał: - No, już jestem.

- A co tam tak zajadasz?

- Jajecznicę.

- Na bekonie?

- Ma się rozumieć. Zrobiłem już dzisiaj coś dla zdrowia, byłem na siłowni. Muszę teraz szybko uzupełnić stracone kalorie i pochłonąć małą bombę cholesterolu.

- Synu, kto by tam w twoim wieku przejmował się cholesterol! Ja, to co innego. Czasem takie jajka na bekonie śnią mi się po nocach... Ale znasz babcię. Nie mam łatwego życia z tą kobietą. Mówię ci, chłopcze, nigdy nie żęń się z lekarką, bo zabroni ci wszystkich przyjemności. Zostanie ci tylko oglądanie obrazków.

- Hm, mówię ci, dziadku, jajecznicę palce lizać!

- Nie bądź sadystą, chłopcze... Ale do rzeczy. Dzwonię, żeby podziękować ci za przysługę. Swoją drogą mam nadzieję, że nie wynudziłeś się jak mops z tą chrześnicą Marty.

- Jakoś przeżyłem.

- Chłopak taki jak ty zna pewnie lepsze sposoby spędzenia sobotniego wieczoru. Nie podoba mi się, że tracisz czas z nadętymi pannami, które zadzierają nosa.

- Nie ma o czym mówić, dziadku.

- Właśnie że jest. Nie po to rozglądałem się za jakąś fajną dziewczyną dla ciebie, żebyś włączył się po balach jak jakiś fordanser.

- Pozwól, że sam będę się rozglądał, dobrze?

- Tylko dlaczego tak marnie ci idzie? Siedzisz po całych dniach w tej swojej pracowni jak pustelnik, wdychasz smród farby i innych świństw. Zdrowy, przystojny mężczyzna w twoim wieku powinien romansować z jakąś odpowiednią dziewczyną. A ty co? Czy chociaż zdajesz sobie sprawę, jak bardzo babcia się martwi?

- Hm... - Zanosilo się na dłuższy wykład, a ponieważ Daniel na pamięć znał jego treść, ze spokojem wziął się do swojej jajecznicy.

- Mężczyzna w twoim wieku dawno już powinien mieć porządny dom, a w nim gromadkę dzieciaków. I w ogóle żyć, jak Bóg przykazał. Nie muszę chyba ci bezustannie przypominać o twoich obowiązkach względem rodziny. Dlatego nie chcę, żebyś tracił czas z kobietami takimi jak ta Linda.

- Lana, dziadku. Ona ma na imię Lana - powiedział z naciskiem, bo nie wiadomo dlaczego zirytowało go, że dziadek nie pamięta jej imienia.

- Jak zwał, tak zwał. Jedno jest pewne. Ta mała Drake'ówna absolutnie do ciebie nie pasuje, więc mam nadzieję, że wasza znajomość skończy się na tym jednym wieczorze. Lepiej mi powiedz, kiedy nas odwiedzisz. Babcia wciąż dopytuje się o ciebie.

- Niedługo, dziadku. A właściwie dlaczego tak bardzo nie podoba ci się ta Lana?

- Kto? - spytał niewinnie stary wyga, zacierając ręce z radości, że ryba chwyciła przynętę.

- Lana Drake. Dlaczego ci się nie podoba? - powtórzył Daniel cierpliwie, choć trochę niewyraźnie, gdyż usta miał pełne jedzenia.

- Kto mówi, że mi się nie podoba? Dawno jej nie widziałem, ale Marta twierdzi, że piękna z niej dziewczyna, tylko ten jej charakter... Zdaje się, że w ogóle nie jest w twoim typie. Zbyt poważna, zbyt powściągliwa. Nie mówiąc już o rodzicach. Para sztywnych snobów, którzy najbardziej w świecie kochają samych siebie. No, chłopcze, nie ma o czym gadać. Jedz sobie spokojnie swoje śniadanie i nie myśl więcej o tej kostce lodu. To dobre w szklance whisky, ale nie w życiu. Będę kończył. Przyjeżdżaj jak najszybciej, bo babcia nie daje mi żyć.

- Dobrze, obiecuję, że niedługo do was wpadnę. Póki co, ucałuj ją i pozdrów ode mnie.

- Nie zapomnę. Trzymaj się, chłopcze, do zobaczenia.

Daniel MacGregor senior odłożył słuchawkę i wygodnie rozparł się w przepastnym fotelu. Na jego zdrowej, czerstwej twarzy pojawił się chytry uśmiech, który mógł oznaczać tylko jedno: stary lis był z siebie bardzo zadowolony. Kolejny raz udało mu się przechytryć

przeciwnika i kolejny raz nie mylił się w swoich kalkulacjach. Do pełnego szczęścia brakowało mu tylko cygara, ale cóż, w życiu nie można mieć wszystkiego. Najważniejsze, że plan zadziałał. Stary był pewien, że nim minie godzina, jego wnuk będzie dzwonił do Lany Drake. A o to przecież chodziło.

Niewiele się pomylił, choć w rzeczywistości Daniel junior nawet nie próbował telefonować do Lany - nie miał jej numeru. Po rozmowie z dziadkiem stracił nagle apetyt, więc resztki jajecznicy wylądowały w koszu na śmieci. Dłuższą chwilę siedział nad kubkiem aromatycznej kawy, przypominając sobie rozmowę, którą dopiero co odbyli. Najgorsze, że pod wpływem słów starego zniknął spokój ducha, który Daniel z takim trudem odzyskiwał przez cały ranek.

W siłowni już był, więc nie miał po co tam wracać. Najpewniejszą metodą, by odegnąć złe myśli, była praca.

Postanowił ruszyć w plener i wyszukać sobie jakiś ciekawy obiekt. Zwykle, kiedy był zajęty szkicowaniem, przestawał myśleć o czymkolwiek. Do znoszonej skórzanej torby wrzucił blok rysunkowy, węgiel, ołówki i resztę przyborów. Na ulicy było tak jasno, że musiał zmrużyć oczy, ale i tak silne słońce wiosennego przedpołudnia wciskało mu się pod powieki. Kiedy przyzwyczał wzrok do tej powodzi światła, ruszył bezwiednie w stronę ulicy, przy której mieszkała Lana.

Po drodze zmagął się z pragnieniem, żeby po prostu pójść do niej i zrobić kilka szkiców jej twarzy. Niedawno przyznał, że interesuje go wyłącznie jako model, więc miał powód, by do niej wstąpić. Powiedział jej, że chciałby ją narysować, a ona się zgodziła. Dlaczego więc, zamiast tracić czas na włóczęgę po mieście w poszukiwaniu ciekawego obiektu, nie miałby pójść prosto do niej i natychmiast zabrać się do pracy? Jak już ją narysuje, to może wreszcie przestanie o niej myśleć?

Jeszcze raz przypomniał sobie wszystko, co mówił mu dziadek. Oczywiście stary miał rację, nazywając Lanę kostką lodu. To prawda, że była chłodna, wyniosła i, jak na gust Daniela, zbyt dystygowana. Jednak to za mało, by ją tak od razu przekreślać, zwłaszcza że nie myślał o niej w kategoriach kandydatki na towarzyszkę życia.

Jak zwykle zezłościło go, że dziadek ingeruje w jego życie osobiste. Daniel nie chciał, by ktoś inny decydował o tym, z kim ma się wiązać, ale ten stary uparciuch najwyraźniej nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Postanowił dać mu do zrozumienia, że nie zamierza słuchać żadnych dobrych rad.

Zapukał kilka razy, ale nikt nie otworzył. Przełknął rozczarowanie, poprawił torbę na ramieniu i już miał odejść, kiedy usłyszał dobiegające z wnętrza ciche tony muzyki, Słodkie

akordy ulatywały przez uchylone okno, niesione ciepłym wiatrem. Przez chwilę przysłuchiwał się z uwagą delikatnym dźwiękom, aż wreszcie rozpoznał w nich koncert fortepianowy Chopina. Ośmielony brzmieniem znajomych nut, zawrócił i lekko nacisnął kłamekę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzyły się na oścież, jakby zapraszały go do Środka. Przez moment się wahał, ale ciekawość wzięła górę. - Lana! Lana, jesteś tu?

Nie odpowiedziała, więc postanowił jej poszukać. Rozpoczął wędrówkę przez dom, rozglądając się uważnie po każdym wnętrzu. Dominowały w nich przytłumione beże, mocno rozmyte brązy i wszelkie odcienie kości słoniowej. Stonowane barwy idealnie harmonizowały z eleganckimi antykami. Daniel zatrzymał się w obszernej bibliotece i przez chwilę oglądał długie rzędy książek w skórzanych oprawach. Wszędzie wyczuwało się zasobność i dostatek, jednak zewnętrzne oznaki dobrobytu najmniej go interesowały.

Zwrócił za to uwagę na dwa szkice, zdobiące jedną ze ścian. Były to zwykłe miejskie scenki, fragmenty architektury, narysowane bardzo poprawnie, z zachowaniem wszelkich zasad perspektywy i kompozycji. Widać było, że autor, raczej amator niż profesjonalista, miał dobre oko i wyczucie detalu.

Daniel zakończył wędrówkę w dużej, słonecznej kuchni. Wprawdzie nie znalazł nigdzie Lany, ale zdołał wiele dowiedzieć się o jej guście i stylu. Nie czuł się zaskoczony. Jej dom był dokładnie taki, jak ona sama - tradycyjny, elegancki, dostojny. Pozbawiony niepotrzebnych ekstrawagancji, które zakłócałyby równowagę spokojnych, stylowych wnętrz. Tak mieszka zamożna, raczej konserwatywna kobieta, która ma dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na kupowanie drogich i pięknych przedmiotów. Wszystko, czym się otacza, jest zdecydowanie klasyczne, od mebli zaczynając, poprzez literaturę, a na muzyce kończąc. Poza tym musi lubić ład i porządek, bo każda rzecz w jej domu ma swoje starannie i logicznie wybrane miejsce, podsumował, jakby kreśląc profil psychologiczny Lany Drake.

Nagle dostrzegł ją samą, zaginioną bohaterkę swoich rozmyślań. Pracowała w ogrodzie, widział ją wyraźnie przez jedno z kuchennych okien. Pochylona nad gęstym trawnikiem, obsadzała jego brzeg kępami jaskrawożółtych bratków. Słomkowy kapelusz, rękawiczki i fartuch upodobały ją do modelek z luksusowych pism poświęconych dekoracji wnętrz i uprawie ogrodu.

Wiosenny poranek w ogrodzie. Esencja smaku i elegancji, pomyślał sarkastycznie, ale musiał przyznać, że obrazek nie jest pozbawiony uroku. Dlatego bez namysłu sięgnął po torbę i wydobyl z niej przybory do rysowania.

Światło było doskonałe, miękkie i rozproszone, przefiltrowane przez gęstwinę gałązek pokrytych młodziutką zielenią. Scena, aż prosiła się, by przenieść ją na papier. Błyskawicznie

wykonał trzy szkice, a potem spokojnie patrzył, jak Lana pracuje. Zaintrygowało go, że każdy jej ruch jest bardzo precyzyjny, jakby przemyślany i zaplanowany. Sadziła bratki tak metodycznie i starannie, że poczuł rozbawienie. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w swoim życiu robił coś z podobną dokładnością. No cóż, chyba faktycznie niewiele nas łączy, pomyślał, wychodząc do ogrodu przez kuchenne drzwi.

Lana była tak pochłonięta pracą, że zapomniała o bożym świecie. Dlatego gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi, a potem czyjeś kroki na żwirowej alejce, przerażona zerwała się na równe nogi. Mała łopatka poleciała w jedną stronę, a sadzonka w drugą.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć - powiedział Daniel i na wszelki wypadek zrobił krok w tył.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytała, przyciskając dłoń do serca.

- Wszedłem przez drzwi wejściowe.

- Jak to przez drzwi? Nie wiesz, że nie wchodzi się bez zaproszenia do cudzego domu?

- Owszem, wchodzi się, zwłaszcza jeśli nikt nie odpowiada na pukanie, a drzwi nie są zamknięte na klucz. - Odstawił torbę i schylił się po kwiatek, który upuściła. - Proszę, nie przeszkadzaj sobie.

- Ale co ty tu właściwie robisz?

- Jak to co? Przecież umówiliśmy się, że zrobię kilka rysunków. Nie pamiętasz już?

- Nie. Kiedy to było?

- Wczoraj. - Podeszedł do niej i delikatnie ujął ją pod brodę, obracając jej twarz profilem. - Powiedziałem, że chciałbym narysować twój portret, a ty się zgodziłaś.

- Nie przypominam sobie - rzuciła gniewnie i energicznie odwróciła twarz, zaskoczona i zła, że dotyka jej tak bezceremonialnie.

- Nie żartuj. Rozmawialiśmy o tym podczas tańca. Myślałem, że się zrozumieliśmy.

- Chyba nie do końca - zauważyła niepewnie. Pamiętała tylko, że w którymś momencie zupełnie straciła głowę. Niewykluczone, że właśnie wtedy zgodziła się na jego propozycję.

- Posłuchaj, skoro już tu jestem, chyba pozwolisz mi zrobić parę szkiców. Nie będę ci przeszkadzał.

Nie czekając na odpowiedź, usadowił się na werandzie. Wiklinowe krzeselko, na którym usiadł, zniknęło pod jego potężną posturą.

- Co mam robić?

- To, co do tej pory. Nie musisz mi pozować. Sadź dalej bratki. Wiesz co? Ja na twoim miejscu posadziłbym ich więcej w jednym miejscu, a nie tak w rzędzie, pod sznurek.

- Nie przypominam sobie, że bym pytała cię o radę - burknęła, wracając do przerwanej zajęcia. Przez moment próbowała spokojnie kopać dołek, ale czuła, że na nią patrzy, i nie mogła się skupić. Zupełnie jak ofiara, na którą czyha tygrys, pomyślała, odwracając się w stronę werandy.

Posłuchaj, nie mogę pracować, kiedy mi się przyglądasz. A chciałabym to szybko skończyć, bo po południu ma padać.

- Zgoda. Jeśli nie możesz sadzić kwiatków, to zrób sobie małą przerwę. Usiądź i odpocznij. Niedużo ci zostało, więc na pewno zdążysz. Możemy w tym czasie pogadać.

Pomysł chyba nie bardzo przypadł jej do gustu, bo zamiast usiąść, wstała i zaczęła ściągać rękawiczki.

- Już wczoraj próbowaliśmy rozmawiać i jakoś kiepsko nam szło - powiedziała z wyraźną ironią.

- Bez przesady. - Wiedział, jak radzić sobie z opornymi modelami, jak ich oczarować, żeby pozwolili mu pracować w spokoju. - Zdaje się, że lubisz muzykę, tak jak ja. Widzisz, już mamy temat do rozmowy. Chopin świetnie do ciebie pasuje.

- Tak jak do ciebie ryczące kobzy - odparowała, choć wiedziała, że nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie.

- Masz coś przeciwko kobzom?

- Posłuchaj, nie chcę być niegrzeczna, ale...

- Pewnie, że nie chcesz. Jesteś za dobrze wychowana.

Powiedz mi tylko, dlaczego taka z ciebie osa? - spytał, nie odrywając wzroku od kartonu, po którym szybko wodził dłonią uzbrojoną w kawałek węgla.

- Nie jestem osą. Zwłaszcza wobec tych, których lubię.

- Widzę, że mnie od razu polubiłaś - zauważył z ironicznym uśmiechem.

Tego było już za wiele. Choć bardzo się starała, nie mogła powstrzymać śmiechu. Spoważniała natychmiast, kiedy Daniel nachylił się w jej kierunku i zdjął jej z głowy kapelusz, by nie zasłaniał jej oczu.

- Po to go założyłam - zaprotestowała, lecz po chwili wzruszyła ramionami i dała za wygraną. - Wczoraj wieczorem miałam wrażenie, że zdecydowanie nie przypadliśmy sobie do gustu.

- I co z tego?

To proste pytanie zbiło ją na chwilę z tropu. Kilka razy otwierała i zamykała usta, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. To, że nie zaprzeczył jej słowom, nieoczekiwanie sprawiło jej przykrość.

- Po co więc tu przyszedłeś? Dlaczego chcesz mnie rysować?

- Rysowanie nie ma nic wspólnego z sympatią lub antypatią. Zaintrygowała mnie twoja twarz. Jest bardzo wyrazista i jednocześnie niesłychanie kobieca. Masz zmysłowe oczy, które ciekawie kontrastują z klasycznymi rysami. Naprawdę nie muszę być kimś zainteresowany, żeby chcieć go rysować.

- Dziękuję za szczerość - stwierdziła, a w jej głosie było więcej chłodu, niż chciałaby okazać.

- Proszę bardzo. Ale zdaje się, że sprawiłem ci przykrość. Rozumiem. Większość kobiet czuje się dotknięta, gdy facet przyznaje otwarcie, że nie jest zainteresowany bliższą znajomością.

Teraz dopiero zaniemówiła na dobre. Natomiast Daniel, niezrażony jej milczeniem, najspokojniej w świecie ciągnął:

- Czy to, że ani ja nie jestem w twoim typie, ani ty w moim, znaczy, że powinniśmy omijać się z daleka? Albo że mam nie dostrzegać twojej urody? Bzdura, jesteś piękną kobietą i ja to widzę. Koniec, kropka. A teraz obróć głowę w lewo. Troszeczkę. I odgarnij włosy.

Wyciągnął dłoń tak szybko, że nie zdążyła się odsunąć. Kiedy dotknął jej twarzy, poczuła się jak sparaliżowana. Nie była w stanie wykonać najmniejszego gestu, powiedzieć choćby słowa. Widocznie z nim również działo się coś dziwnego, bo tak jak ona, najpierw zastygł w bezruchu, a potem bardzo delikatnie przesunął opuszkami palców wzdłuż jej policzka, dotknął zarysu szczęki, aż w końcu zatrzymał się na szyi, w miejscu, gdzie wyczuwał przyspieszony puls. Pomyślał nagle, że bardzo chciałby dotknąć tego miejsca ustami, poczuć ciepło i usłyszeć szum krwi.

- Masz cudowną skórę - szepnęła, ale ona ledwie rozumiała sens tych słów. Bała się, że lada moment zemdleje, czym oczywiście pograży się do reszty. Nigdy jeszcze serce nie biło jej tak mocno, a kolana nie drżały tak bardzo. Czuła dziwne gorąco, które zalewało ją gwałtowną falą, jak wtedy, gdy jako mała dziewczynka zbliżała się do ognia buzującego w kominku.

Na szczęście Daniel w końcu cofnął rękę. Wziął węgiel, lecz musiał go zaraz odłożyć, bo palce odmówiły mu nagle posłuszeństwa. Miał wrażenie, że na kilka sekund jego prawa ręka stała się całkiem bezwładna. Jakby dotykając szyi tej kobiety, stracił czucie. Co się ze mną dzieje, do cholery, pomyślał zaniepokojony i zaczął poruszać palcami jak człowiek, któremu zdrętwiała ręka.

- Myślałam, że... - Lana w pierwszej chwili nie poznała własnego głosu, tak bardzo był ochryply. Umilkła więc i dopiero, gdy zaczerpnęła głębiej powietrza, mogła mówić w miarę normalnie. - Myślałam, że malujesz tylko abstrakcje.

- Maluję to, co pobudza moją wyobraźnię. W tej chwili ciebie.

- Wiem, że jakiś czas temu miałaś dużą wystawę w Nowym Jorku. Nie byłam na niej, ale ktoś z moich znajomych widział twoje prace.

- Nie wysilaj się. Ja też nie jestem bywalcem sklepów Drake'a. Za to moja matka regularnie wydaje w nich fortunę. Parsknęła śmiechem i poczuła się na tyle odprężona, żeby rozprostować palce, które przez cały czas kurczowo zaciskała w pięść.

- No dobrze, pierwsze starcie za nami. Może jednak zaryzykujemy jakąś rozmowę - zaproponowała pojednawczo.

- Zaraz, zaraz, o czym by tu.... - przez chwilę udawał, że się namyśla. - Powiedz mi, jak ci się podoba w Waszyngtonie?

- Bardzo. Zresztą zawsze lubiałam tu mieszkać i zawsze wiedziałam, że wrócę. Podoba mi się ten dom, więc zamierzam go odpowiednio urządzić. - Rozejrzała się po ogrodzie, a gdy jej spojrzenie padło na świeżo posadzone bratki, zapytała dość niespodziewanie: - Co miałaś na myśli, - mówiąc, żebym posadziła je w większej liczbie?

- Co takiego? A, kwiaty. Widziałaś kiedyś ogród Moneta w Giverney? Miałem na myśli właśnie coś takiego. Rośliny tworzą tam barwne plamy, które genialnie ze sobą harmonizują, tworzą jakby żywe obrazy.

- Wiem, o co ci chodzi - stwierdziła, a jej twarz rozjaśnił wewnętrzny uśmiech, rysy złagodniały i nabrały miękkości. - To rzeczywiście piękne, ale ja jestem dopiero początkującym ogrodnikiem. A kiedy się czegoś uczę, staram się postępować ściśle według wskazówek. Mam wrażenie, że dzięki temu uniknę niepotrzebnych błędów. Za to ty, jako artysta, pewnie w ogóle nie boisz się eksperymentów i pomyłek.

- To prawda - skinął głową. Pomyślał przy tym, że skoro już o błędach mowa, to właśnie jest na dobrej drodze, żeby popełnić jeden z tych poważniejszych. Musiał przyznać, że każdy uległby magii tego wiosennego poranka. Siedział w rozslonecznionym ogrodzie, z piękną kobietą u boku, łagodne powietrze wypełniała cicha muzyka, przesycił je zmysłowy zapach wilgotnej ziemi zmieszany z wonią dopiero co przebudzonych do życia roślin. Rozproszone światło tańczyło na twarzy Lany, rozjaśniało ją i sprawiało, że chwilami stawała się nierealnie wręcz piękna. Po raz pierwszy pomyślał, że ciężko będzie mu wyjść z tego domu i z tego ogrodu.

- Dlaczego nic nie mówisz? Nie powiesz mi, jak to jest z tym eksperymentowaniem? - zagadnęła.

- Rzeczywiście, wolę improwizować niż planować na zimno każdy krok. I nie boję się błędów.

- To odwrotnie niż ja. Zawsze wszystko dokładnie sobie planuję i nie znoszę niespodzianek - wyznała szczerze. Nie wiedziała nawet, czy jej słuchał. Sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego rysowaniem, dlatego mogła przyjrzeć się jego twarzy. Patrząc na surowe, męskie rysy, uświadomiła sobie, że Daniel ma w sobie coś niebezpiecznie prowokującego. Przyłapywała się na tym, że ma ochotę ulec emocjom, zapomnieć o zasadach. Wyobraziła sobie, że gdyby choć raz zdobyła się na takie szaleństwo, czułaby się tak, jak podczas pamiętnej jazdy samochodem. Przerazona, ale w dziwny sposób pobudzona do życia. Ciekawa, co będzie dalej, choć zarazem świadoma, ile może kosztować najmniejszy błąd.

- Na dziś starczy. - Jak przez mgłę usłyszała jego głos i dopiero teraz uświadomiła sobie, że Daniel zbiera swoje rzeczy. Wkładał je do torby szybko, trochę nerwowo, jak człowiek, który bardzo się spieszy.

Daniel rzeczywiście chciał wyjść jak najszybciej, zanim zrobi coś głupiego. Nie ufał sobie, w obecności Lany nie potrafił kontrolować własnych reakcji. Bał się, że znów pojdzie do niej, dotknie jej twarzy, odnajdzie na jej szyi tętno...

- Dzięki za cierpliwość - powiedział, nie patrząc w jej stronę.

- Nie ma o czym mówić. Odprowadzę cię do drzwi - zaproponowała i wstała, ale żadne z nich nie zrobiło ani kroku. Obydwoje stali bez ruchu, trochę za blisko jak na ludzi, którzy nie przypadli sobie do gustu.

- Nie trzeba. Znam drogę.

Odsunął się od niej i zrobił krok w stronę drzwi. Wolał, żeby nie szła za nim. Nie dlatego, że miał już dość jej towarzystwa. Wręcz przeciwnie. Obawiał się, że jeśli znajdzie się z nią sam na sam w pustym domu, przestanie panować nad sobą. Był pewien, że przyciągnie ją do siebie i zacznie całować. Oczami wyobraźni widział, jak obydwójce osuwają się na drewnianą podłogę biblioteki. Wolał nie myśleć, czym mogło to się skończyć, lecz jednego był pewien - nawet kojąca muzyka Chopina nie zdołałaby go uspokoić. Lepiej więc uciec, niż wyjść na nieokrzesanego brutala.

- Pójdę już. Miło było odwiedzić twój dom.

- Do widzenia.

Zarzucił torbę na ramię i szybko poszedł do drzwi. Niespodziewanie zatrzymał się w progu i stał tam przez chwilę, jakby czegoś zapomniał. W końcu odwrócił się, ale nie ruszył z miejsca.

Lana stała w głębi ogrodu. Wyglądała w promieniach słońca jak posąg, a jej oczy przypominały dwa błyszczące szmaragdy. Wpatrywała się w niego swoim zagadkowym spojrzeniem, ciekawa, co ma jej jeszcze do powiedzenia.

- W środę otwierają wystawę Dalego. Wpadnę po ciebie o siódmej.

Nie mam czasu, pomyślała, ale powiedziała tylko:

- Dobrze. Chętnie ją obejrzę.

Lekko skinął głową, po czym zniknął we wnętrzu domu. Szedł tak szybko, że nim zdążył zbesztać się za tę idiotyczną propozycję, był już na zewnątrz.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez cały poniedziałek i wtorek krążył nerwowo po pracowni i rozmyślał, jak tu odwołać wycieczkę do muzeum. Wmawiał sobie, że woli pójść na wystawę sam, żeby spokojnie nasycić się estetycznymi wrażeniami. Potem mógłby rozejrzeć się za jakimś miłym towarzystwem i przy kawie albo dobrej kolacji wymienić parę banalnych uwag na temat sztuki przez duże S. Tak zwykle postępował i, co ważniejsze, czuł się z tym dobrze. Nie rozumiał więc, jaki diabeł go podkusił, żeby tym razem ciągnąć ze sobą Lanę.

Choć przygotował sobie co najmniej tuzin wymówek, nie skorzystał z żadnej. Nie odwołał ani tego spotkania, ani następnego, które jej zaproponował, kiedy po wystawie odwoził ją do domu. Sam nie wiedział, co go ciągnęło do tej kobiety. Ich gusty były tak różne, że wydawało się mało prawdopodobne, aby mogli kiedykolwiek znaleźć wspólny język. Nie chodziło tylko o poglądy na rolę sztuki. Lana lubiła malarstwo, które przedstawiało coś konkretnego. Najlepiej jelenia na rykowisku, komentował Daniel złośliwie, choć wiedział, że krzywdzi ją posądzeniami o zły gust. To, że podobały jej się inne rzeczy, wcale nie oznaczało, że jest pozbawiona dobrego smaku.

Pomimo tak odmiennych upodobań i charakterów, udało im się jakimś cudem spotkać aż trzy razy. Co prawda większą część wspólnie spędzonego czasu pochłaniały im spory i żarliwe dyskusje, ale szczęśliwie nigdy nie doszło do rękoczynów, co obydwójce uznali w żartach za dobry znak.

Czasem, kiedy siedzieli w jakiejś knajpcie, popijając aromatyczną kawę albo sącąc czerwone wino, Daniel miał ochotę zapytać Lanę, co tak naprawdę myśli o ich dziwnej znajomości. Nigdy jednak tego nie zrobił, głównie dlatego, że nie chciał narazić się na śmieszność. Takie pytania zadają sobie zakochani licealiści, nie zaś dorośli ludzie, którzy są po prostu znajomymi. Mimo to wciąż go intrygowało, czy ona również, podobnie jak on, lubi te wspólne chwile. Tymczasem zbliżało się kolejne spotkanie, czwarte w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Śmieszne to wszystko, pomyślał, odsuwając się od sztalug, żeby popatrzeć krytycznym okiem na malowaną akwarelę. Lubił tę technikę i często do niej wracał, bo dawała przyjemną odmianę po tygodniach zmagania z olejem. Rzadko natomiast malował portrety. Początkowo szkice, które zrobił w ogrodzie Lany, miały być tylko wprawką, ale myśl o nich nie dawała mu spokoju. W końcu wybrał jeden i postanowił zrobić z niego obraz. Rysunek przedstawiał poważną twarz bez cienia uśmiechu, o nieobecny spojrzeniu. Za-

gadkowy wyraz oczu kontrastował ciekawie z miękką, zmysłową linią ust. Akwarele pasowały to tego wizerunku, ich rozmyte barwy i płynność linii doskonale oddawały chłodny typ urody typowej „zimnej” blondynki.

Podczas pracy nad portretem Daniel nie raz myślał o tym, że kobieta z takim wyglądem jest uosobieniem prowokacji. Zwodniczo kusi mężczyzn, żeby spróbowali przebić się przez warstwę lodu, w nadziei, że znajdą pod nią żar, który rozpali ich do białości. Musiał przyznać, że sam by tego chętnie spróbował. A gdyby mu się udało, co byłoby jego nagrodą? Mocny, ale krótkotrwały błysk czy raczej powolny żar? Leniwy ogień czy gwałtowna eksplozja?

Domysły doprowadzały go do szału, ale nie potrafił się opanować. Już sama myśl o poznaniu, prawdziwej Lany miała w sobie ogromny ładunek erotyzmu. Podobnie jak praca nad portretem. Malowanie jej twarzy wciągało go, intrygowało, powodowało głęboką frustrację, gdyż ciągle nie był zadowolony z efektu swoich wysiłków. Oczy, które patrzyły na niego ze sztalug, wciąż pozbawione były iskry życia. W pewnej chwili Daniel jasno sobie uświadomił, że nie odnajdzie właściwego wizerunku, dopóki nie pozna Lany, nie dotrze do jej wnętrza, nie zorientuje się, jaka jest naprawdę pod warstwą uprzejmego chłodu.

Ta myśl była jak olśnienie. Wreszcie zrozumiał, dlaczego szuka jej towarzystwa, dlaczego ciągnie go do niej, choć tego nie chce. Teraz, kiedy już wiedział, mógł się nareszcie odprężyć. Więc o to chodzi, pomyślał z uczuciem głębokiej ulgi. Wracam do niej, bo interesuje mnie jako malarza, a nie mężczyznę. Ot, i cała tajemnica.

Z tą myślą odłożył pędzel i sięgnął po zapomniany kubek kawy. Pociągnął spory łyk, nim dotarło do niego, że ma w ustach obrzydliwą lurę. Wykrzywił się ze wstrętem, po czym poszedł do kuchni zaparzyć sobie świeżą kawę. Na dole zaskoczył go dzwonek do drzwi. W pierwszej chwili nie miał zamiaru otwierać, bo nie spodziewał się żadnych gości, ale zmienił zdanie. I nie pożałował tej decyzji, bo widok matki stojącej na progu sprawił mu dużą przyjemność.

- Pracujesz - zauważyła Shelby domyślnie, widząc skupiony wyraz jego oczu.

- Już nie. Właśnie zrobiłem sobie przerwę. - Mocno objął ją ramieniem i cmoknął w policzek. - Dobrze, że przysłaś. Przynajmniej będzie miał kto zaparzyć mi porządną kawę.

- Niech będzie. To łagodna kara za to, że wpadam do ciebie bez uprzedzenia. Tyle razy obiecywałam sobie, że nie będę tego robić. Ale Laura przysłała mi ostatnie zdjęcia swojego synka, a ponieważ ojca nie ma w domu, nie miałam ich komu pokazać. Pomyślałam więc o tobie.

- Słusznie. Jestem ciekaw, jak wygląda najmłodszy z klanu MacGregorów.

Zaprowadził matkę do kuchni i posadził przy stole, który uprzątnął jednym zamaszystym gestem, zsuwając na wielką stertę talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia, nietkniętą pocztę, niedokończone szkice oraz bloki rysunkowe.

Mój syn najwyraźniej wziął sobie do serca stereotyp przymierającego głodem artysty, pomyślała Shelby, obrzuciwszy krytycznym okiem gospodarstwo, ale powstrzymała się od uwag. Ostatecznie jest dorosły i wie, co robi.

- Popatrz tylko, jaki fajny z niego maluch - powiedziała, podając mu zdjęcia.

- Super!

- Zdaje mi się, że Travies wygląda dokładnie jak ty, kiedy byłeś w jego wieku.

- Możliwe. - Wzruszył ramionami, ale uważnie przyjrzał się pyzatej buzi siostrzeńca. To, że mały jest do niego podobny, sprawiło mu przyjemność.

- Ach, ta krew MacGregorów, te geny - powiedziała Shelby, trafnie naśladowując głos swojego teścia. - Porządny ród. A propos, miałeś ostatnio jakieś wiadomości od dziadka?

- Tak, parę dni temu. Dzwonił, żeby podziękować mi za przysługę, i naciskał, żebym przyjechał do Bostonu, bo podobno babcia bardzo się za mną stęskniła. Martwi się o mnie - dodał z porozumiewawczym mrugnięciem.

- Niemożliwy jest ten Daniel! - Shelby roześmiała się, słysząc starą jak świat historyjkę, którą jej teść karmił wszystkie pokolenia MacGregorów. - Mógłby wreszcie wymyślić sobie coś innego i nie robić z Anny rozhisteryzowanej staruszki. Ale, ale, miałam zaparzyć ci kawę. Gdzie ją trzymasz?

Nie czekając, aż syn ją wyręczy, Shelby wstała z miejsca i zaczęła szukać w na ogół pustych szafkach. Wreszcie zna - laźła puszkę dobrej kawy, wsypała ziarna do młynka i przekrzykując hałas, zawołała do Daniela: - Co za przysługę wyświadczyłeś dziadkowi? - Nic takiego. Chodziło o ten bal, na którym spotkaliśmy się jakiś czas temu.

- Poprosił cię, żebyś poszedł na bal?

- Niezupełnie. Chciał, żebym dotrzymał towarzystwa Lanie Drake, bo podobno nie miała z kim pójść. Ciotka Marta strasznie go naciskała, żeby ze mną pogadał, więc zadzwonił do mnie, a ja się zgodziłem.

- Naprawdę? - Shelby przyjrzała się synowi z niedowierzaniem. - Kupiłeś tę bajeczkę? Nie sądziłam, że jesteś aż tak naiwny.

- Słucham? - Daniel podniósł głowę znad zdjęć. - Dlaczego naiwny?

- Nie znasz dziadka? Przecież wiadomo, że ciągle knuje, kogo by tu jeszcze wyswatać.

- Ach, o to chodzi. Tym razem sprawa była jasna, żadnego gadania w stylu: znajdź sobie porządną dziewczynę i weź się za robienie dzieci.

- Jesteś pewny?

- Tak. Wyobraź sobie, że po raz pierwszy dziadek starał się wręcz zniechęcić mnie do znajomości z Laną.

- Nie wierzę!

- Naprawdę. Uznał, że nie jest w moim typie, absolutnie do mnie nie pasuje, a w związku z tym szkoda tracić na nią czas.

Shelby w pierwszej chwili miała zamiar powiedzieć, co o tym myśli, ale zrezygnowała. Doszła bowiem do wniosku, że lepiej będzie poczekać, aż syn powie coś więcej na temat nowej znajomości.

- I co? Dziadek miał rację? Rzeczywiście Lana nie jest w twoim typie?

- Raczej nie, chociaż tak ogólnie jest w porządku. Poza tym ma niezwykłą twarz. Postanowiłem namalować jej portret.

- Co takiego? - Shelby o mało nie wypuściła filiżanki z rąk. - Przecież nie lubisz malować portretów!

- Robię to od czasu do czasu, wyłącznie dla wprawy. Chciałbym na przykład namalować portret Yaviesa. To chyba byłby niezły prezent dla Laury, nie sądzisz?

- Oczywiście - przytaknęła Shelby z roztargnieniem. Przypomniała sobie, że jej syn rzeczywiście próbował sił jako portrecista. Ale malował tylko te osoby, z którymi czuł się związany. Kim w takim razie jest dla niego Lana Drake? - Czy Lana pozuje ci do tego portretu? - zapytała.

- Nie, robię go na podstawie szkiców.

- Ale widujecie się ze sobą?

- Od czasu do czasu. Byliśmy gdzieś parę razy. A co?

- Nic, tak tylko pytam - odparła obojętnym tonem. - Parę razy spotkałam jej rodziców. Zdaje się, że nie jest do nich podobna.

- To dobrze czy źle?

- Czy ja wiem? - odparła wymijająco. - Prawdę mówiąc, nie zrobili na mnie najlepszego wrażenia. Wydają się powierzchowni, lubią się pokazać. Widać, że Lana również ma aspiracje, żeby należeć do tak zwanego towarzystwa, choć nie jest w tym tak ostentacyjna. Dostrzegam w niej znacznie więcej subtelności. Mam rację?

- Jak zwykle trafiłaś w sedno. - Daniel uśmiechnął się do matki. - Już od dobrych kilku dni próbuję wydobyć tę subtelność. Jak do tej pory bez rezultatów. A tak w ogóle, to muszę powiedzieć, że ją lubię. Sam nie wiem dlaczego, ale tak jest i już.

- No cóż, rzeczywiście nie przypomina kobiet, w jakich dotąd gustowałeś - stwierdziła Shelby. - Oczywiście, to nie jest zarzut pod jej adresem - dodała szybko, widząc grymas na twarzy Daniela. - Ani krytyka. O ile pamiętam, pociągały cię kobiety należące do bohemy artystycznej, zwykle bardzo ekstrawaganckie, ekscentryczne. A ona po prostu taka nie jest.

- Wiem. Powiedziałem tylko, że ją lubię. A to nie ma nic wspólnego z tym, czy podoba mi się jako kobieta, czy nie.

- Jasne.

- A skoro już mowa o kobietach ekstrawaganckich, to moja matka też kiedyś za taką uchodziła.

- No i popatrz, co z niej wyrosło! - roześmiała się Shelby.

- Nic strasznego, zmieniła się, wysubtelniała. I wciąż niepodzielnie króluje w moim sercu. - Nachylił się i pocałował matkę w policzek.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że wróciłeś do Waszyngtonu. - Wstała i podeszła do niego. - Zdaję sobie sprawę, że dawno już przestałeś być małym chłopcem, ale ciągle jestem dużo spokojniejsza, kiedy mam cię blisko. - Otoczyła go ramionami i oparła czoło o jego brodę. - W końcu zawsze mogę wpaść bez uprzedzenia i zobaczyć, jak ci się wiedzie.

- Zupełnie jak ojciec, który wczoraj „był akurat w okolicy” - Daniel roześmiał się i przytulił ją mocno. - Wiesz, że możesz tu przychodzić o każdej porze dnia i nocy, oczywiście ze wskazaniem na dzień!

- Wiem, wiem. Obiecuję, że nie będę ci się narzucać.

- Nigdy tego nie robiłaś.

- Widzisz, ja i ojciec zaczynamy się starzeć. Nie wiadomo, co może przyjść nam do głowy - zażartowała. Delikatnie pocałowała go w skroń, po czym wróciła na swoje krzesło. - Mogę obejrzeć twoje szkice? - zapytała, sięgając po pierwszy z brzegu blok rysunkowy. Zaczęła przerzucać kartki, aż znalazła to, co interesowało ją najbardziej. Kolejne rysunki przedstawiające głowę Lany były naprawdę doskonałe. - Ta dziewczyna rzeczywiście ma niezwykłą twarz. Bardzo plastyczną, jakby stworzoną do tego, żeby ją malować. Nie dziwię się, że tak bardzo cię zaintrygowała.

- Tak, jako model jest rewelacyjna. Ale poza tym nie jest w moim typie. Dziadek ma rację.

- Nic dziwnego. Ten stary lis ma oko do kobiet. Poza tym zna się na ludziach i niezwykle rzadko się myli - stwierdziła, choć jednocześnie myślała o czymś zupełnie innym. Znała swojego teścia na tyle dobrze i długo, żeby bez trudu odkryć jego chytry plan. Pewnie

staruszek już zaciera ręce i układa listę weselnych gości, westchnęła w duchu. Po chwili wstała i zaczęła się żegnać. Uznała, że pora pójść po zakupy i zobaczyć, co sklep Drake' a proponuje na wiosnę swoim klientom.

Drzwi uchyliły się bezszelestnie, a zaraz potem w wąskiej szczelinie pojawiła się podekscytowana twarz asystentki Lany.

- Panno Drake, przepraszam, ale ma pani gościa.

- Tak? A kto przyszedł?

- Pani MacGregor chciałaby się z panią zobaczyć. - Pani MacGregor? - Lana podniosła wzrok znad katalogu z próbkami.

- Tak, eksprezydentowa we własnej osobie! Czy mam ją zaprosić?

- Oczywiście.

Kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, Lana poderwała się zza biurka. Nerwowym ruchem poprawiła włosy, przyglądała kostium i instynktownie dotknęła warg. No tak, jak zwykle zjadłam całą szminkę, westchnęła z niedowierzaniem i rozejrzała się za torebką, lecz nie miała już czasu na makijaż. Kiedy w progu stanęła uśmiechnięta Shelby, La - na z trudem powstrzymała się, żeby nie dygnać przed nią jak pensjonarka.

- Dzień dobry, pani MacGregor. Tak mi miło. Proszę wejść - powitała ją, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Dzień dobry. Przepraszam za to najście. Pewnie przeszkadzam ci w pracy.

- Ależ skąd! Bardzo się cieszę, że pani do mnie wstąpiła. Napije się pani kawy albo herbaty? Może czegoś zimnego?

- Nie, dziękuję bardzo. Nie rób sobie kłopotu. Nie zajmę ci wiele czasu. Po prostu oglądałam konfekcję i wiele rzeczy tak bardzo mi się podobało, że postanowiłam pochwalić waszą ofertę.

Gdy Lana dziękowała jej za uznanie i opowiadała o dostawcach, Shelby dyskretnie rozglądała się po gabinecie. Okiem znawcy oceniła jego elegancki, a jednocześnie dyskretny styl. Meble i sprzęty zostałyby dobrane z rozmysłem, wszystkie były proste i funkcjonalne, ale nie bezosobowe. Chłodne, ale nie lodowato zimne.

- Nad czym teraz pracujesz? - zapytała Lanę.

- Wybieram propozycje do kolekcji jesiennej. Wygląda na to, że szkocka kratka ponownie wróci do łask.

- Tak? Mój teść będzie tym zachwycony. A tak swoją drogą, czy miałś okazję poznać seniora rodu MacGregorów?

- Owszem, wczesną jesienią. Ciotka Marta bardzo chciała go odwiedzić, ale bała się jechać sama, więc zabrała mnie ze sobą. Spędziłyśmy kilka dni z pani teściami. Przemili ludzie.

- To prawda - przytaknęła Shelby, zadowolona z od - krycia kolejnego elementu łamigłówek. Nie ma co, spryciarz z tego staruszka. - Mój syn, Daniel, jest bardzo podobny do swojego dziadka - dodała. - I z wyglądu, i z charakteru.

- Bardzo możliwe - Lana siliła się na obojętny ton, lecz zdradziły ją oczy, w których Shelby natychmiast dostrzegła błysk, coś więcej niż tylko uprzejme zainteresowanie. - Zdaje się, że ani pani teść, ani syn nie boją się silnych wrażeń.

- Taka już ich natura. Zresztą wszyscy MacGregorowie tacy są. Wymagający, niecierplivi, nieznośni, ale na szczęście nie brak im wdzięku i uroku. Kochają życie, a ono im się odwzajemnia. Osoba, która zdecyduje się wejść do klanu, powinna przygotować się na burzliwe życie. Z MacGregorami nie można się nudzić, lecz o spokoju trzeba zapamiętać.

- Najwyraźniej nie przeszkadza to pani.

- O tak! Nie umiałabym żyć bez odrobiny chaosu - roześmiała się Shelby i wstała z fotela. - Na mnie już czas. A i ty pewnie musisz wracać do pracy.

- Praca może poczekać. Bardzo miło rozmawia się z panią.

- Skoro tak, to co powiesz na wspólny lunch? Oczywiście nie dzisiaj, w najbliższych dniach.

- Z przyjemnością.

- Zajrzę do kalendarza i spróbujemy jakoś się umówić, dobrze? - zaproponowała Shelby w drodze do drzwi. Już w progu przystanąła na chwilę i spojrzała Lanie prosto w oczy. - Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale kiedy mężczyzna nie boi się silnych wrażeń, kobieta u jego boku musi być wyjątkowo mądra i dojrzała. Mam wrażenie, że ty właśnie taka jesteś.

- Cóż... dziękuję. Miło mi, że pani tak myśli. - Do zobaczenia, Lano. Niedługo odezwę się do ciebie. Ale nim to zrobię, zadzwonię do tego starego diabła przytrę mu rogów za to, że miesza się w sprawy mojego syna, pomyślała Shelby już na korytarzu. Dopiero potem powiem mu, że w pełni akceptuję jego wybór.

Zatłoczone, gwarne kluby muzyczne działały na niego ożywczo, dlatego Daniel lubił od czasu do czasu odwiedzić któryś z nich. Siadał w kącie i wyciągał swój blok rysunkowy. Słuchał muzyki, obserwował grę świateł w zadymionym wnętrzu, chłonał atmosferę miejsca, w którym ludzie szukali rozrywki. Oni sami nie interesowali go w ogóle, nie pasowali do jego

artystycznych eksperymentów. Ich twarze i ciała były mu całkowicie obojętne. Fascynowały go raczej emocje, którym w swoich szkicach usiłował nadać jakiś czytelny kształt.

Od dłuższego czasu siedzieli z Laną przy miniaturowym stoliku w Blues Corner. Odkąd tu przyszli, Daniel prawie w ogóle z nią nie rozmawiał. Pochylony nad kartką, pokrywał ją plątaniną linii i kresek, które układały się w jakąś jemu tylko znaną całość. Lana niewiele rozumiała z tych rysunków, ale nie mogła oderwać od nich oczu. W jakiś przedziwny sposób fascynowało ją, jak powstają, jak wypływają spod zwinnych palców Daniela. Były tak samo niezwykle i tajemnicze, jak mężczyzna, który je tworzył.

Podniosła na moment wzrok i przyjrzała mu się z uwagą. Oparty o ścianę, rozluźniony, trzymał ołówek z pozorną niedbałością i sprawiał wrażenie kogoś, kto rysuje dla zabawy. W znoszonych dzinsach i czarnym podkoszulku, z gęstwiną kasztanowych włosów związanych rzemykiem w kucyk, wyglądał jak król cyganerii. Brakowało mu tylko świty w postaci tłumu wielbicieli i naśladowców jego talentu.

Ludzie przy sąsiednich stolikach byli całkowicie pochłonięci własnymi sprawami. Przytłumione, błękitnawe światło ledwo wydobywało z mroku zarysy pochylonych sylwetek. W centralnym punkcie niewielkiej sali, w gęstych oparach dymu, oświetlona punktowym światłem reflektora, grała bluesowa kapela. Długowłose gitarzysta rytmicznie kiwał się nad swoim instrumentem, saksofonista wygrywał wysokie, płaczliwe tony, wtórował mu chorobliwie wychudzony klawiszowiec. Z boku miniaturowej sceny na wysokim barowym stołku siedziała czarna wokalistka o twarzy pomarszczonej jak u staruszki. Zachrypniętym, przejmującym głosem śpiewała o miłości, która skazuje kochanków na cierpienie.

Lana nie rozumiała tej muzyki, była jej tak samo obca, jak sztuka Daniela - a jednocześnie tak samo pociągająca. Podniosła do ust kieliszek czerwonego wina i łyknęła odrobinę. Smakowało paskudnie, ale też lokal nie należał do wykwintnych. Głos piosenkarki wibrował jej w uszach i sprawiał, że gdzieś głęboko czuła przejmujący smutek, dziwną, nieznaną dotąd tęsknotę za czymś nieokreślonym, nieuchwytnym, choć bardzo potrzebnym.

Nigdy przedtem tego nie doznała. Zwykle potrafiła jasno i klarownie opisać swoje emocje. Tym razem jednak była bezradna. Nie umiała nazwać tego, co działo się w jej duszy, więc poczuła się zaniepokojona. Jeszcze raz spojrzała na Daniela, podejrzewając, że to on jest sprawcą całego zamętu. Co ja tu robię, dlaczego siedzę z tym człowiekiem, zadawała sobie kolejne pytania. Koniec z tym. Ostatni raz się z nim spotkałam.

Widocznie zadziałała telepatia, bo w tym samym momencie Daniel odłożył ołówek i odezwał się, zerkając w stronę wokalistki:

- Jest niesamowita!

. - Mhm. - Lana próbowała odgonić smugę dymu, która przypląnęła od sąsiedniego stolika. - Tylko dlaczego ta muzyka jest taka płaczliwa?

- Bo to blues. Wnika głęboko, aż do samego serca, i wydobywa uczucia, które tam się kryją. Przynosi ulgę. Przywraca spokój ducha.

- Albo go burzy.

- Taka już rola muzyki. Ma poruszyć, sprowokować, wywołać jakiś nastrój.

- I to właśnie próbujesz wyrazić? Nastroje? - spytała, patrząc na blok, który położył na stoliku.

- Dokładnie tak.

Chciał spojrzeć jej prosto w oczy, ale umknęła wzrokiem w bok. Tego wieczora wyglądała inaczej niż zwykle. Długie włosy zwinęła na karku w gruby węzeł, co całkowicie odmieniło jej wygląd. Sprawiała wrażenie bardziej delikatnej, mniej pewnej siebie.

- A w jakim ty jesteś nastroju? - spytał.

- Całkiem niezłym. Swobodnym.

- Tak? Dziwne. Jeszcze nigdy nie widziałem cię rozluźnionej. Wiesz, jak teraz wyglądasz?

- Nie, ale domyślam się, że zaraz mi powiesz.

- Zgadłaś. Wyglądasz perfekcyjnie, nieskazitelnie. Bardzo elegancko. Nawet za bardzo. - Sięgnął bezwiednie do jej włosów i wyciągnął z nich spinkę. - Teraz jest znacznie lepiej - stwierdził, gdy opadły złotą falą na jej ramiona.

- Na litość boską, co ty wyprawiasz! - zawołała. Zaczęła przyglądać nerwowo włosy, przeczesując je szybko palcami. - Oddaj mi spinkę!

- Nie. Tak podobasz mi się bardziej. - Jeszcze raz nachylił się w jej stronę i nie pytając o pozwolenie, zaczął burzyć jej włosy. - O wiele bardziej. Teraz jesteś seksy, szczególnie kiedy widać wściekłość w twoich oczach. I jeszcze ta mina, nadęte usta... Wspaniale!

- Przestań!

- Nie przestanę. Wiesz... - jego palce wysunęły się z miękkich włosów i powędrowały w stronę ust, zaczęły delikatnie poznawać ich zarys - masz wspaniałe usta. Naprawdę.

- Zaczekaj! - Chwyliła jego dłoń i odsunęła od swojej twarzy. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się infantylnie. Kogo próbowała oszukać? Samą siebie? Czy nie zastanawiała się wiele razy, dlaczego nigdy dotąd nie próbował jej pocałować? Czy nie wyobrażała sobie tego? I oto teraz, kiedy w końcu ten moment nadszedł, tchórzy i chce się wycofać. - Zaczekaj - powtórzyła mniej pewnym głosem.

- Na co? Myślałem, że czekanie mamy już za sobą.

Przytrzymał jej dłoń, a drugą rękę położył na karku. Przyciągnął głowę Lany na tyle blisko, aby móc chwycić zębami jej dolną wargę. Nawet nie próbowała się odsunąć, więc zwolnił nieco uścisk. Pocałunek był przeciągły, na początku trochę leniwy, jakby od niechcenia. Nie było w nim porywającej pasji ani dzikiej gwałtowności. Raczej powolne smakowanie ust, poznawanie ich kształtu i aromatu, cierpkiego od czerwonego wina.

Po chwili znał już ich smak, a kiedy Lana rozchyliła wargi, jego pocałunek stał się głębszy, bardziej namiętny. Sam nie wiedział, dlaczego zwlekał z tym tak długo. W obawie, że za chwilę dziewczyna odzyska kontrolę nad sobą, pochylił się jeszcze bardziej. Poczuł, jak jej ciało zaczyna drżeć, jak staje się coraz bardziej uległe. Oddawała jego pocałunek z coraz większym zapamiętaniem, jej giętki język poczynał sobie coraz śmieiej.

W ostatniej chwili wycofał się. Wiele go kosztowało, żeby oderwać się od niej, przypomnieć sobie, gdzie się znajdują, i powrócić do rzeczywistości. Wyprostował się, ale wciąż trzymał jej dłonie.

- I co robimy? - spytał zmienionym głosem.

- Nie wiem.

- Chcesz, żebym zdecydował za nas oboje? - spytał znowu i nachylił się w jej stronę, delikatnie muskając ustami jej wilgotne wargi.

- Nie, nie chcę! - Lana nie dała się tym razem zaskoczyć. Odsunęła się gwałtownie i odwróciła twarz. - Myślę, że powinniśmy dać sobie z tym spokój - powiedziała. - Dopóki nie zorientujemy się, o co nam chodzi.

- Jak to, o co? - spytał drwiąco. - O seks. Jesteśmy parą dorosłych osób, które chcą iść ze sobą do łóżka. Nad czym się tu zastanawiać?

- Przykro mi, ale ja mam trochę inne zdanie na ten temat.

Nie czekała na jego odpowiedź, tylko chwyciła torbę i zaczęła energicznie przeciskać się do wyjścia. Byle jak najdalej stąd, powtarzała w panice, ścigana przez przejmujące zawołanie saksofonu i słowa bezgranicznie smutnej piosenki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dogonił ją na ulicy. Ogarnęła go taka wściekłość, że niewiele myśląc, chwycił ją mocno za ramię i obrócił gwałtownie ku sobie.

- Posłuchaj - starał się mówić spokojnie - nie znoszę, kiedy ktoś gra ze mną w kotka i myszkę. Wystarczy powiedzieć: „Dzięki stary, ale nie jestem zainteresowana”. Proste, prawda?

- Dzięki stary, ale nie jestem zainteresowana!

- Kłamczucha!

- Dupek! - Pierwszy raz kogoś tak nazwała. Dotarło do niej, że lada moment stanie się to, czego obawiała się najbardziej: przestanie panować nad sobą i ulegnie emocjom.

Nie chciała do tego dopuścić, więc czym prędzej odwróciła się i prawie biegiem ruszyła w stronę najbliższego skrzyżowania, by zatrzymać taksówkę. Kiedy usłyszała za sobą kroki Daniela, nie była tym zaskoczona. Zirytowana, ale nie zaskoczona.

- Nie zauważyłem, żebyś się specjalnie opierała, kiedy cię całowałem.

Stanęła w miejscu. Zaczerpnęła głęboko powietrza, po czym odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Miała dosyć tej rozmowy, ale nie chciała robić scen na ulicy. Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu, mierząc się wzrokiem jak zawodnicy przed walką. Kiedy Lana była pewna, że udało jej się zapanować nad nerwami, powiedziała głosem ostrym i nieprzyjemnym:

- Nie broniłam się, to prawda. A wiesz dlaczego? Bo byłam ciekawa. Po prostu ciekawa, jak to będzie.

- I co?

- I nic. Teraz, kiedy już wiem, mogę co najwyżej powiedzieć ci dobranoc.

- Nie tak prędko, moja miła. Zapominasz, że ja też brałem udział w tym małym eksperymencie. I czułem, co się z tobą działo. Roztopiłaś się jak kostka lodu.

- Daj spokój! - Nie chciała tego słuchać. Bała się tej burzy uczuć, która ogarnęła jej umysł, kiedy Daniel ją pocałował.

- Nic więcej mi nie powiesz? - spytał, podchodząc krok bliżej.

- Powiem. To był najzwyczajniejszy w świecie pocałunek. Czy musimy robić z tego taki problem?

- Nie, nie musimy - westchnął. Wiedział doskonale, że w tej chwili powinien po prostu odwrócić się i pójść w swoją stronę. Dama mówi nie, więc trzeba zbierać manatki, pomyślał z

sarkazmem, choć wciąż stał w miejscu. Ogarniała go coraz większa złość na siebie i Lanę. Na nią, bo miał wrażenie, że nie jest z nim szczerą, a na siebie za to, że zachowuje się jak gówniarz. - Lana, posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj! - Gwałtownie odsunęła rękę, którą położył jej na ramieniu. - Nie lubię, kiedy ktoś próbuje zapędzić mnie w kozi róg.

- Sama to robisz. Zatrzymaj się na chwilę - zawołał, a kiedy go zignorowała, zaklął pod nosem i ruszył za nią. - Stój, do jasnej cholery! - Tym razem chwycił ją za obie ręce i bez trudu osadził w miejscu. Uważnie przyjrzał się jej twarzy, którą za wszelką cenę usiłowała odwrócić.

Lana była blada. Jej jasnozielone oczy pociemniały tak bardzo, że trudno było coś z nich wyczytać, ale Daniel nie dawał za wygraną. Przelotny błysk, który w końcu w nich dostrzegł, ogromnie go zaskoczył. Spodziewał się, że te oczy będą ciskały gromy, że zobaczy w nich furie, tymczasem zauważył zdumiony, że maluje się w nich bezgraniczne przerażenie.

- Boisz się. Tego, co się stało - powiedział jak lekarz stawiający diagnozę. Pomyślał sobie, że właściwie powinno być mu jej żal, ale zamiast współczucia ogarnęła go złośliwa satysfakcja. - Stchórzyłaś, choć myślałem, że masz w sobie trochę więcej fantazji, polotu, odwagi, czy ja zresztą wiem, czego jeszcze...

- Skoro już okazałeś swoje rozczarowanie, pora się pożegnać. - Lana po raz pierwszy w życiu miała ochotę uderzyć drugiego człowieka. - Nie widzę sensu ciągnąć tej idiotycznej dyskusji.

- Masz rację. Słowa niewiele tu pomogą.

Kolejny raz jakiś wewnętrzny impuls nakazał mu zachować się irracjonalnie. Mocno chwycił Lanę w ramiona i pocałował z gwałtownością, która była zaskakująca nawet dla niego samego.

Dziki pocałunek w niczym nie przypominał poprzedniego. Był jak atak, jak próba podboju albo złamania oporu. Przyciągnął ją do siebie i trzymał tak mocno, że sam z trudem oddychał. Nie mógł złapać tchu i to otrzeźwiło go na tyle, że trochę rozluźnił uścisk. Do tej pory zawsze potrafił kontrolować swoje zachowanie, miał świadomość własnej siły i tego, że łatwo może zrobić komuś krzywdę. Tym razem najwyraźniej stracił głowę. Na szczęście w porę uprzytomnił sobie, że sprawia jej ból, więc odskoczył od Lany i cofnął się pod ścianę budynku.

- Kolej na twój ruch - powiedział matowym głosem, po czym odwrócił się tak gwałtownie, że torba z przyborami uderzyła o szybę sklepową. Potem zaś ruszył przed siebie szybko, jakby ścigała go sfora psów.

Przez kilka dni w ogóle nie wychodził z pracowni. W nocy sypiał kiepsko, więc wstawał zmęczony i rozdrażniony. Za dnia bił się z myślami. Przekonywał samego siebie, że powinien natychmiast zadzwonić do Lany i przeprosić ją za swoje zachowanie. Kiedy był już bliski podjęcia męskiej decyzji, zmieniał zdanie. Dochodził do wniosku, że najlepiej zrobi, trzymając się od tej kobiety z daleka. Nie było sensu wikłać się w coś, czego żadne z nich nie chciało, a raczej nie było pewne, czy chce. Odzyskiwał w takich chwilach wewnętrzny spokój. Rzucił się w wir pracy i malował całymi godzinami. Potem zapadał w kamienny sen. Niestety, kiedy budził się po kilku godzinach, pierwszą jego myślą była Lana i wszystko zaczynało się od początku.

Po tych kilku dniach czuł się tak rozbity i rozdrażniony, iż miał momentami wrażenie, że za chwilę oszaleje. Dlatego naprawdę się ucieszył, kiedy któregoś popołudnia usłyszał w słuchawce głos ojca. Alan dzwonił, żeby zawiadomić syna o niespodziewanej wizycie dziadków, którzy na parę dni zawitali do Waszyngtonu. W związku z tym zaplanowano rodzinny obiad.

Daniel z niekłamaną radością przyjął zaproszenie. Czuł, że spotkanie z bliskimi dobrze mu zrobi. Przystanie zadrećcać się myślami, odpocznie i na pewno się rozerwie, bo MacGregorowie, gdy zbierali się razem, mogli śmiało konkurować z najlepszymi komikami.

Pełen wdzięczności i dobrej woli, postanowił, że odwiezie dziadków do Bostonu. Przynajmniej spełni obietnicę, którą dał seniorowi rodu, a przy okazji odwiedzi siostrę i jej rodzinę. Dlatego, jadąc na obiad do rodziców, zabrał ze sobą podręczną torbę, do której wrzucił kilka niezbędnych rzeczy oraz trochę ubrań. Zabrał też ze sobą malarski ekwipunek. Całość była poręczna, mógł się z nią swobodnie poruszać.

I na tym polega cały urok życia, westchnął, zamykając drzwi swojej pracowni. Najważniejsze, żeby nic człowiekowi nie przeszkadzało. A już na pewno nie kobieta, w dodatku tak zorganizowana i wymagająca jak Lana Drake. Nie było wątpliwości, że wiążąc się z nią, ściągnąłby na swoją głowę prawdziwe nieszczęście.

Ulica zalana była słonecznym blaskiem, w którym wirowały niesione przez wiatr płatki kwiatów wiśni. Powietrze przesycił ich delikatny zapach, pomieszany z wonią tysięcy wiosennych roślin, które właśnie przeżywały pełnię rozkwitu. Daniel stał przez chwilę na szczycie schodów, jakby nie wiedząc, dokąd iść. W pewnej chwili jego uwagę zwróciła sylwetka ciemnowłosej, bardzo zgrabnej biegaczki, obok której podskakiwał piękny, czarny labrador. Dziewczyna miała wprost fantastyczne nogi, a przy tym poruszała się z kocim wdziękiem. Przebiegając obok Daniela, rzuciła mu długie, zachęcające spojrzenie, któremu towarzyszył promienny uśmiech.

W normalnej sytuacji Daniel zapewne podjąłby wyzwanie, gdyż długonogie, bezpruderyjne brunetki były zdecydowanie w jego typie. Tym razem jednak ani gorący uśmiech, ani rytmiczne kołysanie ponętnych bioder nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Tak to już bywa, że faceci, którzy lubią ogniste brunetki, głupieją i tracą głowy dla chłodnych blondynek, pomyślał sentencjonalnie, idąc do samochodu.

Jednak świadomość, że Lana Drake aż tak zawładnęła jego duchem i ciałem, wywołała nową falę irytacji. Dał jej wyraz, ruszając z miejsca z donośnym piskiem opon, a w głębi duszy przysięgł sobie, że stanie na głowie, byleby tylko uwolnić się od obsesji na punkcie tej kobiety.

Nie musiał nawet wchodzić do domu rodziców, aby mieć pewność, że senior rodu MacGregorów jest w doskonałej formie. Już na podjeździe słyszał dobiegający z wnętrza tubalny głos i gromki śmiech starego Szkota. To wystarczyło, żeby Daniel poczuł się o wiele lepiej. Uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu i nie pukając do drzwi, wszedł do przestronnego holu.

Od progu powitał go znajomy zapach rodzinnego domu, delikatny aromat kwiatów i cytryn, który natychmiast obudził wspomnienia dzieciństwa i wczesnej młodości. Nie miał ochoty grzebać się teraz w przeszłości, toteż postanowił jak najszybciej przywitać się z bliskimi, których głosy i śmiechy dobiegały z salonu. Szybko przemierzył hol i stanąwszy w progu, już miał wydać wesoły okrzyk, kiedy nagle głos zamarł mu w gardle. Przyszło mu do głowy, że chyba postradał zmysły, albo że jest z nim dużo gorzej niż przypuszczał. Na moment zamknął oczy, ale kiedy je otworzył, widział dokładnie to samo: na tle wysokiego okna, skąpani w promieniach słońca, siedzieli ramię w ramię, niczym para dobrych przyjaciół, jego dziadek i... Lana Drake!

Na widok oniemiałego wnuka stary zerwał się z miejsca i z zaskakującą zwinnością podskoczył w jego stronę. Już po chwili trzymał go w swoim niedźwiedzim uścisku, przytulał do śnieżnobiałej brody i ryczał wprost do ucha, jak bardzo cieszy się, że go wreszcie widzi.

- W samą porę, mój chłopcze, w samą porę - trąkotał, ciągnąc Daniela na środek. - Siedzę tu już od godziny, a te kobiety poją mnie herbatą jak jakąś panienkę na wydaniu. Jakby nie wiedziały, że zdrowy mężczyzna musi napić się porządnej whisky.

Posadził Daniela w pierwszym z brzegu fotelu i zwrócił się do swojej synowej, żeby czym prędzej naląła chłopcu złocistego trunku.

- A ja chętnie przyłączę się do niego - dodał. - Przecież nie będzie pił sam!

- Nalej mu, Shelby - jak zwykle czujna Anna MacGregor spojrzała przeciągle na męża - tylko bardzo cię proszę, nie więcej niż na dwa palce.

Dopiero kiedy miała pewność, że Daniel senior dostał tyle alkoholu, ile dostać powinien, rozpromieniła się i przywitała z wnukiem, który przytulił się do niej i ucałował ją mocno, jakby był małym chłopcem.

- Witaj, mój drogi - wyszeptała, całując go w głowę, kiedy pochylił się do jej rąk.

Lana, patrząc na tę scenę, doznała ukłucia mimowolnej zazdrości. Widok kochającej się, zżytej rodziny MacGregorów, której członkowie nie wstydzili się okazywać sobie wzajemnego przywiązania, budził w jej sercu smutek i tęsknotę za czymś, czego sama nigdy nie doświadczyła. Patrząc na tę grupkę bliskich sobie ludzi, nie mogła nie pomyśleć o własnych rodzicach, którzy nigdy nie potrafili albo nie chcieli okazywać miłości i ciepła. Skąpili uczuć nie tylko sobie nawzajem, ale i swej jedynej córce. Odwróciła wzrok. Nie chciała patrzeć na szczęście MacGregorów, z którego ona była wyłączona.

Tymczasem Daniel rozmawiał półgłosem z babcią, tłumacząc jej, dlaczego wygląda na przemęczonego. Mówił, że pracuje bez przerwy nad nowym płótnem, ale nie bardzo potrafił powiedzieć, jaki będzie temat tego obrazu. Żeby uniknąć bardziej szczegółowych pytań, poszedł przywitać się z ciotką Martą, bez której nie mogłoby się obyć to rodzinne zgromadzenie. Przez cały czas otwarcie ignorował Lanę i ani razu nie spojrzał w jej kierunku, nie mówiąc już o jakiegokolwiek rozmowie. To dziwne zachowanie nie pozostało niezauważone.

- Danielu - odezwała się ciotka Marta - chyba pamiętasz Lanę?

- Oczywiście. - Nie było wyjścia, musiał na nią spojrzeć i wydusić z siebie choćby jedno banalne zdanie. - Co słychać, Lano?

- Dziękuję, w porządku.

- Usiądź na moim miejscu - poprosiła Marta - i porozmawiaj z nią. Dość już się wynudziła w moim towarzystwie. Poza tym muszę zapytać o coś twojego dziadka.

Kiedy Marta przeniosła się w drugi koniec salonu, Lana uznała, że powinna wyjaśnić Danielowi, skąd wzięła się w domu jego rodziców, choć on wcale o to nie pytał.

- Ciotka Marta poprosiła mnie, żebym ją tu przywiozła. Bardzo chciała spotkać się z twoimi dziadkami. Przepraszam, gdybym wiedziała, że ty też będziesz... Twoi rodzice zaprosili mnie na obiad, ale w tej sytuacji jakoś się wykręcę i...

- Wykręcisz się? Od czego?

- Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Skąd przyszło ci do głowy, że mi przeszkadzasz? Wszystko mi jedno, czy tu zostaniesz, czy nie - odparł i wzruszył ramionami. W całym tym zamieszaniu zapomniał o

swojej szklaneczce whisky i teraz pomyślał, że porządny łyk czegoś mocniejszego dobrze by mu zrobił.

Lana przez chwilę siedziała w milczeniu. Obojętny ton Daniela, lekceważące wzruszenie ramion i to, że ani razu na nią nie spojrział, sprawiło jej dużą przykrość. Wprawdzie po ostatnim spotkaniu nie rozstali się jak przyjaciele, ale to jeszcze nie powód, żeby traktować ją w taki sposób. Mimo to postanowiła spróbować jeszcze raz:

- Wiem, że ostatnim razem byłeś na mnie zły.

- Już mi przeszło. Tobie jeszcze nie?

- Oczywiście, że tak. - Uniosła głowę i przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek. - W porządku - powiedziała tonem, którego tak bardzo u niej nie lubił. - Skoro masz zachowywać się jak rozkapryszone dziecko, chyba nie ma sensu, żebyśmy dłużej męczyli się swoim towarzystwem.

- O ile pamiętam, to ty ostatnio zachowałeś się jak dziecko. Zwiąsałeś z klubu, przerażona jak panienka na pierwszej randce. Powtarzam ci, nie musisz wychodzić. Nie przeszkadzasz mi - podkreślił dobitnie ostatnie zdanie.

Byli zbyt pochłonięci sobą, żeby zauważyć cztery pary czujnych oczu, śledzących ich z przeciwległego końca salonu. Marta i Daniel senior sprawiali wrażenie pogrążonych w poważnej rozmowie, ale co chwila ciekawie zerkali w stronę okna. W końcu Marta nie wytrzymała i szepnęła swojemu przyjacielowi wprost do ucha:

- Czy widzisz, jak oni na siebie patrzą! Mówię ci, kiedy Daniel do nas podszedł, niewiele brakowało, żeby przeskoczyła między nimi iskra.

- I co z tego, skoro ciągle się obwąchują jak dwa psiaki. Ja też mam oczy i widzę, że chłopak aż się do niej pali. Wygląda tak marnie, że zaczynam się o niego martwić. Powiedz mi, dlaczego to wszystko trwa tak długo?

- Nie mam pojęcia. Ale wiem, że od paru dni Lana jest jakaś osoviała. Próbowałam pytać, ale niczego z niej nie można wyciągnąć.

- Może się pokłócili?

- Tak szybko? Ech, kto tam zrozumie dzisiejszą młodzież. W każdym razie cieszę się, że przyjechałeś. Może uda ci się jakoś popchnąć sprawy do przodu.

- O nic się nie martw, moja droga. Już ja wiem, co z tym fantem zrobić. Daję ci słowo, że do wakacji zatańczymy na ich weselu! - sapnął niezmordowany swat, mrużąc chytrze oko.

- Twoje zdrowie, Marto - powiedział i delikatnie trącił jej filiżankę szklaneczką whisky.

Stary Daniel MacGregor nie miał zwyczaju rzucać słów na wiatr. Gdy tylko jego przyjaciółce udało się wywabić Lanę z salonu, natychmiast przysiadł się do wnuka i od razu przystąpił do ataku.

- Słodkie stworzenie z tej Lany, miód nie dziewczyna - zagadnął niby od niechcenia. - Tylko troszkę brak jej iskry bożej. Podaj mi zapalniczkę, mój chłopcze, pora zakurzyć cygarko.

- Wiesz, że jak babcia cię przyłapie, to marny twój los.

- Nic się nie bój, nie złapie mnie! - Stary z lekceważeniem wyduł wargi, jednak czujnie nadstawił uszu, nadsluchując kroków żony w holu. Ponieważ panie były jeszcze w pracowni Shelby, posunął się nawet tak daleko, że poprosił syna o pełną szklankę. Alan stanowczo odmówił, bo, jak stwierdził, nie chciał ściągać gromów na swoją głowę.

- Ale z was tchórze! - podsumował Daniel senior, jednak nie nalegał więcej, najwyraźniej zajęty czymś innym. - Wracając do tej małej Drake'ówny - zaczął, spoglądając wymownie na wnuka - to Marta mówiła mi, że z tej dziewczyny okropny pracuś. Nic, tylko praca i praca. Podobno z nikim się nie spotyka. To prawda?

- Skąd mam wiedzieć? To jej sprawa, jak spędza czas.

- Daniel wzruszył ramionami. Nie zamierzał wdawać się w żadne dyskusje związane z Laną, a zwłaszcza roztrząsać jej życia prywatnego. Widząc, jak dziadek łakomie popatruje na jego szklanczkę, oddał mu resztkę whisky z życzeniem, żeby poszła mu na zdrowie.

- Dziękuję ci, mój chłopcze. Przynajmniej ty jeden nie boisz się swojej dobrotliwej babuni. Nie to, co twój ojciec.

Ponieważ Alan nie dał się sprowokować i zareagował na tę uwagę jedynie pobłażliwym uśmiechem, stary mógł wrócić do przerwane go wątku.

- Ta poczciwa Marta bardzo się boi, że dziewczyna, choć dalibóg nie brak jej niczego, zostanie w końcu starą panną. Poprosiła nawet, żebym wyszukał dla tej Lany jakiegoś porządnego człowieka, najlepiej bankiera albo zdolnego menedżera z porządnej firmy.

- Co takiego?! - Daniel podskoczył jak oparzony.

- No, mówię przecież. Bankiera albo menedżera. Mam już nawet na oku jednego chłopaka, w sam raz dla niej.

- A na cholerę jej bankier! Co ona będzie robić z jakimś sztywniakiem w garniturku! - Daniel nie potrafił ukryć irytacji.

Stary lis tylko na to czekał. Z miną niewiniątka spytał:

- A co ci się nie podoba w bankierach? Są tak samo potrzebni, jak awangardowi malarze, może nawet bardziej. Ten, o którym mówię, ma naprawdę łeb na karku, szefowie

wróżą mu błyskawiczną karierę. Co ważniejsze, pracuje tutaj, w Waszyngtonie, więc nie będzie problemu, żeby ich ze sobą poznać. Mam zamiar zadzwonić do niego jeszcze dzisiaj wieczorem i zaaranżować małe spotkanko.

- Wolnego, dziadku! Dlaczego chcesz wtrącać się w prywatne sprawy tej dziewczyny i swatać ją z jakimś dupkiem?

- Bo ją lubię. Podoba mi się i uważam, że zasługuje na człowieka z porządnej rodziny, z widokami na przyszłość.

- Ale skąd ci przyszło do głowy, że ona da się wepchnąć w ramiona pierwszego lepszego gnojka, choćby i był samym następcą jakiegoś cholernego tronu! To nie zdobycz ani towar, który można tak po prostu komuś sprzedać! - gorączkował się coraz bardziej.

- Ależ uspokój się, mój chłopie. - W błękitnych oczach Starego zapłonęły chytre iskierki. - Kto mówi o sprzedaży? Chcę tylko doprowadzić do związku dwojga młodych, dobrze wychowanych ludzi z porządnych rodzin. Tobie nic do tego. Lepiej rozejrzyj się za jakąś odpowiednią dziewczyną dla siebie, bo inaczej skończysz u boku jakiejś postrzelonej artystki w powyciąganym swetrze i z pretensjami do całego świata. Co cię zresztą obchodzi Lana Drake i jej sprawy, hę?

- Nic mnie nie obchodzi! Absolutnie nic! - wrzasnął Daniel tak głośno, że Alan uniósł znad gazety zdumiony wzrok.

- Więc po co ta cała awantura? - spytał z właściwą sobie logiką.

- Też się nad tym zastanawiam. - Stary aż promieniał, ciesząc się, że jego plan zadziałał. - Twój syn zachowuje się jak pies ogrodnika, co to sam nie zje i drugiemu nie da. Mówiłem mu już kilka razy, że ta dziewczyna nie jest dla niego. Pasowaliby do siebie jak kwiatek do kozucha, ale on chyba tego nie rozumie. Danielu - zwrócił się do wnuka tonem łagodnej perswazji - po co ci taka chłodna, porządnicka damulka, która będzie płakała nad złamanym paznokciem? Tobie potrzeba kobiety z krwi i kości, takiej, co ma temperament i obdarzy cię stadkiem zdrowych, tłustych bobasów. A Lana nie wygląda mi na taką. Zbyt elegancka i wychuchana jak na żonę artysty.

Tego było już za wiele. Daniel junior przerwał raptownie swój niespokojny spacer po pokoju i stanął przed fotelem seniora rodu.

- Pozwoli dziadek, że sam będę decydował, kto do mnie pasuje, a kto nie!

- Nie tym tonem, mój chłopcze! Tylko nie tym tonem! - Udając święte oburzenie, Daniel podniósł się z fotela. - Na pewno nie zaszkodzi, jeśli od czasu do czasu posłuchasz rady kogoś starszego i bardziej doświadczonego od siebie!

- Ani mi się śni! - krzyknął Daniel.

Patrząc na jego wzburzenie, stary z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu, jednak był zbyt wytrawnym graczem, żeby przedwcześnie wypaść z roli. Natomiast Alan, kompletnie zdezorientowany, przyglądał się tej scenie w milczeniu. Zdumiony patrzył, jak jego rozwścieczony syn wybiega do holu i zaczyna wołać Lanę.

- Posłuchaj, ojcze - odezwał się w końcu ściszym głosem. - Czy dowiem się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

- O nic, synu. Po prostu patrz i ucz się. Chodź, chyba nie chcesz stracić najlepszej części widowiska - powiedział stary i pociągnął Alana za rękaw. Ramię w ramię stanęli w progu i obserwowali rozwój sytuacji.

Lana, zaniepokojona wrzaskami na dole, szybko schodziła po schodach. Słyszając Daniela, który wołał ją coraz głośniejszym głosem, zaniepokoiła się jeszcze bardziej, ale jak zwykle nie dała tego po sobie poznać. Kiedy się odezwała, jej głos był chłodny i opanowany:

- Dlaczego tak krzyczysz?

- Szybko! Chodź tutaj! - Mocno chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę drzwi.

- Co ty wyprawiasz? Puść mnie!

- Wychodzimy stąd!

- Chyba ty, bo ja zostaję. - Szarpnęła się, ale niewiele to dało. Spróbowała mocniej, lecz wywołała tym skutek odwrotny od zamierzonego. Zamiast ją puścić, Daniel zareagował w sposób, który napełnił dumą serce seniora rodu. Nie zważając na krzyki i protesty, podniósł Lanę do góry, przerzucił ją sobie przez ramię i najspokojniej w świecie wyniósł na zewnątrz.

- Od razu widać, że to prawdziwy MacGregor! - zawołał radośnie dziadek, lecz nagle zrzędnęła mu mina. Niewiele myśląc, wcisnął Alanowi cygaro i szklanę z resztką whisky, po czym zaczął wycofywać się do salonu. - Słyszę twoją matkę - tłumaczył pospiesznie. - Powiedz jej, że wyszedłem na taras zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jako pierwsza pojawiła się w holu Shelby.

- Dlaczego tak krzyczycie? Stało się coś? - Spojrzała pytająco na męża, który z dość zagadkową miną stał w przejściu pomiędzy holem a salonem. Gdy dostrzegła w jego dłoni dymiące cygaro, zdziwiła się jeszcze bardziej.

- Ty znowu palisz? Od kiedy?

Ponieważ nie odpowiadał, przeszła obok niego, zajrzała do pustego salonu i dopiero wtedy zaniepokoiła się nie na żarty.

- Alan, powiedz mi wreszcie, co się stało. Gdzie Daniel, Lana, ojciec? Dokąd oni wszyscy poszli?

- No cóż... - Alan przez chwilę oglądał uważnie cygaro, jakby chciał zebrać myśli. W rzeczywistości zastanawiał się, czy powinien spróbować, jak smakuje tytoniowy dym, czy też lepiej nie kusić losu. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że odrobina mu nie zaszkodzi, bo ostrożnie wsunął cygaro do ust, dokładnie w chwili, gdy w salonie pojawiła się jego matka pod ramię z ciotką Martą.

- Alan! - zniecierpliwiła się Shelby. - Mówże wreszcie, co się stało!

- Żałuj, że tego nie widziałaś. - Alan uśmiechnął się na wspomnienie scen sprzed kilku chwil. - Zaczęło się od tego, że ojciec sprowokował Daniela, mówiąc mu, że Lana nie jest dla niego. Oczywiście nasz syn natychmiast zaczął się ciskać i, koniec końców, porwał Lanę i wyniósł z domu.

- Wyniósł z domu! - powtórzyły panie zgodnym chórem, a ciotka Marta aż przysiadła z wrażenia na brzegu fotela. Jedną ręką chwyciła się za serce, a drugą zaczęła ocierać łzy, które jak na zawołanie popłynęły po jej policzkach.

- Wyniósł ją - powtórzyła rozmarzonym głosem. - A ja tego nie widziałam. Jaka szkoda! Skoro ją wyniósł, to chyba już nam niewiele brakuje do pełni szczęścia - westchnęła rozpromieniona, ale czując na sobie pytający wzrok przyjaciółek, powstrzymała się od dalszych wywodów.

- Co masz na myśli? - zapytała podejrzliwie Anna.

- No... nic... chciałam tylko powiedzieć, że...

- Marto! - Z piersi Anny McGregor wyrwało się głębokie westchnienie. - Naprawdę nie spodziewałam się tego po tobie. Żeby osoba w twoim wieku zachowywała się w taki sposób? A ty, mój drogi - zwróciła się z kolei do Alana, mierząc go surowym wzrokiem - przestań się wygłupiać z tym cygarem! Lepiej idź po ojca!

Kiedy były prezydent Stanów Zjednoczonych potulnie wykonał jej polecenie, Anna wygodnie usadowiła się w fotelu i kręcąc z niedowierzaniem głową, odezwała się półgłosem:

- Ten człowiek nigdy się już nie zmieni. Ale może przynajmniej usłyszymy od niego, co się tu wydarzyło.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Chyba oszalałeś! Co ty wyprawiasz?

Lana odzyskała głos dopiero na ulicy. Kiedy zdała sobie sprawę, w jak idiotycznej znalazła się sytuacji, nie bardzo wiedziała, co zrobić. Prawdę mówiąc, trudno jest wymyślić coś rozsądnego, kiedy wisi się głową w dół i zamiata włosami chodnik. Wiedziała już, że nie ma sensu się opierać, postanowiła więc spróbować negocjacji, które zawsze były jej mocną stroną. Przynajmniej w zaciszu sali konferencyjnej.

- Danielu, bądź rozsądny - odezwała się spokojnie. - Puść mnie.

- Nie mam zamiaru. Jeszcze będziesz mi dziękować. Robię to tylko i wyłącznie dla twojego dobra - oznajmił, idąc równym krokiem. Nawet nie dostał zadyszki, zupełnie jakby Lana nic nie ważyła.

- Jest mi bardzo niewygodnie.

- Mogłoby być jeszcze gorzej. Musiałem cię stamtąd zabrać, bo jeszcze chwila, a skończyłabyś jako narzeczona jakiegoś bankiera.

- Co ty wygadujesz? - zdumiała się, trochę tym wszystkim przestraszona. Co prawda nigdy wcześniej nie słyszała plotek na temat chorób psychicznych wśród MacGregorów, jednak takie przypadłości pojawiały się nawet w najlepszych rodzinach. Jeżeli zaś Daniel był szaleńcem, tym bardziej musiała wyrwać się z jego żelaznego uścisku. - W porządku - tym razem jej głos zabrzmiał bardzo stanowczo - dość mam już tej głupiej zabawy. Postaw mnie natychmiast na ziemi.

- Akurat! Żebyś do nich wróciła?

- Wolę być z nimi niż z tobą.

- Tak myślisz? A wiesz, co sobie ten stary krętacz uroił? Miał już gotowy cały scenariusz! Najpierw przedstawiłby ci tego bankiera, a potem, zanim byś się obejrzała, już układalibyście listę ślubnych prezentów. Już ja go znam.

- To jakieś brednie. W tej chwili mnie puszczaj. Nie będziesz mnie targał, jakbym była starym dywanem. No, puszczaj!

- Nie!

- Posłuchaj, jeśli mnie postawisz na nogi, zapomnę o całej sprawie. Nawet o tym, że skompromitowałeś mnie przed swoją rodziną i ciotką Martą. I o tym, że zrobiłeś ze mnie pośmiewisko dla całej ulicy.

- Ja go znam, ale ty jeszcze nie znasz. - Daniel jakby ogłuchł na jej prośby. - Mój uroczy dziadek tylko wygląda tak niewinnie. W rzeczywistości jest cwany i przebiegły jak mało kto. Jak sobie coś wymyśli, to koniec, nie ustąpi na krok. Teraz zainteresował się tobą i postanowił wydać cię za męża.

Lana zrozumiała, że dłużej nie jest w stanie tolerować dziwnego zachowania Daniela MacGregora. Artysta artystą, ale wszystko ma swoje granice, nawet dziwactwa ekscentrycznych malarzy. Gniew zawrzał w niej z siłą, jakiej dotąd nie znała. W jednej chwili zapomniała o wszystkich nakazach dobrego wychowania i owładnięta myślą, żeby jak najszybciej się uwolnić, zaczęła z całych sił okładać go pięściami.

- Puszczaj mnie! Puszczaj, bo zacznę wzywać pomocy! I przestań wygadywać te bzdury!

- W porządku - zgodził się niespodziewanie. - Dokończymy rozmowę u mnie.

- Gdzie?

- U mnie, w pracowni - odparł, stawiając ją na schodach wejściowych. Nadal trzymał ją mocno za ramię, więc próba ucieczki nie wchodziła w grę. Lana rozejrzała się dezorientowana i zaskoczona, że w tak krótkim czasie przemierzyli kilka przecznic, które dzieliły mieszkanie Daniela od domu jego rodziców.

- Moim zdaniem nie mamy o czym rozmawiać - zaczęła spokojnie, próbując oswobodzić rękę z silnego uścisku. To jednak tylko pobudziło Daniela, bo bez słowa wciągnął ją do holu i pomimo wyraźnego oporu z jej strony, powłókł do windy. Z zaciętą miną wepchnął ją do środka, wprost w ramiona starszych państwa, którzy usunęli się skwapliwie na bok, żeby zrobić im miejsce. Musieli być sąsiadami Daniela, bo przywitali się z nim i wymienili kilka uwag na temat pięknej wiosny. Lana czuła się tak zażenowana całą sytuacją, że nie mogła opanować rumieńca, który zabarwił jej policzki i szyję. Zaciśnęła zęby, zamknęła powieki i starała się nie myśleć o tym, co powiedzą ci ludzie, gdy zostaną sami.

Nawiasem mówiąc, nie wyglądali na zgorszonych. Widocznie byli przyzwyczajeni do ekscentrycznego zachowania swojego sąsiada. Ciekawe, jak często zdarza mu się wciągać kobiety siłą do swojej jaskini, pomyślała, szczęśliwa, że winda wreszcie zatrzymała się na piętrze.

Teraz Daniel popchnął ją w stronę korytarza. Rozgniewało ją to, jednak udało jej się już odzyskać swój wrodzony spokój, więc głos nawet jej nie zadrżał, kiedy powiedziała Danielowi, że nie musi jej pchać ani ciągnąć, bo wcale nie ma zamiaru z nim walczyć.

- Powiesz mi, co masz do powiedzenia, a potem się rozstaniemy, zgoda? - zapytała opanowanym tonem. - I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyśmy nigdy więcej się nie

spotkali - dodała, obojętnie patrząc na Daniela, który miotał się pod drzwiami w poszukiwaniu klucza. Jej groźba zabrzmiała w jego uszach serio, bo na moment zostawił w spokoju swoje kieszenie i przyjrzał jej się uważnie.

- Poczekaj, wszystko ci wytłumaczę - odezwał się łagodniej i już miał powrócić do przerwanych poszukiwań, kiedy Lana niespodziewanie zrobiła krok w jego stronę. Była tak blisko, że wyraźnie poczuł drażniący, zmysłowy zapach jej perfum. Miał wrażenie, że ta woń kusi go i prowokuje. Lana stała tak blisko, że wystarczyło otworzyć ramiona i zamknąć ją w uścisku, a potem zapomnieć o całym świecie.

Kiedy pochylił się nad jej ustami, nie odsunęła się ani nie odwróciła głowy. Spokojnie zaczęła, aż jego usta delikatnie dotkną jej warg, a potem bez wahania odwzajemniła pocałunek. Przywarła do niego całym ciałem, uniosła dłonie i zanurzyła palce w gęstwinie kasztanowych kosmyków, ani na moment nie odrywając się od jego ust. Jej pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, palce kurczowo zaciskały się, coraz mocniej przyciągała jego głowę. Daniel pomyślał, że jeśli natychmiast nie znajdzie klucza i nie otworzy drzwi, nie wytrzyma i zacznie kochać się z nią na podłodze pod własną pracownią. Na moment oswobodził się z jej ramion i klnąc cicho, zaczął systematycznie wywracać kieszenie. Na podłogę leciały z brzękiem drobne monety, sfruwały jakieś karteluski i rachunki. Kiedy wreszcie poczuł pod palcami znajomy kształt, odetchnął z ulgą i wyszarpnął klucz tak energicznie, że aż rozerwał kieszeń Inianej marynarki.

- Zaczekaj - szepnęła Lana. - To nie ma sensu...

- Szybko, wchodź do środka! - Delikatnie popchnął ją za próg, po czym jednym mocnym kopniakiem zatrzaskał drzwi, które szczęśliwie pozostały na swoim miejscu. Mógł więc oprzeć o nie Lanę i na nowo odnaleźć jej usta. - Tęskniłem za tobą...

Sam nie wiedział, czy wymówił to głośno, czy tylko pomyślał. Czuł się jak wędrowiec na pustyni, który dotarł wreszcie do źródła czystej wody i teraz najchętniej zanurzyłby w nim całą głowę.

- Proszę cię, poczekaj - prosiła Lana, lecz jej opór był dziwnie słaby.

- Na co mam czekać? Pogadamy później. Teraz chciałbym skończyć to, co zaczęliśmy...

- Nie... - zaprotestowała, próbując przywołać resztki zdrowego rozsądku, ale jakiś wewnętrzny głos odpowiedział jej, żeby dała spokój. Jej własne ciało zbuntowało się przeciwko woli i rozsądkowi, złąknione pieszczot, nie dało już się oszukiwać. Dlatego po raz pierwszy w życiu postanowiła zdać się na instynkt. Pozwolić, żeby opanowały ją uczucia, przed którymi nie było sensu dłużej się bronić. - Dobrze, pogadamy później - szepnęła wprost

w jego niecierpliwe usta i pierwsza wsunęła w nie język, spragniona całkowitej bliskości i gotowa na to spotkanie.

Daniel żałował, że nie ma jeszcze jednej pary rąk, dzięki którym mógłby szybciej poznać jej smukłe, wiotkie ciało. Próbował być delikatny, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Niecierpliwie ściągnął z niej sweter i cisnął go w kąt. W chwili, gdy pod drżącymi palcami poczuł rozkoszne ciepło gładkiej skóry, myśli zawirowały mu w głowie, a potem gdzieś umknęły. To instynkt kazał mu przemierzać ustami szlak wyznaczony przez łagodny łuk jej wygiętej szyi, aż do pełnych piersi, a potem w dół, ku zaokrągleniu szczyptych bioder. Jej ciało było doskonale piękne, idealnie proporcjonalne, gotowe, by przemienić je w rzeźbę. Było spełnieniem marzeń artysty poszukującego całkowitej harmonii. Całował coraz gwałtowniej każdy centymetr białej skóry, czując, jak pod wpływem tych pocałunków staje się coraz gorętsza, wilgotna od potu. Słyszał, jak w żyłach Lany coraz głośniejszymi szumi krew, która sprawiała, że alabastrowa biel traciła swój chłodny odcień, nabierając delikatnej, różowej barwy.

Nie był w stanie przeciągać tego ani sekundy dłużej. Położył na jej biodrach dłonie i uniósł ją do góry. Natychmiast poczuł, jak twarde uda Lany opasują go ciasno, a smukłe ramiona oplatają jego szyję. Przyłgnęła do niego całym ciałem, gotowa dawać i brać bez żadnych ograniczeń. Jej oddech stawał się coraz szybszy, chwytając łąpczywie powietrze, palce szarpały brzegi jego koszuli, chcąc zerwać ją jak najszybciej i poczuć twardość napiętych mięśni nagich ramion.

Osunęli się miękko na podłogę, gdzie łatwiej było pozbyć się ubrań. Ruchy ich ciał przypominały starożytne zapasy albo zabawy dzikich kotów, które wiedzą, jak nie wyrzucić sobie krzywdy. Owijali się wokół siebie, ocierali, dotykali spoconej skóry, potęgując podniecenie, które znosili z coraz większym trudem. Kiedy zaś byli już u kresu wytrzymałości, Daniel szybko uniósł się na łokciach i nakrył ją swoim ciałem.

Miał ją teraz całą, tylko dla siebie, czuł bliskość ciała, które potrafiło doprowadzić do granic fizycznego pożądania. Wyraźnie widział jej oczy, pociemniałe i półprzytomne, chowające się co chwila pod zasłoną powiek. Zanim w nią wszedł, wyszeptał, żeby na niego spozjrzała. Chciał widzieć wyraz rozkoszy w jej źrenicach, patrzeć w nie bez przerwy.

Otoczyła nogami jego biodra i przez nieskończenie długą chwilę obydwójce trwali w absolutnym bezruchu. Ich lśniące ciała spoczywały na środku wielkiej plamy słońca i grzały się w przyjemnym ciepłe promieni, które sprawiały, że wyglądali jak dwa złączone ze sobą złociste posągi.

Lana poruszyła się pierwsza. Zatoczyła biodrami miękki krąg, zakołysała nimi, coraz bliższa granicy, którą gotowa już była przekroczyć. Chęć osiągnięcia natychmiastowej rozkoszy walczyła w niej z pragnieniem, aby jeszcze odwlec ten moment. Jej giętkie ciało wyprężyło się pod naporem jego bioder, ruchy stały się szybsze, zharmonizowane z jego ruchami. Palce coraz mocniej zaciskały się na plecach Daniela, zostawiając na skórze czerwone pręgi.

Kiedy zniżył głowę i dotknął ustami jej piersi, nie zdołała powstrzymać fali szczęścia, która zalała ją nagle i pociągnęła w przepaść. Lana poczuła, jak zaczynają razem spadać z ogromnej wysokości, jak lecą w dół z przerażającą szybkością. Pęd nie pozwalał jej oddychać, pod zaciśniętymi powiekami wirowały barwne plamy, zupełnie jakby na granatowym niebie rozbłyskiwały kolorowe fajerwerki.

Daniel towarzyszył jej w tej podróży. Wyraźnie czuła, jak jego mięśnie napinają się i tężeją w gwałtownym skurczu. Po chwili ogromny ciężar rozluźnionego ciała przygniótł ją do rozgrzanych desek pachnącej miodem podłogi.

Niedźwiedzie mają szczęście, że mogą zapaść w sen zimowy, pomyślał Daniel, gdy minął stan uniesienia. Przyjemne, obezwładniające znużenie sprawiało, że miał ochotę zasnąć. Ale świadomość, że u jego boku leży skulona Lana, otrzeźwiła go natychmiast. Kosmyk jej długich włosów poślaskotał go w usta, więc zdmuchnął go, by po chwili wyciągnąć rękę i pogłodzić miękkie pasma, przyjemnie ciepłe od słońca.

Lana też chyba nie spała, bo westchnęła cicho, kiedy poczuła na włosach jego dotyk. Spróbował na nią spojrzeć, ale było to niemożliwe. Przesunął delikatnie zdrętwiałe ramię, na którym opierała głowę.

Kto by pomyślał, że w ciele zimnej blondynki kryje się dzika kotka, uśmiechnął się w duchu. Poczł dumę, że wreszcie zdołał przebić mur, którym Lana próbowała odgradzić się od niego. Cieszył się, że przecucie go nie myliło i że pod maską chłodu odnalazł jej prawdziwe oblicze, odkrył w niej pasję i namiętność. Teraz, kiedy pokazała mu swoje wnętrze, będzie mógł wreszcie dokończyć jej portret.

- Wygodnie ci? - spytał z nadzieją, że przytaknie, bo sam miał ochotę leżeć na tej podłodze choćby do końca świata. A już na pewno do chwili, gdy porządnie zgłodnieje.

Lana również nie miała zamiaru przerywać tej niezwykłej chwili. Czuła na nagim ciele rozkoszne ciepło, głowa ciążyła jej przyjemnie, co jakiś czas przepływała przez nią fala błogiej senności. Wołała nie myśleć o tym, co się wydarzyło. Walczyła ze sobą, żeby tego nie roztrząsać. Przeżyła moment całkowitego zapomnienia, wyłączyła umysł, dzięki czemu dane jej było poznać rozkosz, jakiej do tej pory nie знаła, a nawet nie przeczuwała, że istnieje.

I pomyśleć, że kochała się z facetem, choć nawet nie była pewna, czy go lubi. Odkryła przy tym swoją drugą, dziką naturę, która zawsze w niej drzemała, zepchnięta w cień przez surowe nakazy i zakazy. A kiedy wreszcie udało jej się z nich uwolnić, całkowicie straciła głowę. Czym bowiem jak nie chwilowym szaleństwem można było wytłumaczyć fakt, że zerwała z Daniela koszulę, podrapała mu plecy i pokąsała ramiona. Teraz zaś leżała odprężona i zadowolona u jego boku, myśląc o tym, że nigdy dotąd nie czuła się tak wspaniale.

Niestety, nie na długo uśpiła swój umysł. Ten bowiem szybko podsunął Lanie wytłumaczenie jej spontanicznego zachowania: zbyt długo nie miała erotycznych kontaktów, więc gdy nadarzyła się okazja, ciało wynagrodziło sobie okres postu. Zaspokoili się, nasyciła, ulżyła sobie.

Czy to źle? Poszła w końcu za głosem instynktu, zachowała się jak normalny człowiek. Nie powinna robić sobie z tego powodu żadnych wyrzutów. Musi tylko pilnować, by takie szaleństwa nie zdarzały się zbyt często.

Uniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Sweter leżał na wyciągnięcie ręki, ale pozostałe części garderoby były rozrzucone po całym pokoju. Pora wrócić na ziemię, pomyślała niechętnie i usiadła.

- Co się stało? - spytał Daniel.

- Nic. Koniec zabawy, muszę wracać do domu - powiedziała z udawaną swobodą. Szybko sięgnęła po sweter i nałożyła go przez głowę.

- Boisz się, że ucieknie ci samolot?

- Nie. Po prostu chcę wyjść.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? Kochaliśmy się i było wspaniale. Czy nie o to nam chodziło?

- No... właściwie o to.

- Teraz jednak pora wrócić do rzeczywistości. Zerknęła w jego stronę, co okazało się błędem. Daniel leżał nagi na podłodze, nieprzyzwoicie piękny z burzą kasztanowych włosów i niesamowitym spojrzeniem błękitnych oczu. Wyglądał tak kusząco, że miała ochotę wskoczyć mu na szeroką pierś i zanurzyć twarz w zagłębieniu silnego ramienia. Jeszcze raz poczuć ten specyficzny zapach, którego wspomnienie przechowały jej włosy.

- Mówiąc szczerze, nie często zdarzają mi się takie przygody - wyznała.

- Z powodu zasad czy po prostu miałaś pecha do kochanków?

Nie musiała na niego patrzeć, żeby wiedzieć, jaką ma minę. Złośliwa bestia, przemknęło jej przez myśl, ale nie dała się sprowokować. Drżącą lekko ręką sięgnęła po wy-

mięte spodnie, w które zaplątała się bielizna. Cieszyła się, że nie musi szukać na jego oczach majtek.

- No to jak było z tymi kochankami?

- Daj spokój. Przeżyliśmy coś naprawdę wspaniałego, więc nie psuj atmosfery. Jeśli się nawet okaże, że to był błąd...

- To będziemy mieli niejedną okazję, żeby go naprawić - dokończył i wsunął miękko dłoń pod jej sweter. Lana poczuła na piersi ciepły, pieszczotliwy dotyk jego palców, to zaś wystarczyło, żeby w jej głowie zapanował kompletny zamęt. Zalała ją fala gorąca, od czubka głowy po koniuszki stóp. - Naprawdę chcę już iść - powiedziała cicho i bez przekonania.

Daniel tylko na to czekał. Pociągnął ją z powrotem na podłogę, nachylił się nad nią i wyszeptał prosto do ucha:

- Poczekaj. Proponuję, żebyśmy poprawili to, co nam nie wyszło.

I tak Lana Drake spędziła noc w łóżku Daniela MacGregora (o ile łóżkiem można nazwać materac rzucony na gołą podłogę). Straciła rachubę czasu, lecz rano obudziła się w doskonałym nastroju. Ułożyła się wygodnie, a ponieważ Daniel wciąż jeszcze drzemał, leżała spokojnie, wpatrując się w sufit. Trudno było znaleźć w tej pracowni ciekawszy obiekt do obserwacji, nie dostrzegła bowiem niczego poza stosami kartonowych pudeł, w których Daniel trzymał swój dobytek. Postanowiła, że nie będzie się temu dziwić i skoncentrowała się na słonecznych refleksach, które tańczyły nad jej głową.

A więc stało się. I to dwa razy w ciągu jednego popołudnia. Nie mogła nawet powiedzieć, że dała się uwieść, bo ostatecznie sama brała w tym aktywny udział. Zaczęła się zastanawiać, jak ta niecodzienna przygoda wpłynie na jej życie. Dotąd poruszała się w świecie, który był doskonale znany i urządzony zgodnie z jej wolą. Wszystko miało w nim określone miejsce, a niespodzianki zdarzały się rzadko.

Owszem, lubiła czasem odmianę, jednak bez wątpienia czuła się znacznie lepiej, gdy miała nad wszystkim kontrolę. Dawno już zaplanowała swoje życie i nie chciała, by jakaś przypadkowa znajomość przeszkodziła jej w osiągnięciu celu. Dlatego nie mogła angażować się w żaden dłuższy związek, zwłaszcza z człowiekiem tak nieprzewidywalnym, jak Daniel. Za bardzo się różnili w swoich oczekiwaniach wobec życia, aby mogli funkcjonować razem i nie przeszkadzać sobie nawzajem. To prawda, że seks w jego wykonaniu był niezapomnianym przeżyciem, ale seks to przecież nie wszystko.

- Muszę iść - powiedziała stanowczo, gdy poczuła, że się obudził.

- Znowu zaczynasz. Chcesz mnie chyba wykończyć - mruknął Daniel zaspanym głosem.

- Tym razem mówię serio.

Widocznie uwierzył, bo natychmiast przysunął się do niej i nakrył ją swoim ciałem, by nie mogła się ruszyć.

- Daniel, daj spokój! - Próbowała go odepchnąć, choć dobrze wiedziała, że nie ma to sensu. - Pora z tym skończyć.

- Bez przesady. Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy zrobili sobie małą przerwę. - Musnął ustami jej nos. - Nie jesteś głodna?

- Nie.

- Dziwne. Ja umieram z głodu. Masz ochotę na chińszczyznę?

- Nie. Mówiłam ci już, że muszę iść.

- To może coś włoskiego? Jakiś makaron z pożywnym, kalorycznym sosem, który doda nam energii do dalszych...

- Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię? - spytała. Miała ochotę cisnąć w niego poduszką, ale chciało jej się także śmiać.

- Och, Lano - westchnął i usiadł na łóżku - czy ty musisz tak marudzić? Obydwoje wiemy, że jest nam dobrze. I w łóżku, i na podłodze, i pod prysznicem. Jest nam fajnie. Musisz wszystko psuć? Wiesz tak samo dobrze jak ja, że jeśli teraz stąd wyjdiesz, to za pięć minut będziesz żałować, że nie zostałam. Zjedzmy coś najpierw, a potem zrobisz, co chcesz, zgoda?

- No dobrze. Ale nie będziemy się już więcej kochać?

- Tego nie mogę ci obiecać. Co powiesz na fettucini z sosem pomidorowym?

- Może być.

- Już się robi.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do włoskiej restauracji w sąsiedztwie. Okazało się, że na dostawę dań muszą poczekać jakieś pół godziny, więc Daniel zaproponował, żeby w tym czasie napili się wina. Kiedy zbiegł na dół, Lana opadła na materac. Kolejny raz udało mu się namówić ją do czegoś, na co nie miała ochoty.

Albo tylko wydawało jej się, że nie ma ochoty. W każdym razie nie miała wątpliwości, że trzeba jak najszybciej skończyć tę znajomość. Na samą myśl o tym, że może już nigdy nie przytuli się do Daniela, nie pocałuje go, nie poczuje na sobie ciężaru jego ciała, poczuła w sercu ostre ukłucie żalu, postanowiła jednak, że nie będzie teraz o tym myśleć. Wstała z materaca, instynktownie przygładziła splecione włosy i ruszyła w stronę schodów.

W porę przypomniała sobie, że warto byłoby coś na siebie włożyć, więc bez namysłu sięgnęła po bawełnianą bluzę, którą znalazła w jednym z kartonów. Bluza była tak obszerna,

że sięgała jej do kolan. Natychmiast poczuła wokół siebie znajomy zapach, który odtąd miał jej się zawsze kojarzyć z największą intymnością. Wciągnęła go głęboko w nozdrza, ale skutek był taki, że poczuła nową falę żalu. Otrząsnęła się szybko z tego uczucia i poprawiła włosy, przez chwilę stała zamyślona u szczytu schodów, jak ktoś, kto musi natychmiast podjąć ważną decyzję. Wreszcie zrobiła pierwszy krok.

- Zjemy to fettucini - szepnęła, schodząc na dół. - A potem wyjdę stąd i nie zobaczę cię już nigdy więcej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Siedzieli przy kuchennym stole, popijając wino. Fettucini z restauracji było wspaniałe, więc przez jakiś czas jedli w milczeniu, chcąc jak najszybciej zaspokoić pierwszy głód. Kiedy Lana poczuła się nasycona, odsunęła talerz z resztką makaronu i uważnie rozejrzała się po obszernym pomieszczeniu.

- Mieszkasz tu jak w chlewie - stwierdziła bez ogródek. - Jak możesz żyć w takich warunkach? Nie przeszkadza ci ten bałagan?

- Nie zwracam uwagi na takie drobiazgi. Nie mam na to czasu - odparł Daniel, pochłonięty kolejną porcją chleba z masłem czosnkowym.

- Przecież tu jest okropnie! Te wszystkie kartony i w ogóle...

- Wiem. Czasami myślę o tym, żeby zatrudnić gosposię, ale mówiąc szczerze, nie lubię, jak ktoś obcy kręci mi się po domu. To przeszkadza w pracy.

- Długo tu mieszkasz?

- Parę miesięcy.

- I jeszcze nie zdążyłeś się rozpakować?

- Kiedyś to zrobię.

- Ale jak możesz tu pracować? - dziwiła się, nie mogąc zrozumieć jego niefrasobliwości.

Daniel najpierw uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy, jakby sprawdzał, czy może jej zaufać, potem powiedział z wahaniem:

- Moja siostra uważa, że odreagowuję trudne dzieciństwo. Kiedy mieszkaliśmy w Białym Domu, wszystko musiało być zawsze na swoim miejscu. Takie obowiązywały tam reguły.

- Doprawdy? - spytała, uprzejmie zdziwiona. - A nie wydaje ci się, że facet w twoim wieku powinien dawno już mieć za sobą okres odreagowywania i młodzieńczego buntu?

- Niby dlaczego? Ty dla odmiany lubisz sterylną czystość i porządek.

- Bez przesady. Bałagan po prostu mnie denerwuje. Pewnie dlatego, że w moim domu przywiązywano dużą wagę do tego, żeby każda rzecz miała swoje miejsce. Dzięki temu życie jest dużo łatwiejsze.

- Co nie znaczy, że bardziej satysfakcjonujące.

- Chyba nie ma o czym dyskutować - ucięła temat Lana, doszła bowiem do wniosku, że pora powiedzieć mu o swoim postanowieniu. - Posłuchaj, Danielu - zaczęła - od dawna

wiemy, ile nas różni. Dlatego uważam, że popełniliśmy błąd. Taka sytuacja nie powinna się więcej powtórzyć.

- Nie można mówić o błędzie, gdy dwoje ludzi zostaje kochankami. To nie jest żadna sytuacja, tylko fakt. To, że ty lubisz porządek, a ja nie, w żaden sposób nie wpływa na to, że jest nam dobrze w łóżku.

- Tak, tylko że nigdy nie będziemy w stanie stworzyć udanego związku.

- Skarbie, my już go stworzyliśmy. Nie zauważyłaś?

- Seks, choćby najwspanialszy, to jeszcze nie związek!

- A nie wydaje ci się, że zanim pojawił się seks, zakiełkowało między nami coś... coś trwałego?

- Nie - z trudem się powstrzymała, by nie podnieść głosu. Chciała z całych sił zaprzeczyć jego słowom, bo zawierały to, czego obawiała się najbardziej. - Posłuchaj - powtórzyła, starając się mówić wolno i spokojnie. - Nie chcę się wiązać z nikim na stałe. Nie interesują mnie żadne poważne układy, bo wydaje mi się, że ludzie zwykle kiepsko na nich wychodzą.

- To ciekawe. Możesz rozwinąć ten wątek?

- Chodzi o to, że ludzie rzadko kiedy potrafią wytrwać w stałych związkach. W końcu zaczynają się okłamywać, tolerując przy tym fakt, że są oszukiwani. Ja tak nie chcę.

Zamilkła i przez chwilę zastanawiała się, czy może być z nim całkowicie szczerą. Ostatecznie doszła do wniosku, że sytuacja tego wymaga, więc powiedziała otwarcie:

- Małżeństwo moich rodziców nie było przykładem zdrowego, udanego związku. Z czasem nauczyli się jakoś żyć pod jednym dachem, ale tylko dlatego że było im tak wygodnie. Po prostu nie chcieli komplikować sobie życia rozwodem. Ja tak nie chcę. Poza tym Drake'owie słyną z... egoizmu. Nazywam się Drake, nie ma więc pewności, że pod tym względem jestem inna.

- Nie bardzo rozumiem...

- Widzisz, życie we dwoje wymaga ciągłych kompromisów. Trzeba poświęcić własne marzenia, ambicje, oczekiwania. Nie jestem pewna, czy potrafię.

- Zdaje się, że nie miałaś łatwego dzieciństwa - westchnął Daniel.

- Dlaczego tak mówisz? - zaprotestowała gwałtownie.

- To widać, słysząc i czuć.

Teraz ona westchnęła. Pomyślała, że nawet gdyby bardzo chciała mu wytłumaczyć, o co chodzi, miałyby trudności.

Sama bowiem nie do końca rozumiała, skąd w niej ta nieufność i ostrożność.

- Miałam bardzo udane dzieciństwo - stwierdziła po chwili. - Mój dom był naprawdę wspaniały, do tego zamożny, więc mogłam podróżować, chodziłam do najlepszych szkół, spotykałam ciekawych ludzi. Naprawdę nie mogę narzekać.

Daniel słuchał jej z uwagą, myśląc jednocześnie, jak on opisałby swoje dzieciństwo. Zdaje się, że zupełnie inaczej, choć z pozoru tak podobnie. Dorastał w specyficznych warunkach, często doskwierała mu niewdzięczna rola dziecka głowy państwa. Nie miał swobody, lecz nigdy nie zabrakło mu najważniejszego, czyli miłości. Rodzice zapewniali mu ją, podobnie jak poczucie całkowitej akceptacji i bezpieczeństwa. Zawsze czuł się kochany i rozumiany, nic więc dziwnego, że miał udane i szczęśliwe dzieciństwo.

- A czy twoi rodzice kochali cię? Czy czułaś, że jesteś dla nich ważna? - spytał ostrożnie.

- Oczywiście - odpowiedziała bez zastanowienia, ale już po sekundzie musiała przyznać, że nie jest do końca szczerą. Sama nieraz zadawała sobie to pytanie i nigdy nie potrafiła znaleźć na nie jednoznacznej odpowiedzi. Aby zyskać na czasie, sięgnęła po kieliszek i przez jakiś czas wpatrywała się w jego zawartość, jak wróżka w kryształową kulę, w której można dojrzeć przyszłość i przeszłość. - Moja rodzina bardzo różni się od twojej. Nie jesteśmy ani tak zżyci, ani tak otwarci i spontaniczni w okazywaniu uczuć powiedziała wreszcie, patrząc mu prosto w oczy. - Pamiętam zdjęcia MacGregorów publikowane w różnych pismach. Zawsze przyglądałam im się dokładnie. Nie dlatego że byliście rodziną prezydenta, ale dlatego że na tych zdjęciach widać było waszą bliskość, wzajemne oddanie. To wspaniałe, ale dla mnie zupełnie niezwykle. W środowisku, w którym ja dorastałam, nie było zwyczaju okazywania; uczuć.

Poczuła nagłą potrzebę, żeby opowiedzieć mu o tym, co ukrywała przez lata w najdalszych zakamarkach duszy i do czego niechętnie wracała we wspomnieniach. Być może to wino rozwiązało jej język, a może zachęcił ją fakt, że Daniel potrafił uważnie słuchać. Z nikim wcześniej tak nie rozmawiała.

- Teraz już wiesz, dlaczego jestem, jaka jestem. Drake'owie nie tolerują skandali, unikają ich więc jak ognia. Ja również staram się unikać niepotrzebnych komplikacji.

- Tym razem ci się nie udało - powiedział z namysłem Daniel. Zastanawiał się jednocześnie, czy Lana ma świadomość krzywdy, jaką nieopatrznie wyrządzili jej rodzice. Przez swój emocjonalny chłód zaszczepili w jej sercu wieczny smutek, który uznała za nieodłączną część swojej natury.

- Mylisz się. Cały czas staram się naprawić sytuację. Pamiętasz, jak było z moimi kwiatkami? - zapytała niespodziewanie.

- Z jakimi znowu kwiatkami?

- Z bratkami, które sadiłam w ogrodzie. Chciałam posadzić je w równym rzędku, bo sądziłam, że tak będzie lepiej. Porządnie i logicznie. Ty chciałeś, żeby rosły w luźno rozrzuconych kępach. Przyznaję, że twój pomysł był lepszy, bardziej twórczy, dawał ciekawszy efekt. Ja jednak czuję się dużo lepiej, kiedy działam wedle ściśle określonych reguł.

Powiedziała to z tak rozbijającą szczerością, podszytą w dodatku smutkiem, że zrobiło mu się jej żal. Miał ochotę pójść za głosem instynktu, chwycić ją w ramiona i mocno przytulić, ale wiedział, że nie jest to odpowiedni moment.

- Jednak czasem zdarza ci się zmienić zdanie, prawda? Zwłaszcza wtedy, kiedy widzisz wynikające z tego korzyści.

- Prawda - przyznała Lana. - Chociaż szczerze mówiąc, pręcej umiem dostrzec ewentualne niebezpieczeństwa. W tej chwili chcę przede wszystkim skoncentrować się na swojej pracy, na karierze. Nie chcę, by cokolwiek mi w tym przeszkadzało i dlatego nie zamierzam wiązać się z nikim. Wolę być sama i działać w pojedynkę.

- Tak samo jak ja. Tylko przy tym wszystkim chciałbym być z tobą. Naprawdę nie wiem dlaczego, nie potrafię tego wytłumaczyć. Zwłaszcza że nie jesteś w moim typie.

- Jaki jest więc twój typ? - spytała oschle.

- Jesteś wykształcona, obyta w świecie, kulturalna. Masz lekką skłonność do snobizmu i okazywania wyższości. Mój typ jest dokładnym przeciwieństwem ciebie.

- To ciekawe. Ty z kolei jesteś zarozumiała, arogancka, dominująca i niechlujny. Masz przy tym skłonność do nieprzemyślanych zachowań i egoizmu. Mój typ jest dokładnym przeciwieństwem ciebie.

- Przynajmniej wyjaśniliśmy sobie pewne rzeczy. - Niezrażony, stuknął się z nią kieliszkiem. - Jednak fakt pozostaje faktem, nadal chcę z tobą być. Powiem nawet, że z jakichś powodów cię lubię. I to tak bardzo, że muszę cię namalować.

- Jeśli myślisz, że to mi pochwlebia...

- Wcale tak nie myślę. Nie mam zamiaru prawić ci komplementów, chociaż mógłbym. Jestem pewien, że słyszałaś je setki razy, a ja nie lubię marnować czasu. Nie będę oryginalny, jeśli powiem, że jesteś wyjątkowo piękną, intrygującą kobietą. Twoja chłodna zmysłowość potrafi doprowadzić mężczyzn do szaleństwa. Teraz, kiedy wiem, co kryje się pod tą warstewką lodu, pociągasz mnie jeszcze bardziej.

Nie możesz jednak zaprzeczyć, że zainteresowanie jest obustronne. Tak jak przyjemność. Możemy ograniczyć nasz związek do takich kontaktów i nigdy nie posunąć się dalej. Nie od razu odpowiedziała. Przede wszystkim dlatego, że musiałaby przyznać mu rację.

To, co mówił, było spójne i logiczne. Z drugiej jednak strony świadomość, że chciał sprowadzić ich stosunki do czysto fizycznej przyjemności, swobodnego, nieskrępowanego seksu, sprawiła jej dziwną przykrość. Wolała mimo wszystko nie zastanawiać się nad tym, więc ostatecznie przyznała, że jego propozycja ma sens.

- Mam tylko jedno zastrzeżenie - powiedziała. - Jeśli zdecydujemy się kontynuować naszą znajomość, musimy już teraz określić pewne granice i ustalić reguły gry.

- Jakoś nie podobają mi się te słowa.

- Które?

- Granice, reguły... Po co nam one? No, może z wyjątkiem tego, że żadne z nas nie powinno mieć kochanków. Nie zniósłbym, gdyby dobierał się do ciebie jakiś palant.

- Licz się ze słowami!

- Jak ten stary MacGregor podsunie ci jakiegoś bankiera w drucianych okularkach, masz go natychmiast pogonić, jasne?

- Znowu zaczynasz? - spytała z narastającą irytacją. - Nie znam żadnego bankiera. I nie rozumiem dlaczego twój dziadek miałby podsuwać mi kogokolwiek. Nie potrzebny mi żaden bankier ani nikt inny.

- Nie? Jaka szkoda. A mój biedny dziadziuś tak bardzo się starał, żeby wynaleźć dla ciebie odpowiedniego kandydata - zadrwił.

- Co takiego? - Lana zakrztusiła się winem.

- Miałem ci to wyjaśnić już wcześniej, ale jak sama wiesz, mieliśmy ważniejsze sprawy. Powiem krótko: postanowił wziąć się za ciebie.

- Kto, na miłość boską? Ten bankier?

- Jaki znowu bankier! Bankiera jeszcze nawet nie poznałaś, chyba że o czymś nie wiem. Mówię o dziadku.

- Co ty wygadujesz? - Lana odstawiła energicznie kieliszek. - Twój dziadek jest starcem, od pięćdziesięciu lat szczęśliwie żonatym z cudowną kobietą. Po co miałby brać się za mnie?

- Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz, czy tylko udajesz naiwną? - Teraz Daniel poczuł się zirytowany. - No dobrze, spróbujmy jeszcze raz...

- Tylko bardzo cię proszę, mów jasno.

- W porządku. Otóż mój dziadek, ten słodki staruszek z białą brodą, bardzo cię polubił. Uznał więc, że tak wspaniała kobieta jak ty nie powinna żyć samotnie. Postanowił wydać cię za mąż i sam wziął się za wyszukiwanie odpowiedniej partii. Wybrał tego bankiera, o którym ci mówiłem. Zdaje się, że facet ma na imię Henry.

- Przyznam szczerze, że nie rozumiem, dlaczego twój dziadek miałby interesować się moim zamążpójściem.

- Bo ma obsesję na tym punkcie. Wydaje mu się, że człowiek nie może żyć bez domu, rodziny i gromadki bachorów.

- Rozmawiałam kilka razy z twoim dziadkiem, ale nigdy nie wspomniał choćby słowem o jakimś bankierze. Za to doskonale pamiętam, jak mówił mi, że twoja babcia zamartwia się z twojego powodu, że nie ustatkowałeś się, nie założyłeś rodziny...

- A widzisz! - Daniel walnął o blat stołu, aż podskoczyły talerze, a Lana wstrząsnęła się jak rażona prądem. - A widzisz - powtórzył już spokojniej, mierząc w jej stronę palcem, jakby chciał ją o coś oskarżyć. - To jest właśnie cały dziadek. Zawsze zasłania się babcią, kiedy zaczyna coś knuć. Babcia nigdy nie interesowała się, z kim żyją jej wnuki. Za to on najchętniej zapędziłby nas wszystkich do ołtarza. Ma już nawet spore osiągnięcia. Udało mu się wydać za mąż moją siostrę i dwie nasze kuzynki. Za każdym razem ten stary cwaniak działa według dokładnie obmyślonego planu. Wybiera sobie ofiarę i tak długo kombinuje, aż niczego nieświadomy człowiek wpada po uszy i zanim się obejrzy, zaczyna kupować pieluchy. A stary zaciera z radości ręce. Jest niezmordowany i wiem, że nie odpuści, póki ostatni MacGregor nie stanie na ślubnym kobiercu.

Lana cierpliwie doczekała końca tego wykładu i odezwała się dopiero wtedy, kiedy Daniel trochę ochłonął.

- Nie znam zbyt dobrze twojego dziadka, więc nie będę się z tobą spierać. Ale wydaje mi się mało prawdopodobne, by dorośli, inteligentni ludzie pozwolili, ot tak, po prostu, wydać się za mąż albo ożenić. Nie żyjemy w dziewiętnastym wieku!

- My może nie, ale dziadek tak.

- Powiedziałam już, że nie zamierzam się spierać. Jeśli o mnie chodzi, nie mam zamiaru wychodzić za mąż. Ani teraz, ani nigdy. I nic tu nie pomoże żaden chytry plan twojego dziadka.

- Mówię ci to wszystko, żeby cię uprzedzić. Nie bądź zaskoczona, jeśli któregoś dnia wtrąci mimochodem, że zna przemiłego, młodego człowieka, który wprost marzy, żeby cię poznać. A potem tak wszystko urządzi, że ani się obejrzy, jak zostaniesz panią bankierową.

- Spokojna głowa.

- Cieszę się. Ale na wszelki wypadek pamiętaj: gdy tylko nasz rodzinny swat napomknie coś o tym całym Henrym, powiedz mu natychmiast, że nie jesteś zainteresowana.

- Skąd wiesz, że nie jestem? Mówisz, że Henry jest bankierem? - Lana uśmiechnęła się zagadkowo. - A czy twój dziadek nie wspominał przypadkiem, jak ten Henry wygląda?

- Ha, ha, bardzo zabawne. Ciekawe, czy będzie ci równie wesoło, kiedy będziesz spisywała listę weselnych gości.

- Nie bój się, potrafię poradzić sobie z niechcianymi swatami. Poza tym jest mi bardzo miło, że twój dziadek troszczy się o moją przyszłość.

Daniel wzruszył ramionami, dając w ten sposób do zrozumienia, że on już zrobił swoje, a reszta go nie obchodzi. Jednak zezłościło go, że Lanę najwyraźniej rozbawiła ta historia ze swataniem. Kiedy więc pochyliła się w jego stronę, w ogóle nie chciał na nią spojrzeć.

- Powiedz mi - spytała rozbawiona - czy to właśnie z powodu dziadka wpadłeś w szal, wywlokłeś mnie od swoich rodziców i targaleś na plecach przez pół miasta? Tylko dlatego że stary MacGregor chciał mi przedstawić jakiegoś faceta? Słuchaj, a może ty jesteś zazdrosny?

- Zazdrosny? - wykrzyknął oburzony. - Kobieto, co ty wygadujesz? Ja chciałem cię ostrzec, a ty zamiast okazać wdzięczność obrażasz mnie takimi podejrzeniami? No, ładnie!

- Uspokój się - powiedziała i wstała od stołu. - Tak tylko pytam. Lepiej mi powiedz, czy ta zmywarka działa.

- Jaka zmywarka, do cholery! Jak możesz myśleć, że jestem o ciebie zazdrosny? Zrobiłem to z sympatii do ciebie!

- Oczywiście, rozumiem twoje szlachetne pobudki. Podaj mi swój talerz i kieliszki - poprosiła i zaczęła opróżniać zlew z brudnych naczyń, a potem układać je w zmywarce.

Daniel, który wciąż nie mógł pogodzić się z tym, że został posądzony o zazdrość, wstał od stołu i pokręcił z niesmakiem głową.

- Wiesz co? - zapytał nerwowo. - Gdybym naprawdę był zazdrosny, to porachowałbym temu bankierowi kości!

- Aha, fajnie. Podasz mi wreszcie ten swój talerz? Podeszedł do niej i chwycił ją wpół. Odwrócił w swoją stronę i patrząc prosto w oczy, wycedził nienaturalnie cichym głosem:

- Nie jestem zazdrosny. Ale nie lubię, kiedy ktoś bez pytania wchodzi na moje terytorium.

- W porządku, nazywaj to sobie, jak chcesz. I tak wiem swoje.

Kusiło ją, żeby go prowokować. Cieszyła się, że tak bardzo poruszyła go historia z bankierem i że obchodzi go jej przyszłość. Znów miała go blisko, czuła siłę ramion, spoglądała w błękitne, niepokojące oczy. Kiedy wziął ją na ręce i zaczął całować, nie miała najmniejszego zamiaru wyrywać się ani go powstrzymywać. Wystarczył dotyk warg Daniela, a natychmiast zapomniała, że jeszcze godzinę temu chciała uciec od niego i już nigdy nie wrócić.

To nie była zazdrość. Wszystko, tylko nie to. Leżąc w ciemnościach obok śpiącej Lany, Daniel po raz setny wracał myślami do tego, co powiedziała. Po prostu uznał, że Lana należy do niego, i chciał bronić swoich praw. Nie zamierzał dzielić się z nikim swoją własnością. Lana Drake była jego i kropka. Przynajmniej przez jakiś czas.

Musiał przyznać, że czuł się w jej towarzystwie bardzo dobrze. Nawet wtedy, kiedy kazała mu sprzątnąć kuchnię, a dopiero potem pozwoliła zanieść się do sypialni. Poza tym żadna inna kobieta nie działała na jego zmysły tak jak ona. Uwielbiał jej spojrzenie, jej oczy, uważne i skoncentrowane podczas rozmowy, a nieprzytomne, prawie szalone, kiedy kochali się do utraty tchu. Podobał mu się jej głos, inny za dnia niż w nocy, gdy szeptała jego imię.

Delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy. Spała tak mocno, że nawet nie poczuła jego dotyku. W rozproszonym świetle lamp ulicznych podziwiał jej harmonijne rysy i myślał o tym, jak bardzo jest mu jej żal. Wyobraził ją sobie jako małą dziewczynkę, samotną w wielkim, bogatym domu, oddzieloną niewidzialnym murem od rodziców, którzy mogli dać jej wszystko z wyjątkiem bezgranicznej miłości. Mówiła, że zapewnili jej doskonałe warunki. Co z tego, skoro przez swoją oschłość i egoizm nie dali jej najważniejszego. Nie nauczyli jej kochać, dawać i odwzajemniać uczucia, uczynili niezdolną do założenia własnej rodziny.

Rodzina. Sam jeszcze do niej nie dojrzał. Oczywiście wiedział, że kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, spotka pewnie kobietę, z którą będzie chciał zostać na stałe. Stworzą razem dom, będą mieli dzieci, psy, koty i tak dalej. Nie mógł pojąć, że ktoś może tego nie chcieć, że z góry przekreśla możliwość zaznania szczęścia we dwoje.

Jeszcze raz przyjrzał się śpiącej Lanie. Był pewien, że i ona w głębi serca pragnie tego wszystkiego, co teraz z taką determinacją odrzuca. Wiedział, że kiedyś to zrozumie, dojrzeje do tego, żeby komuś zaufać, otworzy się na miłość.

Przypomniał sobie ze wzruszeniem, jak siedzieli razem przy stole, a ona z powagą i szczerością próbowała wytłumaczyć mu, dlaczego nie mogą być razem. Teraz spała jak dziecko, zwinięta w kłębek, zaplątana w jego długi podkoszulek, który chronił ją przed chłodem wiosennej nocy. Przynajmniej mamy jakąś wspólną cechę, pomyślał, bo okazało się, że obydwójce lubią spać przy otwartym oknie.

- To nie jest zazdrość - szepnął jeszcze sam do siebie, po czym przyciągnął Lanę do siebie gestem człowieka, który sięga po swoją własność. Było mu z nią dobrze i zamierzał się tym cieszyć jak najdłużej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Daniel odsunął się od sztalug i długo patrzył na prawie gotowy portret. Nigdy nie był fałszywie skromny. Zawsze potrafił obiektywnie ocenić swoje prace, przez co miał opinię pyszałka i zarozumialca. Nie zważał na to. Malował tak, jak czuł, jak widział i jak podpowiadał mu instynkt. Dlatego rzadko był rozczarowany tym, co wyszło spod jego pędzla, nie często też porzucał obraz przed ukończeniem. Równie rzadko czuł się przytłoczony swoim dziełem.

Tym razem było inaczej.

Malował portret Lany z pamięci. W miarę jak rosła ich zażyłość, porzucił szkice zrobione w ogrodzie i zdał się całkowicie na wizję, które podsuwała mu wyobraźnia. Początkowo chciał zrobić portret techniką akwareli utrzymanej w chłodnych, rozmytych barwach, bo wydawało mu się, że w ten sposób najlepiej odda charakter i osobowość modelki. Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że popełnił błąd. Zostawił więc delikatną akwarelę i przygotował płótno pod obraz olejny. Malując nowe wcielenie Lany, instynktownie sięgał po ostre, gorące kolory, które kładł zamasyście, śmiałymi ruchami pędzla.

Kobieta, która teraz spoglądała na niego z obrazu, miała bardzo zmysłowy wyraz twarzy. Siedziała na łóżku owinięta prześcieradłem i patrzyła mu prosto w oczy, a w jej wzroku widać było ślady miłosnego uniesienia, które przed chwilą przeżyła. Miała pełne, zmysłowe usta, a jej lekko rozchylone wargi wciąż były nabrzmiące od pocałunków. Jasne włosy spływały na ramiona długimi kaskadami. Nie było, w nich ani odrobiny nieładu. Patrząc na portret, Daniel przypomniawszy sobie chwilę, która stała się impulsem do namalowania tego portretu.

Wciąż widział to w swojej wyobraźni. Mógł dokładnie odtworzyć każdą sekundę od chwili, gdy Lana usiadła na łóżku i owinęła się prześcieradłem, a potem, jak zwykle, przyglądała splecione włosy. Odwróciła lekko głowę, migotliwe światło lampy zatańczyło na jej nagich ramionach. Nie wiedział, dlaczego właśnie ten moment tak bardzo utkwił mu w pamięci, ale ze wspomnienia tej jednej, krótkiej chwili udało mu się stworzyć obraz, jakiego nie namalował nigdy dotąd. Jego portret żył. Kiedy przyglądał się jasnowłosej kobiecie, gotów był przysiąc, że odwzajemnia jego spojrzenie.

- Kim jesteś? Co za diabeł w tobie siedzi? - szepnął, głęboko poruszony tym odkryciem.

Nagle poczuł złość, bo pojął, że nie udało mu się poznać Lany do końca. Myślał, że wie już o niej wszystko, a mimo to ciągle mu się wymykała i nawet w jego wyobraźni żyła własnym życiem. Nie miał pojęcia, jakim cudem i kiedy udało jej się tak bardzo zawładnąć jego umysłem. Sam nie wiedział, jak mógł do tego dopuścić, jednak coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że zakochał się w Lanie Drake. Może nawet nie tyle w niej, co w jej wizerunku, który stworzył we własnej wyobraźni. Zakochał się w kobiecie, którą namalował.

Zmęczony własnymi myślami, zostawił obraz i podszedł do otwartego okna. Miał nadzieję, że ruch i gwar ulicy pozwolą mu choć przez chwilę zająć umysł czymś innym, ale szybko przekonał się, że nie będzie to łatwe. Przez kilka minut gapił się bezmyślnie na kanał, a wyobraźnia uparcie podsuwała mu skrawki wspomnień z ostatnich tygodni, które spędził z Laną. Przesuwały się przed jego oczami niczym kolejne klatki filmu, w którym grali główne role. Nie, nie mógł dłużej ignorować faktu, że Lana stała się na dobre częścią jego życia.

Z pewnością ona czuła podobnie, jednak żadne z nich nie miało dość odwagi, żeby się do tego przyznać, choć oboje pozwalali sobie na coraz większą zażyłość. Tolerowali swoje przyzwyczajenia i nieświadomie szli wobec siebie na mniejsze lub większe kompromisy, nie czując przy tym, że dzieje im się z tego powodu jakaś krzywda. Każde z nich umiało wpływać na decyzje drugiej strony. Ona przekonała go, żeby wreszcie rozpakował swoje kartony i uporządkował rzeczy. On dla odmiany kupił jej całe mnóstwo bajecznie kolorowych lwich paszczy i namówił, żeby posadziła je w nieregularnych, barwnych grupach. Przypomniawszy sobie, jak potem siedzieli razem na tarasie i w łagodnym świetle wczesnego wieczoru podziwiali rezultat jej ogrodniczych wysiłków.

W miarę upływu czasu, wzajemnych ustępstw było coraz więcej. Daniel kupił wreszcie prawdziwe łóżko, a właściwie ogromne łożo z wezgłowiem wykończonym mosiężnymi ozdobami. Długo nie mógł się zdecydować, bo miał wrażenie, że łóżko nie będzie pasowało do surowego wnętrza. Okazało się, że wręcz przeciwnie. Lana miała nie tylko rację, ale i niezaprzeczalny talent do dekoracji wnętrz. Łóżko pasowało do sypialni znakomicie, było również bardzo wygodne i wytrzymałe, o czym się przekonali, gdy tylko zostało wniesione na górę i ustawione blisko okna. Testowali je potem wielokrotnie.

Jednak ich spotkania nie ograniczały się tylko i wyłącznie do dzikiego seksu pośród pomiętej pościeli. Od czasu do czasu opuszczali swoją samotnię i szli do opery albo kina. Parę razy zdarzyło im się zawędrować na uliczny targ, gdzie bawili się doskonale i skąd wrócili z całym mnóstwem kompletnie nieprzydatnych rzeczy. Ich odmienny gust i upodobania jakoś się uzupełniały i tworzyły mieszankę, która urozmaicała życie. Daniel

wielokrotnie się zastanawiał, jakim cudem ich związek nie tylko funkcjonuje, ale daje im tak wiele radości.

Stał już dość długo przy oknie, gdy nagle jakiś wewnętrzny impuls kazał mu oderwać wzrok od granatowej wody kanału. Spojrzał w dół, na chodnik, a jego czujne oczy wyłuskały z tłumy sylwetkę Lany. Szła lekkim, energicznym krokiem, w dłoni trzymała pokaźnych rozmiarów torbę firmową domu towarowego Drake'a. Widocznie wyszła z pracy wcześniej i zdążyła się przebrać, bo zamiast prostego, eleganckiego kostiumu miała na sobie lniane spodnie i koszulę w odcieniu dojrzałej limonki. Nim przeszła przez jezdnię, uważnie rozejrzała się na boki, czy przypadkiem nie nadjeżdża samochód. Bawiło to wcześniej Daniela, jednak teraz, kiedy obserwował ją z góry, z jakiegoś powodu rozczuliła go jej niemal dziecięca ostrożność.

Początkowo miał zamiar udawać, że go nie ma i wrócić do przerwanej pracy nad portretem, jednak szybko zmienił zdanie. Wychylił się z okna i zastukał w szybę. Uniosła głowę i osłaniając oczy przed ostrym słońcem, pomachała mu na powitanie.

- Pracujesz? - zawołała.

- Nie - skłamał gładko. - Wchodź na górę!

Nie musiał otwierać jej drzwi, Lana miała własny klucz. Wydawało się to naturalne, jak mnóstwo rzeczy, które w przypadku innych kobiet były nie do pomyślenia. Tym razem wszystko wyglądało inaczej, i to już od samego początku.

Jak człowiek przebudzony ze snu, potarł dłońmi twarz, a potem przesunął palcami po włosach. Kiedy usłyszał chrobotanie klucza w zamku, podszedł do szczytu schodów. Stał tam i czekał, aż Lana wejdzie do środka. Poczul na jej widok tak wielką radość, że aż go to zaskoczyło.

Czy to się kiedyś skończy, osłabnie, spowszednieje, pytał samego siebie, schodząc w dół.

- Cześć! Przypuszczałam, że będziesz w domu. Nie przeszkadzam ci?

- Skąd. Co masz w tej torbie?

- Narzutę na łóżko.

- Narzutę?

- Nie bój się. Jest bardzo prosta i ma zdecydowanie męski wzór, nie zniszczy twojej reputacji twardego samotnika. Żadnych kwiatów, ptaszków czy brokatów.

- Mam nadzieję. - Zmarszczył czoło i spojrzał nieufnie na pękatą torbę. Pozwalał, by Lana urządzała mu dom, i raczej mu to nie przeszkadzało. Skoro sprawiała jej to przy-

jemność, mógł żyć w schludnym, „udomowionym” wnętrzu, byle tylko nikt go nie zmuszał do porządków. - Jeśli już ją kupiłaś, to chodźmy od razu na górę - zaproponował podstępnie.

- Jeżeli nie będzie ci się podobała, możesz zrobić z niej ścierkę do podłogi. I tak była przeceniona. Tak czy owak, jest o niebo lepsza niż ta szmata, którą przykrywasz pościel. O ile w ogóle chce ci się ścielić łóżko.

Weszła za nim do sypialni, zła, że najmniejszym choćby słowem czy gestem nie okazał wdzięczności za jej starania. Kiedy byli przy łóżku, nie wytrzymała i rzuciła w niego torbę.

- A „dziękuję”? - spytała tonem pełnym wyrzutu, choć jeszcze przed sekundą obiecywała sobie, że tego nie zrobi.

- Pewnie podziękowałbym ci już dawno, gdyby nie wykład, który mi zafundowałaś. - Wzruszył ramionami i wcisnął ręce w kieszenie dżinsów.

- To nie był żaden wykład.

- Tylko co?

- Komentarz. Prawda w oczy kole, tak?

- Hej, dokąd się wybierasz? - Chwycił ją błyskawicznie za ramiona, zorientowawszy się, że Lana zamierza wyjść. Ona jednak zdołała się wywinąć i zbiegła szybko po schodach.

- Do domu. Możesz być pewien, że kiedy następnym razem najdzie mnie ochota, żeby zrobić ci niespodziankę, spokojnie poczekam, aż mi przejdzie.

- Nie prosiłem cię, żebyś kupowała mi narzutę. Ani żebyś myła moje naczynia czy robiła dla mnie zakupy na bazarze.

- W porządku. Zrozumiałam. Możesz być pewien, że to się nie powtórzy. Nie będę też nachodziła cię bez uprzedzenia. Wiem już, jestem ci potrzebna tylko wtedy, kiedy masz ochotę pójść ze mną do łóżka!

Poczuł, jak ogarnia go dzika furia. Bał się, że za chwilę zrobi albo powie coś, czego potem będzie żałował, więc instynktownie cofnął się o krok.

- Nie mieszaj do tego seksu, bo nie o to chodzi. - W jego głosie wyraźnie słychać było wzburzenie. Nie czekając na jej reakcję, odwrócił się gwałtownie i poszedł do pracowni.

- Nie chodzi o seks? Więc o co? - zawołała, a ponieważ ją zignorował, niewiele myśląc, ruszyła za nim. Nigdy dotąd nie wchodziła do pomieszczenia, w którym pracował, sam też nigdy jej tam nie zapraszał. Była jednak tak wzburzona, że nawet nie pomyślała o tym, iż za chwilę wkroczy do świata, który do tej pory był dla niej całkowitą tajemnicą. - Nie chodzi o seks, więc o co? - powtórzyła. - No, słucham! Co masz mi do powiedzenia?

- Nie wiem, o co chodzi! - prawie krzyknął i odwrócił się, gotowy odeprzeć jej atak. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie, aby zrozumieć, że ma przed sobą kobietę, którą dopiero co podziwiał na swoim portrecie. Zapatrzył się w nią, potem przeniósł wzrok na portret. Przez ułamek sekundy miał niesamowite wrażenie, że istota stworzona w jego wyobraźni ożyła, zesłała z płótna i oto stoi przed nim, a on zupełnie nie wie, jak zareagować. Pokręcił głową i powoli podszedł do okna. Spojrzał daleko przed siebie, jakby miał nadzieję, że na nieskazitelnie błękitnej płachcie nieba znajdzie sensowną odpowiedź.

- Powiedz coś - jej szept zabrzmiał wyraźnie w głębokiej ciszy.

- Nie wiem, co mam powiedzieć. Sam tego nie rozumiem. Po prostu trafiłaś na zły moment. Ostatnio mam ich bardzo wiele - przyznał otwarcie. - Widocznie na starość robię się zgryźliwy - dodał samokrytycznie.

Lana przyznała mu w myślach rację. Miewał nastroje i humory, które zmieniały się równie niespodziewanie, jak pogoda. Nie bardzo wiedziała, jak sobie z tym radzić, jak traktować te nagłe wahania i wybuchy temperamentu. Daniel był naprawdę nieobliczalny. Jeszcze kilka minut wcześniej zachowywał się arogancko i był irytujący, a teraz wyglądał tak żałośnie, że zapragnęła podejść do niego i go pocieszyć.

Szybko się jednak pohamowała. Przypomniała sobie, że nie odpowiada jej rola pocieszycielki chimerycznego artysty.

Przez chwilę wpatrywała się w jego mocną, wysoką sylwetkę na tle błękitu za oknem. Wiedziała, że powinna odwrócić się i wyjść jak najszybciej, a wydarzenia ostatnich tygodni potraktować jako jeszcze jedno cenne życiowe doświadczenie. Nie zrobiła tego jednak. Odwróciła wzrok i zaczęła uważnie rozglądać się po pracowni.

Charakter właściciela odbijał się we wszystkich przedmiotach wypełniających to przestronne, jasne pomieszczenie - od opartych o ściany płócien, przez sztalugi i pojemniki z farbami, po niezliczoną ilość pędzli i pędzelków. Najsilniej wszakże podzielał na nią unoszący się w powietrzu specyficzny zapach, tak dobrze znany i niepokojąco zmysłowy. Mieszanina, na którą składał się delikatny zapach jakichś męskich kosmetyków i ostra woń farb oraz terpentyny.

Podeszła do jednej ze ścian i zaczęła kolejno odwracać obrazy. Niektóre były już skończone, inne wyglądały tak, jakby Daniel porzucił je w połowie pracy. Różniły się tematyką. Jedne namalowano zamaszyście, grubymi pociągnięciami pędzla i przy użyciu jaskrawych, wesołych barw. Były też bardziej stonowane, jakby melancholijne. Patrzyła na wszystkie dość długo i w końcu musiała przyznać uczciwie, że nie jest w stanie zrozumieć sztuki Daniela.

Za to z całą pewnością mogła powiedzieć, że to, co starał się wyrazić na swoich płótnach, budziło w niej silne emocje. Potrafiła odczytać ich klimat, była w stanie wczuć się w ich nastrój. W pewnej chwili pojęła, że malarstwo Daniela działa na nią dokładnie tak, jak on - jego też nie potrafiła zrozumieć do końca, lecz dzięki niemu budziły się w niej odczucia, których dotąd nie znała.

- Nastroje... - powiedziała półgłosem, odwracając kolejny obraz.

- A ty ich nie masz? - Zostawił w spokoju widok za oknem i spojrzał w jej stronę. - Zawsze jesteś zrównoważona i opanowana?

- Myślę, że tak.

- Lano, powiedz mi, na miłość boską, co nas do siebie ciągnie? - zapytał bezradnie.

- Czy ja wiem? - Uciekła przed jego natarczywym wzrokiem i wzruszyła ramionami. - Sama tysiące razy zadawałam sobie to pytanie. Zresztą, zdaje się, że już to ustaliliśmy. Jest między nami silna, ale czysto fizyczna więź. Nagi instynkt, tak to się chyba nazywa.

- I tylko to? Nic więcej?

- Chyba tak... jak ten obraz - dodała, wskazując nagle jedno z płócien. - Poplątane emocje, pasja. Uczucia proste, surowe, ale jednocześnie bardzo niebezpieczne. I nie do końca przyjemne.

Podążył wzrokiem za jej dłonią. Obraz, o którym mówiła, był tym samym płótnem, które skończył dosłownie kilka godzin wcześniej, zanim ją poznał i zanim wszystko w jego życiu uległo gwałtownej przemianie.

- Nazwałem go Żądza.

- Żądza - powtórzyła cicho. - Żądza ma to do siebie, że trzeba ją szybko zaspokoić. A potem znika. Zastępuje ją inna.

- Nawet jeśli się tego nie chce?

- Tak.

- Chodź do mnie - wyciągnął rękę. - Pokażę ci coś, a ty powiesz mi, co o tym myślisz.

Podeszła do niego, lecz nie przyjęła jego dłoni. Wiedziała, że nawet tak niewinna forma fizycznej bliskości jest bardzo niebezpieczna. Kiedy jednak położył rękę na jej ramieniu, nie zaprotestowała i pozwoliła zaprowadzić się do sztalug.

- Powiedz mi, co widzisz - poprosił, z zaciekawieniem obserwując jej reakcję.

Reakcją Lany było zdumienie. Bezwiednie podniosła rękę i przyglądała włosy, jak zawsze, kiedy była zdenerwowana albo stremowana. Po chwili skrzyżowała ręce na piersiach, zupełnie jak kobieta na portrecie.

- To wyszło mi zupełnie przypadkiem - wyjaśnił Daniel. - Kiedy brałem się do roboty, myślałem o czymś innym. Co innego widziałem, co innego czułem. A efekt jest taki, jak widać. Skończyłem ten obraz teraz, dzisiaj, dosłownie moment przed twoim przyjściem.

- Ale... na tym portrecie jestem bardzo piękna.

- Bo taka jesteś w rzeczywistości.

Wpatrywała się w twarz kobiety, która miała być jej sobowtórem, a raczej artystyczną wizją jej postaci, i czuła coraz większe zmieszanie. Miała nieprzyjemne wrażenie, że została obnażona, że ktoś bez jej wiedzy odkrył najintymniejszą tajemnicę, której nawet ona sama nie знаła. Zdawało jej się, że Daniel zdarł z niej maskę, w której czuła się dobrze i bezpiecznie, pokazał coś, czego istnienia ledwie się domyślała. Odkrył jej drugą naturę, wydobył ją na światło dzienne, w swojej wizji uchwycił i pokazał to, czego Lana wołała nie widzieć.

- Ja taka nie jestem. To nie ja - szepnęła.

- Taką cię wtedy zobaczyłem. Zaspokojoną i pełną wewnętrznej siły. Zresztą mówiłem już, że nie to chciałem malować. Jednak właśnie ten obraz prześladował mnie i nie dawał mi spokoju. - Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka, a potem ujął jej twarz w obie dłonie i uniósł leciutko, by spojrzeć mu prosto w oczy. - Nie wiesz nawet, jak mnie to dręczy - powiedział cicho. - Powiedz mi, dlaczego to się jeszcze nie wypaliło? Dlaczego nie mam jeszcze dość i muszę ciągle do ciebie wracać? Dlaczego nie mogę pójść dalej swoją drogą?

- Tego pragnęłaś? Zaspokoić pożądanie i pójść dalej swoją drogą?

- Żebyś wiedziała! Właśnie tak wyobrażałem sobie naszą znajomość. Niestety, stało się inaczej, więc zaczynam się ciebie obawiać. - Przysunął twarz do jej twarzy i delikatnie musnął ustami jej wargi. - Och, Lano...

- Powinniśmy od siebie odpocząć. - Próbowała odsunąć się od mego, jak najszybciej opanować drżenie rąk i zamęt w głowie, ale nie była w stanie się poruszyć. Jego bliskość paraliżowała ją i obezwładniała. Nie miała w sobie dość siły, żeby walczyć z tą słabością. - Odpocznijmy od siebie - powtórzyła, lecz w jej głosie zabrakło stanowczości.

- Zgoda - wyszeptał, chwytając ustami pasma jej włosów.

- Widujemy się bez przerwy od kilku tygodni. Potrzebujemy trochę wytchnienia, trochę czasu, choćby po to, żeby zastanowić się, co z tym dalej robić.

- Tak, tak chyba będzie najlepiej. - Przytulił ją mocno, a ona objęła go i ukryła twarz w jego ramionach.

- Tylko że ja wcale tego nie chcę - powiedziała żałośnie.

- Ani ja!

- Nie chcę też zakochać się w tobie. Nie czuję się na siłach. Takie uczucie byłoby dla mnie katastrofą.

- Wiem. A czy myślisz, że się zakochałaś?

- Prawie. W każdym razie jestem tego bliska.

- Ja też!

- Daniel, nie możemy na to pozwolić! Zniszczymy wszystko i potem będziemy żałować...

Nie pozwolił jej dokończyć. Jego pocałunek nie był już tym delikatnym muśnięciem, które chwilę wcześniej wprawiło ją w drżenie. Tym razem była w nim pasja i namiętność, przed którą zupełnie nie umiała się obronić. Jeśli dotąd próbowała zachować resztki rozsądku, teraz nie mogła dłużej udawać, że przy nim uda jej się zachowywać racjonalnie. Ciało nie ulegało nakazom rozumu i samo szukało przyjemności, która kołysała je jak ciepła, pieszczotliwa fala.

- Zostań ze mną - poprosił Daniel.

Nie odpowiedziała. Nie skinęła głową ani nie pokręciła nią przecząco. Spokojnie pozwoliła wziąć się na ręce i zanieść prosto do łóżka, które kiedyś razem wybrali. Stało w plamie popołudniowego słońca, zupełnie jak rekwizyt na scenie zalanej światłem reflektorów, gotowe na rozpoczęcie spektaklu, w którym kolejny raz miał się spełnić odwieczny akt miłości i zaspokojenia.

Kochali się bez pośpiechu i gwałtowności, jakby czas należał do nich i miał się nigdy nie skończyć. Każdy dotyk, każda pieszczota była dokładnie przemyślana. Rozkosz wlewała się w ich rozgrzane ciała leniwą strugą, wypełniała je, pieściła tysiącem przyjemnych dreszczy. Mieli ochotę przedłużać to w nieskończoność, dawać i brać bez ograniczeń, wymyślać coraz to nowe pieszczoty. Ich powolne, leniwe ruchy przypominały zmysłowy taniec, w którym oboje partnerzy chcą zatracić się bez reszty. Ciała przylegały do siebie idealnie, ruchy były pełne harmonii. Wtapiali się w siebie, wsłuchiwali we własne szept i westchnienia. Posłuszni wewnętrznemu rytmowi, który kołysał ich ciała, zmierzali pewnie ku chwili, kiedy staną się jednością i wreszcie stali się jednością. Dwa ciała połączył jeden puls rozsadzający skronie i mącący wzrok. Mimo to usiłowali patrzeć sobie prosto w oczy, patrzeć do końca, dojrzeć w nich to, o czym bali się mówić. Przede wszystkim zaś znaleźć Odpowiedź na tysiące pytań, którymi zadręczali się każdego dnia.

Lana obudziła się pierwsza. Za oknem zapadał późny wiosenny zmrok, niebo pyszniło się całą paletą wieczornych barw. Uniosła głowę i przez moment podziwiała ten obraz, lecz po chwili opadła z ciężkim westchnieniem na poduszki.

Odwróciła twarz i spojrzała na śpiącego Daniela. Pomyślała o tym, co przeżyli kilka godzin wcześniej. Na samo wspomnienie poczuła przyjemne ciepło. Jednak po chwili ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Miała sobie za złe, że kolejny raz uległa, że pozwoliła, żeby fizyczna przyjemność wzięła górę nad siłą woli.

Wiedziała przecież, że postępując w ten sposób, nigdy nie wyzwoli się z zauroczenia. A jednak zachowywała się płk ćma lecąca prosto w płomień świecy. Z jednej strony nie mogła pogodzić się z tym, że zmysły biorą górę nad rozsądkiem, z drugiej zaś wyjątkowo łatwo ulegała własnej słabości. Rozum podpowiadał, że będzie tego żałować. Zdawała sobie z tego sprawę, a mimo to nie umiała powstrzymać ani siebie, ani Daniela. Zamiast go odepchnąć, wołała kochać się z nim, a potem leżeć skulona u jego boku i wsłuchiwać się w głęboki, równy oddech i spokojne bicie serca tuż pod swoim policzkiem.

To się musi skończyć. I to jak najszybciej!

Ta myśl była jak sygnał ostrzegawczy, nie dała się odegnąć. Lana zrozumiała, że albo wstanie i wyjdzie, albo będzie musiała przyznać się do całkowitej klęski. Gwałtownie odrzuciła prześcieradło, którym byli nakryci, i sięgnęła po rozrzucone rzeczy. Ubierała się szybko, ponaglana przez własną niepewność i strach.

- Co robisz? - Daniel uniósł się na łokciu i walcząc z sennością, obserwował, jak Lana szarpie się z guzikami koszuli.

- Wracam do siebie.

- Dlaczego?

- Obydwoje potrzebujemy czasu, żeby wszystko przemyśleć.

- Proszę, zostań!

- Nie. To nam nie pomoże, a nawet zaszkodzi. Poza tym wszystko dzieje się za szybko.

Podniósł się i jednym ruchem wciągnął dzinsy, gotów zatrzymać ją siłą.

- Posłuchaj - lekko położył dłoń na jej ramieniu - naprawdę bardzo wiele dla mnie znaczysz.

Odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na niego, jakby nie do końca była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Wiem - powiedziała w końcu, choć głos jej drżał i z trudem dobywała słowa ze ściśniętego gardła - ty też jesteś dla mnie ważny. Ale potrzebuję czasu, kilku dni, żeby wszystko sobie przemyśleć. Chcę wiedzieć, czy to, co przeżywamy, nie jest najzwyczajszym w świecie romanssem, który skończy się niedługo w jakiś banalny, głupi sposób. Być może zaangażowaliśmy się za bardzo.

- Przecież obydwoje wiemy, że tak. Nad czym tu się zastanawiać?

- Nie wiem. - Popatrzyła na niego wzrokiem, w którym bez trudu dostrzegł strach. Tak, bała się. Przy Danielu zapominała o własnych planach, ambicjach, o wszystkim, co do niedawna było dla niej najważniejsze.

- Czy przeraża cię to, że nie panujesz nad sytuacją i nie rozumiesz, o co ci chodzi? - zapytał.

- To też. Proszę cię, bądź rozsądny. Uwierz mi, że oby dwoje musimy dobrze się zastanowić, zanim zdecydujemy bawić się w to dalej. Przecież wiesz o tym. Pozwól nam trochę ochłonąć.

- A jeśli to nie pomoże?

- Wtedy będziemy się martwić.

- Ale ja wiem już teraz, że bardzo cię pragnę!

- Gdyby tylko o to chodziło, nie byłoby problemu.

- Jakiego problemu? Co złego w tym, że się kogoś pragnie coraz bardziej?

- Nic. Jednak chcę się nad tym wszystkim zastanowić. Proszę cię, nie próbuj mnie zatrzymać, bo i tak nie jest mi łatwo.

Była już prawie przy drzwiach, kiedy znów ją zawołał. Nie powiedział nic poza jej imieniem, ale to wystarczyło, żeby wszystko zrozumiała. Poczowała, jak przenikają ją fala gorąca, niczym w chwili ogromnego niebezpieczeństwa albo silnego wzburzenia. Nie zatrzymała się jednak ani nie odwróciła, żeby na niego spojrzeć. Zabrakło jej odwagi. Potrząsnęła tylko głową i z całych sił naparła na drzwi. Po chwili Daniel usłyszał jej szybkie kroki, które odbijały się echem w pustej przestrzeni klatki schodowej. Bała się, że będzie próbował ją zatrzymać, wolała więc nie tracić czasu, czekając na windę.

W pierwszej chwili Daniel rzeczywiście miał ochotę wybiec za nią i zmusić ją do powrotu. Spróbowałby ją przekonać, by została, a jeśli by to nie pomogło, zaniósłby ją do mieszkania na rękach, jak pierwszego dnia. Zabrałby ją prosto do łóżka, bo tylko tam potrafili się dogadać.

Tylko co stałoby się z nimi potem? Nie był na tyle naiwny, żeby ludzić się, iż można przeżyć życie w łóżku, choćby seks był najcudowniejszym doświadczeniem. Wściekły, zaklął pod nosem i poszedł do pracowni.

Nie podszedł do okna. Nie chciał patrzeć, jak Lana odchodzi. Wybrał dwa obrazy i oparł je o ścianę jeden obok drugiego. Pierwszym było płótno, które zatytułował Żądza, drugim - dopiero co skończony portret, który nazwał Lana. Przyglądał im się długo, ale nie

oceniał ich artystycznej wartości. Próbował zrozumieć, kiedy te dwa słowa - Lana i Żądza - stały się jednym.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lana wybiegła na ulicę i bez zastanowienia ruszyła w stronę domu. Gdy było jej źle, gdy czuła się nieszczęśliwa albo zagubiona, zawsze szukała schronienia we własnych czterech ścianach. Jedynie pośród swoich wnetrz, znanych sprzętów, w ciepłe własnego pokoju potrafiła wrócić do równowagi. Najbardziej kochała dom w Waszyngtonie, który, choć nie bardzo lubiany przez rodziców, dla niej był oazą bezpieczeństwa i spokoju.

Ponieważ mieszkanie Daniela znajdowało się zaledwie parę przecznic dalej, bardzo szybko stanęła przed furtką do swojego ogrodu. Zaczęła szukać w torbie kluczy, ale nagle zmieniła zdanie i postanowiła pójść na spacer. Ostatecznie powiedziała Danielowi, że chciałaby wszystko przemyśleć, nie było więc sensu odkładać tego na później. Najlepiej podjąć decyzję już teraz, na gorąco, gdy wciąż ma w pamięci smak ich miłości. Jeśli zdecyduje, że trzeba zerwać tę znajomość, przynajmniej będzie w pełni świadoma, co traci.

Ruszyła przed siebie wzdłuż rzędu ozdobnych, kutych ogrodzeń, za którymi widać był starannie utrzymane trawniki przed domami z czerwonej cegły. Choć szła wolno, nie zwracała uwagi na rozkwitające wokół wiosenne krzewy i kwiaty. Patrzyła na wszystko niewidzącym wzrokiem, pochłonięta wszystkimi „za i przeciw”.

Najpierw uświadomiła sobie, co musiałaby poświęcić, wiążąc się z Danielem. Po pierwsze pracę. Jeszcze tak niedawno snuła ambitne plany, wyobrażała sobie, jak to pod jej kierownictwem dom towarowy Drake'a staje się najelegantszym sklepem na całym Wschodnim Wybrzeżu. Ten sukces zawdzięczałaby oczywiście tylko i wyłącznie sobie, własnej ciężkiej pracy. Nikt nie mógłby jej zarzucić, że osiągnęła go tylko dlatego, że jest dziedziczką rodzinnej fortuny.

Z pracą wiązały się zresztą nie tylko osobiste ambicje, lecz także mnóstwo przyjemności. Na przykład podróże. Lana uwielbiała wyjazdy na pokazy mody, spotkania z ludźmi z branży, eleganckie hotele. Nie przeszkadzało jej, że wiele osób przyjeżdża do Paryża czy Mediolanu tylko ze snobizmu. Dla niej te wyjazdy nie miały nic wspólnego z bywaniem w tak zwanym „wielkim świecie”. Traktowała je jako okazję do zapoznania się z najnowszymi trendami w modzie, odkrycia jeszcze nie znanych, ale obiecujących młodych projektantów. Po powrocie decydowała, co kupić do najnowszej kolekcji, i rzadko kiedy zawodziła ją intuicja. Bezsprzecznie miała nie tylko znakomite wyczucie gustu swoich klientów, lecz także zmysł handlowy i smykałkę do interesów. Wszystko to wróżyło jej

błyskotliwą karierę, wydawało się więc oczywiste, że nie powinna poświęcać swoich talentów czy zawodowych sukcesów w imię uczuć, których nie była do końca pewna.

Jednak Lana nie była ich pewna, bo brak jej było odpowiedniego doświadczenia. Nie potrafiła nazwać tego, co przeżywa, bo było to dla niej czymś nieznanym. Do tej pory nigdy nie była zakochana. Miewała przelotne związki z mężczyznami, lecz najczęściej opierały się one na krótkotrwałej i niegroźnej fascynacji. Zwykle wybierała zresztą mężczyzn, którzy byli na tyle interesujący, żeby się z nimi nie nudzić, i na tyle bezpieczni, żeby w żaden sposób nie zagrozić jej wolności. Ani jeden nie poruszył jej serca, nie wprowadził jej w uniesienie, dlatego po kilku zaledwie spotkaniach rozstawała się z nimi bez żalu i spokojnie wracała do własnych spraw. Te zawsze były ważniejsze i żaden, nawet najbardziej interesujący facet, nie mógł z nimi konkurować.

Do tej pory wydawało jej się, że nikt nie jest w stanie zmusić jej do zmiany planów i porzucenia dotychczasowego stylu życia. Danielowi powtarzała zawsze, że chce żyć po swojemu, lecz od niedawna dręczyła ją myśl, że „żyć po swojemu” oznacza funkcjonować tak, jak robili to jej rodzice - niby razem, a jednak osobno, nie wchodząc sobie w drogę i nie komplikując spraw. Musiała przyznać, że choć z jednej strony potępiała takie postępowanie, z drugiej nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej. Właśnie w taki sposób wyobrażała sobie małżeństwo i nie była w stanie uwierzyć, że wspólne życie dwojga ludzi może być czymś więcej.

Nie, na pewno nie może. Żadnego ślubu, żadnego męża, żadnego stałego związku, powtórzyła w myślach kilkakrotnie, dopóki nie poczuła, że udało jej się przekonać samą siebie.

W swojej wędrówce dotarła aż do końca dzielnicy. Ruch uliczny stawał się tu coraz większy, coraz częściej słychać było klaksony samochodów. Właśnie one wyrwały ją z zamyslenia. Rozejrzała się półprzymtomnie dookoła i zdecydowała, że pora wracać do domu. Po drodze zaczęła planować „akcję ratunkową”, dzięki której raz na zawsze miała uwolnić się od fatalnego zauroczenia Danielem MacGregorem.

Po pierwsze będzie trzymała się od niego z daleka. Żeby ułatwić sobie to zadanie, postanowiła wziąć kilka dni urlopu i wyjechać z miasta. Pojedzie gdzieś, gdzie będzie mogła w spokoju odpocząć. A po powrocie rzuci się w wir pracy i zapomni o tych kilku tygodniach czystego szaleństwa, które całkowicie zburzyło jej wewnętrzny spokój. Gdyby Daniel próbował skontaktować się z nią, nie odpowie na żaden telefon ani list.

Snując te plany, stawała się coraz spokojniejsza. Czuła, jak z każdą chwilą wraca jej równowaga. Szła coraz szybciej, marząc w duchu o ciepłej kąpielii i kieliszku czerwonego

wina - remedium na kiepski nastrój - lecz gdy była już zaledwie parę kroków od domu, usłyszała dobiegający. z boku radosny okrzyk:

- Ach, jesteś! Przerazona, rozejrzała się na wszystkie strony i ku swemu zdumieniu ujrzała ciotkę Martę, dziarsko przechodzącą przez ulicę obok niej.

- Witaj, moja kochana! - Starsza pani uściskała ją mocno i wyciągnęła w oba policzki.

- Co ciocia tu robi?

- Wieczór taki piękny, że nie mogłam odmówić sobie małego spaceru. Pomyślałam, że przy okazji wpadnę i zobaczę, co u ciebie słychać. Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo zajęta.

- Marta przyjrzała się uważnie swojej chrześnicy, a jej bystry wzrok natychmiast dostrzegł większą niż zwykle bladeść i podkrążone oczy dziewczyny. - A może sprawiam ci kłopot? - zapytała. - Kochanie, powiedz mi szczerze, czy aby nie masz ostatnio jakichś kłopotów?

- Nie, ciociu. Nie mam żadnych.

- Więc co ci dolega?

- Nic, naprawdę! - Lana skłamała zdecydowanym tonem. - Zapraszam na herbatę. Chodźmy do mnie.

Weszły po schodach, objęte jak przyjaciółki, pomimo znacznej różnicy wieku.

- Mam nadzieję, że jak sobie spokojnie usiądziemy, to jednak mi powiesz, dlaczego się martwisz. Albo może raczej powinnam powiedzieć: z czyjego powodu! - dodała ciotka, idąc za Laną do kuchni.

- Nie jestem nieszczęśliwa, ciociu. Po prostu miałam kilka ważnych spraw, nad którymi musiałam dobrze się zastanowić. Może ciocia usiądzie sobie w salonie, a ja tymczasem przygotuję herbatę?

- Nie, skarbie, pójdę z tobą. Przy kuchennym stole będzie nam najwygodniej. Kuchnia to najprzytulniejsze miejsce w każdym domu, prawda? - zagadnęła, sadwiąc się przy masywnym stole. Przez chwilę zabawiała dziewczynę nowinkami dotyczącymi ich wspólnych znajomych, szybko Jednak uznała, że pora wreszcie przejść do rzeczy. - A na ten spacer wybrałaś się sama? - zapytała niewinnie.

- Nie... to znaczy tak. Jakoś tak się złożyło. - Lana nie miała najmniejszej ochoty wtajemniczać ciotki w powody, które kazały jej snuć się samotnie po cichych uliczkach.

- Warto było wyjść z domu. Wieczór jest naprawdę przepiękny - westchnęła Marta, spoglądając w stronę okna.

Jeszcze parę tygodni i wszyscy zaczną narzekać na upały. Ale póki co mamy maj, najpiękniejszą porę roku, do tego miesiąc zakochanych. A właśnie, jak tam sprawy sercowe, Lano? Nie zakochałaś się czasem? Nie spotykasz się z nikim?

- Sama nie wiem. Coś się chyba wydarzyło. Ale ja naprawdę nie mam ochoty na żadne romanse.

- Bój się Boga, dziewczyno! Dlaczego?!

- Bo nie wiem, jak sobie z tym radzić. Drake'owie znają się na interesach, nie na miłości.

- Jak możesz tak mówić?

- Jak to, jak! - Odwróciła się zirytowana do ciotki. - Przecież zna ciocia moich rodziców, ba, nawet moich dziadków. Chyba nie powie mi ciocia, że ich małżeństwa były udane.

- Nie były. - Marta rozsiadła się wygodnie, jakby przygotowując się do odparcia ataku.

- Nie były i wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja. W przypadku twoich rodziców, wina leżała po stronie matki. Muszę powiedzieć, że ta kobieta bardzo mnie rozczarowała. Wyszła za twojego ojca tylko dlatego, że należeli do tej samej sfery, uznała więc, że będą do siebie pasowali. Myślała, że to wystarczy, by stworzyć rodzinę. Poza tym imponowało jej, że stanie się panią Drake. Nie chcę jej krytykować. Ma to, czego chciała, i pewnie jest na swój sposób szczęśliwa.

- Ja także nie chcę jej krytykować. Ani tym bardziej żyć jak ona. - W głosie Lany dało się wyczuć złośliwość. - Dlatego mam zamiar żyć samodzielnie. Żadnych dzieci, żadnego męża. Chcę w pełni odpowiadać za to, co robię, i nie tłumaczyć się przed nikim z moich planów.

- To brzmi poważnie. - Marta przyjrzała się z uwagą swojej chrześnicy. - Skoro tak doskonale wiesz, czego ci trzeba, to dlaczego nie jesteś szczęśliwa?

- Mówiłam już, że nie jestem nieszczęśliwa. Po prostu trochę się to wszystko skomplikowało. Ale będzie dobrze, niech się ciocia nie martwi.

- Co to znaczy, że się skomplikowało? Zakochałaś się?

- Nie wiem. Nie znam się na miłości.

- I nic dziwnego. To nie mechanika. Miłość trzeba czuć, cieszyć się nią, dzielić ją z bliską osobą. A nie się na niej znać.

- W porządku. Tylko że ja nie chcę odczuwać podobnych rzeczy.

- Nie chcesz miłości, bo się jej boisz. Mam rację? - spytała Marta i popatrzyła na Lanę ze współczuciem.

- Być może. Powiedz mi lepiej, ciociu, czy można nazwać miłością to, co czuła moja matka, kiedy miała romans ze swoim instruktorem tenisa. Albo ojciec, kiedy wyjeżdżał w te swoje delegacje, zawsze w towarzystwie swojej asystentki.

Marta milczała długo, potem westchnęła głęboko i ze smutkiem pokręciła głową.

- A więc wiedziałas o wszystkim.

- Oczywiście! Nie było dla mnie tajemnicą ani to, ani wiele innych rzeczy. Dzieci nie są nawet w połowie tak naiwne, jak sądzą dorośli. W każdym razie jedno jest pewne: nie zamierzam wychodzić za mąż tylko po to, żeby zdradzać albo być zdradzaną.

- Lano! - Marta w końcu zaczęła tracić cierpliwość. - Nie bądź dzieckiem! Wiesz przecież, że nie wszystkie małżeństwa wyglądają tak, jak związek twoich rodziców. Pomyśl o mnie i Herbercie. Przez ponad pięćdziesiąt lat wspólnego życia byliśmy sobie wierni, a przy tym bardzo oddani i szczęśliwi. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała i za nim nie tęskniła.

- Wiem, ciociu - przyznała ze wzruszeniem Lana. Instynktownie wyciągnęła rękę i pogładziła dłoń Marty. - Ale ty i wujek Herbert byliście wyjątkiem, który niestety potwierdza regułę. Podczas każdego z moich wyjazdów widzę, co wyprawiają ludzie, którym uda się wyrwać z domu. Te przelotne romanse, przygody, niby niewinne flirty... Ohyda! Nieraz widziałam, jak mądre, pewne siebie kobiety tracą głowę dla jakiegoś idioty, który traktuje je jak zdobycz.

- To, że inni postępują głupio, wcale nie znaczy, że musisz robić to samo. Nigdy nie uczono cię, że strach przed porażką uniemożliwia osiągnięcie sukcesu?

- Uczono. Podobnie jak tego, że o sukcesie decyduje rozsądek oraz właściwe planowanie.

- Dajmy temu spokój. - Drobną dłoń Marty wykonała w powietrzu niecierpliwy gest. - Jesteś taka młoda, a mówisz jak osoba ciężko doświadczona przez los.

- To, że jestem młoda, nie znaczy, że nie mam świadomości własnych ograniczeń.

- Boże, nie mów tak! - jęknęła Marta, myśląc w duchu, że za jej czasów młodość była zupełnie inna. - Nie mogę tego słuchać.

- Dobrze - Lana uśmiechnęła się pojednawczo - jako osoba praktyczna mam zamiar jak najszybciej uporządkować swoje sprawy. Dlatego postanowiłam wyjechać na kilka dni, zmienić otoczenie, uspokoić się. A potem zobaczymy. Oboje z Danielem pozwoliliśmy, by sprawy zaszły trochę za daleko. Trzeba będzie to naprawić.

To się jeszcze zobaczy, skomentowała Marta w myślach. Przez chwilę wpatrywała się we wzór na swojej filiżance, rozważając jednocześnie, czy nadeszła odpowiednia pora na decydujący ruch.

- Wiesz, moja droga - odezwała się w końcu, ważąc każde słowo - to się nawet dobrze składa. Szczerze mówiąc, przyszedłam do ciebie w konkretnej sprawie. Otóż wybieram się na północ, a jak wiesz, osobie w moim wieku ciężko podróżować samej...

To zuchwałe kłamstwo przyszło jej wyjątkowo gładko. Połowa Waszyngtonu wiedziała, że Marta Dittemeyer nie zawaha się przed najdalszą wyprawą, bo jeździć lubi, robi to często i zwykle nie potrzebuje żadnego towarzystwa.

- Cóż, jeśli mam być szczerą, to myślałam o wyjeździe... - zaczęła Lana, ale Marta nie dała jej skończyć.

- Tak, tak, rozumiem. To żadna przyjemność tłuc się gdzieś ze starszą panią. Za nic w świecie nie chciałabym ci się narzucać. Dobrze, poszukam kogoś innego. Wybacz mi, ale sama wiesz, jak to jest - westchnęła i jak na zawołanie przybrała pozę steranej życiem staruszki - człowiek w pewnym wieku robi się jak dziecko. Te lotniska, to całe zamieszanie, wszystko jest takie męczące. Chyba wynajmę samochód z szoferem. Mój Boże, kiedy człowiek jest młody, nie ma dla niego trudnych spraw - znów westchnęła - ale potem...

- Ciociu! - Lana nakryła delikatną dłonią dłoń Marty.

- Oczywiście, że z ciocią pojedę. Choćby na koniec świata - dodała z łagodnym uśmiechem.

- Doprawdy, nie rób sobie kłopotu.

- To żaden kłopot. Jutro powiem w biurze, że nie będzie mnie przez parę dni, a pojutrze możemy jechać.

- Mój ty skarbie! Co ja bym bez ciebie zrobiła? - zawołała rozpromieniona Marta. - Daniel i Anna na pewno bardzo się ucieszą. Zawsze dopytują się o ciebie.

- Kto taki?

- Daniel i Anna. Nie mówiłam ci jeszcze, że jedziemy do Bostonu?

- Do MacGregorów?

- Oczywiście!

- O nie, ciociu! - Lana aż zakrztusiła się herbatą. - Naprawdę nie wiem... Chyba nie powinnam im się narzucać.

- Narzucać się? Przecież to nonsens. O nic się na martw. Zarezerwuję dla nas bilety.

Po tych słowach Marta zaczęła zbierać się do wyjścia, upominając się w duchu, żeby nie poruszać się zbyt energicznie. Pozwoliła odprowadzić się do drzwi, a szła wolno i majestatycznie, jak na damę w jej wieku przystało. Co chwila też zapewniała Lanę o swojej ogromnej wdzięczności i dopiero kiedy wyszła na ulicę i znalazła się poza zasięgiem wzroku chrześnicy, ruszyła swoim normalnym krokiem. Błyskawicznie pokonała dystans, który dzielił ją od samochodu, przywitała się z szoferem, po czym wygodnie rozparta na skórzanym siedzeniu limuzyny, zaczęła obmyślać dalszy plan działania.

Po pierwsze, musi natychmiast skontaktować się z Danielem. Potem wspólnie zastanowią się, jak najlepiej wykorzystać czas, który mieli do dyspozycji. Dwadzieścia cztery godziny powinny w zupełności wystarczyć na dopracowanie wszystkich szczegółów.

Marta uśmiechnęła się do swoich myśli i spojrzała przez okno na pełne wieczornego gwaru ulice. Wzrok miała błyszcząca, policzki zaróżowione i w ogóle wyglądała tak, jakby w mgnieniu oka ubyło jej lat.

Daniel MacGregor senior krążył po swym gabinecie jak lew po wybiegu. Co chwila wyglądał przez okno, wychodzące prosto na zwirowany podjazd, i kłął w duchu na czym świat stoi, zły, że goście się spóźniają. Tak bardzo się starał, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik, a teraz nie mógł zacząć przedstawienia, bo nie było najważniejszych aktorów.

Mimo przejściowych kłopotów stary wyga nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że wszystko pójdzie po jego myśli. Tym bardziej że znalazł niespodziewanie niczego nieświadomego pomocnika w osobie swojego wnuka, Duncana. Chłopak, który zjawił się w Hyannis Port z niezapowiedzianą wizytą, miał stać się w rękach starego spryciarza wygodnym narzędziem, dzięki któremu Daniel junior i Lana Drake padną sobie w ramiona. Oczywiście wszystko musiało odbyć się bardzo dyskretnie, z zachowaniem wszelkich pozorów naturalności. Po doświadczeniach ze swymi wnuczkami, stary stał się bardziej ostrożny. Wiedział już, że członkowie klanu czasami dziwnie reagują na fakt, że ktoś Stara się wyświadczyć im przysługę. Nie wątpił wszakże, że tym razem obejdzie się bez komplikacji.

- Dziadku? Jesteś tam? - z korytarza dobiegł głos Duncana.

- Jestem, jestem! Wchodź śmiało, chłopcze! - zawołał i uśmiechnięty ruszył do drzwi. Szerokim gestem otworzył je na oścież, po czym wciągnął wnuka do środka. Uściskał go z całych sił, posadził w wielkim fotelu i co chwila spoglądał na niego rozpromieniony i dumny, że jego córka ma tak udanego syna.

Bo też rzeczywiście Duncan Blade był bardzo przystojnym młodym człowiekiem. Po ojcu odziedziczył słuszny wzrost i gęstą czuprynę ciemnych włosów. Brązowe oczy chłopaka przypominały staremu oczy jego ukochanej Anny, a niedbały urok i wrodzony szyk kojarzyły się z jego córką, a matką Duncana. Oczywiście Daniel nie byłby sobą, gdyby nie pomyślał o tym, co wnuk odziedziczył po nim. Tu nie miał najmniejszych wątpliwości, że żyłka do hazardu wzięła się w prostej linii z dziadkowych genów.

Naprawdę byłaby wielka szkoda, gdyby taki wspaniały okaz miał mi się zmarnować, pomyślał Daniel. Rzecz jasna, w jego głowie dawno już dojrzał plan związany z przyszłością

Duncana, jednak z jego realizacją trzeba było jeszcze trochę poczekać. Ale to nic, pocieszył się szybko, co się odwlecze, to nie uciecze.

Z zamyślenia wyrwał go rozbawiony głos wnuka. Duncan najpierw węszył niczym ogar na polowaniu, a potem uśmiechnął się chytrze i zapytał, nie kryjąc wesołości:

- Dziadku, nie kurzył tu dziadek czasem cygaro? No, jak to było?

- Nie wiem, synu, o czym mówisz - odpowiedział stary głosem pełnym godności.

- Naprawdę? - Duncan wyciągnął długie nogi na sam środek pokoju, po czym niedbałym gestem sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął z niej ciemne, mocne cygaro i przesuwając nim pod nosem, przez chwilę delectował się zapachem. - No jak, dziadku? Nadal dziadek nie wie, o czym mówię? - zapytał.

- A, teraz to co innego! - Stary rozpromienił się jak dziecko na widok lizaka. - Zawsze wiedziałem, że porządny z ciebie chłopak.

- Zaraz, zaraz, to cygaro jest moje - powiedział Duncan, wkładając gruby koniec do ust. - Ale chętnie się z dziadkiem podzielę. Pod jednym warunkiem - dodał. - Powie mi dziadek, co tam dziadek znowu knuje, zgoda?

- Nic nie knuję. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jak to skąd? Cały dzień czatuje dziadek przy oknie. Chyba nie bez powodu?

- A, o to ci chodzi. - Daniel uśmiechnął się chytrze. - Po prostu czekam na moją starą przyjaciółkę i jej chrześnicę.

- Chrześnicę? Niech no zgadnę... - Duncan wyjął z ust cygaro i wycelował jego koniec prosto w dziadka. - Z pewnością dziewczyna jest wolna, a do tego w wieku przedmałżeńskim. Mam rację? Dobra krew? Porządna rodzina?

- A nawet jeśli tak jest, to co z tego?

- Nic. Chciałbym cię tylko uprzedzić, że ja nie jestem zainteresowany.

Słyszac to, Daniel nie posiadał się z radości. Wszystko szło dokładnie tak, jak sobie tego życzył. A nawet lepiej!

- Żebyś potem nie żałował - powiedział, wydymając wargi. - Mówię ci, dziewczyna jest śliczna jak obrazek. Urodziłyby ci cudne dzieciaki. Pora, mój chłopcze, zacząć o tym myśleć. Mężczyzna w twoim wieku...

- Dobra, dobra... - Duncan nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać po raz setny, co mężczyzna w jego wieku powinien. - Niech dziadek nawet nie myśli, że uda mu się zagnać mnie do ołtarza. Na świecie jest tyle pięknych i uległych kobiet, że jeszcze trochę potrwa, zanim się nimi nacieszę - powiedział, chowając cygaro do kieszeni.

- Obawiam się, że jest ich nawet za dużo. I w tym cały problem. Wiem, że wokół tego twojego pływającego kasyna kręcą się całe stada. Zamierzasz tak do końca życia kursować po rzece? Bez żadnego celu?

- A widział dziadek moje ostatnie rozliczenia? Niezła sumka, co? „Indiańska Księżniczka” to całkiem dochodowa dama. I jedyna, która rządzi moim sercem.

- Widziałem, widziałem. Rzeczywiście, jest się czym pochwalić, ale o to byłem zawsze spokojny. Wiem, że nie zginiesz w życiu, chłopcze. Pieniądze już masz, więc do szczęścia brakuje ci tylko żony i dzieciaków.

- Oj, dziadku! Dziadek znowu swoje!

- Słuchaj lepiej, co ci powiem. Ta dziewczyna, która tu zaraz przyjedzie, też ma głowę do interesów. Nie gorszą niż ty. A do tego jest naprawdę piękna. Zresztą sam za chwilę zobaczysz, bo zdaje się, że właśnie przyjechały - dodał stary i chyżo podbiegł do okna, zza którego dobiegał chrzęst opon na kamykach podjazdu. - Tak, to one! No, mój mały, leć na dół i ładnie się przywitaj! - zakomenderował. - Sam zobacz, jaką piękną sztukę dla ciebie wybrałem!

- Już lecę - odpowiedział Duncan z właściwą sobie ironią. - Ale niech dziadek jeszcze nie zamawia kwiatów weselnych. A to cygarko - przez chwilę obracał je w dłoni - zachowam jednak dla siebie.

- A niech cię! - zawołał za nim Daniel, lecz tak był pochłonięty swoimi intrygami, że nawet nie było mu bardzo żal przysmaku, który przeszedł mu koło nosa. Gdy zaś za Duncanem zamknęły się drzwi, klasnął w dłonie z uciechy.

- Tego mi było trzeba! Już widzę, jak nasz artysta zielenieje z zazdrości, widząc swoją Lanę adorowaną przez obrotnego kuzynka!

Szczęście sprzyjało staremu swatowi. Nim minęła godzina, Duncan połknął haczyk i nie odstępował Lany na krok. Flirtował z nią zawzięcie, a ona najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Śmiała się, słuchając jego dowcipów, zadowolona, że wreszcie znalazła się w miłym towarzystwie. Przez pewien czas wszyscy razem siedzieli w salonie, popijając herbatę i wymieniając uwagi na temat wyjątkowo pięknej wiosny. Daniel miał jednak do pogadania ze swoją przyjaciółką Martą, namówił więc Duncana, żeby zabrał Lanę do ogrodu, a kiedy młodzi zniknęli pośród świeżej zieleni wiekowych drzew, natychmiast przysiadł się do Marty.

Już miał zacząć swoje wywody, gdy nagle przeszkodziła mu Anna. Od pewnego czasu obserwowała męża bardzo uważnie i kiedy miała już pewność, że ten znowu zamierza bawić się w swata, postanowiła powiedzieć mu, co o tym myśli.

- Danielu! Bardzo proszę, daj sobie spokój! - powiedziała kategorycznie.

- Ależ o co ci chodzi, kobieto? - spytał niewinnym tonem, choć wiedział doskonale, co Anna ma na myśli.

- Przestań wreszcie zerkać na nich tym swoim lisim wzrokiem. Nie widzisz, że ani Lana, ani Duncan nie są sobą zainteresowani? W ogóle do siebie nie pasują - mówiła, wyraźnie zniecierpliwiona.

Daniel i Marta szybko wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- A mnie się zdaje, że jest wręcz odwrotnie. Tak ładnie razem wyglądają - westchnęła Marta i mrugnęła okiem do swojego współnika.

- Oczywiście, że wyglądają ładnie. - Anna popatrzyła wymownie na sufit. - Są młodzi, piękni, więc nie może być inaczej. Ale tym razem Daniel trafił kulą w płot. Dlatego uprzedzam - powiedziała ostro i pogroziła mężowi palcem - że jeśli będziesz próbował kojarzyć ich ze sobą na siłę, nie będę patrzyła na to obojętnie i przeszkodzę ci! Jeszcze raz powtarzam, że tych dwoje absolutnie do siebie nie pasuje. Od razu widać, że ta biedna dziewczyna nie jest szczęśliwa.

- Cóż, każdy jest kowalem swojego losu - wtrącił Daniel sentencjonalnie. - Możesz mi wierzyć, kochana, że gdyby ta panna nie była uparta jak osioł, wyszłaby na tym dużo lepiej. A jak ktoś zapomina, że od czasu do czasu trzeba słuchać serca, a nie tylko rozumu, to nic dziwnego, że mu źle na świecie.

Anna nie bardzo wiedziała, jak ma rozumieć ten nagły wykład mądrości życiowej, jednak sześćdziesiąt lat spędzonych z upartym Szkotem nauczyło ją, że czasem nie warto z nim dyskutować. Kiedy wbił sobie coś do głowy, nie było na niego rady. Dlatego zwróciła się wprost do Marty:

- Powiedz mi, kochana, co ty sądzisz. W końcu znasz Lanę najlepiej. Nie wydaje ci się, że nie powinna zawracać sobie głowy Duncanem?

- Nie wiem, Anno. Bardzo bym chciała, żeby ta dziewczyna była szczęśliwa. Problem polega jednak na tym, że ona bardzo niechętnie otwiera swoje serce. Być może warto, żeby spróbowała.

- Zgoda, ale nie z Duncanem! To byłoby jedno wielkie nieporozumienie!

- Dlaczego tak myślisz? - Marta i Daniel spytali niemal jednocześnie.

- Bo pamiętam, jak ona patrzyła na Daniela juniora, kiedy widziałam ich razem w Waszyngtonie. Mogłabym przysiąc, że albo już wtedy była w nim zakochana, albo niewiele jej brakowało. Zresztą doskonale wiem, że wy dwoje zaaranżowaliście ich pierwsze

spotkanie. Nie rozumiem więc, jak możecie teraz popychać ją w stronę Duncana. Wiadomo, jaki z niego czaruś i bawidamek. Chcecie unieszczęśliwić tę biedną dziewczynę?

Marta nie wytrzymała i widząc śmiertelną powagę, z jaką przyjaciółka traktuje los Lany, zaczęła śmiać się głośno i szczerze.

- Nie wiem, moja droga, co cię tak bawi - zdenerwowała się Anna, ale tknięta nagłym przecuciem, rzuciła szybkie spojrzenie Danielowi, a potem błyskawicznie przeniosła pytający wzrok na Martę. - Zaraz, zaraz. Powiedźcie mi natychmiast, co to za spisek uknuliście tym razem!

- My? Skąd! - zaprzeczył Daniel.

- Przestań kręcić. Wiesz, że ze mną nie pójdzie ci tak łatwo.

- No dobrze. - Daniel znał żonę na wylot, więc doskonale wiedział, kiedy nie należy nadużywać jej cierpliwości. - Możesz być spokojna, nie zrobiliśmy nic złego. Po prostu przygotowaliśmy, że się tak wyrażę, scenę do spektaklu. Bohaterkę już mamy, a najpóźniej jutro pojawi się na niej główny aktor.

- Kto znowu?

- Daniel junior, nasz ukochany wnuczek.

- Daniel przyjeżdża? - ucieszyła się Anna. - To doskonale!

- Doskonale? - Senior rodu, który bał się, że żona dopiero teraz zmyje mu porządnie głowę, poczuł się zbity z tropu. - Mówisz „doskonale”?

- Tak. Ale nie myśl sobie, mój drogi, że pochwalam te twoje gierki.

- Co więc tak cię cieszy?

- To, że w najbliższych dniach nie będziemy skarżyć się na nudę - odparła z tajemniczym uśmiechem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W pierwszej chwili Daniel miał wrażenie, że śni mu się jakiś głupi sen. Wsiadł z samochodu przed kwaterą główną starego MacGregora, jak nazywał dom dziadków w Hyannis i Port, i już miał wejść do środka, gdy nagle dostrzegł parę i młodych ludzi, nadchodzących od strony wybrzeża. Dziewczyna była wysoka i wiotka, a jej towarzysz już z daleka wyglądał na wyjątkowo przystojnego mężczyznę. Otaczał ramieniem talię dziewczyny i co chwila nachylał się do niej, szepcząc jej do ucha coś zabawnego, ta bowiem śmiała się serdecznie. Obydwoje wydali się Danielowi dziwnie znajomi, więc poczekał, aż podejną bliżej. Gdy zaś miał już pewność, że to, co widzi, nie jest wybrykiem jego udręczonej wyobraźni, poczuł, jak ogarnia go dzika furia.

Lana i Duncan schodzili ze wzgórz, rozgadani jak para najlepszych przyjaciół! Tak byli sobą zajęci, że dostrzegli go dopiero wtedy, gdy był już bardzo blisko!

Za to on widział ich doskonale. Wściekły i rozżalony, patrzył na rozwiane włosy Lany, na jej zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Kiedy go wreszcie spostrzegła, uśmiech natychmiast zniknął z jej ust, a twarz stała się kredowobiała. Natomiast Duncan ucieszył się serdecznie na widok kuzyna.

- Cześć, chłopie! Kupę lat! - zawołał, otwierając ramiona na powitanie. - Nie wiedziałem, że przyjeżdżasz.

- Widzę właśnie. Co tu się, do cholery, dzieje? - Daniel nie zamierzał bawić się w uprzejmości. Zignorował powitalny gest Duncana i spojrzał na Lanę morderczym wzrokiem. - Pytam, co się tu dzieje! - powtórzył. - Skąd się tu wzięłaś?

- Przyjechałam z ciotką Martą. Nie wiedziałam, że i ty tu będziesz.

- Wyjechałaś bez słowa. Dlaczego?

- Przecież mówiłam ci, że potrzebuję czasu.

- Ale dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Nie miałem pojęcia, gdzie się podziewasz.

Wiesz, co czułem?

- Nie wiem. A zdecydowałam się na ten wyjazd z dnia na dzień.

- Zdaje się, że nie muszę was sobie przedstawiać - wtrącił Duncan, kiedy nieco ochłonął.

- Zamknij się! - huknął na niego Daniel. - I zostaw na samych, bo mamy z Laną parę spraw do wyjaśnienia.

- Nie mamy sobie czego wyjaśniać - zaprzeczyła Lana. - Przepraszam cię bardzo - zwróciła się do Duncana i ominąwszy go, szybko wbiegła po schodach. Daniel chciał biec za nią, ale Duncan błyskawicznie zagroził mu drogę.

- Zaczekaj. Spokojnie. Nie widzisz, że pani nie ma ochoty na twoje towarzystwo? - zapytał, kładąc dłonie na ramionach kuzyna.

- Spadaj!

Daniel oswobodził się jednym ruchem i machinalnie zwinął dłonie w pięści, gotów ruszyć do ataku. Duncan nie miał wprawdzie zamiaru szarpać się z kuzynem na podjeździe, tuż pod oknami salonu, ale poczuł się na tyle zaintrygowany całą sytuacją, że postanowił podrażnić się z Danielem. Szybko domyślił się, że wszystko jest skutkiem szatańskiego planu starego MacGregora, doszedł więc do wniosku, że może sprawić dziadkowi przyjemność i do końca odegrać rolę rywala, którą ten mu wyznaczył.

- Zejdź mi z drogi! - Daniel wyciągnął ramię, żeby go odsunąć. - I dla własnego dobra trzymaj się z daleka od Lany! Albo przetrączę ci kark!

- Oho! Już się boję!

- Ostrzegam.

- Nie ma sprawy. Możemy stoczyć małą rundkę. Już to nieraz robiliśmy, więc służę uprzejmie. Chciałbym tylko wiedzieć, o co mam się bić.

- Jeszcze pytasz? Ona jest moja! Tylko moja! - Daniel z całej siły dźgnął kuzyna palcem. - To powinno ci wystarczyć.

Nagle cofnął się o krok, bo własne słowa podziały na niego jak kubeł zimnej wody. Pojął nagle, że Lana rzeczywiście jest jego, tylko jego. Ta prosta prawda objawiła mu się w całej pełni.

- Mówisz, że jest tylko twoja? To ciekawe - głos Duncana natychmiast otrzeźwił Daniela i wyrwał z chwilowego odrętwienia. - Jakoś tego nie zauważyłem. Najwyraźniej nie wie o tym ani Lana, ani dziadek, który wybrał ją na żonę dla mnie. I co ty na to?

- Żeby się przypadkiem nie zdziwił!

- Czego chcesz? W końcu niezła ze mnie partia. Stary uznał, że ja i Lana będziemy do siebie idealnie pasować, i chyba się nie pomylił. Powiem ci, że niezła laska z tej Lany. Do tego niegłupia, dowcipna, fajnie się z nią gada. A ten jej seksowny śmiech... - cmoknął z uznaniem, mrużąc czarne oczy, których ani na moment nie spuszczał z Daniela. Dlatego nie był zaskoczony, gdy ten z całych sił chwycił go za klapy marynarki i przyciągnął tak blisko, że ich oczy dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Duncan nie stracił wprawdzie równowagi,

ale na razie nie zamierzał się szarpać. W porę przypomniał sobie, że przeciwnik jest cięższy od niego o parę ładnych kilogramów.

- No, mów, gnojku! - syczał Daniel przez zaciśnięte zęby. - Co jeszcze o niej powiesz? Dobierałeś się do niej? Tknąłeś ją choć palcem? Mów!

- Za kogo mnie masz? Nie dobieram się do kobiet, których nie znam dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Ale uprzedzam, że jeśli chcesz zdobyć tę twierdzę, lepiej się pośpiesz, bo nie mam najmniejszej ochoty dawać ci forów. Chcesz się do niej dostać, twoja sprawa, ale... - nie dokończył, bo Daniel potrząsnął nim tak mocno, że aż pociemniało mu w oczach. Po raz pierwszy Duncan zastanowił się, czy ta gra jest warta świeczki i czy dla przyjemności starego MacGregora warto ryzykować pobyt w szpitalu.

Tymczasem Daniel wrzeszczał mu prosto do ucha:

- Ty kretynie! Ani mi się śni dobierać do niej! Ja ją kocham, idioto! Nie rozumiesz tego?

- Mnie to mówisz? Idź i jej to powiedz. I wreszcie przestań mnie szarpać, bo stracę cierpliwość i tak ci przyłożę, że cię rodzona matka nie pozna! - Duncan poczuł, że puszczają mu nerwy. Uznał, że znosi tę zabawę dostatecznie długo i że pora skończyć, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. - Dlaczego nie powiedziałeś od razu, że ją kochasz? - zapytał, gdy tylko udało mu się oswobodzić z żelaznego uścisku Daniela.

Jego kuzyn najwyraźniej cierpiał na jakieś zaburzenia emocjonalne, bo zamiast odpowiedzieć, przez chwilę patrzył na niego półprzytomnie, całkiem jak człowiek, który otrzymał potężny cios w szczękę.

- No i co się tak gapisz? Mowę ci odjęło?

- Bo sam nie wiedziałem, że ją kocham. Aż do tej chwili - wyjąkał w końcu Daniel.

- Aha. Skoro więc już wiesz, przestań skakać jak kogut i poszukaj tej swojej Lany. - Duncan przyglądał się pomięte poły marynarki. - I zapamiętaj sobie, że jestem jedynie niewinną ofiarą waszych szczeniackich nieporozumień.

- Wiesz, stary, co jest w tym wszystkim najgorsze? - Daniel, wyraźnie spokojniejszy, przeczesał dłonią włosy i niechętnie spojrział w stronę domu. - Najgorsze jest to, że dużo łatwiej bić się z tobą niż pogadać szczerze z Laną.

- No to masz problem. - Duncan obojętnie wzruszył ramionami.

- Żebyś wiedział - westchnął Daniel, po czym wolno schylił się po swój bagaż i ruszył do drzwi wejściowych.

Zatrzymał się w olbrzymim holu i uśmiechnął mimo kiepskiego nastroju. Tubalny głos Daniela seniora podpowiedział mu, gdzie należy szukać domowników. Cisnął bagaż w kąt i

ruszył prosto do wielkiego pokoju, który rodzina nazywała Salą Tronową, od masywnego rzeźbionego krzesła, w którym senior rodu zwykł był zasiadać podczas rodzinnych zebrań. Został tam wszystkich w komplecie przy popołudniowej herbacie, roześmianych i rozbawionych. Kiedy wszedł do pokoju, na moment zapadła absolutna cisza, a cztery pary ciekawskich oczu zwróciły się natychmiast w jego stronę.

- Daniel! - Anna zareagowała pierwsza. Zerwała się z krzesła i pobiegła witać wnuka.

- Co za niespodzianka! Jak dobrze, że przyjechałeś!

- Dlaczego niespodzianka? Przecież mówiłem dziadkowi, że wpadnę na parę dni. Mam zamiar popracować w plenerze.

- Prawda, prawda. Mówiłeś - mruknął Daniel senior ze swego miejsca u szczytu stołu.

- Ale ja z tego wszystkiego zapomniałem powiedzieć o tym twojej babci. Wybacz mi, moja droga, ale niestety, pamięć już nie ta, co dawniej. Wchodź dalej, chłopcze. Dlaczego nie siadasz?

- Nie mam ochoty. Nasiedziałem się w samochodzie - odpowiedział Daniel, kątem oka cały czas obserwując Lanę.

- Ależ usiądź, na miłość boską. Może przy tobie ta kobieta pozwoli mi wreszcie wypić parę kropelek whisky. A gdzie Duncan?

- Na dworze. Lano, chciałbym z tobą porozmawiać - Daniel postanowił od razu przejść do rzeczy.

- Oczywiście - odparła, lecz nawet nie podniosła wzroku znad filiżanki.

- Teraz, Lano. W cztery oczy.

- Obawiam się, że musisz trochę poczekać. Pyszne są te rogaliki, pani Anno! W życiu nie jadłam lepszych - Lana gładko zmieniła temat, konsekwentnie unikając jego spojrzenia.

On jednak nie zamierzał ustąpić.

- Jeśli natychmiast ze mną nie wyjdiesz, zrobię to, co już kiedyś zrobiłem - podniósł lekko głos. - Albo wyjdiesz ze mną dobrowolnie, albo wyniosę cię stąd siłą. Wybieraj.

Zabrzmiało to groźnie, lecz Lana wcale nie wyglądała na przestraszoną. Spojrzała mu prosto w oczy, a w jej spojrzeniu był upór i wyzwanie - wszystko to, co tak bardzo mu się w niej podobało.

- Danielu, proszę cię, usiądź - powiedziała swoim zwykłym, opanowanym głosem. - Napij się z nami herbaty. Kiedy skończymy, będziesz mógł mi powiedzieć, co masz do powiedzenia. Chętnie posłucham.

- Mam usiąść i napić się herbaty? Ot tak, po prostu, jak gdyby nigdy nic? Chcesz, żebym pił spokojnie herbatę, choć przed chwilą widziałem cię uwieszoną na szyi mojego kuzyna?

Lana odstawiła swoją filiżankę tak gwałtownie, że delikatna porcelana brzęknęła ostrzegawczo, a srebrna łyżeczka podskoczyła na stole.

- Nie wieszalam się na niczyjej szyi!

- Niestety, to prawda - odezwał się naraz Duncan, który właśnie wszedł do pokoju. - Ale jeszcze nic straconego. Możemy to nadrobić. O, co widzę! Najlepsze na świecie rogaliki! - uśmiechnął się szeroko i od razu podszedł do tacy.

- Prosiłem cię, żebyś się nie wtrącał. Chyba nie chcesz, żebym poprawił ci urodę - warknął Daniel.

Lana, widząc, na co się zanosi, szybko wstała ze swego miejsca.

- Jak ty się zachowujesz! - zawołała wzburzona. - Przychodzisz tu, urządzasz sceny, grozisz Duncanowi, robisz mi wstyd przed swoją rodziną! Co ty w ogóle sobie wyobrażasz!

- Dobrze mu tak! Zuch dziewczyna! - entuzjasmował się Daniel senior, waląc z całych sił pięścią w poręcz swojego krzesła.

- Nie byłoby tego wszystkiego, gdybyś wyszła ze mną na zewnątrz, kiedy cię o to grzecznie prosiłem! Ten twój ośli upór...

- Aha! Więc będziesz mnie jeszcze obrażał! Mam tego dość! - Lana wyszła zza stołu, dłonie zacisnęła w pięści, jej zielone oczy zalśniły niebezpiecznym blaskiem. - Nie będę tego słuchać, jasne? Gdybym wiedziała, że tu przyjedziesz, moja noga nie powstałaby w tym domu! A że jesteś u siebie, to ja wyjadę!

- Nigdzie nie wyjedziesz, dopóki nie porozmawiamy!

- Może masz rację, porozmawiajmy. Przepraszamy bardzo - odwróciła się do oniemiałych świadków tej burzliwej sceny, po czym szybko wyszła z pokoju.

Daniel chciał ją złapać za rękę, lecz wyrwała się i niczym burza pomknęła przez hol prosto w stronę drzwi wejściowych, które pchnęła z taką siłą, że aż trzasnęły o ścianę. Zdumiony Daniel z trudem dotrzymywał jej kroku. A ona pędziła prosto przed siebie, przez trawnik i grządki wiosennych kwiatów, obojętna na to, że z okien patrzą na nich ciekawskie oczy. Kiedy wreszcie udało mu się ją dogonić, jej złość osiągnęła punkt szczytowy. Widząc Daniela obok siebie, odwróciła się gwałtownie i wymierzyła palec prosto w jego szeroką pierś:

- Poniżyłeś mnie! Nikt nigdy dotąd nie poniżył mnie w taki sposób!

- Ja cię poniżyłem?

- I to jak!

- A jak myślisz, co czułem, kiedy mizdrzyłaś się do mojego kuzyna?

- Do nikogo się nie mizdrzyłam! Po prostu poszłam na spacer w towarzystwie miłego, kulturalnego chłopaka. A tobie nic do tego z kim i dokąd chodzę! Zrozumiałeś?

- Jesteś pewna? - spytał cichym głosem.

- Tak. Dużo o tym myślałam i podjęłam decyzję. Cokolwiek między nami było, musi się natychmiast skończyć.

- Po moim trupie! - powiedział już normalnym, podniesionym głosem. Nie zamierzał czekać, aż Lana zacznie protestować. Najspokojniej w świecie chwycił ją mocno za włosy na karku, owinał długie pasma wokół pięści, a potem pociągnął w dół, zmuszając ją, by uniosła głowę. Potem zaś zamknął jej usta długim, pełnym pożądania pocałunkiem.

W Sali Tronowej cztery nosy przykleiły się do szyby, cztery pary oczu mrugnęły z wrażenia, a z piersi kobiet wyrwało się głębokie westchnienie.

- Chyba nie powinniśmy teraz patrzeć - zreflektowała się Anna, ale jednocześnie przesunęła się, żeby widzieć lepiej, gdyż ciekawość okazała się silniejsza.

- Nie patrzeć? Co ty mówisz, kobieto! Waśnie zaczyna się najciekawsza część przedstawienia, a ty każesz nam zamykać oczy? - fuknął Daniel senior, musiał być jednak bardzo wzruszony, bo otoczył żonę ramieniem.

- Zdaje się, że biedak wkopał się po uszy. Szkoda go, fajny był z niego gość - skomentował Duncan.

- Ty się tak nad nim nie użalaj. Teraz pora na ciebie. - Dziadek pogroził wnukowi sękatym palcem.

- Dobrze, dobrze, dziadku. Pożyjemy, zobaczymy - Duncan nie tracił dobrego samopoczucia. Ani na chwilę nie odrywając oczu od romantycznej sceny w ogrodzie, cofnął się do stołu i zaczął po omacku przebierać wśród rogalików.

Pocałunek, choć niewiarygodnie długi, w końcu stracił nieco swój żar. Namiętna pasja ustąpiła miejsca czułości, która podziałała na Lanę jak magiczna mikstura. Jej złość osłabła, stopiła się w ciepłe tego pocałunku niczym lód w promieniach wiosennego słońca. Ciepła fala spłynęła prosto do jej serca, ogrzała je i napełniła uczuciem ogromnej tkliwości. Prosiła szeptem Daniela, żeby jej nie całował, ale jednocześnie otoczyła jego szyję ramionami i coraz mocniej tuliła się do niego. Ujęła jego twarz w obie dłonie i patrząc głęboko w oczy, powtórzyła:

- Nie rób tego, proszę. To nie jest odpowiedź na nasze wątpliwości.

- Jest. Włożyłem w tę odpowiedź całe serce. Dałem ci je przed chwilą. Nie czujesz tego?

Czuła. Widziała to w jego oczach, rozpoznawała w oszalałym biciu własnego serca. Ono również odebrało sygnał. Lecz strach, który żył w niej przez całe lata, nie chciał jeszcze ustąpić.

- Proszę cię, pozwól mi odejść. Nie wiem, jak sobie radzić z takim uczuciem. Nie wiem, czy potrafię być dla ciebie tym, kim chciałbyś, żebym była.

- Myślisz, że ja nie chciałem się wyzwolić, zapomnieć o tej miłości? Chciałem, ale wiem już, że to niemożliwe. Próbowałem i nie udało się. - Wypuścił ją z objęć i stali teraz naprzeciw siebie, bez żadnego przymusu, pewni, że każde z nich może po prostu odwrócić się i odejść. - Myślisz, że ja nie miałem żadnych planów, żadnych ambicji? - zapytał ponownie Daniel. - Że nie czuję potrzeby bezgranicznej wolności? Zaręczam ci, że podobnie jak ty nie chciałem się zakochać. Ale stało się. Co mam zrobić, skoro teraz Uczysz się dla mnie tylko ty?

- Ale to się nie może udać! - zaprotestowała Lana, choć teraz nie była już pewna, czy do końca wierzy w to, co mówi. - Było nam ze sobą dobrze, dopóki mieliśmy ochotę na seks. Co będzie, kiedy minie pożądanie?

- Nie mów tak. Nie upraszczaj spraw. Nie chcę być z tobą tylko dlatego, że jest nam dobrze w łóżku. Lano, dlaczego płaczesz? - Wyciągnął dłoń i delikatnie otarł łzę z jej policzka.

- Nie wiem - szepnęła.

- Nie płakałabyś, gdyby to wszystko było rzeczywiście tak proste, jak mówisz. Nie bój się tego, co czujesz, co obudziło się w twoim sercu. Jeśli nie ufasz sobie, spróbuj mi zaufać. Przysięgam, że nie zawiedziesz się na mnie.

- Łatwo ci mówić. W twojej rodzinie nikt nie wstydzi się uczuć, nie boi się ich okazywać. W moim domu nigdy tak nie było. Moi rodzice nie umieli, albo nie chcieli...

- Wiem, Lano, ale nie musisz postępować jak twoi rodzice. Dlaczego nie chcesz spróbować żyć inaczej, po swojemu?

- Chcę, tylko...

- Więc nie odrzucaj tego, co jest między nami. Wiesz równie dobrze jak ja, że żadne z nas nie jest już tym, kim było, zanim się spotkaliśmy.

- To prawda - westchnęła i instynktownie skrzyżowała ręce na piersiach, jak zawsze, kiedy czuła się zagrożona bądź niepewna. Daniel nie chciał, żeby zamykała się przed nim w ten sposób, więc ujął jej dłonie i zmusił, żeby je opuściła.

- Posłuchaj mnie uważnie - mówił do niej tak, jak czasem dorośli mówią do upartego dziecka. - Przez parę tygodni, które spędziliśmy razem, udało nam się jakoś żyć pod jednym dachem. Każde z nas poszło na pewne kompromisy, a mimo to korona nikomu z głowy nie spadła. Nauczyliśmy się już trochę być razem i teraz chcesz się wycofać? Teraz, kiedy mówię ci, że cię kocham? - Jego ciepłe, czułe dłonie otoczyły jej pobladłą twarz. - Spójrz mi prosto w oczy i powiedz: czy widzisz w nich miłość?

- Tak.

- Więc co na to odpowiesz?

- Że też jesteś dla mnie bardzo ważny i że pragnę cię tak samo mocno, jak ty pragniesz mnie. Ale nie mogę ukrywać, że się boję. Boję się, że się nam nie uda. A właściwie, że to mnie się nie uda.

- I naprawdę myślisz, że będzie lepiej, jeśli teraz odejdziesz, jeśli nie dasz nam żadnej szansy? Co się wtedy stanie?

- Wrócę do świata, który znam i rozumiem, w którym czuję się bezpieczna. - Zawahała się nagle, jakby nie miała pewności, że jej słowa w pełni oddają to, co chciała powiedzieć. Zacerpnęła głęboko powietrza i po chwili odetchnęła jak człowiek, który wreszcie zdecydował się na pierwszy w życiu skok ze spadochronem. - Wrócę do mojego świata - powtórzyła - i będę tam okropnie nieszczęśliwa. Dlatego nie chcę tam wracać. Nie chcę zostawiać ciebie... nas.

- Więc nie wracaj. Przecież wiesz, że wystarczy jedno twoje słowo, a w dalszą drogę ruszymy razem - powiedział i znowu sięgnął po jej dłonie. - Możemy pójść razem, choć pewnie nieraz każde z nas będzie ciągnęło w swoją stronę. Ale i tak dotrzemy do celu. Obiecuję ci to.

Wciąż nie miał pewności, czy udało mu się ją przekonać. Lana stała w milczeniu i spoglądała na ich splecione dłonie. Zastanawiała się, jak bardzo są różne - jej były długie, smukłe, bardzo delikatne, jego zaś twarde i mocne. Mimo to idealnie pasowały do siebie.

- Nigdy nikogo nie kochałam - powiedziała. Podniosła wzrok i znowu spojrzała mu w oczy. - Zawsze udawało mi się uciec, zanim uczucie zdołało się rozwinąć. Myślałam, że tak będzie dla mnie najlepiej. Jednak z tobą się nie udało, mój system obronny zawiódł. Dlatego tak bardzo się zmagalam, dlatego byłam zła, że nie potrafię zapanować nad sobą. Ale w głębi serca wiedziałam, że nie jestem zdolna wycofać się i powiedzieć, że między nami wszystko skończone.

- Nic nie jest skończone. - Daniel podniósł jej dłonie do ust.

- Nie jest. Chcę z tobą pójść jeszcze dalej.

- Ja też. Po raz pierwszy w życiu jestem tego pewien. Wyjdiesz za mnie, Lano?

- Wiesz co? Czuję się tak, jakbym właśnie przed chwilą to zrobiła.

- Tak czy nie?

- Jasne, że tak!

W porywie szczęścia chwycił ją w ramiona, uniósł do góry i kilka razy obrócił dookoła, zupełnie jak dzieciak, który bawi się w karuzelę. Postawił ją dopiero wtedy, gdy zakręciło mu się w głowie. Przewrócili się razem na trawnik i mocno objęli, turlali się po gęstym dywanie młodej, soczystej trawy. Kiedy zaś wreszcie stracili oddech od długich, namiętych pocałunków, Daniel przyciągnął Lanę na siebie i zaproponował, żeby poszli powiedzieć o wszystkim rodzinie.

- Już widzę minę tego starego spryciarza! - śmiał się, pomagając jej wstać z ziemi. - Wreszcie przekona się, że nie wszystkie wnuki pozwolą narzucić sobie jego wolę. Twierdzi, że nie jesteś w moim typie! Dobrze sobie! - znów parsknął śmiechem i żeby nie było najmniejszych wątpliwości, jak bardzo senior rodu się myli, jeszcze raz pocałował swoją przyszłą żonę.

A w Sali Tronowej cichy sprawca całego zamieszania ukradkiem otarł łzę wzruszenia, która potoczyła się na jego białą brodę.

TOM DRUGI

DUNCAN

Po swoim ojcu, Justinie, odziedziczył wspaniałą męską urodę i zabójczy urok, więc kręci się koło niego cały tłum chętnych kobiet. A on, owszem, pobawi się z nimi trochę, zbałamuci, a potem idzie w swoją stronę. Postanowiłem więc wyszukać dla niego odpowiednią partnerkę, która dorówna mu temperamentem i zatrzyma go przy sobie. Żadna delikatna, wstydliva panienska tego nie dokona - tu trzeba kobiety z krwi i kości, z charakterem i ogniem. Właśnie taką znalazłem.

Zamierzam tak wszystko urządzić, żeby tych dwoje mogło się spotkać, pobyc z sobą i dobrze się poznać. Reszta zależy już od nich. To samo zrobiłem wiele lat temu, kiedy doprowadziłem do spotkania rodziców Duncana. I co? Nie dość, że nikomu krzywda się nie stała, to jeszcze do dziś dnia są mi głęboko wdzięczni. Tak samo będzie z Duncanem, o ile potrafi wykorzystać szansę, którą mam zamiar mu stworzyć.

Na wszelki wypadek postanowiłem trzymać rękę na pulsie, więc żeby być bliżej wydarzeń, zabiorę moją Annę w krótki rejs po Missisipi. Będę miał okazję przyjrzeć się z bliska, jak radzi sobie mój wnuczek, no i z przyjemnością zajrzę też do kasyna. W końcu to po mnie MacGregorowie mają skłonność do hazardu. Zobaczymy, czy i tym razem szczęście się do mnie uśmiechnie!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Duncan Blade zawsze lubił ryzyko. Było mu wszystko jedno, jakie ma szanse, byleby wygrana była odpowiednio duża. Uwielbiał grać, a już najbardziej w świecie kochał wygrywać. Namiętność do ryzykownych gier odziedziczył po rodzicach. Obydwoje mieli żyłkę do hazardu i udziały w hotelach w Las Vegas, Atlantic City czy Reno. Duncan od dziecka marzył o tym, żeby stać się właścicielem statku - pływającego kasyna. Gdy wreszcie to osiągnął, jego szczęście nie miało granic. Nic w życiu nie dawało mu tyle radości, co praca na pokładzie „Indiańskiej Księżniczki”. Oczywiście, taka zabawa była bardzo ryzykowna, ale w końcu o to chodziło. Poza tym Duncan miał doskonały plan, jak rozkręcić to przedsięwzięcie. Zainwestował w statek trochę własnych pieniędzy, a resztę dołożyła rodzina w ramach nieoprocenowanej pożyczki. Obiecał sobie, że ci, którzy mu zaufali, na pewno nie będą rozczarowani wynikami. Czas wkrótce pokazał, że Duncan dotrzymuje słowa.

Stał teraz na nabrzeżu portu rzeczno-jeziornego w Saint Louis i z podziwem przyglądał się jedynej i największej miłości swego życia. A było na co popatrzeć, bo „Księżniczka” mogła śmiało konkurować z największymi pięknosciami Południa. Miała cudowną, wydłużoną linię, szerokie pokłady i ozdobne relingi. Zbudowano ją na wzór tradycyjnego parowca, jakich setki pływały niegdyś po rzece, przewożąc pasażerów, towary i oczywiście licznych na Południu hazardzistów. Duncan, wierny tradycji, kazał pomalować swój statek na biało, i kolor ten, przełamany gdzieniegdzie krwistą czerwienią, aż kłuł oczy przy słonecznej pogodzie.

„Księżniczka” robiła naprawdę imponujące wrażenie. Już na pierwszy rzut oka widać było, że łączy w sobie staroświecki urok z siłą nowoczesności. Do tego dochodził luksus, za który pasażerowie gotowi byli zapłacić najwyższą cenę. W zamian za swoje pieniądze otrzymywali wszelkie wygody, miłą atmosferę, pierwszorzędną rozrywkę oraz wyśmienite dania serwowane przez prawdziwego mistrza sztuki kucharskiej. Dodatkową atrakcją były niezapomniane widoki, które pasażerowie mogli podziwiać z trzech pokładów statku. Lecz magnesem przyciągającym klientów było kasyno, serce całego przedsięwzięcia.

Statek pływał pomiędzy Saint Louis i Nowym Orleanem, zawijając po drodze do kilku mniejszych portów. Rejs w obie strony trwał pełne dwa tygodnie, a ci z pasażerów, którzy zdecydowali się spędzić je na pokładzie, nigdy nie skarżyli się na nudę. Duncan dbał o swoich klientów jak o własne dzieci, więc nawet jeśli komuś nie poszczęściło się w kasynie, to i tak schodził na brzeg zadowolony.

Teraz na statku trwały ostatnie przygotowania do kolejnego rejsu. Duncan z niechęcią oderwał się od widoku swej ukochanej „Księżniczki” i zaczął obserwować pracę robotników. Jedni krzżeli się po pokładach, zajęci szorowaniem desek i malowaniem, inni wnosili do ładowni towary albo pakowali do luków bagaże. Duncan uznał, że wszystko przebiega sprawnie i zgodnie z planem. Był pewien, że gdy pod wieczór pojawią się pasażerowie, wszystko będzie zapięte na ostatni guzik, a „Księżniczka” kolejny raz oczaruje swoich gości. Już miał wejść na pokład i zabrać się do papierkowej roboty, kiedy nagle przypomniał sobie, że jednak nie wszystko jest tak, jak być powinno. Piosenkarka, którą zaangażował na najbliższe dwa tygodnie, jeszcze się nie zjawiała, choć zgodnie z kontraktem miała być na statku już poprzedniego dnia. Nie dość, że wciąż jej nie było, to jeszcze nie dała znaku życia ani nie uprzedziła o spóźnieniu. Wiedział, że jeśli dziewczyna nie dotrze na statek w ciągu najbliższych kilku godzin, będą musieli odpłynąć bez niej. A wtedy cały program artystyczny wezmą diabli.

Duncan nie znosił takich sytuacji. Nic nie denerwowało go bardziej niż niesolidność ludzi, z którymi współpracował. Na myśl o tym, że przez jakąś niepoważną panienkę nie będzie mógł zapewnić swoim gościom godziwej rozrywki, poczuł wściekłość. Znow dał o sobie znać ognisty temperament, odziedziczony po indiańskich przodkach. Duncan nerwowo sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął telefon komórkowy. Szybko wystukał numer agenta dziewczyny i czekając na połączenie, chodził tam i z powrotem po nabrzeżu. Stawiał długie kroki, wysoka i smukła sylwetka rzucała czarny cień na wypalony słońcem beton. Na śniadej twarzy o nieomylnie indiańskich rysach srebrzyły się kropelki potu.

- Cyceron? Tu Blade. Gdzie, do jasnej cholery, podziewa się moja gwiazda? - rzucił bez zbędnych wstępów.

- A co, nie ma jej? Spoko, stary! Nie ma strachu. Ta dziecina na pewno nie nawali. Ręczę za nią jak za rodzoną matkę - zapewnił go agent ze stoickim spokojem.

- Mam nadzieję, że dobrze znasz swoją matkę. W każdym razie tej lali jeszcze tu nie ma!

- Coś musiało ją zatrzymać. Ale zjawi się lada chwila, zobaczysz. A jak jej posłuchasz, szczęka opadnie ci z wrażenia. Daję ci słowo!

- Dobra, dobra. Według kontraktu miała być u mnie wczoraj koło południa. Dzisiaj wieczorem ma pierwszy numer. A swoją drogą, dlaczego do tej pory nie skontaktowałeś się ze mną, żeby sprawdzić, czy wszystko gra?

- Przepraszam stary, ale wiesz, jak to jest w tej branży. Człowiek nie wie, w co wsadzić ręce. A jeśli chodzi o Cat, to... no cóż, ta dziewczyna chadza własnymi ścieżkami.

- Teraz mi to mówisz?

- Ale przysięgam, że jest warta każdego centa, którego za nią płacisz. Ma talent, pnie się ostro w górę. Zobacysz, jeszcze rok i będzie na samym szczycie.

- Mało mnie obchodzi, co z nią będzie za rok. Za to bardzo interesuje mnie to, co jest teraz. A teraz twoją Cat diabli wzięli.

- Boże, człowieku, co się tak pieklisz? Mówię przecież, że to pewna osoba. Jak parę miesięcy temu śpiewała w Vegas, twój braciszek był zachwycony.

- Mój brat jest bardziej tolerancyjny niż ja. Nie zapominaj o tym. Powiem krótko. Albo ściągniesz mi tutaj tę Cat w ciągu godziny, albo podaję cię do sądu za zerwanie kontraktu. Jasne? - spytał i nie czekając na odpowiedź, przerwał połączenie. Wcisnął telefon do kieszeni, po czym ruszył w stronę statku, myśląc po drodze o swoim bracie, który był właścicielem kasyna w Las Vegas.

Rzeczywiście, Maks wyrażał się bardzo pochlebnie o Cat Farell, a ponieważ znał się na rzeczy jak mało kto, Duncan ufał mu jak samemu sobie. Gdyby nie to, na pewno nie zatrudniłby tej dziewczyny w ciemno. Nie pomogłoby nawet poręczenie samego MacGregora seniora, który poznał ją kiedyś i gorąco namawiał Duncana, żeby przyjął Cat na statek.

O wszystkim zaważyła taśma z nagraniem występem dziewczyny i kilka jej zdjęć. Duncan wygrzebał z pamięci jej obraz i kolejny raz musiał przyznać, że Cat jest bardzo atrakcyjną i seksowną kobietą, pozbawioną na szczęście wulgarności, tak typowej w przypadku niektórych młodych piosenkarek. Miała też świetny głos. Co z tego, skoro jej nie ma, pomyślał i z całej siły kopnął walającą się po betonie puszkę.

Był już w połowie trapu, gdy nagle jego uwagę zwróciła idąca nabrzeżem nastolatka. Dziewczyna miała na sobie postrzępione džinsy, wyciągnięty podkoszulek, białe tenisówki i niewielki plecak na ramionach. Na głowę wcisnęła koszmarną bejsbolówkę, a na nos czarne plastikowe okulary.

Duncanowi przyszło do głowy, że młodzież nie ma teraz za grosz gustu, i już miał pójść w swoją stronę, gdy zorientował się, że dziewczyna zamierza wejść na statek. Zaczekał więc, chcąc ją wyprosić, kulturalnie ale stanowczo. Kiedy postawiła stopę na trapie, zrobił kilka kroków w jej stronę i odezwał się tonem, jakiego nie powstydziliby się rasowy policjant:

- Dokąd to, kochanie? Pasażerowie mogą wchodzić na pokład dopiero wieczorem. Serdecznie cię zapraszam, ale razem z rodzicami.

Zatrzymała się tuż przed nim. Jedną rękę oparła na biodrze, drugą zsunęła z nosa paskudne okulary. Przeszyła go wzrokiem tak intensywnym, że poczuł mrowienie na karku. Nigdy jeszcze nie widział tak nieprawdopodobnie zielonych oczu. Ich kształt, odcień

tęczówki, złote cętki wokół źrenicy natychmiast skojarzyły mu się z oczami kota. Nie mógł oprzeć się myśli, że za parę lat, gdy ta kotka trochę podrośnie, jej oczy będą rzucać mężczyzn na kolana. Póki co jednak, mierzyła go ostrym, aroganckim spojrzeniem.

- Z kim rozmawiam? - zapytała wreszcie głosem, który zrobił na nim jeszcze większe wrażenie niż kocie oczy. Był bardzo zmysłowy i dojrzały, lekko zachrypnięty, pełen prowokującej wibracji.

- Duncan Blade - przedstawił się krótko. - A ta łajba to moja własność. Jeszcze raz serdecznie zapraszam, ale tylko w towarzystwie taty i mamy. Chyba że wolisz poczekać, aż będziesz pełnoletnia.

Wyduła pełne wargi w beczelnym grymasie absolutnego lekceważenia i nie spuszczać z niego wzroku, spytała:

- Naprawdę chcesz mnie wylegitymować? No dobra, Duncan, poczekaj chwilę. Mam tu gdzieś dowód - sięgnęła do plecaka. - Ale myślę sobie, że skoro mamy już spory poślizg, może nie warto tracić więcej czasu? Jestem twoją gwiazdą, kochanie!

Musiał mieć głupią minę, bo najpierw wzruszyła ramionami, a dopiero potem wyciągnęła do niego szczupłą dłoń:

- Cat Farell. Miło mi cię poznać. Miesiąc temu skończyłam dwadzieścia pięć lat.

Mówiła chyba prawdę. Kiedy przyjrzał się jej uważnie, dostrzegł, że dawno już przestała być dzieckiem. Powinien był od razu się tego domyślić, choćby po spojrzeniu tych niesamowitych oczu albo barwie głosu. Nie poznał jej, ale na zdjęciach nie było widać ani dziecinnych piegów na nosie i policzkach, które ukrył sceniczny makijaż, ani szczupłej, dziewczęcej figury, bo zasłaniała ją bardzo seksowna sukienka. Poza tym kobieta z fotografii miała burzę wspaniałych, płomiennie rudych włosów, które teraz kryły się pod czapeczką. Wprawdzie wymknęło się kilka niesfornych pasemek, ale Duncan dostrzegł je dopiero po chwili.

- Zamurowało cię? Mówię przecież, że jestem Cat Farell. Chyba wiesz, o kogo chodzi?

- Spóźniłaś się.

- Tak wyszło. Cycleron wrobił mnie w beznadziejny koncert na jakimś kalifornijskim zadupiu. Potem nie zdążyłam na samolot, musiałam czekać na następny. Jednym słowem - kanał. Słuchaj, mam trochę rzeczy w taksówce. Zajmij się tym, a ja pójdę zobaczyć scenę, okay?

Już chciała przejść obok niego, ale zatrzymał ją mocnym chwytem ręki.

- Wolnego! - powiedział i z satysfakcją dostrzegł błysk niepokoju w jej oczach. Nie zwalniając uścisku, zawołał pracownika i kazał mu zająć się bagażem Cat. - A teraz razem pójdziemy obejrzyć scenę - zakomenderował głosem nie znoszącym sprzeciwu i poprowadził ją na pokład. - Jeśli chcesz - dodał - po drodze nauczymy się, jak korzystać z praktycznego wynalazku o nazwie telefon.

- Nie mówili mi, że jesteś taki dowcipny - stwierdziła bez cienia uśmiechu, ale powstrzymała się od dalszych złośliwości. Zależało jej na tej pracy. Bardzo. Więc dla własnego dobra postanowiła trzymać język za zębami. Zdobyła się nawet na przeprosiny. - Naprawdę nic nie mogłam na to poradzić. W podróży często zdarzają się nieprzewidziane sytuacje. Dotarłam tu najszybciej, jak się dało - mówiła pojednawczo, klnąc w myśli Cyncerona.

Tak to wszystko zaplanował, że musiała dotrzeć z Kalifornii do Missouri na styk. Jedno spóźnienie na samolot oznaczało liczne i niewygodne przesiadki wzdłuż całego kontynentu. Przez ostatnią dobę prawie nie zmrużyła oka i nie miała nic w ustach, pomijając jakieś świństwa serwowane na pokładach krajowych linii lotniczych. Padała ze zmęczenia, a kiedy wreszcie udało jej się dotrzeć do Saint Louis, ten lalusz o twarzy jak z okładki kolorowego pisemka miał czelność robić jej wymówki. I o co? O głupie spóźnienie!

Co miała jednak zrobić? Facet, który jest spokrewniony z MacGregorami, może sobie gadać, co mu ślina na język przyniesie, a ona musi położyć uszy po sobie i grzecznie słuchać. Potęga jego nazwiska mogła w jednej chwili otworzyć przed nią drzwi, za którymi kryła się droga na sam szczyt. Jedno słowo potężnego MacGregora mogło zdziałać więcej niż cały jej dotychczasowy wysiłek.

Idąc za Duncanem, ciekawie rozglądała się po statku. Nie mogła trafić lepiej. Łajba była w doskonałym stanie, aż miło było spojrzeć. Deski lśniły czystością, świeża farba połyskiwała w słońcu, a ozdobne relingi kojarzyły się z romantycznymi balkonikami domów w Dzielnicy Francuskiej Nowego Orleanu. Dobrze, że ten cholerny Blade nie jest właścicielem jakiejś podłej pływającej rudery, pomyślała, z przyjemnością wdychając wszechobecny zapach czystości.

Weszli przez jaskrawoczerwone drzwi do części barowej. Duncan, z miną dumnego pana na swoich włościach, zatoczył ramieniem szeroki krąg, prezentując jej wnętrze. Swoim zwyczajem oparła rękę na biodrach i uważnie rozejrzała się dookoła. Wystrój obszernego pomieszczenia i meble pasowały do charakteru parowca. Stoliki stały blisko siebie, nie na tyle jednak, by goście tręcali się łokciami. Na końcu sali zainstalowano tradycyjny bar. Przytłumione światło kutech w brązie kinkietów migotało w kryształowym lustrze, którym

wyłożono ścianę za barem, i odbijało się od mosiężnych nóg wysokich stołków. Cat nie miała wątpliwości, że będzie jej się tu dobrze pracowało.

Zsunęła z ramion plecak i wolno podeszła do niewielkiej sceny. Na jednej ze ścian dostrzegła plakat z własnym zdjęciem, który sprawił jej nie mniejszą przyjemność niż stojący pod nim wspaniały, lśniący fortepian Steinwaya. Przechodząc obok, z czułością przesunęła dłonią po idealnie gładkiej powierzchni królewskiego instrumentu, po czym stanęła na środku niewysokiego podestu i zaczerpnęła głęboko powietrza.

Z łatwością zanuciła kilka taktów ulubionej piosenki. Jej piękny głos poniósł się po sali, wypełnił jej przestrzeń wibracją. Stojący w drzwiach Duncan o mało nie gwizdnął z wrażenia. Nie często miał okazję słyszeć na żywo tak rewelacyjny popis wokalnych możliwości. Śpiew Cat przenikał nie tylko każdy zakamarek sali, ale i osobę słuchacza, trafiając do jego serca. I to bez mikrofonu.

- Niezła akustyka - pochwaliła.

- I niezłe płuca - zrewanżował się.

- Wiem, skarbie. W przeciwnym razie nie pchałabym się na scenę. - Cat nigdy nie należała do osób przesadnie skromnych. Doskonale знаła wartość daru, który dostała od losu, i była pewna, że któregoś dnia znajdzie się dzięki niemu na samym szczycie. Póki co, musiała jak najszybciej wziąć się do roboty. - Chciałabym zrobić próbę dźwięku i przygotować się do występu. Pokaż mi, gdzie jest garderoba, moja kajuta, i załatw jakąś kanapkę - poprosiła. - Mamy mało czasu.

- Spokojnie. Do występu zostało osiem godzin.

- To po co ta cała gadka o spóźnieniu? Zapamiętaj sobie, Blade: ja nigdy nie nawalam - powiedziała zdecydowanym tonem, patrząc mu prosto w oczy. - To gdzie jest ta garderoba?

- Za sceną. Pomiędzy głównym holem a kasynem.

- Sprytnie - uśmiechnęła się drwiąco. - Najpierw towarzystwo przychodzi tutaj, żeby sobie popić, a potem idzie prosto do kasyna i rzuca na stół tony dolców. Dupki - fuknęła z pogardą.

Zaskoczony, uniósł brwi.

- A ty co? Jesteś świętoszką, która nigdy nie pije i jak ognia unika gier hazardowych? - spytał kpiąco.

- Żebyś wiedział. Alkohol otępia umysł, a hazard jest po to, żeby wyciągać od naiwnych ludzi kasę. Ja ani nie jestem naiwna, ani nie lubię przegrywać.

- Mamy wreszcie coś wspólnego - stwierdził obojętnie, po czym poprosił, żeby poszła za nim, i zaprowadził ją do garderoby.

- Ta jest twoja - otworzył przed nią drzwi do niewielkiego, ale wygodnego pokoju.

Moja, powtórzyła w myślach z satysfakcją. Dopiero od roku mogła domagać się w kontrakcie własnej garderoby. Przedtem musiała tłoczyć się razem ze striptizerkami i chórzystkami. Dlatego wciąż czuła dumę i zadowolenie, że jest traktowana jak gwiazda.

Osobny pokój to był prawdziwy luksus. Żadnych przepychanek o dostęp do lustra, podkradania kosmetyków czy przekopywania się przez zwały kostiumów w poszukiwaniu własnej sukienki. W dodatku pomieszczenie, które pokazał jej Duncan, było naprawdę idealne. Odpowiednio oświetlone, duże lustro, obszerna toaletka, wieszaki na stroje i, dzięki Bogu, wygodna sofa, na której można było się wyciągnąć w przerwie między numerami.

- Trochę tu ciasno. - Zmarszczyła piegowaty nosek, choć miała ochotę skakać z radości. - Ale dam sobie radę. Mam nadzieję, że ktoś mi pomoże przenieść moje rzeczy - stwierdziła, siłąc się na ton kapryśnej gwiazdy.

- Spokojna głowa. Teraz chciałbym zabrać cię na małą wycieczkę po łajbie. Zapraszam - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Poszła z nim bardzo niechętnie, bo zamiast włóczyć się po statku, z największą rozkoszą wyciągnęłaby się na tej miękkiej sofie i odpoczęła trochę po męczącej podróży. Nie mogła jednak mu odmówić, toteż przemierzyli razem labirynt wąskich korytarzy, spenetrowali wnętrze kasyna, a nawet wstąpili do kuchni i pomieszczeń gospodarczych. Po drodze opowiadał jej o statku, a ona, zamiast uważnie słuchać, zerknęła na niego spod oka, bardziej zainteresowana nowym szefem niż miejscem pracy.

Najpierw obejrzała uważnie jego ubranie, na pierwszy rzut oka niewyszukane. Duncan Blade miał na sobie szyte na miarę spodnie i białą jedwabną koszulę, której cena przewyższała prawdopodobnie jej miesięczną gażę w wiejskich czasach. W tym stroju i ze swoją egzotyczną urodą przypominał jako żywo typowego szulera, jakiego widywało się czasem w starych filmach. Cat pomyślała sobie, że ten facet rzadko przegrywa w kasynie. Niektórzy mają fart, skomentowała w myślach. Ponieważ jednak Duncan zaczął omawiać warunki jej pracy, powróciła na ziemię i zamieniła się w słuch, natychmiast gotowa do walki o swoje, gdyby chciał przypadkiem przekroczyć warunki kontraktu.

- Będziesz miała dwa występy każdego wieczoru - mówił rzeczowo. - Poza tym w ciągu dnia możesz robić, co chcesz. Zawsze namawiam personel, żeby w wolnych chwilach zacieśniał więzi z pasażerami, ale nie ma przymusu. Posiłki będziesz jadła w kantynie razem z resztą załogi. Śniadania wydajemy pomiędzy szóstą a ósmą, lunch jest od jedenastej do pierwszej, obiad od piątej do siódmej. Na pewno nie będziesz głodować.

- Super. Nie narzekam na brak apetytu.

Duncan zerknął na nią z ukosa. Nie wyglądała co prawda na chuchro, ale była zdecydowanie szczupła. Na zdjęciach, które dostał od Cycerona, widać było to i owo, jakieś kuszące krągłości, ale przypuszczał, że to fotomontaż. W swojej długiej karierze podrywacza widział już niejedno, więc nie czuł się specjalnie zaskoczony.

- Możesz korzystać z siłowni - szybko wrócił do przerwano wątku. - Sama płacisz za swoje drinki. Jeśli się wstawisz, dostajesz pierwsze ostrzeżenie. Następnym razem wylatujesz z pracy. Pokażę ci teraz kabiny pasażerów.

Nie pytając o zdanie, zaprowadził ją pod pokład. Po drodze wyjaśnił, że na statku podczas rejsu może przebywać jednorazowo dwustu pięćdziesięciu gości, dodatkowa setka może wejść do kasyna, kiedy zawiną do portu.

- To jest kajuta pierwszej klasy - oznajmił, otwierając przed nią jakieś drzwi.

- Nieźle - gwizdnęła z uznaniem, rozglądając się po eleganckim wnętrzu. Było tu wszystko, co mogło zadowolić kapryśnego bogacza - wygodne łóżce, prawdziwe antyki, świeże kwiaty w wazonach, nawet niewielki balkonik, z którego można było podziwiać widoki. - Musi słono kosztować - pokiwała głową.

- Klient płaci, więc wymaga. Ludzie wykupują rejs, bo chcą się zabawić i odpocząć w przyzwoitych warunkach. Nasza w tym głowa, żeby nie żalowali ani centa, którego tu wydali.

Więc tak wygląda prawdziwe bogactwo, myślała, wodząc wzrokiem po kajucie. Przysięgła sobie, że pewnego pięknego dnia będzie ją stać na taki luksus. Wyciągnie się na tym wielkim łóżku, naga jak ją Pan Bóg stworzył, i będzie się śmiała do łez na wspomnienie tanich zajazdów, odrażająco brzydkich pokoi, prowincjonalnych hoteli i innych miejsc, w których nocowała podczas tras koncertowych.

- Domyślam się, że swoim pracownikom nie fundujesz takich luksusów - powiedziała, zerkając na rzekę za oknem. - Gdzie jest moje gniazdko?

- Poziom niżej. Chodźmy. - Odsunął się, żeby przepuścić ją w drzwiach, ale i tak otarli się o siebie w wąskim przejściu. Na jedną krótką chwilę poczuła jego zapach, który przyjemnie podrażnił jej nozdrza. Ten facet nawet pachnie forszą, przemknęło jej przez myśl.

Ona za to musiała pachnieć tak, jak się czuła - niczym brudna ścierka do podłogi. W dodatku coraz bardziej dokuczał jej głód.

Cóż, ssanie w żołądku nie było dla niej niczym nowym. Czasy, kiedy nie miała nawet centa przy duszy, nie należały do zbyt odległej przeszłości. Miała zresztą wypróbowany sposób na głód. Ilekroć ją dopadał, zmuszała się, żeby myśleć o czymś innym, na ogół przyjemnym. Na przykład o zgrabnym tyłku Duncana Blade'a, który miała okazję podziwiać w całej

okazałości, idąc za nim po schodach. Pupcia pierwsza klasa. Jak cała reszta, stwierdziła w myśli, co tak bardzo ją rozbawiło, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Co się stało? - odwrócił się, zaciekawiony.

- Nic. Cały czas wlokę się za tobą, więc z nudów podziwiam widoki.

- Następnym razem zamienimy się miejscami.

Uniósł lewą brew i uśmiechnął się do niej w taki sposób, że z wrażenia potknęła się o stopień. Pomyślała sobie, że odkrył swoją sekretną broń. Pewnie bogate babki padały przed nim - a raczej pod nim - jak muchy.

Kabina, którą jej pokazał, była o wiele mniejsza niż apartament pierwszej klasy, mimo to Cat nie czuła się rozczarowana. Prze okrągłe okienko niewiele było widać, ale do środka wpadało dużo słońca i musiało jej to wystarczyć. Poza tym pomieszczenie było czyste i schludne, a wąskie łóżko wyglądało na miękkie i wygodne. Na środku pokoju piętrzyły się bagaże. Duncan wyjaśnił, że puste walizki powędrują do schowka.

- Będziesz miała trochę więcej miejsca.

- W porządku. To mi wystarczy - wzruszyła obojętnie ramionami.

Właściwie było dużo lepiej, niż się spodziewała. Żadnej pijackiej burdy za ścianą, normalnej atrakcji większości hoteli, w których zatrzymywała się do tej pory. Będzie więc mogła spać spokojnie, bez konieczności barykadowania drzwi. Innymi słowy, było całkiem niezłe. Szybko zajrzała do miniaturowej łazienki i z przyjemnością odkryła, że jest czysta i pachnąca. Tak więc przez sześć najbliższych tygodni będzie panią tego królestwa, miniaturowego wprawdzie, ale należącego wyłącznie do niej.

- Dobrze, wszystko gra - stwierdziła łaskawie. - A co z moją kanapką?

- Zaraz przyślę tu kogoś z jedzeniem. - Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że jest już mocno spóźniony. - Masz mniej więcej godzinę, żeby odsapnąć i rozpakować rzeczy. Powiem ludziom, żeby przygotowali wszystko do próby dźwięku. Musisz wyrobić się do czwartej, bo potem zaczynamy wpuszczać pasażerów. I nie spóźnij się na występ.

- Nie martw się, kotku. Będę punktualnie. Kołyszac leniwie szczupłymi biodrami, podeszła do otwartych drzwi i oparta się o framugę, dając mu w ten sposób do zrozumienia, żeby się zabierał. Kiedy spojrział na nią, unosząc swoim zwyczajem lewą brew, uśmiechnęła się trochę dwuznacznie i powiedziała:

- Będę potrzebowała parę butelek wody mineralnej. Tylko żadnych bąbelków ani innych kolorowych świństw. Najzwyklejsza woda bez gazu.

- Coś jeszcze?

- To się okaże. Na razie to wszystko. - Wyciągnęła dłoń i dotknęła palcem guzika jego koszuli. - Dzięki za wycieczkę.

- Polecam się na przyszłość - rzucił na odchodnym. Pomyślał sobie, że jeśli jego gwiazda ma ochotę na damsko - męskie gierki, trafiła na odpowiedniego partnera.

Miał już pójść na górę, gdy coś go podkusiło, żeby się odwrócić. Wciąż stała w otwartych drzwiach, więc podszedł do niej, wziął ją pod brodę i uniósł jej twarz tak, że musiała spojrzeć mu z bliska prosto w oczy.

- Niewiele jeszcze widziałaś... kotku! - powiedział z ironicznym uśmiechem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie było nic piękniejszego niż czarna, rozgwieżdżona noc nad Missisipi. Duncan lubił zwłaszcza chwilę, gdy zaczynał zapadać zmrok. Nadejście nocy oznaczało wytchnienie od niemiłosiernych lipcowych upałów, przynosiło kojące powiewy świeżej bryzy. Uwielbiał stać wtedy na górnym pokładzie i patrzeć na szeroko rozlane wody wielkiej rzeki. Czuł, jak przenika go bijąca od niej potęga. Zaczynało ogarniać go podniecenie i czekał niecierpliwie na to, co ma się stać. Noc oznaczała jedno - czas wkroczyć do akcji.

Wszyscy pasażerowie zjawili się już na statku. Jak zwykle, gdy zaczynał się nowy rejs, na pokładach przez co najmniej dwie godziny panowało ożywienie. Załoga uwijała się jak w ukropie, prowadząc gości do kajut, roznosząc bagaże i załatwiając masę najróżniejszych spraw. Potem nastąpiła krótka chwila spokoju, poprzedzająca rozpoczęcie uroczystej kolacji. Kiedy wszyscy zebrali się w głównym holu, gdzie w przyjemnym chłodzie serwowano drinki, Duncan powitał swoich gości i życzył im, aby rejs spełnił wszystkie oczekiwania. Obiecał, że dołoży wszelkich starań, by pasażerowie odczuli niezapomniany klimat parowca kursującego po królewskiej rzece. Wodził przy tym bystrym wzrokiem po barwnym, rozbawionym towarzystwie, wyłuskując z tłumu tych, którzy zapewniali największe zyski.

Nałogowi gracze, którzy wierzyli, że tym razem fortuna na pewno się do nich uśmiechnie, mieli rozgorączkowany wzrok i spocone czoła. Palce zaciśnięte na kieliszkach drżały nerwowo, a rozbiegane oczy zerkwały co chwila ciekawie w stronę sali, gdzie królowała ruletka, stoły do gry w karty i jednoręczni bandyci, migający kolorowym światłem. Po toaście za udany początek rejsu Duncan życzył wszystkim wesołej zabawy i rozbicia banku. Gdy zaś goście zaczęli rozchodzić się do baru i kasyna, poczuł przyjemne mrowienie w plecach - znak, że zaczyna się nowa przygoda.

Siedział w tym biznesie od dziecka, a mimo to uchronił się przed zabójczą rutyną. Większą część życia spędził w niezliczonych hotelach i pensjonatach eleganckich miejscowości uzdrowiskowych. Tam uczył się zawodu, obserwując swoich rodziców i ich znajomych. Szybko odkrył w sobie upodobanie i zdolności potrzebne do prowadzenia kasyna, jednak nie czuł się dobrze, przebywając w jednym miejscu. Do pełni szczęścia, prócz gry i ryzyka, potrzebny był mu ciągły ruch, dający poczucie niezależności i swobody. Zmiana miejsca gwarantowała, że nie będzie się nudził.

Matka Duncana często żartowała, że jej syn urodził się o sto lat za późno. Był wprost stworzony do włóczęgi po rzece, podobnie jak legendami bohaterowie Południa. Czas pokazał, że nigdy nie jest za późno, by zrealizować marzenia i robić to, do czego ma się powołanie.

Myślał teraz o tym wszystkim, stojąc z kieliszkiem szampana w ręce i patrząc na srebrną smugę piany, którą „Indiańska Księżniczka” zostawiała na czarnej jak węgiel tafli wody. Płynęli szybko z głównym nurtem, zostawiając za sobą ląd, a na nim problemy i ograniczenia. Rzeka witała ich łaskawie i niosła ku nowym portom, kusząc przygodą i tajemnicą. Ze swojego miejsca widział kapitana na mostku, wpatzonego w szlak parowca. Duncan potrafił prowadzić swój statek, bo zanim powierzył go cudzym dłoniom, nauczył się żeglugi i nawigacji. Chciał mieć pewność, że nie będzie od nikogo uzależniony i w razie potrzeby da sobie radę. Od czasu do czasu zajmował miejsce za sterem, jednak robił to tylko i wyłącznie dla przyjemności. Sam wybrał kapitana, podobnie jak resztę załogi, mógł więc na nim całkowicie polegać. Sobie pozostawił przyjemność płynącą z faktu, że wszystko funkcjonuje jak należy.

Uniósł kieliszek i skinął nim w stronę kapitana, który w odpowiedzi zasalutował i pociągnął za gruby sznur. Ciszę spokojnej nocy rozdarło donośne, głębokie buczenie syreny parowca. Duncan uśmiechnął się, dając znak, że wszystko w porządku, i poszedł do kasyna.

W ciemnym, zadymionym wnętrzu kłębił się już spory tłum rozochoconych graczy. Odszukał wśród nich wysoką sylwetkę Glorii, kierowniczkę sali. Stała nieco z boku, jak zwykle czujna i skupiona. Świetnie się prezentowała w smokingu opinającym jej bujne piersi. Duncan wypatrył ją kiedyś w Savannah. Spodobała mu się tak bardzo, że postanowił ją podkupić. Zaproponował pensję, która dwukrotnie przewyższała jej ówczesne zarobki, i zaprosił na swój statek. Bez wahania przyjęła ofertę i od tej pory stanowili niezwykle zgrany duet, choć tylko jako współpracownicy. Kiedyś próbowali nawet krótkiego romansu, ale szybko się okazało, że nie bardzo im to wychodzi. Łączyło ich przede wszystkim uczucie przyjaźni.

- Niezły tłum, co? - powitała go Gloria. - Na razie wiszą przy maszynach.

- Daj im się rozgrzać - uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. - Niech zużyją darmowe żetony. Dopiero potem zaczniesz się prawdziwa gra.

- Nie mogę się doczekać!

- Na pokładzie są dwie pary w podróży poślubnej. Jak ich zobaczysz, podaj im szampana na koszt firmy.

- Tak jest, szefie.

- Idę zobaczyć, co porabia nasza gwiazda, a potem pokręcę się tutaj przez jakiś czas - powiedział i poklepał ją przyjaźnie po ramieniu. Jeszcze raz okrążył salę, wsłuchując się w charakterystyczny szum kasyna - gwar ściszonych głosów, szmer tasowanych kart, terkotanie ruletki i metaliczne pobrzękiwanie żetonów wypływanych przez jednorękich bandytów. Dla Duncana nie było piękniejszej melodii niż te odgłosy, tak dobrze mu znane.

Ruszył głównym holem w stronę korytarza, gdzie mieściły się garderoby. Stał przed drzwiami Cat i spojrzał na zegarek. Nie widział jej od popołudnia, a ponieważ spóźniła się już na samym starcie, nie bardzo wierzył w jej punktualność. Wolał więc dmuchać na zimne i na wszelki wypadek upewnić się, czy wszystko w porządku. Zastukał do drzwi garderoby, krótko i mocno.

- Za pięć minut występ, panno Farell! - zawołał głosem doświadczonego inspicjenta.

- Wiem! A niech to jasna cholera! - dobiegło zza zamkniętych drzwi. - Jesteś tam jeszcze, Blade?

- Tak.

- Zamiast więc sterczeć beczynn timer, lepiej wejdź i mi pomóż!

Otworzył drzwi i stanął na progu jak wryty. Dosłownie go zatkalo.

Cat Farell wiała się jak wąż, wciśnięta w coś tak nieprawdopodobnie wąskiego, że tylko człowiek o bujnej wyobraźni odważyłby się nazwać to sukienką. Jej strój był zielony i odsłaniał kusząco ramiona i nogi. To właśnie ich widok tak zaskoczył Duncana. Nigdy by nie przypuszczał, że pod workowatymi dżinsami, w których wcześniej widział dziewczynę, kryją się takie cuda. Stał więc i gapił się na te nogi jak szczeniak, zachwycony ich kształtem i linią, pięknie podkreślona przez szpilki na niebotycznie wysokich obcasach.

- Co tak stoisz, jakbyś kij połknął? Może mi wreszcie pomożesz? - głos Cat natychmiast przywołał go do porządku.

- No, no... - cmoknął. - Ładnie się tu urządziłaś.

- Przestań się gapić i zasuń mi sukienkę. Ten przeklęty suwak znowu się zaciął - warknęła, szarpiąc zawzięcie zielony materiał.

- Zobaczymy, co się da zrobić - mruknął pod nosem, zachwycony widokiem nagich pleców, którym go nagle uraczyła. Kiedy do niej podszedł, ogarnął go jej zapach, ciężka i egzotyczna woń jakichś nieznanych perfum. - Czasem, zanim ruszy się w górę, trzeba zejść na sam dół - zauważył sentencjonalnie, spuszcżając suwak, żeby wyciągnąć spomiędzy ząbków kawałek materiału. Przy okazji musnął palcami nagą, ciepłą skórę.

- Nie musisz mi o tym mówić. Byłam już na samym dole. I muszę powiedzieć, że na górze jest dużo fajniej - odpowiedziała przytomnie, choć z trudem udało jej się pohamować

przyjemny dreszcz, który obudził się w niej pod wpływem dotyku szorstkiej dłoni. Nakazała sobie spokój i przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, spytała: - Co się tak grzebiesz? Chcesz, żebym przez ciebie spóźniła się na mój pierwszy występ?

- Spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą - odpowiedział. Czuł, że musi dotknąć ją jeszcze raz, więc delikatnie przesunął palcem wzdłuż jej kręgosłupa, aż do pokrytego miękkim meszkiem karku. - Masz śliczne plecy, Farrell.

- A ty buźkę, Blade. A teraz zaciągnij ten suwak, bo szef się wścieknie, jeśli nie zacznę punktualnie.

- Nie bój się, wstawię się za tobą.

- Obejdzie się!

Duncan manipulował wciąż przy zamku, choć wszystko było już w porządku. Czuł się coraz bardziej zaintrygowany, coraz silniej podniecony. Miał ochotę zsunąć z niej ten skrawek materiału i przekonać się, jakie jeszcze cuda się pod nim kryją. Dziewczyna stała tak blisko, że mógł dostrzec wyraz niepokoju w jej oczach. Starła się nie pokazać po sobie, że jest czuła na jego dotyk, ale kocie oczy zdradziły ją bezlitośnie, gdy rzuciła mu szybkie spojrzenie przez ramię. Tak, z pewnością miała wielką ochotę odwrócić się do niego i natychmiast przekonać, co jeszcze potrafią te zwinne palce, które tak przyjemnie pieściły jej kark. Zamiast tego powiedziała ostrzegawczo:

- Uprzedzam, że to byłby błąd.

- Chyba tak - przyznał niechętnie Duncan, ale wiedział, że Cat ma rację. Wolno zasunął suwak. - To byłby błąd - powtórzył. - Chociaż coś mi się zdaje, że warto go popełnić - przyznał, po czym zaraz cofnął się do drzwi i otworzył je szeroko. - Proszę bardzo - ukłonił się szarmancko. - Idź i złam nogę!

- Dla ciebie, kotku, mogę złamać nawet dwie - roześmiała się, chcąc przejść obok niego, ale niespodziewanie dla samej siebie przystanęła. Wyciągnęła dłoń i przesunęła palcem po linii jego ust. - Jednak trochę szkoda - powiedziała z przewrotnym uśmiechem, potem zaś, nie oglądając się za siebie, poszła prosto w stronę baru.

Po drodze liczyła uderzenia serca. Wiedziała, że to z powodu Duncana, a nie tremy przed występem. W całym ciele czuła przyjemne podniecenie. Postanowiła wykorzystać ten nagły przypływ adrenaliny.

Weszła na środek sceny w chwili, gdy na sali zapadła ciemność. Stała nieruchomo przez parę sekund, odliczając w myślach do dziesięciu, a kiedy poczuła, że jest gotowa, zamknęła oczy i zaczęła śpiewać a capella. Jej głos, początkowo cichy i jakby senny, wypełnił ciemne pomieszczenie, a jego niezwykła barwa natychmiast przykuła uwagę słuchaczy.

Rozmowy ucichły, zaciekawione oczy zwróciły się ku ciemnej scenie, skąd dobiegały słowa piosenki. Do śpiewu dołączyły w pewnym momencie instrumenty, a snop światła punktowego reflektora wydobył z gęstego mroku twarz piosenkarki, przylgnął do niej, rozświetlił rude loki i sprawił, że zalśniły niczym żywy płomień. Krąg światła zaczął się z wolna rozszerzać, by w końcu objąć całą postać piosenkarki. W tym momencie muzyka i głos Cat zabrzmiały najpełniej.

Duncan słuchał oparty o ścianę w mrocznym kącie tuż obok wejścia. Tym razem potęgą jej głosu przemówiła do niego jeszcze silniej. Patrząc na nią, nie mógł się jednak powstrzymać od myśli, że głęboki smutek w jej głosie to tylko gra. Potrafiła uwieść śpiewem każdego, tak jak syrena wabiąca nieostrożnych marynarzy. Rozejrzał się po sali i zauważył, że publiczność uległa czarowi dziewczyny. Słuchali jej w skupieniu, wpatrzeni w nią jak zakłeci. Zapomnieli o drinkach, przerwali rozmowy. Jej śpiew sprawiał, że kobiety ogarniało rozmarzenie a mężczyźni zmysłową pasję. Duncan nie wątpił ani przez chwilę, że Cat potrafi obudzić w każdym facecie takie pragnienia, o jakich mu się nawet nie śniło.

Podniósł dłoń i dotknął ust, tak jak zrobiła to Cat. Samo wspomnienie tej pieszczoty sprawiło, że w dole brzucha poczuł przyjemne ciepło, które powoli ogarnęło całe jego ciało. Pomyślał sobie, że ta uwodzicielska kobieta jest bardzo niebezpieczna, a przy tym bezwzględna. Pech chciał, że miał zdecydowaną słabość do takich właśnie kobiet.

Wysłuchał piosenki do końca. Dopiero kiedy przebrzmiała ostatnia nuta i zerwał się huragan braw, opuścił swój ciemny kąt. Poszedł prosto do kasyna, święcie przekonany, że tej nocy szczęście będzie mu sprzyjać.

Cat wystawiła nos z kajuty dopiero w okolicach południa. Kiedy po drugim występie wróciła do siebie, była tak zmęczona, że miała siłę tylko się rozebrać i zmyć makijaż. Padła na łóżko i natychmiast zasnęła kamiennym snem.

Obudziły ją promienie słońca, wpadające do kajuty przez okrągłe okienko. Przez chwilę nie mogła przypomnieć sobie, gdzie jest, ale cichy szum silnika i senne kołysanie statku natychmiast przywróciły jej pamięć. Gdyby nie dokuczliwy głód, przekreśliłaby się na drugi bok i spała aż do wieczora, musiała jednak coś zjeść, toteż wzięła krótki prysznic, ubrała się i ruszyła prosto do kuchni. Poprzedniego dnia zdążyła już poznać jednego z kucharzy. To była jej sprawdzona metoda. Zawsze, w każdym hoteliku, klubie nocnym czy pensjonacie, szybko nawiązywała przyjaźń z personelem kuchni. Dzięki temu zapewniała sobie najlepsze kąski.

Jej nowy kolega nazywał się Charlie i był typowym południowcem rodem z Nowego Orleanu. Chudy jak szczapa, z nastroszonym wąsem i świdrującymi oczami, wyglądał bardzo

zabawnie. Zdążył powiedzieć jej na samym wstępie, że był już sześciokrotnie żonaty. Poprzedniego dnia opowiedział jej historię dwóch pierwszych małżeństw, więc kiedy zobaczył ją w progu kuchni, ucieszył się, że będzie mógł kontynuować swoją opowieść.

Zaprosił Cat do stołu i szybko przygotował dla niej omlet z krewetkami. Kiedy zaś pochłaniała ten przysmak z ogromnym apetytem, Charlie snuł historię kolejnych romansów. Kiedy udało jej się zaspokoić pierwszy głód, postanowiła przerwać jego monolog.

- Słuchaj, Charlie, powiedz mi lepiej coś o naszym szefie - poprosiła.

- O Duncanie? Porządny z niego gość. I ma łeb na karku. Jak się tu najmowałem, powiedział: „Charlie, jedzenie ma być pierwsza klasa”. Zna się na rzeczy, wie, co dobre. Dla niego żarcie to poezja, więc staram się, żeby był zadowolony. A on mi za to dobrze płaci. Naprawdę nie mogę narzekać. Trzeba się starać, bo Duncan nie popuści. Ej, ej! - rzucił nagle, patrząc na pomocnika, który kroił pieczarki. - Co tak grubo? Potrzebne ci okulary, czy jak?

- Rzeczywiście sprawia wrażenie wymagającego - przyznała Cat.

- Prawda? - podchwycił Charlie. - A jakie ma oko do kobiet! - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Tak się potrafi zakręcić, że ani się obejrzysz, a jedzą mu z ręki. Ale to spryciarz, żadnej nie da się usidlić. Nie to, co ja. Wystarczy, że raz na jakąś spojrzę, a już ląduję przed ołtarzem.

- To bierz przykład z Duncana - roześmiała się Cat.

- Ba! Do tego trzeba mieć wrodzony talent. Prawdziwy z niego mistrz. Ledwie którą połaskocze, i już go nie ma, ucieka. A one głupie wzdychają.

- Na szczęście nie każdy ma łaskotki.

- Łaskotki może nie, ale czuły punkt tak. Ja na przykład mam ich aż za dużo.

Gadali tak przez dobrą godzinę. Charlie co chwila podtykał Cat jakiś smakołyk, zachwycony jej nienasyconym apetytem. Niestety, zbliżała się pora obiadu, więc mistrz sztuki kucharskiej był coraz bardziej zajęty. Dlatego Cat postanowiła pokręcić się po statku.

Wchodząc na pokład, myślała sobie, że nie ma żadnych słabych punktów, a nawet jeśli, to i tak potrafi je ukryć. Dawno już zrozumiała, że mądra kobieta nigdy ich nie odsłania, dzięki czemu może w każdej chwili wymknąć się mężczyźnie i prędzej to ona zrani, niż zostanie zraniona. Cat miała się za mądrą kobietę, więc uwodzicielskie sztuczki Duncana Blade'a nie stanowiły dla niej zagrożenia.

Na pokładzie panował nieznośny upał, mimo to nie uciekła do cienia. Oparta się o reling i wlepiła wzrok w zielonkawą wodę, która pieniała się wokół burty. Mogła sobie wyobrazić, że bije od niej przyjemny chłód, ten jednak nie docierał na pokład. Choć i tak było jej przyjemnie. Już sam fakt, że znajdowała się daleko od zatłoczonego, śmierdzącego

spalinami miasta, pomagał się odprężyć i zrelaksować. Z rozkoszą wciągała w płuca aromatyczne powietrze, nie zwracając uwagi, że jest gorące i wilgotne.

Pomyślała sobie, że nie byłoby źle, gdyby takie okazje jak ten rejs trafiały się częściej. Trochę pracy późnym wieczorem, ranki i popołudnia wolne. Do tego znakomite żarcie, wygodna kajuta, miękkie łóżko. Życie nie umierać. I co najważniejsze, bardzo przyzwoita gaża. Charlie miał rację mówiąc, że Duncan Blade jest hojny. Wiedziała, że nieźle zarobi i że będzie mogła zapomnieć o biedzie i podłych czasach, kiedy musiała żebrnąć o nędzne grosze, by zapłacić za jakiś nędzny hotel.

Dawno już sobie obiecała, że wyrwie się z nędzy. Teraz, patrząc na rzekę, odnowiła to przyrzeczenie. Postanowiła, że nigdy już nie zazna biedy ani strachu przed głodem. Od tej chwili panna Cat Farrell rozpoczyna triumfalną wspinaczkę na szczyt.

Kiedy tak stała, pogrążona w marzeniach o lepszym życiu, Duncan śledził ją uważnie z górnego pokładu. Oparta w leniwej pozycji łokciami o barierkę, ze skrzyżowanymi nogami, przypominała mu rudą kotkę wygrzewającą się na słońcu. Ubrana w dżinsowe szorty i spłowiały podkoszulek, w niczym nie przypominała uwodzicielskiej syreny, która czarowała słuchaczy minionej nocy. Mimo to czuł się spięty.

Przyszło mu do głowy, że to nie jej wygląd tak na niego działa. Oczywiście, nawet teraz patrzył z przyjemnością na zgrabne nogi, jednak o wiele bardziej intrygowało go jej zachowanie. W każdym jej ruchu, słowie, geście czuć było ogromną pewność siebie i niezależność. Już na pierwszy rzut oka było widać, że ta młoda dama nie zważa na opinie innych. Pewnie dlatego ubierała się z taką niedbałością, która jednak nie oznaczała braku stylu. Duncan musiał przyznać, że bardzo mu się to podoba.

- Hej, gwiazdo! - zawołał do niej, a kiedy spojrzała w górę, pomachał jej na powitanie.

Cat zasłoniła ręką oczy, bo nawet daszek czapki i ciemne okulary nie chroniły przed ostrymi promieniami słońca, i ujrzała szczupłą, prężną sylwetkę Duncana rysującą się na tle intensywnego błękitu nieba. Lekka bryza rozwiewała jego czarne włosy i wybrzuszała niebieski podkoszulek niczym żagiel. Cat nie mogła się nadziwić, jakim cudem ten facet zawsze wygląda tak nieskazitelnie, jakby dopiero co wyszedł z salonu odnowy biologicznej, a po drodze zrobił zakupy w luksusowym butik. Jego sprawa, skwitowała i skinęła łaskawie ręką.

- Cześć, Blade!

- Wejdiesz na górę?

- Po co?

- Chcę z tobą pogadać.

- To zejź na dół - odkrzyknęła, uśmiechając się zaczepnie.

Duncan nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. Wiedział, że taka mała porażka może oznaczać przegraną na całej linii frontu, dlatego postanowił wykorzystać autorytet szefa.

- Nie dyskutuj, tylko włącz na górę. Czekam w biurze - zawołał. Zanim odwrócił się, zdążył jeszcze zauważyć, jak Cat wzrusza lekceważąco ramionami.

Usiadł wygodnie za dużym biurkiem i spokojnie czekał. Wiedział, że dziewczyna na pewno nie będzie się spieszyć z wykonaniem polecenia. Zresztą sam postąpiłby tak samo. Uśmiechnął się pobłaźliwie i przez duże, panoramiczne okno obserwował kręcących się po pokładzie pasażerów. Co odważniejsi próbowali się opalać, jednak zdecydowana większość szybko rezygnowała. Zniechęceni upałem i duchotą, wracali do klimatyzowanych sal, gdzie mieli do wyboru krótki wykład na temat historii żeglugi po Missisipi albo kasyno z barem. Największe wzięcie miała oczywiście jaskinia hazardu.

Wreszcie Cat stanęła w otwartych drzwiach i zapukała głośno w futrynę.

- Jestem.

- Wchodź śmiało i siadaj. - Wskazał jej fotel po przeciwnej stronie biurka. - Jak minął ci ranek?

- Nijak. Przespałam go. Fajne masz biuro - zauważyła, bezceremonialnie rozglądając się po przestronnym wnętrzu. - Dobrze, że nie mam lęku wysokości. Swoją drogą, co za widok! - Pokręciła głową z podziwem, spoglądając ku widocznej za oknem rzece i pofalowanej linii brzegu.

- Nie pozwala zasnąć nad papierami. Napijesz się czegoś?

- Wody. Tylko niegazowanej!

- Naprawdę nie pijesz nic innego? - spytał i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Prawie. No, ale słucham, chciałeś o czymś porozmawiać - szybko przeszła do konkretów.

- Przeglądałem twoje materiały promocyjne i życiorys - stwierdził. Stał do niej tyłem i nalewał wodę do wysokiej, oszronionej szklanki, nie mogła więc dostrzec wyrazu jego twarzy.

- I co? - spytała obojętnie. Za nic w świecie nie dałaby poznać po sobie, że jest lekko zaniepokojona.

- I nic - wzruszył ramionami - wszystko jest profesjonalnie napisane, ale niewiele można się z tego dowiedzieć o tobie. - Usiadł naprzeciwko niej i wyjął z kieszeni cienkie cygaro. - Powiedz mi coś więcej.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

Wyprostowała się w fotelu, lecz już po chwili przyjęła luźną pozę. Wsadziła ręce do kieszeni szortów i ostentacyjnie wyciągnęła długie nogi.

- O czym tu opowiadać? Dałeś mi angaż, więc zjawiłam się i robię, co do mnie należy. Co jeszcze?

Przyglądał jej się przez chwilę zza sinej smugi dymu z cygara.

- Na przykład to, skąd pochodzisz. W twoim życiorysie nie ma o tym ani słowa.

- Z Chicago, z dzielnicy południowej. Z przedmieść.

- Nie najlepsza okolica, co?

- A ty skąd możesz to wiedzieć? - odparowała zaskakująco ostrym tonem. - Nie przypominam sobie, żebym widywała tam MacGregorów.

A więc tu cię boli, pomyślał, lecz zachował obojętną minę i jak gdyby nigdy nic wypuścił z ust kolejną chmurę dymu.

- Zanim stary MacGregor dorobił się majątku, wiele lat pracował w kopalniach węgla i mieszkał w dzielnicach nie lepszych niż ta, z której pochodzisz - odpowiedział. - Mój ojciec, Justin Blade, który jest półkrwi Indianinem, wyrwał się z miejsca, przy którym twoje przedmieścia to prawdziwy raj na ziemi. Moja rodzina nie wstydzi się swoich korzeni, więc nie próbuj być wobec mnie złośliwa. A przynajmniej nie w taki sposób - dodał prawie beznamiętnym tonem.

- Wasza sprawa. Ja już dawno odciąłam się od swoich, jak to nazwałś, korzeni. - Spojrzała na niego zza zasłony ciemnych okularów. - Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- Co z twoją rodziną?

- Nic. Ojciec od dawna nie żyje. Miał dwadzieścia dziewięć lat, kiedy przejechał go pijany kierowca. Ja miałam wtedy osiem. Matka mieszka w Chicago, jest kelnerką. Tylko co to wszystko ma wspólnego z moją pracą na tym statku? - spytała opryskliwie.

Nie odpowiedział, tylko szybkim ruchem zerwał jej z nosa okulary.

- Hej, co ty wyprawiasz! - krzyknęła, próbując mu je wyrwać, ale on był szybszy.

- Lubię widzieć oczy mojego rozmówcy - wyjaśnił i położył spokojnie okulary na półkę, w takim miejscu, żeby nie mogła po nie sięgnąć. Zadowolony, obserwował jej wściekłość i błyski gniewu w zielonych oczach.

- Pytałam cię o coś - warknęła.

- Pamiętam. Podpisałem z tobą kontrakt na sześć tygodni, z zastrzeżeniem, że może zostać przedłużony o następne sześć. Zanim się zdecyduję, chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Słuchała go w milczeniu, jednak w głębi serca czuła ogromną radość. Kontrakt przedłużony o następne półtora miesiąca oznaczał stałą pracę i, co ważniejsze, stały dochód. Dzięki temu będzie mogła odłożyć więcej pieniędzy i wysłać matce dwa razy tyle, co zwykle. A potem być może wszechmocny MacGregor Blade zdecyduje się podpisać z nią następny kontrakt.

Zapłonęła w niej iskierka nadziei, wskazująca drogę, którą ucieknie od biedy do lepszego życia. Jej radość i podniecenie były ogromne, jednak twarz niczego nie zdradzała. Uśmiechnęła się do Duncana leniwie, jakby od niechcienia.

- Skoro tak, kotku - powiedziała wolno - to możesz pytać, o co chcesz. Moje życie będzie dla ciebie otwartą księgą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Duncan natychmiast się zorientował, że nacisnął właściwy guzik. Są ludzie, do których nic nie przemawia tak skutecznie, jak pieniądze. Najwyraźniej Cat Farell do nich się zaliczała. Z inną kobietą byłby na pewno subtelniejszy. Uroczy, odrobinę bezczelny i romantyczny. Taka kombinacja działała zazwyczaj niezawodnie, jednak intuicja podpowiadała Duncanowi, że te numery nie przeszłyby z Cat. Dlatego postanowił nie tracić czasu na stare sztuczki i spytał ją wprost:

- Masz jakiegoś faceta?

- Lubisz walić prosto z mostu, co? - Uniosła brwi, nie ukrywając zaskoczenia.

- Owszem. To jak, kotku? Jest jakiś facet czy nie?

- Nie ma, dopóki sama tego nie będę chciała.

Popatrzyła mu śmiało w oczy ponad brzegiem szklanki, z której piła wodę. Chciała, żeby właściwie odczytał sens jej słów.

- Żadnego faceta, przynajmniej w tej chwili - powtórzył Duncan. - Nie pijesz, nie ciągnie cię hazard. Żadnych słabości?

Obrzuciła go zagadkowym spojrzeniem.

- A czy ja to powiedziałam? Ty dla odmiany pijesz, lubisz hazard, kobiet masz na pęczki. Rozumiem więc, że masz same słabości, tak?

- Punkt dla ciebie - powiedział z uznaniem. Sięgnął nieco zakłopotany po leżącą na biurku monetę i zaczął się nią bawić. - Wczoraj wieczorem zrobiłaś na mnie naprawdę duże wrażenie - zmienił niespodziewanie temat.

- W garderobie?

- Tam też. Ale przede wszystkim na scenie. Masz talent.

- Wiem.

- To dobrze. Człowiek powinien znać swoją wartość. Pytanie tylko, co zamierzasz z tym zrobić.

- Wykorzystać, jak się da. Albo jeszcze lepiej - rzuciła zarozumiale.

- Dlaczego nie nagrywasz płyt?

- Ach, wiesz, taki kaprys gwiazdy. Przedstawiciele największych wytwórni ciągle kołaczą do moich drzwi, ale ich nie wpuszczam - odparła z sarkazmem.

- Potrzebujesz więc dobrego agenta.

- Co ty powiesz?

- Mogę ci pomóc.

- Tak? A co chcesz w zamian? - spytała prowokacyjnie i odstawiła szklanę, patrząc mu prosto w oczy.

- Na pewno nie to, co masz na myśli - odparł. Moneta zastygła pomiędzy jego szczupłymi palcami. - Nigdy nie łączę seksu z interesami i nigdy za niego nie płacę. Czy możemy teraz porozmawiać poważnie?

Nie odpowiedziała. Po pierwsze dlatego, że poczuła się głupio, a po drugie zastanowiło ją, jakim cudem spokojny, prawie obojętny ton Duncana może chwilami ciąć i ranić jak nóż. Po chwili westchnęła głęboko, bo wiedziała, że musi naprawić swój błąd.

- Przepraszam, zdaje się, że źle cię zrozumiałam. Albo raczej za szybko wyciągnęłam wnioski. Powiem wprost: do tej pory nie zdarzyło mi się spotkać w życiu zbyt wielu facetów, którzy oferowaliby bezinteresowną pomoc. W mojej branży każda propozycja ma drugie dno, sam więc rozumiesz...

- Rozumiem. Wiedz jednak, że jeśli uprawiam seks, to tylko dla czystej przyjemności. A jak biorę się za interesy, to... też robię to dla przyjemności, tyle że innego rodzaju. Czy to jasne?

- Jak słońce.

- To dobrze. - Znow zaczął bawić się monetą. - Mam sporo kontaktów w świecie rozrywki. Wybierz coś sobie, nagraj, a ja puszcze taśmę w obieg.

- Tak po prostu? Dlaczego? - zdziwiła się. Wciąż nie mogła uwierzyć, że czasem cuda się zdarzają.

- Bo podoba mi się twój głos. Reszta oczywiście też, ale nie o to chodzi.

Przez chwilę rozważała jego propozycję. Doszukiwała się w jego słowach jakichś ukrytych znaczeń, szukała pułapek i haczyków, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Najwyraźniej intencje Duncana Blade'a były czyste.

- Dzięki - powiedziała wreszcie.

Wyciągnęła do niego rękę w tradycyjnym geście dobijania targu. Zdumiona, obserwowała, jak błyszcząca moneta, którą się bawił, rozplynęła się nagle w powietrzu.

- Nieźle. Dużo znasz takich sztuczek?

- Nie zliczę - przyznał szczerze. Połechtano go przyjemnie, że Cat jest pod wrażeniem, więc znow zapragnął popisać się przed nią. Moneta błysnęła w jego palcach. Włożył cygaro do ust i przytrzymał zębami, a następnie schował monetę w zaciśniętej dłoni. Wyciągnął obie ręce w stronę Cat, a kiedy je otworzył, po monecie nie było ani śladu. Roześmiała się zmysłowo i przysunęła bliżej, prosząc, żeby powtórzył sztuczkę.

- Zaraz cię rozszyfruję - obiecała, obserwując uważnie jego dłonie.

- Założymy się?

- Upprzedzam, że mam bardzo bystre oczy - powiedziała, rzucając mu krótkie spojrzenie.

- A jakie piękne! Kiedy wczoraj pierwszy raz spojrziałś na mnie, aż zacząłem się ślinić - roześmiał się na wspomnienie ich pierwszego spotkania. - Zresztą nie tylko oczy masz piękne. Włosy też. - Jego głos przybrał miękki, zmysłowy ton. Duncan wyciągnął rękę i przesunął palcami po gęstwinie końskiego ogona. Jednym ruchem zdjął jej bejsbolówkę i rzucił na kolana. - Wspaniałe włosy. No, kotku, powiedz gdzie jest moneta - poprosił nagle trzeźwym i rzeczowym tonem.

- Co takiego?

Dobrze, punkt dla mnie, ucieszył się, widząc zaskoczenie w jej oczach. Odsunął się od niej i podnosząc obie ręce do góry, pokazał, że nic w nich nie ma.

- Gdzie jest moneta? - powtórzył. - Jak widzisz, nie chowam niczego w rękawie.

- Dobry jesteś - roześmiała się, choć tak naprawdę nie było jej do śmiechu. Na jedną krótką chwilę dała m się oczarować, zahipnotyzować jak królik przez węża. Powinna bardziej uważać.

- Żebyś wiedziała, że jestem dobry, bardzo dobry! - uśmiechnął się szelmowsko. Potem sięgnął po czapkę, a kiedy wywrócił ją na drugą stronę, wypadła z niej moneta. Nim jednak zdążyła dotknąć jej dłoni, Duncan znów chwycił ją i gdzieś schował.

Cat roześmiała się, ubawiona tymi sztuczkami.

- Prawdziwy z ciebie mistrz iluzji - pochwaliła go znowu. - Dobrze się tu bawię, ale pora iść. Muszę przeciwżyć parę nowych kawałków, które mam zamiar włączyć do programu.

Wstała z fotela, lecz nim zdążyła zrobić choćby krok, poczuła, jak na przegubach jej dłoni zaciskają się te zwinne, czarodziejskie palce, które przed chwilą podziwiała. Gdzieś głęboko poczuła silny dreszcz, jakby nagły skurcz albo mocne uderzenie serca. Mimo to opanowała się i spojrzała Duncanowi w oczy.

- O co chodzi? - spytała.

- Czujesz to?

- Co takiego?

- Tę więź między nami.

- Być może. Ale teraz mnie puść.

Nie zrobił tego od razu, choć w końcu zwolnił uścisk i cofnął rękę.

- Żadnych zobowiązań, Cat.

- Żadnych zobowiązań - powtórzyła. - To nawet dobrze, bo lubię mieć swobodne ręce.

Po tych słowach wyciągnęła ramiona i otoczyła nimi szyję Duncana. Potem ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała go prosto w usta. Była przygotowana na wstrząs, dreszcz emocji, zawrót głowy, jednak to, czego doświadczyła, kiedy poczuła na wargach ciepło jego ust, przerosło jej najśmielsze oczekiwania. Nigdy dotąd nie przeżyła podobnego uczucia. Najchętniej zatraciłaby się w tej niesamowitej przyjemności, rozplynęła w niej, pozwoliła porwać się pragnieniu. Jednak instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy niż fizyczne podniecenie i w samą porę uruchomił sygnał ostrzegawczy. Posłuszna intuicji, w trudem odsunęła się od Duncana.

- O cholera! - wykrztusiła z siebie, wiaż nie mogąc zapanować nad drżeniem głosu.

- O cholera! - powtórzył jak echo i zanim zdołała zrobić choćby krok, położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie. - Teraz moja kolej - szepnął jej prosto do ucha.

Pochylił się nad nią i zbliżył usta do jej ust, ale nie spieszył się z pocałunkiem. Dopiero po chwili musnął delikatnie jej wargi, raz, potem drugi, jakby chciał odwlec tę chwilę, gdy napiętność całkowicie nimi zawładnie. Robił to zresztą świadomie, dając do zrozumienia, że może mieć nad nią władzę. Przed chwilą dał się zaskoczyć i zaczął poważnie obawiać się, żeby nie stało się to regułą. Wiedział, że jeśli natychmiast jej nie pokona, to przed upływem tygodnia ta mała bestyjka będzie wodziła go za nos.

W żadnym wypadku nie mógł na to pozwolić. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby jakakolwiek kobieta, nawet najbardziej niezwykła i pociągająca, owinęła sobie Duncana Blade'a wokół małego palca. Jeśli ta dzika kocica liczyła na to, że uda jej się ta sztuczka, była w wielkim błędzie, on zaś zamierzał jej to zaraz udowodnić. Nie na darmo ćwiczył się łatami w trudnej sztuce uwodzenia. Miał na tym polu spore osiągnięcia i doskonale wiedział, jak sprawić kobiecie rozkosz.

Rzecz jasna, nigdy nie odważyłby się nazwać siebie kochankiem doskonałym, potrafił jednak nie tylko brać, ale i dawać. Postanowił zaprezentować Cat swe niezwykle umiejętności. Przesunął wolno dłońmi po jej biodrach, powiódł nimi w górę, wzdłuż żeber, aż do zaokrąglenia piersi. Nie zatrzymał się, tylko musnął je bardzo delikatnie, powodując, że zadrżała mocno i przyłgnęła do niego całym ciałem. Wtedy ujął jej kark, wsunął palce we włosy i pocałował mocno, odbierając jej oddech i resztę świadomości.

Nie próbowała nawet odsunąć się od niego. Poddawała się pocałunkom, z każdą chwilą coraz gwałtowniejszym i bardziej niecierpliwym. Coraz mocniej zaciskała ramiona wokół jego szyi, wtedy jednak znowu odsunął się od niej i przez kilka sekund patrzył w jej

nieprzytomne oczy. Potem pochylił się i zaczął bawić jej wargami. Chwytał zębami jedną z nich, gryzł leciutko i delikatnie, wodził po niej koniuszkiem języka. Pokrywał jej policzki, nos i szyję tysiącem leciutkich, drażniących pocałunków. Przesuwał językiem wzdłuż jej szczęki, łaskotał w ucho, dotykał zamkniętych powiek. A kiedy poczuł, że cała drży i kurczowo zaciska palce na jego plecach, pocałował ją znowu.

Tym razem pocałunek był bardzo głęboki, gorący, pełen najczystszej namiętności. Cat nie pozostała mu dłużna i całkowicie otworzyła się na jego pieśczętę, równie jak on chętna i niecierpliwa, w coraz gwałtowniejszym pragnieniu absolutnej bliskości. Kiedy traciła oddech, odrywała się od niego, ale już po chwili wracała z jeszcze większą gwałtownością i coraz silniejszym głodem doznań. Kiedy chwycił dłońmi jej włosy, posłusznie odchyliła głowę, ale w tym ruchu nie było uległości. Nie poddawała się, była równorzędnym partnerem w tej walce. Tak samo jak on, zmierzała wytrwale ku temu, by ich usta, języki, ciało i wszystkie zmysły stały się jednym. Oddawała mu dotyk za dotyk, pocałunek za pocałunek, lgnęła do niego tak samo mocno, jak on do niej. Jego podniecenie prowokowało ją tak samo, jak jej podniecenie pobudzało jego.

Duncan czuł, że jeszcze chwila, i nie będzie w stanie zapanować nad sobą, a wtedy stanie się to, co jeszcze stać się nie powinno. „Walczył więc ze sobą, ze swoim ciałem, które nie pozwalało narzucić sobie ograniczeń i szarpało się jak zwierzę na łańcuchu, gotowe bronić pazurami swojej nieograniczonej swobody. Jej gorące, niecierpliwe usta nie ułatwiały mu zadania, mimo to zdołał pohamować się i złagodzić pocałunek. Z ogromną czułością pogładził jej włosy, dotknął ustami czubka jej brody, potem jeszcze raz pocałował lekko w usta. Poczekał na jeszcze jeden silny, rozkoszny dreszcz, i wreszcie odsunął ją od siebie na wyciągnięcie ramion.

Trzymał jej twarz w swoich dłoniach, czekając aż uspokoi się jego własny puls, wciąż jednak czuł w głowie łomotanie. Żądza wciąż w nim trwała. Niezaspokojone podniecenie wywoływało fizyczny ból, który chwilami pozbawiał go oddechu.

Cat także nie potrafiła zapanować nad własnym podnieceniem. Wydawało się, że powoli odzyskuje panowanie nad sobą, jednak wewnątrz czuła prawdziwą huśtawkę emocji. Oblizwała wargi, zupełnie jakby chciała jeszcze raz poczuć smak pocałunków, po czym odezwała się z głębokim westchnieniem:

- Zdaje się, że faktycznie jest między nami jakaś więź.

- A nie mówiłem? - uśmiechnął się bez zwykłej arogancji. - Proponuję, żebyś przyszła po występie do mojej kajuty. Może uda się nam jeszcze tę więź zacieśnić.

Westchnęła głęboko, bo zdała sobie sprawę, że nie pragnie niczego bardziej niż znaleźć się znowu w jego ramionach. Jednocześnie miała świadomość, że byłoby to igranie z ogniem. Ryzyko było zbyt duże, a ona nie zamierzała wpędzać się w kłopoty.

- Powiem ci, kotku, że twoja propozycja jest bardzo kusząca. Ale jedna noc z tobą byłaby dla mnie samobójstwem. A ja nie mam na razie ochoty skakać z mostu. Więc pa!

Chciała odejść, lecz ją zatrzymał. Poczowała na ramieniu mocny uścisk jego palców.

- Chyba pamiętasz, co ci mówiłem. Na wszelki wypadek powtórzę: nigdy nie łączę seksu z interesami.

- Pamiętam. I wierzę ci. - Ujęła przegub jego dłoni. - Być może nawet udałoby nam się utrzymać taki układ. Ale byłby on dla mnie niebezpieczny z zupełnie innego powodu... - Znacząco uścisnęła jego rękę, a potem odsunęła się i sięgnęła po czapkę i okulary. - Zbyt łatwo łamię pan serca, panie Blade, a ja nie chcę mieć na swoim nawet najdrobniejszej rysy.

- Ja łamię serca? Ja? To bzdura! - zaperzył się Duncan. Był ciekaw, od kogo mogła usłyszeć takie rzeczy. - Nawet ich nie ranię!

Roześmiała się i szybkim ruchem wsunęła na nos okulary.

- To twoje zdanie - powiedziała, a potem posłała mu w powietrzu całusa i ruszyła do wyjścia. Pomyślała jednocześnie, że powinna uciec od niego, zanim sama zacznie w to wierzyć.

Duncan zrobił kilka kroków w jej stronę. Miał ochotę pójść za nią i przekonać, że powinna mu zaufać, ale opanował się. Już sama myśl, że mógłby się do tego posunąć, wywołała w nim ogromną złość. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakaś kobieta zmusiła go do zabiegania o swoje względy. Również teraz nie zamierzał padać na kolana i błagać Cat, żeby raczyła pójść z nim do łóżka. Co to, to nie! Musi najpierw rozważyć wszystkie za i przeciw, ewentualny zysk i stratę.

Odwrócił się wolno i podszedł do okna. Widok rzeki i brzegu w oddali zawsze pomagał mu zebrać myśli. Sięgnął do kieszeni i wydobył z niej monetę, która po chwili ożyła w jego palcach. To, że pragnął Cat, było normalne i naturalne. Dawało przyjemność, nie wymagało wysiłku. Uwiedzenie jej na pewno wymagałoby więcej zachodu, choć też z pewnością nie okazałoby się zbyt trudne. Wiedział, że istnieje między nimi silne przyciąganie, które pcha ich ku sobie i które nie osłabnie, póki nie zaspokoją pożądania.

Skrzywił się na myśl, że Cat posądziła go o świadome łamanie kobiecych serc. Nigdy tego nie robił, nie widział sensu w ranieniu czyichkolwiek uczuć. Zwykle wycofywał się ze związku z kobietą, zanim obie strony tak bardzo zaplątały się w uczuciach, że wzajemne relacje przynosiły więcej zgrzyoty niż radości. Uważał, że dopiero kontynuowanie takiego

chorego układu jest w stanie ranić, i to obie strony. Nie widział powodu, żeby robić wyjątek od tej reguły, zwłaszcza na tym etapie znajomości.

Oczywiście, Cat stanowiła dla niego pewne wyzwanie, głównie dlatego, że była dużo bardziej pociągająca i intrygująca niż większość kobiet, z którymi miał do czynienia. Może nawet nigdy dotąd nie spotkał równie niezwyklej osoby. Najbardziej drażniła go jej otwarta, nie udawana zmysłowość, która działała na niego jak najbardziej wyrafinowana pieśczoła. Czuł, że pokusa jest ogromna, i miał ochotę odpowiedzieć na prowokujące zachowanie Cat, ale wyłącznie na jego warunkach. Nie pozostało mu więc nic innego, jak szybko przekonać ją, żeby zaakceptowała ustalone przez niego reguły gry.

Zadowolony z siebie, postanowił na wszelki wypadek zapytać los, jakie daje mu szanse w tej grze. Popatrzył na monetę, wybrał reszkę i podrzucił pieniążek aż pod sufit, a potem chwycił go zwinnymi palcami i położył na wierzchu dłoni. Nie musiał bać się o wynik. Jego szczęśliwa moneta miała reszkę z obu stron. W końcu Duncan Blade nie lubił przegrywać, więc musiał zapewnić sobie przychylność losu.

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek telefonu. Sięgnął z uśmiechem po leżącą na biurku słuchawkę i rzucił krótko:

- Tu Blade, o co chodzi?

- Ile razy ci powtarzałem, żebyś mówił „słucham”, jak odbierasz telefon! Czy ty nigdy nie nauczysz się dobrych manier?

Duncan uśmiechnął się szeroko.

- Jak się masz, dziadku! - zawołał. - Co tam słyszać w wielkim świecie?

- Powolutku. A jak się sprawuje twój statek?

- Wspaniale. Mówiłem ci, że to prawdziwa księżniczka! Wczoraj wypłynęliśmy w nowy rejs i jesteśmy w drodze do Memphis. Poza tym cholerny upał, żyć się nie chce.

- Współczuję. U mnie za to wieje świeża bryza prosto znad oceanu, poza tym raczę się cudownym kubańskim cygarkiem.

- Rozumiem, że babci nie ma w domu?

- Jakbyś zgadł. Poszła sobie na jakąś babską herbatkę, więc mam wreszcie trochę spokoju. A dzwonię właściwie przez nią, bo ciągle mi truje, jak za tobą tęskni.

Duncan wiedział, że jego babka nigdy w życiu nikomu nie truła nawet przez pięć minut, ale dla własnego dobra postanowił zachować tę uwagę dla siebie.

- Powiedz babci, że przyjadę ją odwiedzić, ale dopiero po sezonie, czyli najwcześniej jesienią.

- A co byś powiedział, gdyby to ona przyjechała do ciebie? Na pewno podobałoby jej się na twojej łajbie.

- Wspaniale! Zapraszam w każdej chwili. Tylko daj mi znać, żebym zdążył przykryć trap czerwonym dywanem.

Daniel zarechotał głębokim basem, ale zaraz przeszedł do rzeczy.

- Twój brat mówił mi, że zaangażowałaś na ten sezon nową piosenkarkę. Babcia bardzo chciałaby ją usłyszeć.

- To prawda. Dziewczyna nazywa się Cat Farell - powiedział, instynktownie dotykając warg, na których wciąż czuł smak i zapach jej ust. - I mówiąc szczerze, jest warta każdego centa, który jej płacę.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Przecież słyszałem, jak śpiewa. Głos jak dzwon, co?

- Zgadza się. Dziękuję, że dziadek mi ją polecił. Już wczoraj wieczorem, podczas pierwszego występu, zrobiła prawdziwą furorę.

- To świetnie. Zdaje się, że dziewczyna ma nie tylko głos, ale i inne zalety, jeśli wiesz o czym mówię...

- To prawda. Całość jest niczego sobie - przytaknął Duncan.

- Te Irlandki są naprawdę grzechu warte. A Catherine Mary Farell to Irlandka z krwi i kości! - huknął Daniel.

- Catherine Mary? A skąd dziadek wie, jak ona się nazywa? W życiorysie ma napisane Cat - zauważył Duncan i znowu się roześmiał.

- Jak to, skąd wiem? Twój brat mi powiedział. - Daniel, pomimo podeszłego wieku, nie stracił refleksu, ale i tak skłął się w duchu za brak ostrożności. - Maks opowiadał mi o niej, a ja mimo woli zapamiętałem jej imiona, bo tak ładnie brzmią: Catherine Mary Farell.

- To prawda. Mam nadzieję, że po ślubie nie zmieni nazwiska - powiedział Duncan, bębniąc palcami o blat biurka.

- Po wyjściu za mąż? A za kogo?

- Za pianistę.

- Którego?

- Tego, z którym jest zaręczona - rzucił bez zastanowienia, zadowolony, że może podenerwować starego lisa, który chciał być za sprytny. - Zdaje się, że facet nazywa się Fujarkiewicz, czy jakoś tak...

- Fujarkiewicz? - wrzasnął Daniel. - Co to, u diabła, za durne nazwisko?! Żadna rozsądna kobieta nie wyjdzie za mąż za faceta, który nazywa się tak idiotycznie. I skąd on się wziął, do kaduka! Jeszcze tydzień temu Cat nie była zaręczona!

- Nie była? A skąd dziadek wie?

- Bo ja... - rozpedził się Daniel, ale urwał w pół słowa. Pojął wreszcie, że wpadł w pułapkę, więc postanowił czym prędzej się wycofać. - Na cóż, synu, człowiek wie to i owo. Interesują mnie twoje sprawy, bo w końcu wpakowałem parę groszy w ten twój pływający cyrk. Dlatego zawsze sprawdzam, kto się koło ciebie kręci. Sam rozumiesz, że nie chcę stracić na tym interesie. A skoro dziewczyna chce wyjść za jakiegoś pianistę - fujarę, to już jej problem. Ważne, żeby nie oskubała cię z grosza. Dlatego dokładnie ją prześwietliłem.

- To teraz masz już komplet informacji. I jeśli kombinowałeś, żeby mnie wyswatać z panną Farrell, lepiej od razu sobie odpuść - powiedział Duncan z lodowatym spokojem.

- Kombinowałeś? Co to za słowo? Jak ty się odzywasz do starszego człowieka, na dodatek swojego dziadka! - Daniel bez namysłu wytoczył najcięższe działo, ale zbyt dobrze znał Duncana, żeby wierzyć, iż ten się go przestraszy. - Skąd ci poza tym przyszło do głowy, że obchodzi mnie, z kim masz się żenić?

- Sam mi niedawno mówiłeś, że masz kogoś na oku.

- Ja mówiłem? Może i tak. I na pewno miałem rację! Żeby mężczyzna w twoim wieku siedział jak dzikus na jakiejś balii i pozwalał, żeby przybłąda Fujarkiewicz, czy inny czort, zabierał mu sprzed nosa taką dziewczynę! Toż to grzech! Czy ty oczu nie masz, nie widzisz, co to za skarb? Dziewczyna jak się patrzy, piękna, z charakterem. Zasługuje w życiu na najlepsze!

- Niby na mnie?

- Na ciebie? Ty jesteś smarkacz, który nie wie, co dla niego dobre! Włóczyś się po tej zamulonej rzece, zamiast pomyśleć o przyszłości, ustatkować się i założyć rodzinę! Tylko babcię denerwujesz! - Daniel unosił się coraz bardziej, wściekły, że Duncan z taką łatwością rozszyfrował jego plan.

- A babcia tak by już chciała kołysać twoje dzieci... - wpadł mu w słowo Duncan, przedrzeźniając starego. - Niech sobie dziadek daruje tę śpiewkę. Nie ze mną te numery.

- Nie pozwalaj sobie! - wrzasnął na niego Daniel, poruszony do żywego tym jawnym lekceważeniem.

- No dobrze, już dobrze. Przepraszam - zreflektował się Duncan. - I tak cię Kocham, stary spryciarzu, ale nie dam się w nic zrobić. Trafiała kosa na kamień.

- To się jeszcze okaże - odparował stary, ale, wyraźnie już udobruchany, po chwili zmienił ton i uderzył w ckliwe nuty. - Uwierz mi, chłopcze, że chcę tylko twojego dobra. Chciałbym przed śmiercią zobaczyć, jak mój ukochany wnuk układa sobie życie i jest szczęśliwy.

Duncan doskonale wiedział, że każde z wnucząt Daniela MacGregora nieraz słyszało, że jest tym najukochańszym, więc te wyznania nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

- Spokojna głowa, dziadku - powiedział wesoło. - Wszyscy wiedzą, że dziadek jest wieczny. A nawet jeśli jakimś cudem wezwą dziadka na tamten świat, to i tak dziadek wróci, żeby dopilnować, czy aby wszyscy założyliśmy rodziny i spłodziliśmy dzieci.

- Już ty nie bądź taki dowcipny!

- Kiedy ja mówię szczerą prawdę. Ale dobrze dziadkowi radzę, niech dziadek weźmie na warsztat Jana, albo kogoś innego. Na mnie szkoda na razie czasu i energii.

- No dobrze, już dobrze. Może rzeczywiście szkoda strzępić języka - zniecierpliwiał się Daniel, bo rozumiał, że na razie nic więcej nie wskóra. - Idź i baw się dalej w marynarzyka słodkich wód.

- Nic innego przecież nie robię. Niech dziadek nie zapomni pozdrowić ode mnie babci!

- Dobrze, dobrze. O tym Fujarkiewiczu też jej powiem - zakończył Daniel dramatycznie i nim odłożył słuchawkę, usłyszał gromki śmiech Duncana.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Duncan traktował miłość bardzo sceptycznie. Za to święcie wierzył w potęgę i magiczną moc romansu. Flirt i uwodzenie miały dla niego nieodparty urok oraz naturalne piękno, które uwielbiał odkrywać. Jego brat, Maks, często żartował, że Duncan po to przyszedł na świat, żeby doprowadzić sztukę uwodzenia do perfekcji, i śmiał się, że uczynił z tego swoją jedyną religię. Duncan patrzył na to inaczej, ale był świadom swojego talentu, którego nie powstydziliby się sam Casanovą. Zresztą gdyby ktoś go zapytał, dlaczego to robi, powiedziałby zupełnie szczerze, że tylko i wyłącznie dla dobra kobiet. Po prostu dawał im to, czego oczekiwały, czerpiąc przy okazji maksimum przyjemności.

Od pewnego czasu starał się wypróbować swoje niezawodne metody na Cat Farell. Kiedy zawinęli do Memphis, posłał do jej kajuty kosz kwiatów. W następnym porcie kupił jej perfumy, potem naszyjnik i pudełeczko na biżuterię. Kiedy byli na wodzie, prawie nie odstępował jej na krok. Otwarcie szukał jej towarzystwa i starał się zapewnić jak najwięcej atrakcji. Wieczorem po występie zapraszał ją na romantyczne kolacyjki na balkonie w swojej kajucie albo spacerował po pokładzie, z którego podziwiali rozgwieżdżone niebo. Cokolwiek jednak by nie robił, odpowiedź dziewczyny była zawsze identyczna: zapomnij o tym, kotku!

Szybko przekonał się, że panna Farell to wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia i że nie łatwo będzie złamać jej opór. Ta świadomość doprowadzała go do szału, nie należał jednak do osób, które łatwo dają za wygraną. Dlatego większość wolnego czasu poświęcał na obmyślanie sposobów, które doprowadziłyby go w końcu do łóżka Cat. Niestety, choć od pamiętnego spotkania w jego pokoju minął przeszło tydzień, nie zbliżył się do celu ani o krok. Od tego czasu Cat nie pozwoliła mu ani razu tknąć się choćby palcem, co nie znaczy, że unikała jego towarzystwa. Wręcz przeciwnie. Stale kręciła się po statku, nie brakowało więc okazji do spotkań. Nie odrzucała również jego zaproszeń, ani nie odsyłała prezentów. Gdy na nią patrzył, nie spuszczała wzroku, nie wyglądała też na zaniepokojoną czy skrepowaną jego bliskością. Zachowywała kamienny spokój nawet wtedy, gdy stali tuż obok siebie, tak blisko, że mógł czuć ciepło jej ciała i zapach perfum, które sam jej podarował. Patrzyła mu w oczy w ten sam prowokujący i drażniący sposób, posyłała uwodzicielskie uśmiechy i rzucała dwuznaczne uwagi, ale nie było nawet mowy, żeby pozwoliła się pocałować.

Nie był pewien, czy świadomie drażni go i bawi się w kotka i myszkę, czy faktycznie nie zamierza ulec jego urokowi. W chwilach zwątpienia wmawiał sobie, że nic z nią nie wskóra, zaraz jednak jego przekorna natura kazała mu próbować dalej. W dniu, kiedy

„Indiańska Księżniczka” zacumowała u nabrzeża w Nowym Orleanie, Duncan doszedł do wniosku, że nadszedł decydujący moment. Jeśli i dzisiaj na nic się nie zda jego osobisty urok w połączeniu z romantyczną scenerią tego niezwykłego miasta - to koniec.

Tymczasem niczego nieświadoma ofiara budziła się właśnie i przeciągała rozkosznie na wąskim łóżku w miniaturowej kajucie, skąpanej w jasnym świetle porannego słońca. W ciągu tygodnia, który spędziła na rzece, nauczyła się bezbłędnie rozpoznawać wszystkie odgłosy i ruchy statku. Delikatne, miarowe kołysanie było nieomylnym znakiem, że przybili do portu. Dotarli więc do Nowego Orleanu, niezwykłego miasta, które czekało na nią ze swoimi francuskimi piekarniami, powodzią barwnych kwiatów i jazzem. Obiecała sobie, że musi znaleźć czas na samotną wędrowkę wąskimi uliczkami Dzielnicy Francuskiej, że zajrzy do każdego sklepiku, popróbuje pysznego jedzenia i posłucha muzyki ulicznych jazz bandów. Przede wszystkim zaś ucieknie jak najdalej od statku, gdzie wciąż była narażona na zaloty Duncana.

Ostatnimi czasy miała okazję przekonać się, jak bardzo niebezpieczny może być ten pewny siebie, zaborczy, a przy tym niezwykle szarmancki mężczyzna. W życiu nie spotkała faceta, który potrafiłby zabiegać o względy kobiety w równie skuteczny i ujmujący sposób. Przy całej swojej klasie i mistrzostwie zawodowego podrywacza, Duncan był bardzo przystojny i fizycznie atrakcyjny, więc walka z nim była naprawdę niełatwym zadaniem. Momentami Cat miała wrażenie, że bawi się nabitym pistoletem, który w każdej chwili może wystrzelić. Dlatego uznała, że im dalej od tej broni, tym lepiej.

Problem polegał jednak na tym, że łatwo to było powiedzieć, trudniej zrobić. Stojąc pod prysznicem, przypominała sobie zdarzenia ostatniego tygodnia. Wystarczyło, że zamknęła oczy, a rozgorączkowana wyobraźnia podsuwała jej tysiące obrazów, które przyprawiały ją o żywsze bicie serca. Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że Duncan patrzy na kobiety w naprawdę wyjątkowy sposób. W jego oczach o barwie gorzkiej czekolady czaiły się słodkie obietnice i zachwyty, który sprawiał, że w jego towarzystwie każda musiała czuć się królową. Mówił głosem o tak erotycznym brzmieniu, że kolana same się ugiwały. Sprawiał wrażenie, jakby całe życie czekał na tę właśnie osobę, jedyną i niepowtarzalną, wybraną spośród dziesiątek innych. Jeden przelotny dotyk, delikatne muśnięcie powodowało, że jej ciało ogarniała gwałtowna gorączka. Nie było wątpliwości, że ten cholerny czaruś miał swoje diabelskie sztuczki, które potrafiły odebrać rozum nawet najmądrzejszej kobiecie. Dlatego Cat, która za taką się uważała, walczyła zawzięcie i każdego dnia setki razy powtarzała, że nie może pozwolić sobie na najmniejszą nawet chwilę słabości.

Kiedy wyszła z łazienki, jej wzrok padł na ogromny bukiet świeżych kwiatów, pierwszy tego dnia podarunek od Duncana. Wiedziała doskonale, że wszystko, co robił, cały ten rytuał podboju, jest klasyczny. Kwiaty, kolacje przy świecach, spacer przy księżycu - chwytu stare jak świat, ale właśnie dlatego tak bardzo skuteczne. Czy i ona nie zachowywała się jak adorowana wybranka? Czy nie zanurzała twarzy w pachnącym bukecie, nie rozkoszowała się zapachem perfum, które jej podarował? Co chwila brała do ręki flakon i wcierała w skórę kolejną kroplę cudownej esencji. A przy okazji myślała o Duncanie.

Niewiele brakowało, a zdołałby pokonać ją w tej nierównej walce. Stało się to w dniu, kiedy podarował jej pudełeczko na biżuterię. W całym swoim życiu nie widziała równie ślicznego i bezużytecznego cacka. Ponieważ sama mogła pozwolić sobie tylko na przedmioty potrzebne i praktyczne, to porcelanowe pudełeczko, symbol luksusu i zbytku, całkowicie podbiło jej serce. Nawet teraz, owinięta ręcznikiem, podeszła do nocnej szafki i ostrożnie wzięła je do ręki. Wciąż było puste, bo na razie nie miała co do niego włożyć. Naszyjnik był jedynym prezentem, którego nie zgodziła się przyjąć, więc pudełeczko musiało poczekać na godną siebie zawartość. Nawet jednak puste sprawiało jej ogromną przyjemność i budziło uśmiech na twarzy, ilekroć na nie spojrzała.

Wiesz, kotku, jak zabrać się do rzeczy, pomyślała i pokręciła głową z podziwem oraz odrobiną dezaprobaty. Odstawiła pudełeczko na miejsce, po czym sięgnęła do szafy. Wyciągnęła z niej zwykły biały podkoszulek i czarne, luźne szorty, najlepszy strój na piekielne upały i duchotę Nowego Orleanu.

Wiedziała, że jeśli chce umknąć przed Duncanem, musi się pospieszyć. Nie miała wątpliwości, że będzie czatował na nią, zwarty i gotowy do kolejnego ataku. Jego zabiegi trochę ją śmieszyły, bo przypominały prowadzoną świadomie kampanię. Myśl, że Duncan traktuje ją jak fortecę do zdobycia, rozbawiła ją do łez. Mrugnęła porozumiewawczo do swojego odbicia w lustrze i powiedziała:

- Widocznie zawodowi podrywacze tak działają.

Na szczęście życie ją nauczyło, jak radzić sobie z takimi spryciarzami. Pewna swego, sięgnęła po czapkę i okulary. Otworzyła drzwi szerokim gestem i tuż za progiem wpadła prosto na swojego prześladowcę. Stał z ręką uniesioną do góry, jakby właśnie miał zamiar zapukać. To nagłe spotkanie zaskoczyło ją mimo wszystko, głównie dlatego, że myślała o nim tak intensywnie. Może przywołała go za pomocą telepatii albo czarnej magii? W końcu byli w tajemniczym Nowym Orleanie.

- Witaj. Już na nogach? - uśmiechnął się ze swobodą.

- Co w tym dziwnego?

- Śpisz zwykle do południa.

- Co w takim razie robisz pod moimi drzwiami o dziewiątej rano?

- Przyszedłem cię obudzić. Ale skoro już jesteś na nogach, do tego ubrana i gotowa do wyjścia, tym lepiej. Będziemy mieli więcej czasu. Chodźmy.

- Dokąd?

- Byłaś kiedyś w Nowym Orleanie? - spytał i zamknął drzwi, jakby był u siebie.

- Nie. Ale właśnie się wybieram.

- To się doskonale składa. W takim razie zaczniemy od śniadania w Café du Monde, jak rasowi turyści. Masz wygodne buty?

- Zaraz, zaraz... - powstrzymała go ruchem ręki - chciałam iść sama.

- Ale pójdziesz ze mną. - Wziął ją bezceremonialnie za łokieć i pociągnął w stronę schodów. - Sporo czasu spędziłem w tym mieście i nigdzie nie czułem się tak dobrze, jak tu - mówił, prowadząc ją na pokład, a potem w stronę trapu. - Zdecydowanie najpiękniej wygląda w nocy, ale za dnia także nie brak mu uroku. Lubisz owoce morza?

- Lubię każde jedzenie.

- Świetnie. Znam rewelacyjną restaurację, zjemy tam lunch.

- Posłuchaj, Duncan, doceniam twoje starania, ale naprawdę... - nie zdążyła dokończyć, nie miała szans. Jednym ruchem obrócił ją twarzą do siebie, chwycił za ramiona i przeszył wzrokiem, przed którym nie potrafiła się obronić.

- Chcę, żebyśmy spędzili ten dzień razem - powiedział, a ona nie miała wątpliwości, że protesty nie mają większego sensu.

- W porządku. Ale ty stawiasz - zastrzegła, a potem pozwoliła sprowadzić się na nabrzeże.

Nim pokonali pierwszy odcinek drogi, czuła się tak, jakby ktoś zamknął ją w saunie. Płuca pracowały ciężko, walcząc o każdy łyk powietrza, a po całym ciele pot płynął strumieniami. Lato w Nowym Orleanie naprawdę przypominało piekło, mimo to była zadowolona z tej wyprawy. Oczywiście najbardziej zachwyciła ją Dzielnica Francuska, ze swoimi eleganckimi budynkami, których największą ozdobą były pnącza kwiatów wijące się malowniczo po balustradach uroczych tarasów i balkoników. Wąskie ulice przenikał egzotyczny, ciężki aromat i wszechobecny zapach stęchlizny. Na każdym kroku widać było niszczycielski wpływ wilgoci - wszystko wokół butwiało i rozkładało się w duchocie. Zabójczy żar dyktował tempo życia, zdecydowanie wolniejsze i bardziej senne niż w którymkolwiek z miast Północy. Bujna zieleń parków kusila złudną obietnicą chłodu i wabiła tysiącem barwnych roślin, odcinających się od niej i tworzących jaskrawe wyspy koloru.

Zgodnie z obietnicą Duncana, zwiedzanie zaczęli od śniadania złożonego z francuskich ciastek i kawy z mlekiem. Cat rozglądała się ciekawie, zaintrygowana każdym szczegółem i życiem miasta, w którym czuła się jak przybysz z innej planety. Ludzie wokół mówili z silnym, południowym akcentem, a ich dialekt był tak naszpikowany francuszczyzną, że momentami nie rozumiała, o czym rozmawiają. Gdy siedzieli przy stoliku na ulicy, z przyjemnością wsłuchiwała się w rytm wystukiwany na bruku przez końskie kopyta. To miasto miało naprawdę niezwykłą atmosferę.

Przekonała się o tym także wtedy, gdy ruszyli na spacer labiryntem uliczek wokół placu Jacksona. Wąskie chodniki zajęte były przez ulicznych artystów, oferujących turystom swoje wyroby, których przeznaczenie było czasem trudne do odszyfrowania. Mijali barwne stragany, przy niektórych zatrzymywali się na chwilę, by zaraz ruszyć w dalszą wędrówkę. Przystanęli na jednej z uliczek, by popatrzeć na trzech czarnoskórych chłopców, zawzięcie stepujących i niebywale zręcznych w swojej sztuce. W obłądnym tańcu nie przeszkadzał im nawet pot, który płynął po nich strumieniami i zalewał im oczy.

Duncan wrzucił do stojącej na ziemi puszkii kilka banknotów, nieświadomy, że swoją hojnością wzbudził zgorszenie swej towarzyszki. Skrytykowała go w myślach za ten pusty gest bogacza, postanowiła jednak trzymać język za zębami. W końcu to jego sprawa, co robi ze swoimi pieniędzmi. Nie mogła jednak powstrzymać się przed głośnym komentarzem:

- Wieczorami te dzieciaki zabawiają się pewnie napadaniem na porządnym ludzi.
- Skąd wiesz? Póki co, uczciwie i ciężko zarabiają na życie. Chciałoby ci się skakać przy takiej duchocie?
- W życiu!
- A widzisz! Co powiesz na lunch?
- W każdej chwili, kotku. Przecież wiesz, że mogę jeść non stop.

Spodziewała się, że zaprowadzi ją do jakiejś wytwornej francuskiej restauracji, gdzie stoły są nakryte cieniutkimi lnianymi obrusami, zastawa składa się ze srebra i delikatnej porcelany, a obsługa przemyka bezszelestnie pomiędzy elegancką klientelą. Jakież więc było jej zdziwienie, kiedy Duncan zatrzymał się przed malutkim, mrocznym barem, w którym menu wypisane było kredą na czarnej tablicy, goście zaś siedzieli przy zwykłych drewnianych stołach, których jedyną ozdobą były plastikowe kwiatki i papierowe serwetki. Przynajmniej jestem w odpowiednim dla siebie lokalu, pomyślała nie bez złośliwości, kiedy wprowadził ją do środka.

Za kontuarem królowała Murzynka o monsturalnej tuszy, niewysoka, za to okrągła jak beczka. Obfite piersi i brzuch zasłoniła fartuchem wielkości namiotu, pokrytym taką ilością

najróżniejszych plam, że przypominał abstrakcyjne malowidło. Jej hebanowa twarz niczym księżyc w pełni rozpromieniła się, gdy tylko czarne, świdrujące oczka spoczęły na twarzy Duncana.

- Jesteś, mój przystojniaczku! Nie zapomniałeś o mnie! Chodź tu natychmiast i ucałuj Mamę!

Usłuchał jej jak grzeszny syn. Podszedł szybko do baru i cmoknął ją w pulchne policzki.

- *Bonjour*, Mama. Co słyhać? - spytał po francusku.

- Dobrze, jakoś się żyje, pomalutku. Powiedz mi lepiej, kim jest ta chudzinka, którą mi przyprowadziłeś.

- To jest Cat, Mamo. Dziewczyna jak złoto!

- Cat? A może kot, bo wygląda jak kocica. Tylko taka trochę zagłodzona. Zaraz cię tu podkarmimy, dziecinko.

- Mam nadzieję. - Cat pociągnęła nosem, wdychając z lubością smakowitą woń. - Pachnie wspaniale! Jak w rajku.

- Jak w rajku! Słyszałeś ją? - Mama aż klepnęła się z uciechy po swym gigantycznym brzuchu. - Zabierz tę swoją chudzinkę do stolika, zaraz wam podam - zarządziła.

Gdy usiedli przy ławie obok okna, Cat poczuła się lekko zdezorientowana.

- Nie będziemy nic zamawiali? - spytała.

- Nie. Zawsze polegamy na Mamie i jem, co mi poda. Gwarantuję ci, że nie będziesz zawiedziona - obiecał.

Wkrótce przekonała się, że mówił prawdę. Zapiekanne krewetki z dzikim ryżem i grzankami z mąki kukurydzianej były naprawdę doskonałe. Pochłaniając swoją ogromną porcję, myślała o tym, że nie pamięta, kiedy ostatnio jadła coś równie smacznego.

Duncan obserwował ją znad dużej szklanki chłodnego piwa. Nie mógł się nadziwić, gdzie też ona mieści takie ilości jedzenia.

- Powiedz mi, jak to możliwe, że nie wyglądasz jeszcze jak Mama? - spytał rozbawiony.

- Nie mam pojęcia. Ale uwierz mi, że pracuję nad tym.

- Lepiej zostaw sobie trochę miejsca na placek orzechowy - poradził. - Jest naprawdę rewelacyjny.

- Placek orzechowy? Z lodami waniliowymi?

- Jeśli masz o ochotę...

- Pewnie! - mruknęła, zajęta wyjadaniem ostatnich ziarenek ryżu. Kiedy talerz był czysty jak łąza, oparła się wygodnie i z błogim wyrazem twarzy westchnęła: - Pychota!

- A nie mówiłem? Zawsze jak jestem w Nowym Orleanie, wpadam do Mamy na obiad. Czekaaj, ubrudziłaś się sosem. - Nachylił się i otarł kciukiem kąciki jest ust. - Zaraz lepiej sobie z tym poradzimy - szepnął, pochylając się coraz bardziej, dopóki nie dotknął ustami jej warg.

Nie odsunęła się, choć wiedziała, że powinna to zrobić. Później tłumaczyła sobie, że ją zaskoczył. Jednak podświadomie czekała na ten pocałunek. Gdy Duncan Wsunął rękę w jej włosy i pieszczotliwie pogładził kark, poddała się całkowicie fali przyjemnych doznań, ale chwilę słodkiego zapomnienia przerwała interwencja Mamy. Królowa kuchni stanęła przy stoliku z porcją orzechowego placka, a widząc, co się dzieje, bezceremonialnie pociągnęła Duncana za włosy.

- Hej, chłopcze! - huknęła swoim niskim głosem. - Daj spokój dziewczynie i pozwól jej zjeść deser. A potem rób sobie z nią, co chcesz!

Nie od razu jej posłuchał. Ociągał się dłuższą chwilę, pieszcząc pocałunkami wargi Cat, wciąż nie mogąc nasycić się ich smakiem i jędrnością. Odsunął się dopiero wtedy, gdy Mama wymierzyła mu porządnego kuksańca.

- Mamo, ona chce placek z lodami - powiedział w nadziei, że Murzynka zostawi ich jeszcze na moment samych.

- Myślisz, że nie wiem? Mam tu i placek, i lody - oznajmiła, stawiając przed Cat talerzyk z deserem. Potem zebrała puste talerze i już miała wrócić za bar, kiedy nagle roześmiała się rubasznie i klepnęła Cat w szczupłe plecy.

- Fajnie całuje ten mój złoty chłopiec, co?

- Tak... - Cat próbowała powstrzymać westchnienie, ale na próżno. - Całkiem niezłe, choć założę się, że to jest dużo lepsze - powiedziała, nabierając na widelczyk porcję deseru.

- Nareszcie masz dziewczynę, która lubi sobie pojeść, a nie dziobie jak wróbelek - pochwaliła ją Mama i wymierzyła Duncanowi kolejnego kuksańca w bok. - Lepiej ją trzymaj i nie puszczaj! - powiedziała na odchodnym.

Duncan popatrzył, jak Mama znika w mrocznym wnętrzu kuchni, a potem uśmiechnął się zagadkowo.

- Powinienem ją poznać z moim dziadkiem - oznajmił. - Mają wiele wspólnego.

- Co na przykład? - spytała Cat z ustami pełnymi ciasta i lodów. Jakoś nie mieściło jej się w głowie, żeby czarnoskóra kucharka z Nowego Orleanu i obrzydliwie bogaty Szkot z Bostonu mogli znaleźć wspólny język.

- To, że obydwójce tylko patrzają, jakby tu mnie ożenić - roześmiał się, widząc jej zaskoczoną minę. - Obydwójce ciosają mi kołki na głowie, że dawno już powinienem mieć żonę i bandę dzieciaków. Dlatego każde z nich na własną rękę próbuje mnie wyswatać.

Łyżeczka pełna lodów zawisła na moment w powietrzu, Cat zaś z uwagą popatrzyła na przystojną twarz swojego pracodawcy.

- Wiesz co, kotku? - powiedziała w końcu. - Jakoś nie wyglądasz mi na kogoś, kto by potrzebował pomocy swatów.

- Im to powiedz, nie mnie. Ale mam dla ciebie najnowsze wieści z Bostonu. Chcesz posłuchać? - spytał.

- A warto?

- Myślę, że tak. Wyobraź sobie, że mój dziadek wybrał cię na moją przyszłą żonę.

- Co takiego?

- To, co słyszysz - roześmiał się Duncan. - Stary MacGregor chce, żebym się z tobą ożenił.

Ona również się roześmiała, biorąc to za głupi żart.

- Spadaj, kotku! - stwierdziła zwięźle i wróciła do topniejących lodów.

- Mówię poważnie! „Ta dziewczyna ma ikrę. Do tego to porządna rodzina, dobra krew...” - Duncan wywracał oczami i podkreślał każde „r”, naśladując wymowę dziadka.

- A skąd on to wie? Przecież mnie nie zna.

- Tak ci się tylko wydaje. Nawet nie wiesz, ile staruszek ma informacji. Mówię ci o tym, bo pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, co knuje ten spryciarz.

Popatrzyła na niego niepewnie. Widać było, że chciałaby coś powiedzieć, ale nie bardzo wie co. Dlatego przez jakiś czas siedziała w milczeniu, stukając paznokciami o blat stołu. W końcu ciekawość okazała się silniejsza.

- A ty zawsze robisz, co dziadek ci każe? - spytała.

- Nigdy, więc możesz spać spokojnie, złotko - natychmiast wyczuł jej intencje. - I nie myśl sobie, że próbuję ci się oświadczać. Po prostu cała sprawa wydała się parę dni temu, kiedy dziadek zadzwonił do mnie, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają.

- I co mu powiedziałaś?

- To, co chciał usłyszeć. Powiedziałem mu, że właśnie się zaręczyłaś.

- Z kim, do diabła?

- Z pianistą, który nazywa się Fujarkiewicz.

- Co takiego? Dlaczego wymyśliłaś takie idiotyczne nazwisko?

- Żeby wkurzyć starego. Bardzo się na tobie zawiódł - powiedział ze złośliwym uśmiechem. - Ale nie jestem pewien, czy mi uwierzył. Ten stary diabeł jest cholernie sprytny i nie łatwo daje zbić się z tropu.

- Widocznie musiałeś się w niego wrodzić - zauważyła z przekąsem.

- Możliwe. W każdym razie dopiero co zdołał ożenić mojego kuzyna. Ale widocznie ciągle mu mało.

- Jak to, ożenić? Co to za zwyczaj? Jak ze średniowiecznej Szkocji?

- W rzeczy samej. Tak się w każdym razie zachowuje. Zresztą to już nie pierwszy raz, kiedy udało mu się skojarzyć małżeństwo. Muszę przyznać, że ma do tego talent. To on doprowadził do ślubu moich rodziców i jak dotąd są ze sobą szczęśliwi.

- Mówisz poważnie? Twój dziadek wyswatał twoich rodziców? - Nie mogła uwierzyć, że w tych czasach ktoś jeszcze bawi się w takie rzeczy.

- Niezupełnie. Po prostu doprowadził do tego, że się spotkali. Reszta należała do nich. Teraz dziadek pracuje nad następnym pokoleniem. I ma już niezłe wyniki.

Cat nie próbowała nawet zrozumieć dziwnych zwyczajów rodziny MacGregorów. Matka często powtarzała jej, że bogacze mogą pozwolić sobie na różne ekscentryczności, i widocznie miała rację. Dużo bardziej obchodziło ją, co o tym wszystkim myśli Duncan.

- Rozumiem, że ty chcesz mu ten wynik popsuć, tak? - spytała domyślnie.

- Nie chcę mu niczego psuć. Po prostu zamierzam żyć po swojemu, a to znaczy, że nikt nie będzie wybierał mi żony. - Wzruszył ramionami, spoglądając na opustoszałą ulicę, nieomylny znak, że Orlean przygotowuje się już do poobiedniej sjeisty. Po chwili jednak spojrzał w oczy Cat i położył dłoń na jej dłoni. - Co oczywiście nie znaczy, że nie doceniam jego wyboru. Muszę przyznać, że dziadek ma dobry gust.

Przez moment poddawała się miłej pieszczocie jego palców, ale zaraz cofnęła dłoń, choćby dlatego by przytrzymać talerzyk, z którego chciała zgarnąć okruszki placka.

- Dziwna na twoja rodzina - stwierdziła.

- Kochana, gdybyś wiedziała choć połowę tego, co wiem ja! - roześmiał się znowu, kręcąc głową.

Popołudniowa duchota nie zniechęciła ich do spaceru. Włócząc się uliczkami, zaglądali do różnych sklepów, których największą atrakcją była klimatyzacja. Weszli w końcu do małej cukierni, kuszącej oczy i podniebienie ogromnym wyborem najróżniejszych łakoci. Cat poczuła się tu jak w raju i z zachwytem wpatrywała się w śliczne, pastelowe pudełeczka pełne pralinek. Widząc jej łakome spojrzenia, Duncan pomyślał zdumiony, że znowu jest głodna.

- Chyba nie powiesz mi, że chce ci się jeść? - zapytał ostrożnie.

- Jeszcze nie, ale niedługo pewnie się zachce - roześmiała się, ubawiona jego zaskoczona miną. - Może warto zrobić jakieś zapasy? - zasugerowała, zerkając wymownie na przeszklony kontuar.

Nie musiała tego dwa razy powtarzać. Duncan bez słowa kupił jej wielką paczkę pralinek, które mogłyby zaspokoić głód wycieczki szkolnej. Kiedy potem Cat sięgała po słodycze i czuła w ustach ich zniewalający smak, nie mogła oprzeć się mimowolnej refleksji, że lubi Duncana. Bardzo, a może nawet coraz bardziej. Byłoby głupotą zaprzeczać, że nie pociąga jej fizycznie i że pod wpływem jego pieszczot nie budzi się w niej spragniona wrażeń, zmysłowa kobieta. Kiedy ją całował, zaczynała zachowywać się jak kotka w marcu, która pręży się i mruczy. Szelmowski urok Duncana w połączeniu z szarmanckim zachowaniem stanowił bardzo niebezpieczną mieszankę.

Dlatego miej się na baczności, mądralo, upomniała się w duchu. Jednak już po chwili zapomniała o tych ostrzeżeniach, bo Duncan znów wciągnął ją do jakiegoś sklepiku. Tym razem była to pracownia jubilera, pełna świecących ozdóbek, talizmanów i kolorowych kamieni. Ich nieprzebrane bogactwo zgromadzono w przeszklonych gablotach, stojących na podłodze lub zawieszonych na ścianach. W rogach pomieszczenia, oddzielone kotarą, znajdowały się maleńkie pokoiki. Siedziały tam wróżki i przepowiadały chętnym przyszłość.

Spędzili w tym dziwnym miejscu trochę czasu. Cat buszowała wśród najróżniejszych błyskotek i bibelotów, podczas gdy Duncan systematycznie przeglądał zawartość gablot. Musiał w końcu znaleźć to, czego szukał, bo zawołał ekspedientkę i wdał się z nią w dłuższą dyskusję. Niestety, Cat nie mogła usłyszeć, o czym rozmawiali, bo porozumiewali się prawie szeptem. Kątem oka dostrzegła, że płaci za coś, więc kolejny raz pomyślała, że facet wyjątkowo łatwo rozstaje się z pieniędzmi. Od razu widać, że nigdy nie musiał się o nie martwić, przyszło jej do głowy.

Po chwili poczuła jego dłoń na ramieniu. Odwróciła się, a on bez słowa wsunął jej przez głowę i zawiesił na szyi długi, złoty łańcuszek.

- Co to jest? - spytała zaskoczona i spojrzała na jasny kamień w kształcie łezki.

- To cytryn. Ułatwia porozumiewanie się. Poza tym dobrze wpływa na siłę głosu - wyjaśnił i uśmiechnął się do niej, najwyraźniej zadowolony z niespodzianki, którą jej sprawił.

- To także ukochany kamień scenicznych artystów, nie wiedziałaś o tym?

- Daj spokój. Chyba nie wierzysz w takie brednie - prychnęła, wzruszając ramionami, ale instynktownie zacisnęła dłoń wokół wisiorka.

- Ja nie tylko w to wierzę, skarbie, ja się nawet na tym znam. Nie zapominaj, że jestem w połowie Celtem, a w połowie Komanczem. Nie mogę nie wierzyć w magię. Do tego w Nowym Orleanie. Ten kamień bardzo do ciebie pasuje, Catherine.

- Skąd znasz moje imię? - spytała niespokojnie.

- Wiem o tobie mnóstwo innych rzeczy. Może chcesz, żeby ktoś powrózył ci z ręki?

- Żartujesz? Przecież to kompletne bzdury.

- To czego się boisz?

- Szkoda pieniędzy.

- Daj spokój, to kosztuje grosze.

- Może dla ciebie - burknęła, ale on jej nie słuchał. Pociągnął ją w stronę jednego z pokoików i zanim zdążyła zaprotestować, zapłacił za wróżbę.

- Nie szarp mnie! - Wyrwała się jednym mocnym ruchem. - Nie żal ci forsy na głupoty, to proszę bardzo. Możemy sobie wróżyć do bólu. - Wzruszyła ramionami i weszła z nim do pokoju.

Cat nigdy nie uważała się za osobę przesadną. To, że w każdą podróż zabierała ze sobą swoją ukochaną czapkę i że nie wyobrażała sobie, żeby mogła gdziekolwiek ruszyć się bez niej, traktowała raczej jako nieszkodliwe przyzwyczajenie. Zawsze wyśmiewała się z zabobonów i przepowiedni, a różnych jasnowidzów i magów miała za najzwyczajniejszych naciągaczy. Dlatego teraz, siadając naprzeciwko młodej, pięknej kobiety, zrobiła prowokacyjnie lekceważącą minę. Zaraz mi powie, że czeka mnie długa podróż i że spotkam interesującego bruneta, pomyślała złośliwie, ale posłusznie wyciągnęła rękę i podała ją kobiecie.

- Masz silne dłonie - odezwała się wróżka po chwili. I starą duszę.

Słyszając to, Cat ostentacyjnie wywróciła oczami, po czym spojrziała wymownie na Duncana.

- Bo ja w ogóle jestem już dość wiekowa - westchnęła.

- Wiele straciłaś, bardzo cierpiałaś, ale dzięki temu jesteś dużo silniejsza i bardziej odporna - ciągnęła wróżka, jakby wcale nie słyszała ironii w głosie Cat.

- A kto nie cierpiał - mruknęła w odpowiedzi, gdy kobieta wodziła opuszkami palców po wewnętrznej stronie jej dłoni.

- Dobrze wykorzystałaś swoje nieszczęście. Nie pozwoliłaś, żeby złamało twoją duszę. Już jako dziecko wybrałaś sobie drogę. Teraz idziesz prosto przed siebie i rzadko oglądasz się wstecz. Wszystkie decyzje podsuwa ci rozsądek. Czy uważasz, że serce nie jest wiarygodne?

- A jest?

- Możesz swemu zaufać. Jest wyjątkowo stałe. Masz jakiś talent, jakiś dar. Jest naprawdę wielki i daje ci wiele satysfakcji. I siły. Praca, którą włożysz w jego rozwój, na pewno ci się opłaci. Dojdiesz tam, gdzie chcesz dojść - mówiła kobieta, zapatrzona w drobną dłoń. W pewnej chwili podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Cat.

- Czy ty śpiewasz?

Jej spojrzenie było tak przenikliwe, że Cat poczuła na plecach ciarki. W pierwszej chwili chciała cofnąć dłoń, ale nie zrobiła tego. Pomyślała nagle, że to wszystko jest jedną wielką mistyfikacją, kolejną sztuczką, którą przygotował dla niej Duncan.

- Widzę, że mój towarzysz nie próżnował. Muszę przyznać, że dobry z niego informator. - Spojrzała wórcze prosto w oczy.

- Jemu też możesz zaufać. - Kobieta nawet nie zerknęła w stronę Duncana. - Ma serce tak samo silne i stałe, jak ty. Ale dobrze go strzeże. Wszystko zależy od ciebie. Nie musisz być samotna, chyba że takiego dokonasz wyboru. Otacza cię rodzina. Jest jak kotwica, która nie pozwoli ci odplłynąć za daleko. Przed tobą wiele miejsc, które warto zobaczyć, i wiele drzwi, które warto otworzyć. - Wrózka uśmiechnęła się do siebie. - Teraz wydaje ci się, że to wszystko jest mało prawdopodobne. Nie boisz się ciężkiej pracy, ale spodziewasz się za nią sowitej nagrody. Jesteś bardzo oszczędna, ale przyjdzie czas, kiedy nie będziesz musiała liczyć się z każdym groszem. Potrafisz być bardzo hojna dla tych, którzy znaczą dla ciebie najwięcej. Jest tylko jeden człowiek, który potrafi zdobyć cię całą, twoje ciało i duszę. Myślisz o nim w tej chwili...

Gdy wyszli na ulicę, Cat pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Tym razem przesadziłeś, Blade. Powiedz od razu, ile jej zapłaciłeś za całe to przedstawienie?

- Nic - mruknął, najwyraźniej zajęty czymś innym. Zaimprovizowana wizyta u wróżki, która miała być zwykłą zabawą, jego także wytrąciła z równowagi.

- Nie udawaj! Zapłaciłeś tej babie, żeby naopowiadała mi tych wszystkich bzdur! - naciskała Cat.

- Nie zapłaciłem - powtórzył i zamiast wziąć ją za rękę, jak robił to do tej pory, wsunął dłoń do kieszeni spodni. - Pierwszy raz byłem w tym sklepie. Sam nie wiem, co mnie podkusiło, żeby tam wejść. Myślałem, że się trochę zabawimy, posłuchamy, jak długo i szczęśliwie będziemy żyli.

- Czekaj! - zatrzymała go w miejscu. Długo wpatrywała się w jego twarz, szukając w niej śladów fałszu. Była pewna, że za moment Duncan wybuchnie śmiechem, zadowolony, że znowu udało mu się ją nabrać.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Dziwne to wszystko. Naprawdę dziwne - powiedziała w końcu i ruszyła przed siebie.

- Dziwne - przytaknął.

Resztę drogi do portu pokonali w całkowitym milczeniu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spędzili w Nowym Orleanie dwa dni. Kiedy wieczorem odbijali od brzegu, na statku zaczynało się huczne przyjęcie - świętowano półmetek rejsu. Na pokładzie, oprócz weteranów, którzy wykupili bilet powrotny, pojawiło się wiele nowych twarzy. Rozweselony tłum krążył pomiędzy pokładami „Indiańskiej Księżniczki”, chętny do zabawy i spragniony nowych wrażeń.

Duncan znakomicie wywiązywał się z roli gospodarza. Przechadzał się wśród pasażerów, sprawdzał, czy nikomu niczego nie brakuje, witał nowe osoby i zabawiał rozmową starych znajomych. Wszędzie widział zadowolone, roześmiane twarze, ale nigdzie nie mógł dojrzeć Cat. To, że jej szuka, dotarło do niego dopiero po jakimś czasie. Z początku wmawiał sobie, że interesuje go wyłącznie statek i pasażerowie. Potem jednak zorientował się, że wciąż wypatruje właśnie jej.

Intuicja podszeptała mu, żeby zejść do kuchni, gdzie przygotowania do uroczystej kolacji szły pełną parą. Kucharze uwijali się jak w ukropie, pilnując wykwintnych potraw. Duncan pokręcił się między nimi, zajrzał do paru garnków, spróbował tego i owego.

- Jak tam, szefie? - powitał go Charlie. - Chce nam pan zamieszać w garnku?

- Tak tylko wpadłem. Jak się udał łosoś?

- Wspaniale! Palce lizać! Chce pan spróbować? Mogę podać go z grzankami czosnkowymi, chyba że ma pan jakąś randkę - zachichotał. - Chłopaki mówili mi, że w Nowym Orleanie weszło na pokład kilka ślicznotek. Między innymi jakieś niesamowite siostry. To prawda?

- Prawda. Grupa Kingston. Cztery długonogie blondynki, każda grzechu warta. Sprowadziłem je specjalnie dla ciebie, bracie, w razie gdybyś szukał następnej żony...

- Nie będzie już żadnej następnej. Zniechęciłem się do małżeństwa raz na zawsze - zarzekał się Charlie.

- Dobra, dobra. Już to kiedyś słyszałem. Powiedz mi lepiej, czy nie było tu Cat?

- Owszem. Wpadła parę minut temu. Ma dziewczyna apetyt, że miło patrzeć. Pewnie by pan chciał, żeby i pana schrupała, co? - Charlie mrugnął porozumiewawczo.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Dawno poszła?

- Tak jak mówiłem, jakieś parę minut temu. Wzięła sobie obiad do kajuty. Jak się pan pospieszy, to jeszcze ją pan złapie.

- Spróbuję - powiedział Duncan, ale w tym momencie odezwał się jego telefon komórkowy. Wzywano go na górny pokład, musiał więc chwilowo zrezygnować z wizyty u Cat.

Miał chwilę wytchnienia dopiero podczas jej drugiego występu. Przedtem musiał zostać w kasynie, które tego wieczora przeżywało prawdziwe oblężenie. Jak na złość, dwóch krupierów rozchorowało się po zjedzeniu czegoś nieświeżego i Duncan sam musiał stanąć przy stole do black jacka. Rozdawał karty z wprawą zawodowca, pewnie i lekko, zabawiając przy tym graczy, czym wzbudził zachwyt, szczególnie u sióstr Kingston. Musiał przyznać, że dziewczyny były naprawdę prześliczne, a do tego bogate i hojne. Miały słabość do hazardu i lubiły wysokie stawki.

- Kochanie, chyba nie chcesz przeszkodzić szczęśliwemu losowi. Trzeba grać na całego. W przeciwnym razie będę zawiedziony - przekonywał jedną z sióstr, wzbudzając radość pozostałych.

- Za nic w świecie nie chciałabym cię rozczarować, przystojniaczku - odpowiedziała wesoło. - Daj mi sześć kart!

Spełniając jej życzenie, pomyślał, że w normalnej sytuacji czułby się jak wilk w owczarni. Nic bowiem nie sprawiało mu większej przyjemności niż flirt w połączeniu z hazardem. Zwłaszcza gdy miał odpowiednie partnerki, właśnie takie jak te cztery gorące blondynki, które nie bały się ryzykować, i to nie tylko przy zielonym stoliku. Tym razem jednak krążył myślami gdzie indziej.

Z sali barowej dobiegał śpiew Cat. Wyobrażał ją sobie, jak stoi na środku sceny z mikrofonem w dłoni, w jednej ze swoich obcisłych sukienek, i czaruje publiczność uwodzicielskim głosem. Przyszło mu do głowy, że wcale nie musiałby na nią patrzeć, że mógłby tylko jej słuchać. Najchętniej usiadłby przy stoliku w najciemniejszym kącie sali i chłonał jej zmysłowy głos, wyobrażając sobie, że śpiewa tylko dla niego.

- Mam dwanaście - oznajmiła nagle jedna z sióstr i posłała mu bezradne spojrzenie ogromnych błękitnych oczu. - Co mi radzisz, mistrzu?

- Zaryzykuj. Ja mam dziewięć, więc musisz dojść do dziewiętnastu.

- Dobrze, tylko obchodź się ze mną delikatnie - poprosiła z dwuznacznym uśmiechem, posyłając mu powłóczyście spojrzenie spod długich rzęs.

- Jak pani sobie życzy, madame. - Ukłonił się szarmancko i podsunął jej kartę. Okazało się, że to król.

- Ojej... - westchnęła z miną zawiedzionego dziecka znowu przegrałam. Za to w innych grach jestem zdecydowanie lepsza - oznajmiła, patrząc Duncanowi prosto w oczy.

Zrozumiał aluzję, ale nie podtrzymał tematu. Co się ze mną dzieje, zgaśnił się w myślach. Powiniennem zareagować. W końcu był niedoścignionym mistrzem gier słownych i uwielbiał takie zabawy. Najwidoczniej nie był w formie. Dlatego z prawdziwą ulgą powitał Glorię, która przyszła go zastąpić.

- Zmiana krupiera, drogie panie! - zawołała wesoło, Choć jej pojawienie się nie wywołało zachwyty wśród blondynek. Przywitały ją przeciągłym pomrukiem niezadowolenia, ona jednak nie zamierzała się wycofać. Zdecydowanym ruchem odsunęła Duncana na bok i nakazała: - Powiedz paniom „dobranoc”.

- Dobranoc - pożegnał się posłusznie, ale nim odszedł, szepnął Glorii, że przekazuje jej nadzór nad całą salą.

- W porządku, szefie. - Rozbawił ją ten jego nieprzypadkowy wzrok, który ciągle wędrował w stronę baru.

- O nic się nie martw i idź lepiej obejrzyć końcówkę występu. Widzę przecież, że i tak nie myślisz o niczym innym.

- Nie bądź taka mądra - powiedział i dał jej delikatnego prztyczka w nos. Jeszcze raz ukłonił się siostrze Kingston, zapewniając, że zostawia je w dobrych rękach. Gdy odchodził, odprowadzało go spojrzenie czterech par rozmarzonych oczu.

- Zdaje się, że nasz przystojniaczek jest już zajęty - w głosie jednej z sióstr wyraźnie słychać było zawód.

- Zgadza się - przyznała Gloria, uśmiechając się porozumiewawczo do blondynki. - Jest zajęty, chociaż sam o tym jeszcze nie wie. A teraz, drogie panie, proszę obstawiać!

Duncan wśliznął się do sali barowej i przystanął na chwilę w wejściu, przyzwyczajając wzrok do ciemnego, zadymionego wnętrza. Wibrujący głos Cat od razu otoczył go ze wszystkich stron, spadł na niego niczym ciężka sieć, utkana z westchnień i półtonów. Śpiewała o nieszczęśliwej miłości, ale smutek w jej głosie mieszał się z jakąś przekorą wobec niesprawiedliwego losu. Początkowo Duncan zamierzał wziąć sobie z baru kieliszek brandy i zaszyć się gdzieś w kącie, jednak śpiew dziewczyny przykuł go do miejsca. Stał więc na lewo od sceny, widząc ją doskonale, i patrzył, zaszuchany, przejęty, oczarowany tym niezwykłym występem.

Cat dostrzegła go, gdy tylko pojawił się w barze. Wiedziała, że wszedł do sali, jeszcze zanim zdołała wypatrzeć go w ciemnościach. Poczwała jego obecność całą swą istotą, jakby przez jej ciało przepłynął lekki, drażniący prąd.

Dopiero po chwili poszukała wzrokiem jego oczu, posyłając mu nie tylko spojrzenie, ale także melodię, która rodziła się w jej sercu i płynęła ku niemu przez mrok sali. W jednej

chwili wytworzyła się między nimi magiczna więź. Po raz pierwszy patrzyli sobie w oczy z całą szczerością, bez udawania i gry pozorów. Jeśli jest prawdą, że w oczach odbija się dusza człowieka, to tak się działo właśnie teraz.

Z oszołomienia wyrwały ich dopiero gromkie brawa publiczności. Cat nie zdawała sobie nawet sprawy, że to koniec piosenki. Przez chwilę mrugała oczami, jakby przebudziła się gwałtownie, lecz szybko oprzytomniała. Opuściła mikrofon, nie chciała bowiem, żeby ktokolwiek usłyszał głębokie westchnienie, które wyrwało jej się z piersi. Uśmiechnęła się do swoich słuchaczy, wdzięczna za aplauz, i już po chwili wdała się z nimi w pogawędkę.

Lubiła nawiązywać z nimi kontakt, ową niewidzialną nić porozumienia. Zawsze czerpała z tego satysfakcję. Teraz zwróciła się do osób siedzących przy stolikach najbliższej sceny. Dzięki temu łatwiej było jej oderwać myśli od mężczyzny, który, ukryty gdzieś w mroku sali, śledził każdy jej ruch. Podeszła do jednego ze stolików, prosząc Jednocześnie obsługę, żeby skierowała tam reflektor. Snop światła wyłowił z ciemności parę w średnim wieku, która, jak wyjaśniła Cat, właśnie tego dnia świętowała dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Żartowała przez chwilę z jubilatami, prowokując wybuchy gromkiego śmiechu wśród gości, a potem zaczęła śpiewać jedną ze swoich piosenek.

Robiła to w wyjątkowo sugestywny, pełen erotyzmu sposób, nie spuszczając oka z siedzącego przy stoliku mężczyzny. Najpierw wyciągnęła rękę i pieszczotliwie pogłaskała go po policzku, następnie potargała mu włosy, aż wreszcie usiadła mu na kolanach i przytuliła się do niego. A wszystko w obecności żony, która najwyraźniej bawiła się lepiej niż jej zaczerwieniony, wyraźnie speszony małżonek. Nieszczęśnik nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami, i co chwila zerkał bezradnie to na żonę, to na Cat, robiąc przy tym głupią minę.

Duncan obserwował wszystko ze swego miejsca i nie mógł się powstrzymać od refleksji, że Cat znęca się nad tym nieszczęśnikiem tak samo, jak znęcała się nad nim. Potrafiła igrać z ogniem i robiła to z dużą wprawą. W mgnieniu oka owijała sobie mężczyznę wokół palca i bawiła się jego kosztem tak długo, jak długo miała na to ochotę. Przysięgł sobie po raz któryś z rzędu, że z nim nie pójdzie jej tak łatwo. To on dyktował warunki i za żadne skarby nie zamierzał tego zmieniać.

Oparty o ścianę, doczekał końca występu. Nie poruszył się, gdy wybrzmiały akordy ostatniej piosenki, nie odszedł, by sprawdzić, czy w kasynie wszystko w porządku. Świadomość, że Duncan wciąż stoi przy wejściu i zdaje się na nią czekać, wprawiła Cat w nerwowe podniecenie. Wiedziała, że będzie musiała przejść obok niego w drodze do garderoby. Żeby zyskać na czasie, krzątała się wokół sceny i rozmawiała z muzykami, ale

Duncan najwyraźniej miał tego wieczora dużo wolnego czasu. W końcu podeszła do niego, choć w środku wszystko w niej dygotało.

- Nigdy nie zostajesz do końca - zauważyła. - Chciałeś przekonać się, czy twoja gwiazda nie straciła głosu?

- Chciałem cię zobaczyć - powiedział wprost, po pierwsze dlatego że była to prawda, a po drugie wiedział, że w ten sposób zbije ją z tropu.

- Więc zobaczyłeś - wzruszyła ramionami i chciała go ominąć, ale chwycił ją za rękę.

- Wyjdźmy stąd - zaproponował.

- Nie mam czasu. Muszę się przebrać.

- Nie musisz. Podobasz mi się w tym skrawku materiału dużo bardziej niż w wytartych dzinsach.

Zmierzył ją od stóp do głów, patrząc z nieukrywanym zachwytem na czarną sukienkę z głębokim dekoltem.

- Daj spokój, Duncan, jestem zmęczona.

- Wręcz przeciwnie, wyglądasz na ożywioną. - Czuł, jak przez jej rozgrzane ciało przepływa fala energii. Podniósł jej dłoń do ust i patrząc w oczy powtórzył: - Chodźmy stąd. Jest piękna, ciepła noc, świeci wspaniały księżyc. Przejdziemy się po pokładzie. Obiecuję, że nawet cię nie dotknę. Chyba że sama o to poprosisz - dodał z uśmiechem.

Trafiłeś w dziesiątkę, kotku, pomyślała. Cały problem w tym, że coraz mocniej pragnęła jego dotyku. Może była już najwyższa pora, by przestać udawać i pogodzić się z faktem, że od pewnego czasu nie myśli o niczym innym, tylko o spędzeniu z nim nocy.

- W porządku. Możemy pójść na krótki spacer - zgodziła się w końcu i ruszyła w stronę holu.

- Nieźle zabawiłaś się z szanownym jubilatem - powiedział, gdy znaleźli się na pokładzie. - Będzie miał facet co wspominać przez całą noc.

Roześmiała się, przypominając sobie głupią minę speszzonego małżonka, który nawet nie wiedział, komu zawdzięcza to wyróżnienie.

- Jego żona mnie do tego namówiła. Dała mi pięćdziesiąt dolców przed występem - opowiadała rozbawiona. Z rozkoszą wciągnęła w płuca rześkie powietrze i dodała: - A po występie była zachwycona.

- Krótko mówiąc, dobrze zainwestowane pieniądze - skomentował Duncan. - Chodźmy na górny pokład, będziemy lepiej widzieć gwiazdy.

- Zdaje się, że wpadłeś w oko siostrze Kingston - zauważyła, wspinając się za nim po metalowych schodach.

- Naprawdę?

- Słowo honoru. Słyszałam przed występem, jak chichotały i gadały o tobie.

- Nic nie może sprawić facetowi większej satysfakcji niż cztery blondynki, które chichoczą z jego powodu - stwierdził ze śmiertelną powagą.

- Domyślam się!

Wdrapali się na górny pokład, który ku radości Duncana był pusty. Cat od razu podeszła do barierki i wychyliła się mocno, spoglądając w dół na czarną jak smoła rzekę. Gdyby nie gwiazdy i wspaniały księżyc w pełni, trudno byłoby się zorientować, gdzie kończy się niebo, a gdzie zaczyna woda.

- Miałaś rację. Jest wspaniale. Uwielbiam noc na rzece - westchnęła zachwycona.

- Kolejna rzecz, która nas łączy. Miałem nadzieję, że uda mi się namówić cię, żebyś tu ze mną przyszła.

- Podeszedł do niej i położył ręce na jej ramionach. - Tylko my dwoje i noc, pusty pokład pięknego statku...

- Coś mi się zdaje, że tak naprawdę wolałbyś, żebyśmy byli teraz w zupełnie innym miejscu - uśmiechnęła się i odwróciła do niego.

- Niewykluczone. Jest wiele miejsc, w których chciałbym z tobą być. - Przesunął dłonie po jej nagich ramionach. - Śpiewałaś dla mnie, prawda?

- Śpiewałam dla wszystkich - skłamała, bo wydawało jej się, że prawda byłaby jednoznaczna z wyznaniem miłości. Nie czuła się na siłach rozmawiać z nim o rzeczach tak intymnych.

- Śpiewałaś tylko dla mnie - powtórzył cicho. - Kiedy cię słuchałem, czułem cię każdą komórką mojego ciała. To było tak intensywne, że aż bolesne. Jak najbardziej wyrafinowana pieszczota. Pragnąłem cię i wiedziałem, że ty też mnie pragniesz. - Jego gorące dłonie przesunęły się po jej nagich plecach, delikatnie musnęły kark. Pochylił się nad nią i prawie dotknął ustami jej warg. Wyraźnie czuła jego oddech, gdy szepnął: - Teraz będziesz musiała sama mnie poprosić. Tak jak ci obiecałem...

- Zawsze dotrzymujesz słowa?

- Mhm...

- A ja nigdy nie proszę - szepnęła i zanim zdążył zareagować, przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta. Zaskoczyła go tym całkowicie, na jeden krótki moment zawładnęła nim i sprawiła, że zupełnie stracił głowę. Jej pocałunek był wilgotny i gorący jak noc, pełen dzikiej żądzy i tysięcznych obietnic. Przemknęło mu przez myśl, że musi ją natychmiast powstrzymać, bo w przeciwnym razie ktoś ich przyłapie, jak się kochają na

pokładzie, pod gołym niebem. Z największym trudem przerwał ten pocałunek i szepnął jej do ucha:

- Moja kajuta jest tuż obok...

- Wiem.

Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy, błyszczące i rozgorączkowane.

Cofnął się i wziął ją za rękę, po czym zeszli pod pokład. Po chwili stanęli pod drzwiami jego kajuty. Duncan wyciągnął klucz i wprawnym ruchem włożył go do zamka. Trafił za pierwszym razem, choć w ogóle nie patrzył na drzwi.

- Chcesz wejść? - spytał.

- Chcę - odparła bez wahania, po czym weszła pewnym krokiem do środka. Duncan zostawił wcześniej zapaloną lampkę nad łóżkiem, mogła więc rozejrzeć się po pokoju, kryjąc w ten sposób zmieszanie. Popatrzyła na eleganckie, lekkie meble, rozłożyste fotele obite szafirowym materiałem, i poczuła, jak wraca jej spokój. Pośrodku stało ogromne, mosiężne łóżko, zwrócone wezglowiem w stronę panoramicznego okna, przez które sączył się srebrny blask księżyca.

- Ładnie tu - zauważyła.

Odwróciła się, słysząc trzask zapalniczki. Patrzyła mile zaskoczona, jak Duncan zapala smukłe białe świece w mosiężnym kandelabrze.

- No, no... - cmoknęła, starając się ukryć skrepowanie. - Jesteś bardzo romantyczny, szefie.

Duncan najwyraźniej nie zamierzał wdawać się w dyskusję. Zdmuchnął zapalniczkę, a potem wyłączył lampkę. Ciemność rozpraszał teraz tylko blask księżyca i płomień świec. Podszedł do niej i ujął jej twarz w obie dłonie.

- Nie lubisz romantycznych facetów? - spytał cicho.

- Dlaczego miałabym nie lubić?

Nie potrafiła ukryć, że drży na całym ciele. Postanowiła jednak do końca grać rolę kobiety wyzwolonej i nie czekając na jego ruch, sama zaczęła rozpinać suwak sukienki.

- Zaczekaj! - Powstrzymał ją szybkim ruchem, a potem przesunął palcem wzdłuż jej szyi, aż do miejsca, gdzie zaczynał się dekolt na plecach. - Pozwól mi cię rozebrać. Nie odbieraj mi tej przyjemności.

- Na co więc jeszcze czekasz? - spytała, opuszczając ręce wzdłuż boków.

- Na nic. - Pochylił głowę i dotknął ustami jej szyi. - Na nic - powtórzył. - Pachniesz tak samo cudownie, jak wyglądasz.

- Nic dziwnego. W końcu sam kupiłeś mi te perfumy, rozrzutny hazardzista.

Roześmiał się nienaturalnym, stłumionym śmiechem. - I smakujesz cudownie. Ale to już nie moja zasługa. - Już kiedyś próbowałaś tych frykasów...

- I co z tego? Widocznie wciąż mi mało. - Dotknął leciutko ustami jej warg. - Chcesz, żebym ci powiedział, co będziemy teraz robić, czy wolisz niespodzianki?

- Niełatwo mnie zaskoczyć.

- Może mi się poszczęści.

Nigdy przedtem nikt nie całował jej w taki sposób. Długo, cierpliwie i bardzo, bardzo zmysłowo. Kiedy wreszcie poczuła, że suwak jej sukienki zaczyna zjeżdżać w dół, była całkiem rozbrojona i gotowa na wszystko.

Okazało się jednak, że przyjdzie jej jeszcze trochę poczekać. Duncan miał ochotę smakować każdą sekundę ich pierwszej wspólnej nocy i nie spieszył się zbytnio. Dlatego nie zdarł z niej sukienki jednym, niecierpliwym ruchem, tylko zsunął ją wolniutko z jej ramion i z przyjemnością wsłuchiwał się w szelest jedwabiu.

Leniwe ruchy jego dłoni doprowadzały ją do szału. Najchętniej przejęłaby inicjatywę, byleby przyspieszyć nieuniknione. On jednak świadomie zwlekał, kontrolował się, panował nad pożądaniem. Odczuwał w tym coraz głębszą przyjemność. Powoli, jakby w zamyśleniu, wodził palcami wokół wypukłości jej piersi, głaskał je delikatnie. Potem powędrował dłońmi w dół, wzdłuż żeber i talii, aż do bioder opiętych pasem do pończoch.

- Pięknie... wspaniale... - szeptał.

- Zaraz zobaczymy, czy będę mogła powiedzieć to samo.

Jej uśmiech był wyzywający, jej palce drżały, kiedy zsuwała z niego koszulę. Nie mogła się doczekać, kiedy poczuje przyjemne ciepło nagiej skóry. Zachwyił ją jej kolor, smagły i miejscami złotawy w migotliwym blasku świec. Z rozkoszą wodziła dłońmi po silnych ramionach i torsie, poznając rzeźbę mięśni i siatkę naprężonych żył. Instynktownie oblizwała wargi, jak na widok smacznego kęsa.

- Pięknie. Naprawdę pięknie - mówiła. - Wspaniale.

- To jeszcze nic! - roześmiał się Duncan i przytrzymał jej brodę, by popatrzeć w pełne zachwyty oczy. Potem zaś podniósł ją delikatnie i położył na chłodnej pościeli.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Spodziewała się, że teraz ich akt nabierze tempa. Niecierpliwe dłonie, gwałtowne usta, dziki seks i wszystko to, na co od dawna miała ochotę, było tuż, tuż. I teraz jednak nic takiego się nie stało. Kiedy Duncan położył się obok niej, a potem zsunął w dół, jego dłonie były wciąż tak samo powolne, uważne i czułe. Łagodnie i z rozmysłem pieściły każdy centymetr jej ciała, które wyginało się i prężyło spazmatycznie. Kreślił językiem magiczne figury na gładkiej powierzchni jej ud, wędrując coraz wyżej, aż dotarł wreszcie do najwrażliwszego, najintymniejszego miejsca i wśliznął się w nią jak gorąca, napięta struna.

Nagła i niespodziewana pieszczota obudziła w niej dreszcz tak gwałtowny, że chwilami Cat odczuwała niemal fizyczny ból. Mimo to wygięła się jeszcze mocniej, Uniosła w górę biodra i szerzej rozsunęła nogi, otwierając się całkowicie na wilgotne pocałunki delikatnych warg i rozkoszny dotyk gładkiego języka. Chwilami miała wrażenie, że unosi się i płynie w powietrzu, szybuje coraz wyżej, niesiona gorącą falą trudnej do opisanie przyjemności. Dłonie gorączkowo obejmowały jego głowę, palce wplatały się we włosy. Próbowwała przyciągnąć go ku sobie, błagała w myślach, żeby przestał choć na chwilę, bo nie zdoła powstrzymać narastającej jak lawina rozkoszy. Najwyraźniej to zrozumiał, bo rozpalone usta posłusznie powędrowały wyżej, ku piersiom, unosząc się gwałtownie w niecierpliwym oczekiwaniu na swoją porcję pieszczot.

Zwinne palce szybko uporały się z zapięciem stanika, błyskawicznie otoczyły wilgotne od potu, jędrne wzniesienia, zacisnęły się wokół naprężonych sutek. Cat poczuła, że naprawdę nie wytrzyma już dłużej. Mocno zacisnęła uda wokół bioder Duncana, przywarła do niego całym ciałem, pokryła jego twarz, ramiona i szyję tysiącem gorączkowych pocałunków. Na oślepek szukała jego ust, a kiedy je znalazła, całowała go, dopóki starczyło jej tchu.

- Teraz, Duncan... Teraz, już...

Duncan westchnął z rozkoszą. Jej rozpalony szept parzył mu skórę, czuł pod sobą obłądny taniec jej bioder, zadziwiająco silne dłonie zostawiały na jego plecach czerwone smugi. Pożądanie ogarnęło go z siłą, jakiej nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Kiedy otwierał oczy, widział rozrzuconą na poduszce burzę płomieniach włosów, i to podniecało go jeszcze bardziej.

- Patrz mi w oczy - poprosił urywanym głosem, bowiem słowa z trudem wydobywały się z zaciśniętego gardła. - Chcę widzieć twoje oczy, Cat...

Naparł na nią mocno biodrami, wszedł w nią gwałtownie i niecierpliwie, doprowadzony do szaleństwa, prawie nieprzytomny. Już po chwili wirowała razem z nim, bezbłędnie odnajdując właściwy rytm. Jej szczupłe ciało było niesłychanie giętkie, ruchliwe, zmysłowe. Razem wpadli w obłądną spiralę, jakby w magnetyczną burzę, unoszącą ich ku niebiosom, by za moment strącić w dół. Na jedną, niesamowicie długą chwilę wszystko wokół nich zastygło, złagodniało, jakby ziemia zatrzymała się w swoim niestrudzonym biegu.

Na tę chwilę czekali. Ich palce splotły się gwałtownie i tak mocno, że zbieły im kostki. Ciała przeszył im potężny skurcz, a potem rozprysła się w nich wielka olbrzymia kula wypełniona czystą rozkoszą.

A więc stało się, pomyślała Cat, gdy tylko powróciła do rzeczywistości. Wszystkie ostrzeżenia, jakich sama sobie udzielała przez ostatnie tygodnie, okazały się bezużyteczne. Miała wrażenie, że rozsądek wyrzuciła za burto, prosto w fale Missisipi. Punkt dla ciebie, kotku, westchnęła ciężko, spoglądając przez ramię na leżącego obok Duncana.

Nie tylko udało mu się zdobyć jej ciało, ale i jakimś cudem serce, co musiała otwarcie przyznać. A to oznaczało same kłopoty. I ból. Właściwie już teraz wiedziała, CO stanie się dalej. Przez jakiś czas będzie się nią cieszył, przeżyją razem krótki, lecz płomienny romans. Oczywiście, wszystko bardzo dyskretnie, bo przecież Duncan jest Właścicielem statku, więc na pewno będzie chciał uniknąć plotek wśród pasażerów i załogi. A potem, kiedy skończy się jej kontrakt, bez żalu się rozstaną. Może nawet da jej na otarcie łez jakiś wykwintny drobiazg. To wszystko, koniec balu.

Zbyt długo żyła na tym świecie, by nie wiedzieć, że faceci pokroju Duncana Blade'a nie zawracają sobie głowy początkującymi piosenkarkami. Pomyślała, że już teraz powinna przygotować się na to, co niebawem nastąpi. A wtedy go uprzedzi. Nie da mu się porzucić, zrobi to pierwsza. Zdecydowana grać do końca, odwróciła się do kochanka i przesunęła dłonią po jego nagich plecach. Kiedy otworzył oczy, uśmiechnęła się do niego i klepiąc go protekcjonalnie po ramieniu, powiedziała:

- Dobrze się spisałeś, Blade. Naprawdę nieźle.

- Czuję się jak kot z kreskówki - wymamrotał niezbyt przytomnie.

- Co? Jaki znowu kot?

- Nie wiesz? W filmach rysunkowych jest często taka scenka, jak kot obrywa czymś twardym po głowie i potem siedzi z wybałuszonymi oczami i wywalonym językiem, kręcąc na wszystkie strony łbem.

Roześmiała się. Nagle ogarnęła ją ochota, by przytulić się do niego, ale opanowała tę pokusę. Przypomniała sobie, że lepiej udawać twardą.

- A co robi kot, kiedy przestaje mu się kręcić w głowie? - spytała, unosząc się na łokciu.

- Znow zaczyna szukać guza.

Odwrócił się błyskawicznie i pocałował ją w szyję, potem w policzek, aż w końcu dotarł do ust. Pocałunek natychmiast sprawił, że jej myśli zaczęły pędzić w dobrze znanym kierunku. Jej wola osłabła, a obietnice, które sobie składała jeszcze przed chwilą, straciły na ważności. Duncan przytulił się do niej i zaczął ocierać się o jej ciało, rzeczywiście zupełnie jak kot. Potargała go za włosy. Przyszło jej do głowy, że straszny z niego pieszczoł. Rozczuliło ją to, a jednocześnie zakłuło boleśnie. Żałowała, że nie będzie zbyt długo cieszyć się takimi chwilami wzajemnej bliskości.

- Często oglądasz kreskówki? - spytała, byle coś powiedzieć i odegnąć przykre myśli.

- Pewnie! To najlepszy sposób, żeby zapomnieć o kłopotach.

- Masz rację. Kiedy zatrzymuję się w hotelu, często po występie włączam sobie kanał z filmami dla dzieci. To dla mnie najlepszy relaks.

- Poważnie?

- Mhm.

- No widzisz, jest jednak trochę rzeczy, które obydwójce lubimy - ucieszył się wyraźnie. - Wiesz, moja kuzynka, Sybilla, jest rysownikiem. Pracuje przy produkcji kreskówek. Czasami gadamy o tym całymi godzinami, i to bardzo poważnie. Może podyskutujemy, co? - mruknął, ale jego ciało pragnęło innej rozrywki. Pociągnął Cat, która znalazła się pod nim, i zaczął przesuwając końcem języka po jej szyi i piersiach.

- Mieliśmy dyskutować o kreskówkach - westchnęła półprzyciennie. - Czy znowu jesteś kotem, który szuka guza?

- Jak ty mnie dobrze rozumiesz! Podoba mi się twój sposób myślenia.

Pocałował ją w usta i długo nie chciał wypuścić jej z objęć. W końcu jednak zabrakło mu tchu, odsunął ją więc od siebie i ujął jej twarz obiema dłońmi, odgarniając przy tym rude loki, by nie zasłaniały mu jej oczu.

- Przenieś się do mnie - zaproponował niespodziewanie.

- Słucham?

- Zabierz swoje rzeczy i przenieś je do mojej kajuty - powtórzył z roztargnieniem, całkowicie pochłonięty pieśczętą jej piersi.

- Żartujesz?! - wykrzyknęła, odsuwając się od niego gwałtownie. Oparła się na łokciach i spojrzała mu prosto w oczy. Zrozumiała po chwili, że Duncan mówił poważnie.

- O co ci chodzi? - spytała podejrzliwie, wietrząc jakiś podstęp.

- Nie rozumiesz? Chcę z tobą być. Nie ma sensu spać osobno.

- A dyskrecja? Przecież jak tylko wprowadzę się do ciebie, cały statek nie będzie gadał o niczym innym.

- I co z tego?

- Nie boisz się plotek? - spytała zdumiona.

- Nie żartuj. W końcu obydwójce jesteśmy dorośli. - Znowu pociągnął ją ku sobie. - Chcę, żebyś ze mną zamieszkała.

Tylko spokojnie, nie trać głowy, najpierw pomyśl. Cat słyszała głos rozsądku, ten jednak z trudem przedzierał się przez zasłonę oszołomienia. Niełatwo jej było zachować spokój, siedząc na mężczyźnie, który był w dodatku pobudzony. Mimo wyjątkowo niesprzyjających warunków, zdobyła się na pewien wysiłek.

- Niech pomyślę - powiedziała stłumionym z pożądania głosem. - Po pierwsze, masz dużo większe i wygodniejsze łóżko. Po drugie, wspaniały widok z okna. Po trzecie, cholernie zwinne ręce. Więc... - urwała i na wszelki wypadek oparta się mocno o jego ramiona, chcąc choć przez chwilę przytrzymać go w miejscu. - Więc wprowadzę się do ciebie, ale... pod jednym warunkiem!

- Jakim?

- Moja kajuta pozostanie wolna. Nie wynajmiesz jej nikomu aż do końca mojego kontraktu.

- Zostawiasz sobie furtkę - stwierdził nieco rozczarowany.

- Tak będzie lepiej dla nas obojga, skarbie. Jeśli któremuś z nas ten układ przestanie odpowiadać, albo się po prostu znudzi, wrócę na dół, do swojej kajuty. W ten sposób i wilk będzie syty, i owca cała.

Wydawało się to sensowne, ale sprawiło mu przykrość. Wyciągnął jednak rękę i powiedział:

- Umowa stoi - by wrócić po chwili do tego, na co obydwójce mieli jednakową ochotę.

Szybko się okazało, że nieprędko dojdzie między nimi do rozstania. Zdążyli do Saint Louis, potem wrócić do Nowego Orleanu i ponownie wyruszyć w górę rzeki, a kajuta Cat wciąż stała pusta. Wiedziała, że z jej strony sprawa jest jasna. Było jej dobrze w tym związku o ściśle określonych granicach. Zdumiewało ją coś innego, a mianowicie to, że Duncan nie ma jeszcze dosyć. Długonogie siostry Kingston wypatrywały za nim oczy i wysyłały tysiące zachęcających spojrzeń, a on, niewzruszony, co wieczór pędził do swojej kajuty, gdzie czekała na niego Cat.

Tłumaczyła sobie, że tajemnicą ich związku jest seks. Choć byli kochankami już od trzech tygodni, wciąż mieli na siebie ogromną ochotę. Co więcej, ich związek był ilustracją przysłowia, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Uprawiali miłość późną nocą i raniem. W jednym z portów Duncan wynajął pokój w przytulnym hotelu, gdzie spędzili całe popołudnie w olbrzymiej wannie z wodnym masażem. Innym razem naszła ich ochota tuż przed jej występem, zamknęli się więc w jej garderobie i kochali do utraty tchu, którego Cat nie mogła odzyskać nawet na scenie. W dodatku Duncan nie zamierzał rezygnować ze sprawdzonych metod zawodowego uwodziciela. Przy każdej okazji dawał jej kwiaty i drobne prezenciki, które sprawiały jej największą przyjemność. Zachodziła więc w głowę, dlaczego wciąż ją adoruje, skoro twierdza została dawno zdobyta.

Ponieważ nie potrafiła znaleźć sensownej odpowiedzi, przestała sobie tym zawracać głowę. Często powracały do niej słowa Duncana, który powiedział na samym początku ich znajomości, że istnieje pomiędzy nimi silna więź. Uznała to wtedy za tani chwyt i podejrzewała, że mówi to każdej kobiecie. Tymczasem mijały dni, a ona coraz częściej dochodziła do wniosku, że faktycznie jest między nimi pewien rodzaj porozumienia. Właśnie dlatego było im tak dobrze ze sobą, i to nie tylko w łóżku.

O chwilo, trwaj, westchnęła, przeciągając się rozkosznie w wygodnym łożu. Ostrożnie uniosła powiekę i zerknęła w stronę okna, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Niepotrzebnie, bo i tak było wiadomo, że na zewnątrz świeci wspaniałe słońce.

Poprzedniego wieczoru zawinęli do portu w Saint Louis, a to oznaczało przerwę w rejsie. Dzięki temu miała przed sobą wolny dzień. Wiedziała, że Duncan przesiedzi większość ranka w porcie, musiała więc znaleźć sobie jakieś zajęcie. Uznała, że najlepiej będzie popracować nad kasetą z nagraniem własnego występu. Wydawało jej się co prawda mało prawdopodobne, by Duncan wciąż pamiętał o swojej obietnicy, ale i tak nie miała nic innego do roboty.

Zresztą kasetę była jej tak czy owak potrzebna, a nawet niezbędna, jeśli chciała coś osiągnąć w show biznesie. Podjęła już pewne kroki - zrezygnowała z usług Cycerona, który był beznadziejnym menedżerem i nie potrafił zadbać o jej interesy. Wiedziała, że po powrocie do Chicago będzie musiała rozejrzeć się za nowym agentem. Na szczęście, dzięki występom na statku, wystarczy jej pieniędzy, żeby wybrać odpowiednią osobę.

Jednego była pewna: nie zamierzała nigdy więcej tułać się po podrzędnych barach i hotelach ani występować w prowincjonalnych miasteczkach, które często były odległe od siebie o setki kilometrów. Miała po dziurki w nosie ciągłego podróżowania rozklekotanymi autobusami i życia na walizkach. Kilka tygodni spędzonych na pokładzie „Indiańskiej

Księżniczki” pozwoliło jej zrozumieć, co znaczy żyć lepiej. Gotowa była zrobić wszystko, by każdy kolejny dzień przypominał te, które upłynęły jej na pokładzie parowca.

Co ma być, to będzie, zdecydowała godzinę później, gdy wybrała już repertuar na demonstracyjną kasetę ze swoimi piosenkami. Nie ma sensu zastanawiać się nad przyszłością, skoro teraźniejszość ma do zaoferowania tak wiele przyjemności. Popracowała trochę, teraz czas na odpoczynek.

Wyszła na pokład i od razu poczuła falę dusznego gorąca. Nad powierzchnią wody unosiło się rozedrgane od żaru powietrze. Upał był tak potworny, że nagrzane deski parzyły jej bosc stopy. Mimo to zdecydowała się pozostać na pokładzie, teraz opustoszałym, bo pasażerowie chronili się w klimatyzowanych pomieszczeniach pod pokładem parowca. Większość ludzi nie wyobrażała sobie życia bez tego sztucznego chłodu, ale nie Cat. Lubiła upał, kochała wygrzewać się na słońcu, czuć gorące promienie na swojej skórze.

Oparła się łokciami o barierkę i wystawiła twarz do słońca. Czasami, gdy zostawała sama, lubiła wyobrazać sobie, że jest właścicielką „Księżniczki”. Cóż, przyjemnie byłoby zostać panią eleganckiego statku i na co dzień cieszyć się jego staroświecką urodą. Cat czuła się doskonale podczas tego rejsu po rzece, z zawijaniem do portów, wieczornym zamieszaniem i gwarem na pokładach. Wiedziała na pewno, że będzie za tym wszystkim bardzo tęskniła, gdy jej kontrakt dobiegnie końca.

Zrobiło jej się gorąco, odsunęła się więc od barierki i zaczęła spacerować po pokładzie. Nuciała pod nosem swoją ulubioną piosenkę, gdy nagle słowa uwięzły jej w gardle. Parę kroków dalej zobaczyła Duncana w czułych objęciach wiotkiej platynowej blondynki.

Ty draniu, pomyślała z wściekłością. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie ośmielił się tak jawnie zdradzać Cat Farell! Żaden z jej kochanków nie posunął się do takiej ostentacji!

Wpatrywała się w przytuloną do siebie parę jak zahipnotyzowana. Wrzała w niej krew, dłonie zaciskały się bezwiednie. Ledwie się pohamowała, by nie doskoczyć do nich i nie zrobić awantury. Najchętniej wydrapałaby oczy tej podłej suce, a Duncanowi wyrwała z piersi jego nikczemne, zdradliwe serce. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że nie pozwoliła jej na to duma i zraniona miłość własna. Pomyślała sobie, że prędzej ją piekło pochłonie, niż pokaże temu łajdakowi, jak bardzo ją zranił. Zacisnęła zęby i spokojnie, jak gdyby absolutnie nic się nie stało, podeszła do bezwstydných zdrajców.

- Cudowny poranek - zaczęła, nie wytrzymała jednak i dokończyła podniesionym głosem: - prawda, ty gnoju?

- Cat! - uśmiech, którym chciał ją powitać, natychmiast zniknął z jego twarzy.

- Co ty sobie w ogóle wyobrażasz! Myślisz, że kim ty jesteś? - natarła na niego, zapominając o dumie i godności. Oskarżycielsko wymierzyła palec w jego stronę, a potem z całej siły dźgnęła go w pierś. - Myślisz, że możesz tak po prostu wyskoczyć z mojego łóżka prosto w ramiona jakiejś...

- Matki - powiedział szybko, przerażony, że za chwilę padną słowa, których wszyscy będą żałować. Chwyił Cat za ramię i ścisnął z całej siły. Oprzytomniała na tyle, by zrozumieć, co do niej mówił. - I to nie jakiejś matki, tylko mojej matki! - powtórzył z naciskiem. - Mamo, to jest właśnie panna Farell, o której ci opowiadałem...

Najwyraźniej nie zdążyłeś powiedzieć mi najważniejszego, pomyślała Serena Blade, szczerze ubawiona sytuacją. Uśmiechnęła się przyjaźnie do osłupiałej Cat i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Bardzo mi miło. I dziękuję za swoisty komplement. Cat podała jej dłoń, ale myślała tylko o tym, żeby natychmiast zapaść się pod ziemię albo wyskoczyć za burtę.

- Najmocniej panią przepraszam, pani Blade. Jest mi naprawdę przykro - powiedziała tonem małej, speszzonej dziewczynki.

- Niech pani nie przeprasza - Serena położyła dłoń na jej ramieniu - bo zepsuje pani cały efekt - dodała i roześmiała się lekko.

Jej reakcja pomogła Cat odzyskać nieco pewności siebie. Spojrzała odważnie na matkę Duncana i pomyślała sobie, że chyba śni jakiś idiotyczny sen. Wydawało jej się bowiem prawie niemożliwe, żeby ta urocza, piękna kobieta mogła być matką dorosłego mężczyzny. Jej niezwykle fiołkowe oczy lśniły młodzieńczym blaskiem, twarz była gładka i jasna jak u młodej dziewczyny. Miała smukłą sylwetkę i gęste blond włosy bez jednego pasemka siwizny.

No cóż, pomyślała zdruzgotana. Widocznie czas jest dużo łaskawszy dla bogatych kobiet.

- To była naprawdę głupia pomyłka - próbowała się jakoś wytłumaczyć. - Wszystkiemu winna pani uroda - dodała z nieznacznym uśmiechem. Wciąż czuła się zażenowana, więc żeby to ukryć i dodać sobie animuszu, wcisnęła ręce w kieszenie workowatych dżinsów.

- Nie ma o czym mówić. Zresztą pani też mi się podoba, i to nie tylko ze względu na oryginalną urodę - zrewanżowała jej się Serena. - Trochę zaskoczyliśmy wszystkich tą wizytą. Nawet Duncan nie wiedział, że razem z jego ojcem zaplanowaliśmy spotkanie na statku. Mamy zamiar wyruszyć stąd do Vegas - wyjaśniała cierpliwie.

- To jeszcze nie wszystko - wtrącił Duncan, który uznał, że powinien wreszcie coś powiedzieć. - Moi dziadkowie też tu przyjechali i mają zamiar płynąć z nami do Nowego Orleanu - oznajmił.

No to świetnie, tego tylko mi brakowało, pomyślała Cat. Czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa. Wyglądało na to, że trzeba zapomnieć o miłosnych igraszkach z Duncanem. Nie wtedy, gdy za drzwiami sypialni kłębi się tłum MacGregorów.

Poczuła się bardzo rozczarowana i skorzystała z pierwszej lepszej wymówki, żeby zniknąć.

- Przepraszam, ale muszę już iść. Miałam właśnie zamiar trochę popracować - skłamała gładko i odwróciła się, żeby ruszyć w swoją stronę. Zaraz jednak znów zamarła z wrażenia, oto bowiem prosto w ich stronę zmierzał powalająco przystojny mężczyzna w średnim wieku, uśmiechając się na powitanie.

Niech skonam! Prawdziwy amant filmowy, istny pozeracz niewieścich serc, pomyślała, patrząc z niekłamanym zachwytem na zgrabną sylwetkę i gęstą czuprynę ciemnych włosów, przetykanych dostojną siwizną.

- Jesteś wreszcie, mój drogi. - Serena wyciągnęła rękę w kierunku mężczyzny. - Musisz koniecznie kogoś poznać. To jest pani Cat Farrell, bardzo utalentowana piosenkarka. A to Justin Blade, mój ukochany mąż - dokonała z wdziękiem prezentacji.

A więc to jest ojciec Duncana. No tak, Cat westchnęła w duchu, wiadomo już, po kim jej kochanek odziedziczył męską urodę. Wyciągnęła rękę, którą starszy pan uściśnął, kłaniając się przy tym szarmancko.

- Bardzo mi miło - powiedział głosem ciepłym i głębokim. - Obaj moi synowie wyrażają się bardzo pochlebnie o pani talencie. Mam nadzieję, że znajdzie pani czas, żeby wystąpić w naszym kasynie w Las Vegas.

Słyszając tę propozycję, wypowiedzianą jakby mimochodem, Cat o mało nie krzyknęła z radości. Miała ochotę rzucić się ojcu Duncana na szyję albo przynajmniej odtańczyć przed nim triumfalny taniec.

- Z największą przyjemnością - uśmiechnęła się przyjaźnie. - Jednak teraz naprawdę muszę państwa przeprosić. Na pewno jeszcze spotkamy się przed państwa wyjazdem.

- Mamy taką nadzieję - powiedziała Serena półgłosem, patrząc w ślad za Cat, po czym skierowała pytający wzrok na Duncana.

- I co? - Uniosła brew, tak samo, jak robił to jej syn.

- I nic. Proponuję, żebyśmy weszli do środka, bo za chwilę wyparujemy na tym upale.

- Duncan udał, że nie rozumie, o co chodzi matce. - Chcę zobaczyć, czy dziadkowie mają

wszystko, czego im trzeba. Potem chciałbym przejrzeć z ojcem rachunki i papiery. - Wziął Serenę pod rękę i poprowadził w stronę wyjścia. - Bądź spokojna, mamó - szepnął. - Wszystko ci później opowiem.

Kostki lodu grzechotały przyjemnie w wysokiej, oszronionej szklance, z której Serena popijała mrożoną herbatę. Siedziała właśnie z Justinem i Duncanem w biurze syna i rozkoszowała się chłodem. Co jakiś czas uśmiechała się tajemniczo, słuchając relacji z ostatnich tygodni rejsu.

- Wrobił cię, synku - orzekła wreszcie. - Tak jak mnie parę ładnych lat temu. Postawił Cat na twojej drodze, tak jak kiedyś Justina na mojej.

- Być może. I żeby było śmieszniej, mam zamiar osobiście mu za to podziękować.

- Nie rób tego, synu! - Justin pokiwał palcem. - Chyba nie chcesz dawać mu satysfakcji. Poczuj się tak pewny siebie, że potem nic już go nie powstrzyma.

- Może masz rację - roześmiał się Duncan. - Ale sami przyznacie, że nasz rodzinny swat ma doskonały gust. Dawno już przekroczył dziewięćdziesiątkę, a wciąż wie, co dobre.

- Tu się z tobą całkowicie zgadzam - przyznał Justin i czule pogładził żonę po włosach.

- Mówię wam, Cat jest fantastyczna! - głos Duncana pełen był entuzjazmu. - To prawdziwa profesjonalistka, a do tego ma niesamowity talent. Naprawdę nie mogę pojąć, jakim cudem jeszcze nikt jej nie odkrył.

- Ma jakiegoś menedżera? - zainteresował się Justin.

- Miała, ale ostatnio zrezygnowała z jego usług, bo mówiąc szczerze, taki z niego menedżer, jak ze mnie baletnica. Musimy jak najszybciej naprawić jego błędy.

- My? - spytała zaskoczona Serena.

- Mamó, przecież wiesz, że nasza rodzina ma mnóstwo kontaktów w branży. Mam zamiar je wykorzystać.

- Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy? - nie ustępowała.

- Po pierwsze dlatego, że Cat ma niesamowity głos. Do tego jest bardzo pracowita i ambitna. Przede wszystkim jednak uważam, że zasługuje na lepsze życie.

- Jak mam to rozumieć?

- Ta dziewczyna nie miała najszcześniejszego dzieciństwa. Wychowała się w biedzie, bez ojca. Naprawdę nie było jej łatwo. I mam wrażenie, że ciągle nie jest. Stać ją na dużo więcej niż występy w tanich hotelikach. Nie powinna marnować talentu.

- No dobrze... - Serena spojrzała synowi głęboko w oczy. - To w sensie zawodowym. A co o niej myślisz... tak prywatnie?

- Prywatnie? Cóż, sam jeszcze nie wiem. Na pewno jest niezwykłą kobietą. Prawdę mówiąc, nie spotkałem dotąd nikogo takiego. Nigdy też nie czułem tego, co czuję teraz. Sam jeszcze nie wiem, jak to nazwać - wyznał szczerze, nie patrząc matce w oczy.

Jego wzrok błędził daleko poza linią horyzontu, gdzie zielonkawe wody Missisipi łączyły się z niebem. Sięgnął odruchowo po masywny przycisk w kształcie herbu MacGregorów i zaczął go przekładać z ręki do ręki. Nie lubił mówić o uczuciach. Nie chciał, by zaprzętały mu głowę i odbierały spokój. Dlatego swoje dotychczasowe partnerki trzymał na dystans, a każdy jego romans kończył się, nim sprawy zaszły za daleko. Wyglądało na to, że tym razem jest inaczej.

- Póki co, postanowiłem dać sobie jeszcze trochę czasu do namysłu - powiedział w końcu. - Przedłużę kontrakt z Cat o następne sześć tygodni, skorzystam na tym zresztą, bo pasażerowie lubią jej występy. A jeśli chodzi o sprawy osobiste, to... po prostu będę musiał się zastanowić.

Powodzenia, pomyślała Serena, patrząc uważnie na zadumaną twarz syna. Wiedziała bardzo dobrze, co w tej chwili przeżywa Duncan. Rozumiała, że się męczy, i było jej go żal. Jako matka domyśliła się bowiem szybko, że jego serce już zdecydowało, ale rozum wciąż broni się przed prawdą.

Serena nie miała zbyt wiele czasu, dlatego postanowiła natychmiast przystąpić do działania. Przeprosiła obu mężczyzn, którzy i tak mieli jakieś sprawy do omówienia, i poszła poszukać Cat. Chciała się jak najwięcej dowiedzieć o kobiecie, która zdołała podbić serce jej syna. Wyciągnęła już wcześniej trochę informacji od swego ojca, którego przy okazji zbesztala za to, że znowu wtrąca się w prywatne sprawy bądź co bądź dorosłego wnuka. Daniel MacGregor był bardzo dobrego zdania o Cat Farrell, Serenie to jednak nie wystarczało. Musiała mieć pewność, że jej dziecko właściwie ulokowało swoje uczucia i że jego wybranka je odwzajemni.

W drodze do baru podśmiewała się w duchu z samej siebie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, oto doskonała ilustracja znanego przysłowia. Jeszcze trochę, a zacznie wyręczać Daniela i sama bawić się w swatkę. Te myśli wprawiły Serenę w doskonały nastrój. Uśmiechnięta, pchnęła energicznie wahadłowe drzwi sali barowej - i natychmiast zatrzymała się w progu.

W kącie, przy fortepianie, siedziała Cat. Nie była wirtuozem tego instrumentu, ale grała na tyle dobrze, aby móc sobie akompaniować. Melodia, która płynęła spod jej palców, niosła przepełnione tęsknotą słowa piosenki, spletała się z nimi, dodawała im wyrazu. Słuchacz miał wrażenie, że ten ogromny smutek płynie prosto z serca dziewczyny. Serena tak

bardzo poddała się nastrojowi tej nostalgicznej melodii, że kiedy ucichły ostatnie akordy, miała wilgotne oczy. Niezwykła barwa głosu piosenkarki, jej doskonała interpretacja poruszyły ją do głębi.

- Jesteś zbyt młoda, żeby śpiewać o smutku - odezwała się niespodziewanie.

Zaskoczona Cat obróciła się na taborecie.

- A jednak zaśpiewałaś tę piosenkę w taki sposób, jakby była napisana specjalnie dla ciebie - dodała Serena, kiwając głową z uznaniem.

- To moja praca - odparła Cat, wsadzając dłonie do kieszeni, co pomagało jej ukryć zmieszanie.

- Nie, to twój talent. Kiedy cię słuchałam, miałam łzy w oczach.

- Dla piosenkarza nie ma większego komplementu. Dziękuję.

- Pewnie ci przeszkadzam. - Serena podeszła do fortepianu i usiadła obok dziewczyny.

- Ale chciałabym, żebyś dziś wieczór zjadła z nami kolację. Co ty na to?

- Dziękuję, nie chcę państwu przeszkadzać. To rodzinne spotkanie, więc czułabym się trochę nieswojo - próbowała wykręcić się Cat.

- Mimo wszystko zapraszam. Mój ojciec na pewno bardzo się ucieszy. Wiem, że już miałaś okazję go poznać.

- Tak, kiedy występowałam w Las Vegas. Muszę przyznać, że pan MacGregor zrobił na mnie ogromne wrażenie.

- To jego specjalność - roześmiała się Serena, a potem pochyliła nad klawiaturą i z wprawą zagrała kilka akordów. - O ile wiem, ty również przypadłaś mu do gustu.

Cat skinęła głową, choć nie była do końca pewna, jak ma to rozumieć.

- Pewnie pani wie, że to dzięki pani ojcu dostałam pracę na statku.

- Tak. I wiem również, że mój ojciec miał w tym swój cel. No cóż, jest za stary, żeby się zmienić, więc trzeba go zaakceptować - uśmiechnęła się łagodnie. - Mam nadzieję, że nie poczułaś się dotknięta jego oryginalnym pomysłem.

- Raczej zaskoczona.

- Dlaczego?

- Wydawało mi się, że pan MacGregor powinien szukać żony dla wnuka w innym środowisku.

- Od razu Widać, że nie znasz mojego ojca - roześmiała się Serena. - Już go słyszę, jak mówi: „Środowisko, też mi coś!”. Nie interesuje go, gdzie kto się urodził. Liczy się charakter, osobowość, serce. Dlatego nie dziwię się, że wybrał właśnie ciebie.

- Naprawdę? - Cat nie mogła wyzbyć się podejrzliwości. - A czy wie pani również o tym, że naukę zakończyłam na szkole średniej? Że do tej pory moim największym zmartwieniem było to, żeby jakoś związać koniec z końcem? Że moją jedyną rodziną jest matka, która pracuje jako kelnerka w Chicago?

- Cóż, nie wiedziałam, ale teraz już wiem. I chcę ci powiedzieć, że niczego to nie zmienia. Poza tym rozumiem, co miał na myśli mój ojciec, kiedy mówił, że jesteś dziewczyną z charakterem.

Cat poczuła się zbита z tropu. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować, więc by zyskać na czasie, zerknęła na swoje dłonie. Po chwili jej wzrok zatrzymał się na szczupłych dłoniach Sereny. Matka Duncana miała piękne i zadbane ręce, jak u prawdziwej damy, którą była w każdym calu. Uwidaczniało się to w jej ruchach, gestach, sposobie mówienia, w śmiechu. Co taka kobieta widziała w prostej dziewczynie z Chicago bez groszu przy duszy, której jedynym atutem był talent? Cat poczuła, jak niespodziewanie ogarnia ją złość i żal do tej dystygowanej kobiety, która na pewno nic była z nią szczerą.

- No dobrze, pani Blade, pomówmy otwarcie. - Podniosła głowę i odważnie spojrzała Serenie w oczy. - Chciałaby pani, żebym zniknęła, zanim Duncan potraktuje poważnie pomysł swojego dziadka. Mam rację?

Delikatne dłonie zastygły na klawiaturze.

- Dlaczego tak myślisz? - spytała cicho Serena.

- Jak to, dlaczego? Sadzi pani, że nie wiem, skąd pochodzę, i że nie znam swojego miejsca? Mój ojciec był zwykłym robotnikiem, który w dodatku zginął, zanim zdążył cokolwiek osiągnąć. Matka całe życie ciężko pracowała, żeby zarobić na chleb. A ja, póki co, śpiewam po knajpach i marzę o sławie. Czy chce mi pani powiedzieć, że właśnie takiej żony pragnie pani dla swojego syna? Być może pani ojciec jest trochę sentymentalny, ale pani na pewno nie - dokończyła, trochę przestraszona własną śmiałością. Powiedziała jednak to, co czuła, bo tak robiła zawsze.

- Rozumiem twoje wątpliwości. - Serena skinęła głową. Milczała chwilę, wreszcie powiedziała: - A gdybym zaproponowała ci... powiedzmy, dziesięć tysięcy dolarów, żebyś jak najszybciej zniknęła z życia Duncana? Co byś powiedziała?

Cat zaniemówiła. Ogarnęło ją wzburzenie i nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zaciśnęła mocno powieki, a gdy trochę się uspokoiła, powiedziała lodowatym tonem:

- Powiedziałabym, żeby poszła pani do diabła razem ze swoimi pieniędzmi!

Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego, że Serena wybuchnie śmiechem.

- Wiedziałam, od razu wiedziałam, że mi się podobasz! Od pierwszej chwili, kiedy spotkałyśmy się na pokładzie. I nie zawiodłam się - dodała uradowana. - Posłuchaj, Cat... - zwróciła się do dziewczyny już poważnym tonem. - Nie gniewam się, że potraktowałaś mnie jak beznadziejną snobkę. Miałaś prawo tak o mnie pomyśleć, bo w końcu w ogóle się nie znamy. Nie o to jednak chodzi. Myślę, że niepotrzebnie masz kompleksy i czujesz się gorsza.

- Wciąż nie rozumiem, o co pani chodzi.

- O to, że tylko ty sądzisz, iż nie zasługujesz na szacunek i uznanie. To błąd. Czy teraz rozumiesz, o czym mówię? - spytała i dotknęła delikatnie dłoń Cat.

- Być może...

- Oczywiście, bardzo kocham mojego syna. Wiem, że jest pięknym i pociągającym mężczyzną, który bez trudu może zdobyć każdą kobietę. Nie oszukujmy się, taka jest prawda. Ale jest nią również to, że jak każda matka, pragnę szczęścia moich dzieci. A Duncan byłby szczęśliwy, wiedząc, że go kochasz.

- Nie mówiłam, że go kocham! - Cat z miejsca przyjęła postawę obronną. - Niczego takiego nie mówiłam!

Była przerażona, że matka Duncana z taką łatwością odkryła to, do czego ona sama nie miała odwagi się przyznać.

- Zgoda, nie mówiłaś. - Serena pogłaskała ją po policzku. - Gdybyś jednak pokochała Duncana, byłabym naprawdę szczęśliwa - dodała i lekko ucisnęła rękę Cat. - Nie będę już ci przeszkadzać. Obiecaj mi jednak, że rozważysz moje zaproszenie na kolację, dobrze? - poprosiła. Podniosła się i ruszyła w stronę wyjścia. Była już prawie przy drzwiach, kiedy Cat zawołała:

- Pani Blade!

- Słucham.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam to wszystko - zatoczyła dłonią szeroki krąg - pomyślałam sobie, że straszny szczęściarz z tego Duncana. Teraz wiem, że jest nim naprawdę.

- A ja wiem, że naprawdę cię lubię. Pa! - Serena skinęła ręką na pożegnanie i zniknęła w holu. Cat jeszcze długo patrzyła w ślad za nią.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kto by pomyślał, że Cat Farell zakocha się podczas sześciotygodniowego rejsu statkiem po Missisipi? Albo że jej serce skradnie dziewięćdziesięcioletni staruszek? A jednak Cat zupełnie straciła głowę dla Daniela MacGregora. Z wzajemnością.

Pomimo zaawansowanego wieku, senior klanu zachował szelmowski wdzięk, który doskonale pasował do niepokornego charakteru Cat. Tak jak ona odznaczał się gorącym temperamentem, którego nie zamierzał niczym krępować. Do tego zachował bystry umysł i cięty język, więc mogli sprzeczać się ze sobą jak równy z równym. Na dodatek pod tą pozorną szorstkością kryło się gorące, wrażliwe serce. Nic więc dziwnego, że Cat nie mogła pozostać obojętna wobec tak zabójczej kombinacji męskich zalet.

Więszą rezerwę zachowywała wobec babci Duncana. Anna MacGregor wyraźnie onieśmiała ją swoją godnością i chłodnym opanowaniem. Patrząc na elegancką starszą panią, Cat nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pod pozorną kruchością i łagodnością kryje się charakter twardy jak stal. Anna miała wygląd i maniery rasowej damy - dar, który dostaje się od Boga. Miała wrodzoną klasę, której w żaden sposób nie można się wyuczyć.

Najwyraźniej matka Duncana odziedziczyła ten cenny dar po Annie. Cat wyobrażała sobie zresztą, że wszystkie kobiety z klanu MacGregorów wyglądają i zachowują się podobnie. Oczywiście z wyjątkiem tych, które weszły do rodziny dzięki małżeństwu.

Ona sama nigdy nie była damą, nie zależało też jej na tym. Nie zamierzała zdobywać pozycji towarzyskiej przez wejście do znanej, zamożnej rodziny. Często myślała o sobie jak o wolnym strzelcu, samotnym i niezależnym. Kochała tę swoją wolność ponad wszystko i nie zamierzała łatwo z niej zrezygnować. Nie miała jednak nic przeciwko temu, żeby poznać się bliżej z MacGregorami.

Siedziała właśnie w opustoszałym barze, przygotowując materiał na kasetę demonstracyjną, a senior rodu przyglądał się jej i słuchał jej pięknego głosu z wyraźną przyjemnością.

- Co z ciebie za piosenkarka, skoro nie znasz żadnej szkockiej ballady, he? - spytał wreszcie, nie mogąc się doczekać swoich ulubionych melodii.

- Sentymentalna, panie MacGregor - odpowiedziała, rozbawiona tą uwagą.

- I co z tego? To, że śpiewasz ckliwe piosenki o miłości, nie znaczy, że nie możesz spróbować czegoś innego - zauważył przytomnie. - Chyba, że jesteś zakochana...

Cat bardzo lubiła te chwile, gdy śpiewała swoje kawałki, a Daniel MacGregor siedział przy stoliku i komentował. Teraz jednak nie powiedziała ani słowa.

- Poza tym - ciągnął jej wierny słuchacz i prawdziwy wielbiciel jej talentu - szkockie melodie i piosenki też potrafią chwycić człowieka za serce. I pasują do twojego głosu. Zaręczam ci, że każdy facet, który ma w swoich żyłach choćby kroplę szkockiej krwi, od razu zakochałby się w tobie, słysząc, jak je śpiewasz.

- I bez tego wszyscy się we mnie kochają! - zażartowała, potrząsając dumnie swą płomienną czupryną.

- Oj, dziewczyno, diabła masz za skórą! - gruchnął śmiechem Daniel, waląc przy tym olbrzymią pięścią w stół. - Tylko wytłumacz mi wreszcie, dlaczego jeszcze nie wzięłaś się za mojego wnuka, co? - zadał standardowe pytanie, na które Cat odpowiadała już nieraz.

- Przecież mówiłam, że czekałam tylko na pana. Po co zawracać sobie głowę płotką, kiedy można upolować rekina? - powiedziała i puściła do niego oko. Takie żarty sprawiały mu ogromną przyjemność.

- Kiedy ten mój chłopak zrobiłby ci śliczne dzieciaki.

- Owszem, ale to pan by się nimi cieszył. Mam rację, prawda? Wiem, że nie zazna pan spokoju, dopóki nie stworzy ze swoich prawnuków drużyny piłkarskiej. Albo całej ligi!

Wstała ze swego miejsca, podeszła do stolika, po czym nachyliła się i cmoknęła Daniela w rumiany policzek.

- Co zrobić, moja kochana. Anna wprost nie może się doczekać kolejnego MacGregora. - Poglaskał ją czule po głowie i posadził na krześle obok. - Biedna kobieta, okropnie martwi się o Duncana.

Na samą wzmiankę o żonie, której szczęśliwie nie było w pobliżu, sięgnął do kieszeni po cygaro.

- Niech mnie pan nie czaruje, panie MacGregor. - Cat wstała i przyniosła mu z baru zapalki. - Pana żona nie wygląda na specjalnie zmartwioną. Skarbie mój, obiecuję ci, że jak ze mną uciekniesz, nie będziemy mieli żadnych zmartwień - szepnęła uwodzicielsko, rozdmuchując chmurę siwego dymu.

Duncan wszedł do sali akurat wtedy, gdy rozbawiony Daniel usiłował wytarosić Cat za ucho.

- Znowu uwodzisz mojego dziadka! - zawołał, podchodząc do stolika. Jak zawsze, gdy widział ich razem robiło mu się lekko na sercu.

Cat spojrzała w jego stronę i oznajmiła ze śmiechem.

- Już prawie go namówiłam, żeby wyjechał ze mną do Wenecji. I właśnie w takiej chwili musiałeś wszystko zepsuć!

Nie odpowiedział, tylko pochylił się bez słowa i pocałował ją mocno.

- Dobrze, synu! Tak trzymaj i nie puszczaj, bo jeszcze dziewczyna ci umknie! - Klasnął w dłonie uradowany Daniel.

- Trzymam, dziadku, spokojna głowa - mruknął Duncan z twarzą zanurzoną we włosach Cat. Po chwili usiadł przy stoliku, wciąż jednak nie odrywał wzroku od zaróżowionego oblicza ukochanej.

- Dziadku, bar otwierają dopiero o dwunastej. Może poszedłby dziadek pobawić się gdzie indziej? - zaproponował.

- Jak ty mówisz do własnego dziadka! - oburzyła się Cat.

- A jak mam mówić, skoro cały czas próbuje mi ukraść narzeczoną - spytał, przytulając twarz do jej policzka.

- To nie on próbuje ukraść narzeczoną, tylko narzeczoną jego! - sprostowała tym samym żartobliwym tonem. Chciała wyswobodzić się z objęć Duncana, ale szybko zrozumiała, że nie ma żadnych szans. - Skarbie, może nie zauważyłeś, ale niektórzy tutaj pracują - powiedziała, robiąc słodkie oczy. - Poza tym od kiedy to jestem twoją narzeczoną?

- Jak to od kiedy? Odkąd tylko dziadek cię dla mnie wypatrzył! I nie zapominaj, że ja tu jestem szefem! - Pogroził jej palcem, a potem wstał i pociągnął ją za rękę. - Nie pogniewa się dziadek, jeśli porwę na chwilę naszą gwiazdę? Mam z nią do pogadania - oznajmił, kierując się do wyjścia.

- A gadaj sobie z nią, ile dusza zapagnie! - zawołał za nimi rozpromieniony Daniel.

- Jeszcze jedno, dziadku... - Duncan przystanął na chwilę w drzwiach. - Zapomniałem powiedzieć, że zaraz tu przyjdzie babcia. Radziłbym więc pozbyć się tego cygara.

- Matko święta!

Daniel zerwał się na równe nogi i zgasił pospiesznie cygaro. Potem zaczął kręcić się wokół własnej osi i energicznie machać rękami, by odgonić dym. Widząc te nerwowe zabiegi, Duncan roześmiał się na całe gardło, po czym pociągnął Cat w stronę garderoby.

- Daj spokój! - próbowała się opierać. - Jak ty się zachowujesz! Przecież widziałeś, że rozmawiam z twoim dziadkiem!

- Ciągłe z nim rozmawiasz. Za często jak na mój gust.

- Daj spokój! Chyba nie jesteś zazdrosny! Może zresztą powinieneś, bo ja naprawdę szaleję za panem MacG.

- Ja też. Ale to jeszcze nie powód, żebym miał się z nim tobą dzielić.

Szybko zamknął drzwi garderoby i przekręcił klucz. Potem przycisnął Cat do ściany, a jego stęsknione dłonie zaczęły niecierpliwą wędrówkę wzdłuż jej ciała.

- Hm, teraz rozumiem, dlaczego przerwałeś mi próbę - mruknęła, chwytając go zębami za ucho. - Trzeba było od razu powiedzieć, o co ci chodzi.

Objęła go za szyję, spragniona gorących pocałunków. Duncan nie miał jednak ochoty na ostry seks, bo zamiast rzucić się na nią jak zgłodniały lew na swoją ofiarę, ujął jej twarz w dłonie i całował bardzo delikatnie, ledwie muskając jej wargi. Ocierał się o jej policzki, wodził językiem po wygiętej szyi. Nie chciał się spieszyć. Czekał cierpliwie, aż jej oddech stanie się ciężki, urywany. Nawet wtedy nie zaprzestał jednak powolnych, zmysłowych pieszczot.

Uwielbiał patrzeć, jak jej oczy zachodzą mgłą. Smukłe ciało przeżyło się pod jego dotykiem, spragnione miłości. Najbardziej lubił kochać się z nią w taki sposób, długo, leniwie, czule. Nie tylko ciałem, ale także sercem. Kiedy wodził ustami po jej rozpalonej skórze, myślał o tym, że najbardziej pragnie właśnie jej serca.

Gdy wyszeptwała jego imię, poczuł dreszcz silniejszy niż podczas najbardziej wyrafinowanych pieszczot. Wziął ją na ręce i zaniósł na rozłożystą sofę. Poczuł, jak jej ciało przeży się pod nim, przywiera do niego mocno. Krew tętniła jej w żyłach, serce szalało w piersi. Palce czepiały się mokrej od potu koszuli. Jego dłonie z wprawą odnajdywały dobrze już znane ścieżki na jej ciele, oddech mieszał się z oddechem, języki spotykały się i owijały wokół siebie. W tym momencie Duncan pomyślał, że pragnie jeszcze więcej - prawdziwej miłości.

- Nie uciekaj przede mną. Nie bój się. Przecież wiesz, że nigdy cię nie skrzywdzę - szeptał prosto w jej rozchylone usta.

Ten szept przeraził ją. Duncan obiecywał, że nigdy jej nie skrzywdzi, a tymczasem już to zrobił. Zakradł się do jej duszy, opanował myśli, zabrał cenny spokój i wolność, bez której Cat nie potrafiła żyć. Gorączkowo pokręciła głową, ale on nie zamierzał ustąpić. Jego dłonie delikatnie masowały każdy skrawek nagiego ciała, odbierały jej rozum, łamały wolę. W końcu przestała myśleć o tym, że jest zagrożona, że powinna bronić swojej wolności, zanim będzie za późno. Zmysłowe pieszczoty otworzyły na oścież drogę do jej serca, wyważyły ostatnie drzwi, za którymi starała się ukryć najwrażliwszą część duszy.

O tym, że się poddała, powiedziały mu jej oczy. Wpatrywał się w nie przez cały czas, wyczulony na najmniejszą zmianę ich barwy. Kiedy dostrzegł w nich zachwyt pomieszany z niedowierzaniem, wiedział, że osiągnął cel.

Poruszał się w niej coraz szybciej, płynął razem z nią w zgodnym rytmie złączonych ciał.

- Jest zupełnie inaczej. Czujesz to? - wyszeptał w ostatniej chwili. Zaraz potem usłyszał jej stłumiony szloch, zobaczył łzę, która spłynęła po policzku i zniknęła w gęstwinie rudych loków. Chwilę później przetoczyła się przez nią potężna, szumiąca fala gorącej rozkoszy, a zanim Cat zamknęła oczy, powiedziała jeszcze:

- Tak, Duncan, czuję...

Patrzył, jak naga podchodzi do drzwi, na których wisiał szlafrok. Obserwował każdy jej ruch, widział więc, że jest zdenerwowana. Jej palce drżały, gdy mocno zaciskała pasek wokół talii. Instynktownie spojrzała w lustro i szybkim ruchem poprawiła włosy.

Samobójstwo! Chyba zupełnie straciłaś rozum, westchnęła w myślach Cat, patrząc sobie prosto w oczy. Tyle przestróg, tyle napomnień i wszystko na nic. Tysiące razy powtarzała sobie, że musi bardzo uważać na tego mężczyznę, nie dać się omotać, nie dopuścić, żeby uczucia wzięły górę nad rozsądkiem.

I co? Od kilku tygodni, zupełnie świadomie, balansowała na krawędzi, choć wiedziała, że upadek będzie bardzo bolesny.

W rogu lustra dostrzegła odbicie sylwetki Duncana. Nie spał. Leniwie rozciągnięty na sofie, bezwstydnie prezentował swe piękne ciało. Kiedy zorientował się, że patrzy na niego, powiedział cicho:

- To było coś zupełnie wyjątkowego.

- Nieprawda.

Usiadł i przeczesał palcami włosy.

- Powiedz mi, dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości, że zależy mi na tobie, że jesteś dla mnie bardzo ważna? Czy to cię przeraża?

- Nie wiem, co tak naprawdę o mnie myślisz, ale musisz wiedzieć, że nie sypiam z facetami, dla których nic nie znaczę.

- Nie to miałem na myśli. - Odwrócił wzrok od jej oczu i sięgnął po ubranie. - Muszę przyznać, że potrafisz odwrócić kota ogonem. Pamiętaj, że ja nie rezygnuję łatwo z tego, na czym mi zależy. A teraz zależy mi na tobie.

- Świetnie. Lubię czuć się ważna.

Ich spojrzenia znów spotkały się w lustrze. Cat poczuła, jak wraca jej spokój, więc zdobyła się na odwagę i odwróciła się do niego.

- Ty również wiele dla mnie znaczysz - wyznała szczerze. - Czy właśnie to chciałeś usłyszeć? Przecież to jasne, że zależy mi na tobie. Inaczej już dawno by mnie tu nie było. Niepotrzebnie chcesz wszystko komplikować.

- To zabawne. Byłem pewny, że staram się wszystko wyjaśnić. Powiedz mi, co do mnie czujesz?

Nigdy dotąd nie zadał tego pytania żadnej kobiecie. Nic więc dziwnego, że czuł się bardzo niepewnie.

- Nie jest łatwo powiedzieć, co czuję - odparła Cat. Myślałam zresztą, że to widać. Na pewno dobrze się z tobą bawię - uśmiechnęła się porozumiewawczo, podchodząc do niego bliżej. Usiadła na łóżku i czule pogłaskała go po ramieniu. - Podoba mi się twój styl w miłości, twoje ciało - mówiła, patrząc mu prosto w oczy. Czekala, aż pojawi się w nich błysk zadowolenia, on miał jednak nieodgadniony wzrok, chłodny i poważny.

- Więc chodzi o seks? - spytał.

- Trudno powiedzieć.

Wstała i znowu podeszła do toaletki. Zaczęła odruchowo przestawiać kosmetyki, byle zając czymś dłonie.

- Może jednak spróbujesz?

- Skąd mam wiedzieć, co bym do ciebie czuła, gdybyśmy nie byli kochankami? Przecież nimi jesteśmy. - Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, strącając przy tym tubki z kremem. - No dobrze, spróbuję. Myślę, że lubiłabym cię tak samo, jak teraz. Fajny z ciebie facet, więc trudno cię nie lubić. Tylko że ty po prostu nie znasz mnie zbyt dobrze, nie wiesz, że niełatwo zawieram przyjaźnie. Nigdzie nie zagrzeję długo miejsca, więc nie ma sensu wchodzić w jakieś poważniejsze związki...

Zmarszczył czoło i przyjrzał jej się z ukosa. Czuł, że toczą w nim walkę dwa odmienne uczucia. Z jednej strony to, co powiedziała Cat, sprawiło mu przyjemność. Z drugiej rozżłościło go, że jego wybranka ma do zaoferowania tak niewiele.

- Więc mówisz, że jesteśmy przyjaciółmi?

- A nie jesteśmy?

- Może i tak - zgodził się bez entuzjazmu. - Weźmy się w takim razie do roboty, bo niedługo wypływamy. - Wstał energicznie i podszedł do drzwi. Szybko przekręcił klucz w zamku i już miał wyjść, gdy poczuł na ramieniu jej dłoń.

- W takim razie do zobaczenia. - Pocałowała go lekko w policzek. - I jeszcze jedno. Bardzo lubię robić z tobą interesy, kotku - uśmiechnęła się przymilnie, ale on to zignorował. Wyraz jego twarzy przypominał raczej grymas zniecierpliwienia.

- Trzymaj się! - rzucił przez ramię i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy znalazł się na korytarzu, zaklął pod nosem. Do tej pory uważał się za szczęściarza i wybrańca losu. Najwyraźniej jednak jego karta miała się odwrócić. Przecież zakochał się w kobiecie, która nie chciała się z nikim wiązać. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, przemknęło mu przez myśl, gdy szedł przez pusty pokład.

Nie znał się na miłości. Nie znał reguł tej gry i aż do tej chwili wydawało mu się, że nie ma ochoty ich poznawać. Zdarzało mu się oczywiście myśleć, że kiedyś tam spotka kobietę, z którą będzie chciał się związać. W bliżej nieokreślonej przyszłości. Wyglądało jednak na to, że los go zaskoczył, nie pytając o zdanie.

Jak na rasowego gracza przystało, Duncan postanowił przycziąć się i rozszyfrować zamierzenia przeciwnika. Musiał mieć pewność, że Catherine Farrell gra z nim uczciwie i nie blefuje. Dopiero wtedy będzie mógł sięgnąć po atutowego asa. Bo kiedy już siadał do gry, zawsze wstawał od stolika jako zwycięzca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Do końca tygodnia obserwował ją jak łowca ofiarę. W niczym nie zdradzał swoich intencji i nie pokazywał kart. Czekał cierpliwie, aż Cat pierwsza się odkryje.

Instykt go nie zawiódł. Ponieważ nie atakował jej, poczuła się zbyt pewnie. I o to mu właśnie chodziło. Z prawdziwą przyjemnością patrzył, jak coraz bardziej zbliża się do jego rodziny. Flirtowała i przekomarzała się z Danielem, nawiązywała nić przyjaźni z Anną. Któregoś dnia Duncan zastał je na pokładzie. Trzymając się za ręce, powierzały sobie jakieś sekrety. Wszystko było więc na najlepszej drodze.

Zbierał się przez cały dzień, żeby z nią porozmawiać, jednak ciągle coś mu w tym przeszkadzało. Po południu znalazł trochę czasu, żeby zajrzeć do kontraktu, który z nią podpisał, i sprawdzić, na jakich warunkach może go przedłużyć. Okazało się to możliwe. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby została na statku przez kolejne sześć tygodni.

Poza tym szykował dla niej jeszcze jedną niespodziankę. Jakies dwa dni wcześniej zadzwonił do niego przedstawiciel dużej wytwórni płytowej, do której wysłał kasetę z piosenkami Cat. Okazało się, że wszyscy byli zachwyceni jej głosem i chcieli natychmiast urządzić jej przesłuchanie i zrobić nagrania w profesjonalnym studiu. Duncan nie powiedział jej o tym od razu, bo uznał, że taka wiadomość musi mieć odpowiednią oprawę. Tego właśnie wieczoru miał zamiar oznajmić jej radosną nowinę. Wpierw musiał jednak zająć się kasynem.

Na samą myśl o tym, że sprawi jej przyjemność, bezwiednie uśmiechnął się do siebie, czym wzbudził zainteresowanie jednej z siostr Kingston. Kiedy znalazł się obok jej stolika, złapała go za rękaw.

- Jaka szkoda, że rejs się kończy - zaszcebiotała, robiąc słodkie oczy. - Będą bardzo tęskniła za twoim statkiem, i w ogóle za wszystkim.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona.

- Jeszcze jak! W przyszłym roku znów popłyniemy. Świetnie się bawiliśmy.

- O to nam właśnie chodzi. Dopisało ci szczęście?

- Niezupełnie - odparła, a jej spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, co dziewczyna ma na myśli.

- Pytałem o szczęście w kartach! - roześmiał się Duncan.

- Z tym też mogłoby być lepiej. Ale nie narzekam. Zagładasz czasem do Filadelfii?

- Rzadko - odparł z roztargnieniem, bo właśnie w tej chwili dostrzegł wchodzącą do kasyna Cat. - Przepraszam, muszę iść.

- Nie ma sprawy. Niektórzy to mają szczęście. - Wzruszyła ramionami, zerkając zazdrośnie na Cat, do której właśnie się zbliżył.

- Witaj, Cat! Co się stało, że zajrzałaś do jaskini hazardu?

Wziął ją za rękę i zaczął bawić się jej palcami.

- Przyszłam bez powodu - odparła. - Wiesz przecież dobrze...

- Że z zasady w nic nie grasz. A nigdy nie łamiesz swoich zasad?

- Bez przerwy je łamię, kotku.

- To może skusisz się na partyjkę black jacka?

- Mam tylko dwadzieścia minut.

- Starczy. - Wziął ją pod ramię i zaprowadził do wolnego stolika. Podsunął jej krzesło, a sam zajął miejsce po drugiej stronie. - Uwaga, przygotuj się! Pamiętaj, że pochodzę z rodziny o krupierskich tradycjach.

- Akurat!

- No dobrze, zartuję. Moja matka była krupierką w kasynie, kiedy poznała ojca.

- Tak? I kto z nich wygrał?

- Obydwoje. Dam ci żetony za sto dolarów, zgoda?

- Nie ma potrzeby. Mogę wyłożyć pieniądze z własnej kieszeni.

- W porządku. W takim razie dostajesz kredyt. - Odliczył z wprawą żetony i podsunął jej stosik. - Pięknie dziś wyglądasz - zauważył, posyłając jej jeden ze swoich zabójczych uśmiechów.

Cat spojrzała na niego podejrzliwie, pewna, że coś knuje, skoro jest dla niej taki miły. Rozsiadła się wygodnie, obiecując sobie, że nie da się zaskoczyć. Sięgnęła po żeton za pięć dolarów i położyła go przed sobą.

- Daj mi karty, skarbie - powiedziała takim tonem, jakby całe życie spędziła przy stole.

- Do usług, madame!

Podsunął jej siódmkę i piątkę, a dla siebie wyciągnął asa.

- Mogę mieć oczko. Chcesz sprawdzić? - spytał.

- Nie wierzę. Przebij mnie.

Sięgnęła po następną kartę. Tym razem była to ósemka.

- Dwadzieścia na rękę. Co powiesz na kolację po występie?

- Zobaczymy - mruknęła pod nosem, zajęta obliczaniem punktów. Miała siedemnaście, więc brakowało jej jeszcze trzech. - Pasuję - zdecydowała.

- Pas przy osiemnastu, krupier ma piętnaście, zwycięża dziewiętnaście - oznajmił z zawodową wprawą, po czym wyciągnął dla siebie czwórkę.

- Czy karta zawsze ci idzie? - spytała zaskoczona, nie ukrywając, że zrobił na niej wrażenie.

- Prawie - odparł bez fałszywej skromności.

Cat i bez tego wiedziała, że ma do czynienia z pierwszorzędnym graczem. I to nie tylko przy stoliku. Ale ona też nie wypadła sroce spod ogona. Umiała walczyć, zwłaszcza wtedy gdy stawką było przetrwanie. I nigdy nie rzucała na szalę rzeczy, których nie chciałaby stracić, bez względu na to, czy były to pieniądze, czy po prostu cenny czas. A już na pewno nie serce. Kiedy jednak decydowała się wejść do gry, robiła wszystko, by wygrać.

- Rozdaj karty! - powiedziała stanowczo. Rozegrali kolejno trzy rundy, z których żadna nie skończyła się dla niej szczęśliwie. Spojrzała podejrzliwie na Duncana, a on natychmiast odgadł, o co jej chodzi.

- Hej! - zawołał, podnosząc ręce do góry. - Spójrz, że niczego nie chowam w rękawie. Gram czysto!

- Jakoś nie mogę rozbić banku.

- Bo nie ryzykujesz. Zbyt łatwo się poddajesz, nie kontrolujesz kart.

- Jak mam kontrolować karty, skoro to nie ja je rozdaję?

- Chcesz się zamienić miejscami? Proszę bardzo! W pierwszej chwili miała zamiar odmówić, ale coś ją podkusiło, żeby spróbować.

- Dobrze. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie musiał szukać sobie nowej pracy - stwierdziła, przechodząc na drugą stronę stołu. - Hm... całkiem inny punkt widzenia. - Rozejrzała się z ciekawością po kasynie.

- Czy ja wiem? Ta sama gra, te same szanse.

- Tyle że teraz są po mojej stronie. Zaraz cię rozpracuję, kotku. Proszę obstawiać!

Niestety, pomimo uprzywilejowanej pozycji, nie była w stanie go pokonać. Przegrywała jak wcześniej, kiedy to on kontrolował grę. Kusił ją, żeby zaryzykować, ale za każdym razem żałowała. Nie mogła sobie wybaczyć, że postępuje wbrew własnym zasadom, nie tylko zresztą w kartach, ale i w życiu, odkąd pojawił się w nim Duncan. Jej opór był jednak coraz słabszy, głos rozsądku coraz cichszy. Powoli zapominała, że jeśli noga jej się powinie, będzie musiała zapłacić naprawdę wysoką cenę.

- Dobry jesteś, Blade - stwierdziła zrezygnowana po kolejnej przegranej, kładąc karty na stół.

- To moja praca.

- Jasne. W ciągu pięciu minut przegrałam trzydzieści dolców, więc nie pozwolę, byś zdarł ze mnie ostatnią koszulę. Pasuję!

- A propos koszuli, może zagramy w rozbieranego black jacka trochę później?

- W porządku. Przynajmniej będziemy mieli tyle samo do stracenia - roześmiała się. - Przez to wszystko zapomniałam ci powiedzieć, po co przyszłam. Przygotowałam małą niespodziankę dla twojego dziadka pod koniec drugiego występu. Mam nadzieję, że mu się spodoba.

- Co to za niespodzianka?

- Przyjdź i sam zobacz - powiedziała, wstając z krzesła. Dostrzegła zazdrosne spojrzenie atrakcyjnej blondynki przy sąsiednim stoliku i dodała: - Jeśli oczywiście możesz porzucić na chwilę swoje wielbicielki.

- Skarbie, wiesz, że zawsze jestem do twojej dyspozycji. W dzień, a jeszcze chętniej w nocy.

- Doceniam twoje poświęcenie. - Poklepała go po policzku. - A co do tego rozbieranego black jacka, to pogadamy później. Teraz muszę iść i odrobić straty. Trzydzieści dolców piechotą nie chodzi.

Posłała mu całusa, po czym odplynęła w stronę baru, kołysząc ostentacyjnie biodrami. No, kotku, mam nadzieję, że później nie tylko pogadamy, ale się dogadamy, pomyślał Duncan, odprowadzając ją wzrokiem.

Zauważyła go, gdy tylko wszedł do baru, akurat wtedy, kiedy dobiegał końca jej drugi występ. Duncan usiadł przy stoliku dziadków, ona zaś ukloniła się w burzy oklasków, po czym stanęła w mroku, poza światłami sceny. Czekwała, aż publiczność opuści bar, by rozpocząć prywatną część przedstawienia. Obecność Duncana sprawiła jednak, że poczuła się trochę stremowana i spięta.

Tymczasem przy stoliku Daniel mruzczał coś pod nosem, w końcu nie wytrzymał i huknął na wnuka:

- Co się z tobą dzieje, chłopcze? Nie widzisz, że ta dziewczyna szaleje za tobą?

- Danielu, daj mu spokój! Jest dorosły i wie, co robi - wtrąciła szybko Anna. Bała się, że przez swoje wścibstwo i niecierpliwość stary jest gotów wszystko popsuć.

- I o to chodzi! Właśnie o to chodzi - Daniel nie zamierzał siedzieć cicho. - Jest już od dawna dorosły, a zachowuje się jak nastolatek. Jak długo mam powtarzać, że powinien się ustatkować i ożenić?! A on tak zwleka, że w końcu dziewczyna mu się wymknie, i tyle ją zobaczy. Nie, ten chłopak to nie moja krew. Prawdziwy MacGregor tak się nie zachowuje.

Duncan słuchał tych wymówek z twarzą pokerzysty, ani na moment nie tracąc spokoju. Wiedział, jak najskuteczniej zemścić się na Danielu za ostre słowa. Niedbale sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął długie, cienkie cygaro. Pieszczotliwie przesunął po nim palcami, z satysfakcją obserwując, jak w oczach starego zapalają się iskierki. Przez chwilę delectował się aromatem zakazanego owocu, a potem przygryzł go zębami, przypalił i wypuścił kłęb wonnego dymu prosto w pałające zazdrością oczy Daniela.

- A kto dziadkowi powiedział, że pozwolę jej się wymknąć? - spytał.

- Jakbyś miał oczy, dawno już byś się zorientował, że... - zaczął Daniel z werwą, ale nagle zmienił zdanie.

Wciągnął w płuca przesycone dymem powietrze, sapnął dwa razy jak lokomotywa i dokończył zupełnie innym tonem: - A widzisz, Anno, mówiłem ci, że nie ma się czym martwić. Mądry chłopak z tego Duncana - zawołał i trzepnął go z całej siły w plecy. - A ty się wciąż zamartwiasz - zwrócił się znów do żony.

- Bezustannie - w głosie Anny pojawiła się nutka ironii. Popatrzyła na obydwu mężczyzn z czułym uśmiechem, po czym dotknęła ich dłoni. - Chcę, żebyś wiedział, że Cat bardzo mi się podoba - powiedziała, patrząc Duncanowi w oczy.

- Wiem, babciu. I mam do ciebie wielką prośbę. Przypilnuj, żeby dziadek trzymał się ode mnie z daleka i pozwolił mi robić swoje.

- Żebym trzymał się z daleka! - zawołał oburzony Daniel. - Ja mam się trzymać z daleka! - Miał tak donośny głos, że kilka osób zwróciło w ich stronę głowy. - Co ty obie myślisz, szczeniaku! Czy wiesz, że gdyby nie ja, to...

- To co, Danielu? - spokojny głos Anny jak zwykle podziałał kojąco na wzburzone nerwy męża. - Czy Chcesz nam powiedzieć, że już kiedyś wsadzałeś nos w nie swoje sprawy i bawiłeś się w swata?

- Co ty mówisz, kobieto? Naprawdę nie wiem, co ci przyszło do głowy! Mówiłem tylko, że... że... - zająknął się. - Że na nas już pora, Anno. Zrobiło się późno, a ty musisz odpocząć.

- Pozwól, że dokończę wino - uśmiechnęła się do męża i podniosła kieliszek, jakby chciała wnieść toast. Tylko ona wiedziała, że jest to umówiony znak, na który czeka ukryta w mroku Cat.

Chwilę później Cat wyłoniła się z ciemności i wolno weszła w krąg światła pośrodku sceny.

- Panie MacGregor, mam coś dla pana - powiedziała do mikrofonu.

- Więc po co chowasz się po kątach? Chodź tu i daj mi to! - zagrzmiął Daniel.

- Nie mogę, bo to jest tutaj - odparła z uśmiechem, kładąc rękę na sercu. Odczekała kilka sekund, żeby się skoncentrować, a potem pięknym, dźwięcznym głosem zaśpiewała starą szkocką balladę. Ani na chwilę nie spuszczała z Daniela oczu, chcąc swym spojrzeniem przekazać mu całą sympatię, jaką do niego czuła. Gdy zobaczyła, że ze wzruszenia zaszkliły mu się oczy, poczuła, że jej własne także napełniają się łzami.

Duncan słuchał jej jak zahipnotyzowany. Wiedział już, że naprawdę ją kocha. Gdy to sobie uświadomił, nie doznał szoku ani wstrząsu, choć tak bardzo się tego obawiał. Ogarnęło go raczej uczucie błęgiego spokoju i szczęścia.

A więc tak wygląda miłość. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Zdawało mu się, że w tym jednym magicznym momencie zmieniło się całe jego życie. Gotów był nie tylko to zaakceptować, ale przyjąć znacznie więcej. Wciąż jednak trapił go najważniejszy problem - zrozumiał, że pozostało mu już niewiele czasu, by pokonać opór Cat. Na szczęście, jako rasowy gracz, nie bał się stawiać wszystkiego na jedną kartę. Musiał wygrać i gotów był poświęcić wszystko, by ją zdobyć.

Tymczasem wzruszony Daniel wzdychał głęboko i ocierał chusteczką oczy. Doczekał końca ballady, a potem wydmuchał hałaśliwie nos, mrucząc przy tym półgłosem:

- Kochana dziewczyna. Złote serce!

Cat odłożyła mikrofon i podeszła do stolika.

- Będę za panem bardzo tęskniła, panie Danielu. Naprawdę. - Objęła go mocno i pocałowała w zaczerwieniony policzek.

- Chodź no tutaj. - Pociągnął ją za rękę i posadził sobie na kolanach jak małą dziewczynkę.

Zaskoczona tym niespodziewanym objawem czułości, Cat chciała w pierwszej chwili uciec. Nie była przyzwyczajona do takich gestów. Jednocześnie ogarnęło ją przyjemne poczucie bezpieczeństwa, więc przytuliła się do Daniela, jak czynią to wszystkie bez wyjątku wnuczki na świecie.

Anna patrzyła na tę scenę głęboko poruszona. Ona również zdążyła polubić Cat.

- Nie przeszedłbyś się ze mną po pokładzie, Duncanie? Mam do ciebie sprawę - powiedziała, kładąc rękę na ramieniu wnuka. Kiedy znaleźli się w holu, wskazała sofę i zmieniła zdanie. - A może nie będziemy wychodzić na zewnątrz? Za gorąco jak dla mnie - wyjaśniła, po czym od razu przeszła do rzeczy: - Posłuchaj, mój drogi. Ta dziewczyna rozpaczliwie pragnie miłości. Więc jeśli nie możesz jej tej miłości dać, to nie zwracaj jej głowy. Nie zasługuje na to, żeby ją ranić.

- Wiem, babciu. Uwierz mi, że nie zamierzam bawić się jej kosztem. To, co czuję, jest bardzo poważne. Może nawet poważniejsze, niż bym chciał. Muszę ją tylko przekonać, żeby to ode mnie przyjęła.

- Cieszę się. I stawiam na ciebie! - zapewniła go Anna i uścisnęła mu porozumiewawczo dłoń.

W drodze do kajuty Duncan zauważył, że Cat jest bardzo wyczerpana. Nie z powodu występu, ale ze wzruszenia. Nieczęsto okazywała uczucia, dlatego wydarzenia tego wieczoru bardzo ją zmęczyły.

- Niespodzianka, którą przygotowałaś dla dziadka, była naprawdę wspaniała - pochwalił ją szczerze.

- Mam bzika na jego punkcie. Poważnie - roześmiała się, ale szybko spoważniała. Uświadomiła sobie, że popełniła kolejną nieostrożność. Przywiązała się do ludzi, którzy nie byli jej rodziną, jej bliskimi. To zaś oznaczało cierpienie w chwili rozstania.

- Zdaje się, że i on szaleje za tobą - zauważył Duncan. - Powiem ci szczerze, że gdyby nie babcia i różnica wieku między tobą a dziadkiem, to byłbym mocno zaniepokojony.

Znów się roześmiała, tłumiąc jednocześnie ziewanie.

- Uprzedzam, że nie mogę za siebie ręczyć, nawet biorąc pod uwagę te przeciwności - powiedziała. Zaczekała, aż otworzył drzwi, a potem pierwsza weszła do środka. To, co zobaczyła, zaskoczyło ją tak bardzo, że aż oparła się o futrynę. Kajuta oświetlona była migotliwym blaskiem świec, załamującym się tęczo w krysztale wysokich kieliszków. - Co to znaczy, Blade? - spytała podejrzliwie.

- Pomyślałem, że może zdołam cię nakłonić, byś złamała swą kolejną zasadę - odparł tajemniczo, po czym zbliżył się do stołu i wyjął ze srebrnego kubeczka butelkę szampana.

- Szampan? - spojrzała na etykietę i aż gwizdnęła z wrażenia. - Znakomita marka. Co to za okazja?

- Zaraz do tego dojdziemy. Wszystko w swoim czasie. Napijesz się?

- Kieliszek na pewno mi nie zaszkodzi. Czy to dlatego nie pozwoliłeś mi przebrać się po występie? Chciałeś, żebym wyglądała jak należy, popijając francuskiego szampana?

- Nie chciałem, żebyś się przebierała, bo mam ochotę sam cię rozebrać. Ale to za chwilę - uśmiechnął się do niej po szelmowsku, otwierając z wprawą butelkę. Korek wyskoczył z cichym puknięciem, a spieniony szampan popłynął do dwóch smukłych kieliszków. Duncan podał jej jeden z nich. - Wypijmy za twoje złote struny głosowe.

- Słusznie. Jak mogłabym za to nie wypić? - Trąciła uśmiechem brzeg jego kieliszka. - Zbliżamy się do końca twojego kontraktu - stwierdził niespodziewanie.

Całe szczęście, że Cat zdążyła już przełknąć szampana, bo na pewno by się zakrztusiła.

- Wiem. To była naprawdę fajna praca. Będę mile wspominała twój statek.

- Chcę przedłużyć kontrakt.

- Naprawdę? - spytała z bijącym sercem. - W takim razie poproszę o następny kieliszek. Trzeba to uczcić, prawda?

- Prawda. Chciałem najpierw porozmawiać z tobą, a potem skontaktować się z twoim agentem.

- Nie trzeba. Właśnie go zwolniłam, więc wszystkie formalności możesz załatwić ze mną.

- Zwolniłaś go? - zdziwił się, wyraźnie zaskoczony. - Mądre posunięcie, bo to wyjątkowo kiepski gość. Ale będziesz musiała szybko znaleźć kogoś, kto zadba o twoje interesy.

- Nie ma pośpiechu. Póki co, przed moimi drzwiami nie ustawia się kolejka chętnych z kontraktami w dłoniach. Jak przyjdzie czas, kogoś sobie znajdę.

- Tan czas właśnie nadszedł.

- Co masz na myśli?

- Skontaktował się ze mną przedstawiciel dużego koncernu płytowego, Reed Valentine. Pewnie o nim słyszałaś?

Skinęła tylko głową, bo nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Jego ludzie chcieliby się z tobą spotkać i urządzić ci sesję nagraniową w profesjonalnym studiu. Najlepiej w Nowym Jorku. Termin do uzgodnienia.

Zakręciło jej się w głowie z wrażenia. Musiała na chwilę zamknąć oczy, by nie upaść. Nie wiedziała, czy to z powodu szampana, czy też z powodu tej zaskakującej wiadomości. Dość że serce tłukło jej się w piersiach, a krew tętniła w skroniach, jakby Cat wdrapała się przed chwilą na najwyższą górę świata. Policzyła w myślach do dziesięciu, a kiedy poczuła się pewniej, zasypała Duncana tysiącem pytań.

- Zadzwoił do ciebie Reed Valentine? Szef wytwórni płytowej Valentine? I powiedział, że chce się ze mną spotkać? W Nowym Jorku? Dlaczego? - trąkotała bez tchu.

- Dziewczyno, uspokój się, bo zaraz dostaniesz palpacji serca! - rozbawiło go jej podniecenie. - Zadzwoił, bo bardzo spodobała mu się taśma, którą przygotowałaś.

- Naprawdę ją wysłałaś?

- Jesteś zaskoczona? Przecież mówiłem, że to zrobię.

- Tak, ale... nie myślałam, że... - wciąż była tak poruszona, że ledwie mogła mówić.

- Nie myślałaś, że mówię poważnie? A więc nie ufasz mi zbytnio. Szkoda.

Zrobiło mu się przykro. Pomyślał, że jeszcze trochę, a zacznie mazać się jak baba.

- Nie, ja naprawdę... - Cat próbowała się tłumaczyć, lecz i ona z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. - Nie mogę oddychać. Dzieje się ze mną coś dziwnego - wykrztusiła wreszcie, przykładając dłoń do klatki piersiowej.

- Hej, co z tobą? - zaniepokoił się nie na żarty, widząc jej bladość. - Usiądź albo się połóż, bo jeszcze mi tu zemdlejesz.

- Nie. Nic mi nie będzie. Muszę tylko wyjść na zewnątrz...

Wcisnęła mu do ręki swój kieliszek i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę drzwi balkonowych. Zdawało jej się, że wypila nie dwa kieliszki, ale całą butelkę, i to duszkiem. Podeszła czym prędzej do barierki i zacisnęła na niej dłonie. Wychyliła się niebezpiecznie daleko, wpatrzona w czarną tafię płynącej leniwie rzeki.

- Czy nie marzyłaś o tym? - usłyszała za plecami jego głos.

Nie odwróciła się. Mocno zacisnęła powieki, mając nadzieję, że w ten sposób powstrzyma napływające do oczu łzy.

- Przez całe życie. Marzyłam o tym przez całe życie. - szepnęła stłumionym głosem. - Czekałam, aż los da mi szansę i będę mogła udowodnić, że potrafię być kimś.

- Głos jej się załamał, ale zapanowała nad wzruszeniem.

- Chciałabym zostać na chwilę sama. Bardzo cię proszę, Duncanie...

Nie posłuchał. Objął ją, odwrócił ku sobie i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Zdawało mi się, że wiem, ile to dla ciebie znaczy - powiedział cicho. - Ale widzę, że tak naprawdę nie miałem o tym pojęcia. Powinienem był powiedzieć ci to w inny sposób.

Jego głos był tak samo łagodny, jak dłoń, którą otarł łzę z jej policzka. Cat przytrzymała rękę Duncana, przycisnęła ją do policzka i uśmiechnęła się blado.

- Nie o to chodzi. Wspaniale to obmyśliłeś - westchnęła. - Zostaw mnie samą na minutę. Muszę jakoś dojść do siebie.

- Wcale nie musisz. Nie próbuj być silniejsza, niż jesteś. Odpuść sobie. - Przytulił ją mocno i zaczął pieszczotliwie głaskać jej włosy. Poczowała się w jego ramionach tak dobrze i bezpiecznie, że nie umiała dłużej walczyć ze wzruszeniem. Długo powstrzymywane łzy popłynęły gorącym strumieniem prosto na jego białą koszulę.

- Nie wiesz nawet, ile dla mnie zrobiłeś. Ta szansa jest dla mnie wszystkim. Nie wiem, jak będę mogła ci za to odpłacić - szeptała przez łzy.

- Daj spokój, Cat. Nie ma mowy o żadnym długu.

- Nieprawda. Wiem, co mówię. - Odsunęła się nieznacznie i ujęła dłońmi jego twarz. - Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna... więc będzie lepiej, jeśli ci to pokażę.

Pocałowała go ustami wilgotnymi i słonymi od łez, jednak tym razem Duncan wcale nie oczekiwał pocałunków. Spodziewał się raczej poważnej, konkretnej rozmowy, w której mogliby ustalić wreszcie wspólną przyszłość.

- Daj spokój, Cat... Nie potrzebuję dowodów wdzięczności. - Próbował ją delikatnie odsunąć, ale była zdecydowana.

- Nie powstrzymuj mnie. To wszystko, co w tej chwili mogę ci dać - szeptała między pocałunkami. - Wiem, że to niewiele, ale nie *odrzucaj* przynajmniej tego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Musiała chyba być czarodziejką i rzucić na niego jakiś urok. Nawet teraz, w jasnym świetle dnia, Duncan czuł, że wciąż znajduje się pod jego wpływem. Nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o niej. Zaledwie zamknął oczy, a pojawiał się przed nimi jej obraz. Widział ją nawet wtedy, gdy podnosił powieki i próbował czymś się zająć. Poprzedniej nocy chciał jej powiedzieć, że ją kocha, i prosić, żeby zgodziła się z nim zostać. Nie zrobił tego jednak, bo uznał, że byłoby to nie fair. Nie chciał wykorzystywać faktu, że Cat jest wzruszona i przepelniona wdzięcznością, a więc dużo bardziej podatna na emocje niż zwykle. A on chciał grać uczciwie. Przynajmniej w tej jednej sprawie.

Postanowił więc, że poczeka ze swoim wyznaniem do wieczora. Przybili właśnie do portu w Nowym Orleanie, pasażerowie schodzili wolno na ląd. Nowi mieli pojawić się na pokładzie dopiero nazajutrz, więc Duncan i Cat mogli spędzić wieczór sami. Miał całe popołudnie, żeby się zastanowić nad wszystkim. Pomyślał, że czułby się dużo pewniej, gdyby wiedział, co mu odpowie. Niestety, tym razem nie mógł liczyć na swój instynkt.

Sięgnął odruchowo do kieszeni spodni i wyczuł pod palcami małe pudełeczko. Choć było niepozorne, ciążyło mu jak kamień. Spoczywał w nim pierścionek dla Catherine Farrell. Kupił go przed południem, gdy odprowadzał dziadków do miasta, i od tej pory przez cały czas nosił przy sobie, zastanawiając się, jak zareaguje, gdy będzie wsuwał go na jej palec.

Tymczasem Cat zbierała się przez cały poranek, by pójść do niego i powiedzieć mu wreszcie, co postanowiła. Myślała o tym podczas bezsennej nocy i doszła do wniosku, że to jedyne sensowne wyjście z tej skomplikowanej sytuacji. Długo zastanawiała się, jak mu odplacić za to, co dla niej zrobił. Duncan nie tylko sprawił, że spełniło się jej największe marzenie, ale pomógł jej zupełnie bezinteresownie. Nigdy dotąd nikt nie zaofiarował jej tak wiele, nie domagając się niczego w zamian. Dlatego uznała, że teraz powinna jak najszybciej usunąć się z jego życia. Spokojnie, bez dramatycznych scen i niepotrzebnych wyrzutów.

Na samą myśl o rozstaniu poczuła, że nogi ma jak z waty, więc mocniej chwyciła się barierki schodów. Niewiele brakowało, a zawróciłaby w połowie drogi, zmobilizowała się jednak i ruszyła dalej.

Ostatni raz przystanęła na górnym pokładzie. Zapatrzyła się na rzekę, na połyskujące w słońcu fale i zieleń drzew na brzegu. Ile razy chłonęła ten widok, ten spokój pograżonego w upale krajobrazu? Jak bardzo będzie tęskniła za statkiem, na którym przeżyła tyle niezwykłych wzruszeń?

Kurczowo zacisnęła dłonie na poręczy. Przynajmniej przed sobą nie musiała niczego udawać. Decyzja o tym, żeby odejść, była podyktowana wyłącznie zwykłym tchórzostwem. Gdy ostatniej nocy uświadomiła sobie, co czuje do Duncana, obleciał ją strach. Siła własnych uczuć przeraziła ją do tego stopnia, że postanowiła uciec. Nie potrafiła poradzić sobie z miłością, bo nigdy dotąd nie zdarzyło jej się nikogo pokochać. Najbardziej jednak obawiała się przyszłości.

Co będzie, jeśli się okaże, że Duncan nie jest tak naprawdę zaangażowany w ich związek? Wiedząc doskonale, że stawka jest bardzo wysoka, a ryzyko ogromne, postanowiła pierwsza wycofać się z tej niebezpiecznej gry. Uznała, że postąpiłaby nieuczciwie, czekając z tym do końca nowego kontraktu. Najlepiej więc zrobić to teraz, gdy stary kontrakt dobiegł końca, a jednocześnie jest szansa, że Duncan znajdzie kogoś na jej miejsce.

Za nic w świecie nie chciała sprawić mu kłopotu. Ani w pracy, ani tym bardziej w życiu. Poza wszystkim innym, miała w ręku doskonały argument, który powinien łatwo go przekonać. Zamierzała powiedzieć mu, że chce od razu pojechać do Nowego Jorku i dopilnować, żeby największe marzenie jej życia jak najszybciej stało się faktem. Niestety, perspektywa nagrania płyty dla wielkiej wytwórni nie wydawała jej się już taka cudowna. Straciła na ważności, zbladła, tak jak wszystko, co nie było związane z Duncanem. Mimo to, nie zamierzała się wycofać. Klamka zapadła i teraz pozostało najtrudniejsze - stanąć przed Duncanem i powiedzieć mu prosto w oczy, że postanowiła odejść.

Odwróciła się niechętnie od kojącego widoku turkusowej wody i ruszyła z ociąganiem w stronę biura. Weszła do środka tak cicho, że Duncan nawet jej nie zauważył. Zajęty pracą, nie podniósł oczu znad sterty papierów, mogła więc przyglądać mu się do woli. Jego widok jak zwykle ją zachwyił. Nie tyle chodziło o jego męską urodę, uwodzicielski wdzięk, klasę, ale przede wszystkim o charakter i sposób traktowania ludzi. Podczas tych wszystkich dni, które spędzili razem, nie raz się przekonała, jak bardzo potrafi być opiekuńczy, czuły, uczciwy, otwarty na innych.

Imponowało jej coś jeszcze - Duncan nie korzystał z rodzinnej fortuny. Człowiek mający dostęp do takich pieniędzy mógłby przez całe życie nie kiwnąć palcem i ograniczyć się do korzystania z uroków życia na konto swoich rodziców. Być może ktoś inny tak by postąpił, ale nie Duncan Blade. On nie bał się ciężkiej pracy, lubił ją i znał się na rzeczy. Nie brakowało mu ani pewności siebie, ani ambicji, więc potrafił osiągnąć sukces w interesach.

Niebezpieczny Duncan Blade, pożeracz serc i łowca westchnień, pomyślała o nim z czułością. Nim skończy się sezon, nie będziesz nawet pamiętał mojego imienia...

Nie chciała, żeby zorientował się, co naprawdę czuje, nabrała więc głęboko powietrza i zrobiła niewinną minę. Kiedy była pewna, że nie zdradzi się drżeniem rąk, zapukała głośno w ściankę szafy na książki, obok której stała.

- Witaj, szefie! Masz chwilkę, żeby porozmawiać? - spytała swobodnym tonem.

Zaskoczony, podniósł głowę. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się i odsunął papiery na bok.

- Dla ciebie zawsze znajdę czas. Jak tam samopoczucie? Lepiej?

- Trochę, ale ciągle mi się wydaje, że spadłam z księżycy - uśmiechnęła się, siadając naprzeciw niego. - A jak twoi dziadkowie? Odprowadziłeś ich do hotelu?

- Jasne. Mówili, że pobędą w Nowym Orleanie kilka dni, a potem mają zamiar lecieć do Bostonu. Babcia chce odwiedzić moją siostrę i kuzynów, a dziadek już obmyśla plan wyswatania mojego kuzyna Jana. „Do czego to podobne, żeby młody, zdolny prawnik nie miał jeszcze rodziny” - to jego słowa, więc biedny Jan niedługo poczuje na własnej skórze, co to znaczy, kiedy stary MacGregor zagnie na kogoś parol.

- Chcesz powiedzieć, że pan Daniel znowu będzie zabawiał się w swata?

- Pewnie!

- Zabawny jest z tą swoją obsesją, ale pewnie dzięki temu ciągle czuje się potrzebny.

- Widzę, że szybko rozgryzłaś starego lisa - roześmiał się Duncan.

- Nie wiem, czy go rozgryzłam, za to wiem, że go bardzo polubiłam. Tak jak całą twoją rodzinę. Stanowicie naprawdę zgrany klan i bardzo wam tego zazdroszczę - przyznała. - Wiesz, że twoi dziadkowie zaprosili mnie do siebie? Mogę przyjechać, kiedy zechcę - dodała ze smutnym uśmiechem.

- To doskonale. Będziesz miała okazję przekonać się na własne oczy, jak wygląda zamek Gargamela.

Roześmiała się z przymusem, bo z każdą chwilą robiło jej się coraz smutniej. Nerwowo odliczała w myślach upływające minuty, z których każda przybliżała ją nieuchronnie do chwili, kiedy będzie musiała mu powiedzieć, że odchodzi. Nawet nie słuchała, co do niej mówił. Próbowwała się skoncentrować, tak jak przed występem, tyle że miał to być najtrudniejszy występ w całym jej życiu. Kiedy poczuła, że nie może dłużej zwlekać, odetchnęła jak przed skokiem do lodowatej wody i powiedziała chłodnym, opanowanym głosem:

- Nie chciałabym na dłużej odrywać cię od pracy, ale muszę wreszcie z tobą porozmawiać. Służbowo.

- Nie ma sprawy. Sam miałem zamiar pogadać z tobą później o nowym kontrakcie, ale równie dobrze możemy zrobić to teraz. - Duncan wyjął spod sterty papierów plastikową

teczkę i wyciągnął z niej kontrakt. - Przeczytałem go jeszcze raz i mogę zapewnić cię, że zawiera punkt, który mówi o przedłużeniu umowy, co gwarantuje ci pięcioprocentową podwyżkę honorarium. Reszta bez zmian. Wiem, że nie masz w tej chwili agenta, więc jeśli nie chcesz podpisywać tego bez konsultacji, możemy zatrudnić jakiegoś prawnika, nawet tutaj, w Orleanie, albo w którymś z portów w drodze do Saint Louis.

- Mogę podpisać to sama, więc nie martw się o prawnika.

- Doskonale. Znasz już treść tego kontraktu, ale może chcesz przeczytać go jeszcze raz? - spytał, podając jej kartkę.

Cat nie sięgnęła po nią.

- Nie będę czytać, bo nie zamierzam niczego podpisywać - oświadczyła, uciekając wzrokiem w bok, niepotrzebnie zresztą, bo miała na nosie ciemne okulary.

- Słucham?

- Nie chcę przedłużać kontraktu. Nie jestem zainteresowana jeszcze jednym rejsem. Kiedy za tydzień przybijemy do portu w Saint Louis, schodzę z pokładu, kapitanie.

- Zdejmij okulary.

- Dlaczego? Słońce mnie razi.

- Jeśli mamy rozmawiać o interesach, chcę widzieć twoje oczy.

Nie mogła nie przyznać mu racji. Nie była też zaskoczona, że w jego głosie pojawiła się nieprzyjemna nuta, jakby zgrzyt stalowego ostrza. Nienawidziła siebie za to, że chowając się za ciemnymi szklami, zachowuje się jak tchórz. Zdjęła więc okulary i mężnie wytrzymała jego badawcze spojrzenie.

Duncan z uwagą studiował jej twarz, próbując odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi. Zachowywał się jak gracz, który usiłuje rozpracować przeciwnika. Szukał najmniejszego choćby grymasu, najdrobniejszego gestu, który zdradziłby jej prawdziwe intencje. Musiał jednak przyznać, że jeśli blefowała, robiła to po mistrzowsku.

- Chcesz wynegocjować lepsze warunki? - spytał wprost.

Wzruszyła ramionami.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- To proste. Nie rozumiem, dlaczego tak nagle zmieniłaś zdanie.

- To również proste. Nadarzyła się doskonała okazja, za którą zresztą jestem ci głęboko wdzięczna. Doszłam do wniosku, że nie ma sensu siedzieć przez następne sześć tygodni na statku, skoro mogę jechać w tym czasie do Nowego Jorku i zająć się moją karierą.

- Rozumiem. Nie wiem jednak, czy pamiętasz, że kontrakt, który ze mną podpisałaś, gwarantuje mi prawo do jego przedłużenia. Jeśli tego nie zrobisz, złamiesz warunki.

- Miałam nadzieję, że nie będziesz robił mi żadnych trudności.

Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo była naiwna, sądząc, że tak po prostu pozwoli jej odejść.

- Nadzieja jest matką głupich, nie zapominaj o tym.

Wstał zza biurka i podszedł do małej lodówki, z której wyjął dwie butelki wody. Zaschło mu w gardle, czuł się też zaskoczony. Spoglądał przez chwilę na rzekę, jakby szukając pociechy w jej widoku.

- Jeśli chciałaś wykorzystać fakt, że ze sobą śpimy, to się przeliczyłaś. Kiedy rozmawiam o interesach, nic innego nie ma znaczenia. Napijesz się?

Odwrócił się i jak gdyby nigdy nic podał jej butelkę. Wyrwała mu ją gwałtownie z ręki. Odgadł od razu, jak bardzo jest zdenerwowana, i to dodało mu otuchy. Jednak blefujesz, moja droga, pomyślał. Tylko do czego zmierzasz? Co chcesz zyskać?

- Rozumiem, żadnych sentymentów. Podaj mnie wobec tego do sądu za złamanie warunków kontraktu - powiedziała twardo. - Byłam przygotowana i na to.

Znów go zaskoczyła, ale nie dał się zbić z tropu.

- Spokojnie - uniósł w pojednawczym geście rękę. - Może rozwiążemy ten problem jak zawodowcy.

Nie ukrywał drwiny, celowo chcąc wyprowadzić ją z równowagi. I nie pomylił się. Na twarz Cat wystąpił silny rumieniec, w jej oczach zapłonął gniew. Duncan tylko na to czekał. Wiedział już, że jej decyzja nie jest wynikiem chłodnej kalkulacji. Podjęła ją pod wpływem emocji, a on zamierzał to wykorzystać.

- Chcesz jechać do Nowego Jorku? Proszę bardzo, jedź. Jeszcze dam ci na bilet. Możesz to zrobić, jak tylko dopłyniemy do Saint Louis. - Uciszył ją gestem dłoni, gdy chciała mu przerwać. - Znajdę sobie na tydzień jakieś zastępstwo. A ty dołączysz do nas w Nowym Orleanie i wywiążesz się z pozostałych punktów umowy. W ten sposób i wilk będzie syty, i owca cała.

- Nie podoba mi się ten pomysł.

- Albo go zaakceptujesz, albo nie ma o czym mówić. Wszystko albo nic.

- Wobec tego nic! - Wstała z miejsca.

- Siadaj!

- Nie będziesz mi rozkazywał!

- Przedyskutowaliśmy już sprawy zawodowe. Teraz porozmawiamy o sprawach prywatnych, więc powtarzam: siadaj!

- I ja mam cię posłuchać? - Podparła się pod boki i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.
- A jeśli nie zechcę? Czy twoja miłość własna ucierpi na tym jeszcze bardziej? Bo zdaje się, że właśnie o to chodzi. O twoją zranioną dumę!

- Naprawdę myślisz, że pozwolę ci tak po prostu odejść?

- Owszem, bo jeśli będziesz próbował mnie zatrzymać, to zranię nie tylko twoją dumę, ale coś więcej. Posłuchaj, było nam razem fajnie, wiele ci zawdzięczam, ale najwyższy czas, by każde z nas poszło w swoją stronę. Seans się skończył, trzeba wstać z fotela i wracać do domu.

- Tylko tyle umiesz? Iść w swoją stronę i nie oglądać się za siebie?

- Tak - odparła. W jej oczach zapłonął żal i po chwili było już za późno, żeby to ukryć.
- Wybacz, kotku, ale mam zasadę, żeby najpierw myśleć o sobie. Ale obiecuję, że nigdy cię nie zapomnę...

W tym momencie popełniła kolejny błąd, bo zamiast obrócić się na pięcie i wyjść, podeszła do niego i dotknęła jego policzka. Jej słodki uśmiech zniknął, gdy Duncan chwycił ją za nadgarstek.

- Dlaczego drżysz, kotku? - spytał z ironią w głosie.

- Nic podobnego!

- Przecież czuję.

- To przez tę cholerną klimatyzację. Chłodno tu.

- Akurat!

- Puść mnie! To boli!

- Nie kłam, ledwie cię dotykam. Za to ty robisz wszystko, żeby sprawić mi ból.
Dlaczego?

- Dajmy temu spokój, Duncan. Nigdy w życiu nie chciałabym cię zranić. Pozwól mi odejść, proszę... - głos zaczął jej się łamać.

- Nie pozwolę. Nie licz na to. Chcesz mnie rzucić, tak? Odejść bez żalu? Kłamiesz, w dodatku robisz to bardzo nieporadnie! Zawiodłem się na tobie, myślałem, że lepsza z ciebie aktorka!

- Tak? Chyba nieczęsto zdarza ci się występować w roli porzucanego, stąd ten cały melodramat!

- Ach, więc tu cię boli! Wolisz odejść pierwsza, bo boisz się, że ja mógłbym to zrobić!

- Dobrze, niech ci będzie. Proponuję ogłosić zawieszenie broni.

- O nie! Najpierw wyjaśnimy sobie wszystko do końca. Pora wyłożyć karty na stół. Mogę zacząć pierwszy. Kocham cię, więc wyjdiesz za mnie za mąż!

- Co takiego? Oszalałeś?!

- Nie, ale jeśli będziesz mnie prowokować, to kto wie. Masz wszystko, czego szukam w kobiecie, czego pragnę... Dlatego nie pozwolę ci odejść. Lepiej przyjmij to od razu do wiadomości.

- Co ty sobie w ogóle wyobrażasz! - Nigdy dotąd nie wpadła w tak histeryczny ton. Gniew, który ją ogarnął był tak wielki, że z wrażenia zabrakło jej powietrza. - Poczekaj, nie mogę oddychać...

- Znowu - westchnął Duncan. - Tak jak wczoraj, kiedy usłyszałaś o nagraniach. Ze wzruszenia, bo spełniło się marzenie twojego życia. A co z innymi marzeniami?

Podszedł do niej i z bliska popatrzył w jej rozszerzone źrenice.

- Odejdź ode mnie, Blade. Jesteś chory, gadasz bzdury. Muszę wyjść na świeże powietrze!

- Nigdzie nie pójdziesz! - Chwycił ją za ramię i pchnął na fotel. - A teraz posłuchaj mnie uważnie. W mojej rodzinie, którą tak bardzo polubiłaś, obowiązuje pewna tradycja. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął monetę. - Jeśli wypadnie reszka, wyjdiesz za mnie. Jeśli orzeł, możesz sobie iść do diabła!

- Jasne, dlaczego nie? - burknęła gniewnie i jak człowiek wycieńczony długim biegiem pochyliła się nisko, chcąc odzyskać oddech.

- Czyli umowa stoi?

- Nie! - Wyprostowała się tak gwałtownie, że jej ukochana czapeczka poszybowała do tyłu, a na ramiona opadła burza rudych włosów.

Duncan nie przejął się specjalnie tym żywiołowym protestem i najspokojniej w świecie podrzucił monetę, po czym chwycił ją w locie i położył na wierzchu dłoni. Potem podsunął ją pod nos osłupiałej Cat.

- Reszka! - oznajmił triumfalnie. - Wygrałem! Masz ochotę na ślub z wielką pompą czy wolisz kameralną ceremonię w gronie najbliższych?

Nie poruszyła się ani nie powiedziała słowa. Odzyskiwała powoli równowagę, mogła znowu normalnie oddychać, a głucho dudnienie w skroniach zaczęło ustępować. Patrzyła na niego jak zauroczona i wyraźnie widziała, że jest wściekły. Wprawdzie uśmiechał się do niej prawie lekceważąco, ale była pewna, że w środku wrze z gniewu.

- Uspokój się, Duncan - powiedziała łagodnie. - Normalni ludzie nie rzucają monetą, żeby rozstrzygnąć o swojej przyszłości.

- Owszem. Moi rodzice tak zrobili, a my to powtórzymy. Chyba nie chcesz złamać zakładu?

- Ja się z tobą nie zakładałam!

- Nie szkodzi. Zrobiłem to za nas oboje. - Znowu podszedł do niej i otoczył ją ramionami. - Kocham cię.

- Spadaj!

Chciała być stanowcza, ale niezbyt jej się to udało.

- Kocham cię - powtórzył, jakby w ogóle nie słyszał jej słów. - Odkryłem przed tobą swoje karty. Zawsze wiedziałem, że miłość mnie kiedyś pokona. Że w odpowiednim miejscu i czasie spotkam odpowiednią kobietę. No i stało się. Ty jesteś tą kobietą. A teraz powiedz mi wreszcie, że i ty mnie kochasz!

- Nie!

- Co „nie”?

- Zejdź mi z oczu! - Próbowała mu się wyrwać, ale robiła to bez przekonania. - Jak mam myśleć logicznie, skoro dobierasz się do mnie!

- Ja się do ciebie dobieram? Broń Boże! - Przytulił ją jeszcze mocniej i musnął wargami jej usta. - No, dalej. Powiedz to. I zrób coś, żebyś uwierzył.

- To nie może się udać...

- Nie o to cię pytałem.

- Chciałam wyświadczyć ci przysługę, a ty...

- Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Mówże wreszcie!

- Odsuń się ode mnie. Przytłaczasz mnie!

Cofnął posłusznie ręce. Ujrzał już w jej oczach odpowiedź na swoje pytanie i teraz tylko się bawił.

- A więc słucham - powiedział zupełnie spokojny.

- Nie zrezygnuję z kariery.

- A kto ci każe? Ja też nie zamierzam rzucać pracy tylko dlatego, że zostaniesz moją żoną.

- Nie chcę się zamykać w wielkiej rezydencji otoczonej białym murem - wypaliła, wsuwając dłonie w kieszenie spodni. Zorientował się dzięki temu, że jest speszona i traci pewność siebie.

- Nie ma mowy o żadnej rezydencji.

- Mówisz poważnie?

- Najpoważniej!

Przez chwilę zdawało jej się, że śni. Do diabła z rezydencją i innymi drobiazgami. Miała wrażenie, że przeżywa swój dziewczęcy sen na jawie. Sen, który śniła, zanim przestała

być naiwna. Powoli zaczynała wierzyć, że Duncan mówi serio, że naprawdę ją kocha. Mimo to, gdzieś na samym dnie serca, ciągle czaił się strach.

- Duncan, proszę cię, bądź ze mną szczery. - Zrezygnowana, zasłoniła twarz dłońmi, lecz zaraz je opuściła i spojrzała mu w oczy. - Jeśli to dla ciebie jeden z elementów zabawy, to lepiej daj sobie spokój. Tu nie chodzi o to, że złamiesz mi serce. Najgorsze, że możesz mnie zabić, naprawdę...

Był tak poruszony, że przez chwilę patrzył na nią bez słowa. Dopiero gdy był pewien swego głosu, powiedział wolno i bardzo wyraźnie:

- Obiecałem ci kiedyś, że nigdy cię nie skrzywdzę. Ja zawsze dotrzymuję słowa.

- Jesteś tego pewien?

- Na sto procent. - Sięgnął do kieszeni i pokazał jej małe pudełeczko. - Zgadnij, kotku, co jest w środku?

- Boże, narzuciłeś zabójcze tempo. - Popatrzyła na swoje dłonie, a potem przeniosła wzrok na Duncana. - Widzisz? Pocą mi się ręce. Jak zawsze, kiedy mam tremę - powiedziała trochę bez sensu i wytarła ręce o spodnie.

- No dobrze, kotku. Sam tego chciałeś. Pamiętaj, że dawałam ci szansę, mogłeś więc zachować twarz. Ale skoro sam o to prosisz, to posłuchaj. Kocham cię. Obawiam się, że kocham cię od chwili gdy nie chciałeś wpuścić mnie na swój statek. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

- Co sobie o mnie wtedy pomyślałaś?

- Pomyślałam, że jesteś równie pociągający co niebezpieczny.

- To zabawne, bo ty zrobiłaś na mnie identyczne wrażenie.

- Powiem ci coś jeszcze. - Cat zapragnęła nagle wyznać wszystko, co przez tyle tygodni skrywała na samym dnie duszy. - Nigdy dotąd nikogo nie kochałam tak bardzo jak ciebie. Nikomu nie pozwoliłam tak bardzo zbliżyć się do siebie.

- Już dawno ci mówiłem, że mamy wiele wspólnego. Chcesz otworzyć pudełeczko? Chcesz przymierzyć obrączkę? Chcesz się założyć, że pasuje jak ulał?

- Znowu wyjeżdżasz z tymi zakładami! Człowieku, opanuj się! Życie to nie kasyno! Przecież wiesz, że nigdy się nie zakładam.

- No to otwórz wreszcie to pudełko!

Wyjęła z zachwytem obrączkę ozdobioną dużym, kwadratowym cytrynem, a on wsunął ją jej na palec. Potem z wielką czułością przycisnął dłoń ukochanej do ust.

- A więc umowa stoi? - upewnił się.

- Na to wygląda - odparła. Po chwili i ona podniosła do ust ich złączone dłonie i pocałowała go w rękę, patrząc mu prosto w oczy. Teraz należał już do niej. Na zawsze. - Mam tylko jedną prośbę... - dodała z chytrym uśmiechem.

- Jaką? - spytał ostrożnie, wietrząc jakiś podstęp.

- Chciałabym zobaczyć tę twoją szczęśliwą monetę.

Duncan zmarszczył czoło, a potem puścił jej dłoń i sięgnął do kieszeni. Pomiędzy jego palcami błysnął okrągły przedmiot.

- Właśnie tę, kotku? - spytał, bawiąc się przez chwilę metalowym krążkiem.

- Tak.

- Ależ tu nie ma żadnej monety! - zawołał z miną niewiniątka. W tej samej chwili pieniądz rozpułynał się w powietrzu.

TOM TRZECI

JAN

Z PAMIĘTNIKÓW DANIELA DUNCANA MACGREGORA.

W życiu każdego mężczyzny zdarzają się chwile, które na zawsze zostają w pamięci. Najpierw pierwsza miłość, a potem dzień, w którym spotyka kobietę swojego życia. Krzyk dziecka, gdy zaraz po urodzeniu trzyma je w swoich ramionach. I wszystkie miesiące i lata, w ciągu których patrzył, jak to dziecko dorasta, staje się coraz bardziej samodzielne, a w końcu opuszcza dom i zaczyna iść przez świat własną drogą.

W moim długim życiu nie brakowało takich radosnych chwil, które teraz noszę w pamięci jak najcenniejszy skarb. Ostatnio miałem szczęście dołączyć do tej kolekcji jeszcze jedno radosne wydarzenie. U schyłku lata odbył się w naszej rodzinie kolejny ślub. Tym razem uroczystość miała miejsce w naszym domu w Hyannis Port. Serce mi rosnęło, gdy patrzyłem, jak dziewczyna, którą pokochałem niczym własną wnuczkę, łączy się na zawsze z moim wnukiem Duncanem. Wszyscy zgromadziliśmy się w ogrodzie w piękny, słoneczny dzień, by wysłuchać słów przysięgi o wiecznej i wiernej miłości. A kiedy młodzi wymienili pierwszy małżeński pocałunek, wzruszyłem się tak bardzo, jakbym to ja sam stał na miejscu Duncana. Jego świeżo poślubiona żona podeszła potem do mnie i szepnęła mi do ucha: „Dziękuję, panie MacGregor. Dziękuję, że wybrał pan dla mnie takiego męża”. Zawsze mówiłem, że ta dziewczyna to szczere złoto. Nie chodzi o to, że jestem łasy na podziękowania, ale zawsze to miło, kiedy ktoś doceni wysiłki i starania. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak tylko czekać, aż młodzi wezmą się do dzieła i sprezentują nam następnego MacGregora albo MacGregorównę. Oczywiście nie pali się i możemy trochę z tym poczekać, ale moja Anna jak zwykle bardzo się niecierpliwi. Mówię jej, żeby się nie denerwowała. W końcu wszystko jest na jak najlepszej drodze.

Obserwuję właśnie z okna mojego pokoju, jak różany ogród Anny szykuje się na spotkanie jesieni. Ostatnie kwiaty wyciągają główki ku słońcu, które z każdym dniem grzeje coraz słabiej. Ech, życie! Człowiek chciałby zatrzymać czas, powiedzieć: „Chwilo, trwaj!”, ale nic z tego. Czas nie słucha żadnych błagań i gna przed siebie, z każdym dniem coraz szybciej. Dlatego nie wolno tracić ani jednej chwili, bo każda się uczy. Ja w każdym razie nie zamierzam marnować ani jednego dnia. Nuda mi nie grozi, bo wciąż mam wnuki, którymi należy odpowiednio pokierować. Niestety, swoje plany muszę trzymać w sekrecie, bo Annie bardzo się nie podobają.

Zaledwie przed paroma dniami wspomniałem jej mimochodem, że nasz wnuk Jan wkroczył już w wiek, kiedy to mężczyzna powinien pomyśleć o przyszłości. Anna była

widocznie w nastroju do kazań, bo natychmiast zaczęła mnie strofować, że niby się wtrącam, że chcę wszystkim układać życie i tak dalej. Gadała z dobrą godziną, ale ja puściłem wszystko mimo uszu, bo i tak wiem swoje. Nie pozwolę, żeby mi się chłopak zmarnował i jeszcze, nie daj Boże, związał z jakąś nieodpowiednią kobietą.

Nasz Jan to zdolna bestia, ma mózg jak komputer. Pamiętam go raczkującego po podłodze w salonie, zupełnie jakby to było wczoraj, a tymczasem minęło już kilka ładnych lat, odkąd skończył prawo i zaczął praktykę. Ponieważ od dziecka miał niezłe oko, wybrałem dla niego prawdziwą ślicznotkę. Nie ma wątpliwości, że bez trudu podbije jego czułe serce. Poza tym chłopakowi naprawdę potrzeba rodziny. Kupił sobie ostatnio dom, więc nie powinien mieszkać w nim sam jak palec. Rozumiem, że najpierw musi nacieszyć się jego urządzeniem. Ale dom bez rodziny to tylko cztery ściany i nic więcej. Dlatego postanowiłem pomóc mojemu wnukowi w dokonaniu życiowego wyboru. I do diabła z wszystkimi, którzy będą narzekać, że znów się wtrącam!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bywały dni, kiedy doba była zdecydowanie za krótka. Jan nienawidził życia w pośpiechu, ale od jakiegoś czasu miał wrażenie, że siedzi na zwariowanej karuzeli, której nie można zatrzymać. Przedzierając się przez zakorkowane ulice Bostonu, zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma życie w takim młynie. Uwięziony w potoku leniwie sunących samochodów, marzył o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. W nowym domu, który kupił zaledwie przed dwoma miesiącami i którym nie zdążył się jeszcze nacieszyć.

Dom był stary i elegancki. Znajdował się w dobrej, spokojnej dzielnicy, stał przy alei wysadzonej wiekowymi klonami, które skutecznie chroniły przed koszmarem letnich upałów. To zaciszne miejsce natychmiast przypadło Janowi do gustu. Ilekroć przekręcał klucz w zamku i wchodził do pogrążonego w ciszy wnętrza, radował się w duchu, że ma już za sobą studenckie lata spędzone w hałaśliwym akademiku. Co nie znaczyło, że był odludkiem. W końcu pochodził z licznej rodziny, od dziecka więc przebywał w gromadzie. Jednak takie stadne życie zmuszało do wielu kompromisów, on zaś pragnął za wszelką cenę się usamodzielnic. Chciał mieć własny dom, pełen przedmiotów, które lubił i które kojarzyły się z tradycją i pewną klasą. Wyniósł to prawdopodobnie z rodzinnego domu. Zarówno jego rodzice, jak i dziadkowie cenili takie właśnie wartości, nic więc dziwnego, że je przejął.

Właśnie dlatego, po skończeniu studiów, zdecydował się przystąpić do rodzinnej firmy prawniczej, gdzie pracował razem z rodzicami i siostrą. Nie miał żadnych wątpliwości, że powinien podtrzymywać tę tradycję i wspólnie z innymi budować prestiż znanej w całym Bostonie kancelarii prawniczej MacGregorów. Miał zamiar zdobyć w niej doświadczenie, by potem, jeśli nadarzy się okazja, pójść w ślady ojca i wuja, czyli spróbować szczęścia w Waszyngtonie. Prasa od czasu do czasu pisała, że klan widział go w przyszłości jako polityka, co zresztą nikogo nie dziwiło. W końcu miał po kim przejmować schedę. Jego ojciec przez długie lata piastował stanowisko prokuratora generalnego, a wuj dwukrotnie był prezydentem. Poza tym Jan miał wygląd rasowego polityka, co było jego niezaprzeczalnym atutem. Jasne włosy, niebieskie oczy, bardzo regularne, a jednocześnie męskie rysy sprawiały, że kobiety na jego widok wzdychały rozmarzone, a mężczyźni byli gotowi obdarzyć go zaufaniem.

Uroda miała również i złe strony - Jan poczuł kilka razy na własnej skórze, jak kłopotliwe bywa nadmierne zainteresowanie jego osobą. Kiedyś jeden z brukowców zamieścił fotografię, na której widać go było w samych kąpielówkach, ponieważ zrobiono ją w czasie regat jachtowych. Podpis pod zdjęciem informował, że przedstawia ono

„największego przystojniaka Harvardu" w całej okazałości. Ten przydomek przylgnął do niego na długie lata. Jan złościł się, choć rodzina była raczej rozbawiona. Z czasem zaczął traktować to z humorem, a wszystkim, którzy widzieli w nim wyłącznie playboya, udowodnił, ile jest wart, kończąc studia z wyróżnieniem. Był jednym z pięciu najlepszych studentów na roku, a egzamin adwokacki zdał bez trudu za pierwszym podejściem. Tak mu nakazywała ambicja.

Poprzeczkę zawsze Jan ustawiał wysoko i jeśli wyznaczył sobie jakiś cel, wcześniej czy później musiał go zrealizować. Dlatego drażniło go, że w rodzinnej firmie wciąż jeszcze nie jest traktowany jak równorzędny partner. Będąc najmłodszym w rodzinie, wszedł do kancelarii jako ostatni, więc traktowano go czasem jak chłopca na posyłki. Wiedział wszakże, że taka jest kolej rzeczy i że każdy, zanim powierzy mu się coś poważniejszego, musi trochę poterminować. Na szczęście zajął się w końcu sprawą, która była dużo trudniejsza niż dotychczasowe, mógł więc poczuć się wreszcie dowartościowany.

Z trudem znalazł miejsce na zatłoczonym parkingu, z dala od ulicy, gdzie mieściła się siedziba jego klienta. Pomyślał, że chętnie się przejdzie i obejrzy przy okazji wystawy antykwariatów. Pogoda nastrojała zresztą do spaceru. Zawsze uważał, że wczesna jesień w Nowej Anglii to najpiękniejsza pora roku. Powietrze stawało się wtedy łagodne, lekko zamglone, a promienie słoneczne nadawały mu nierealny charakter. Listowie wielkich drzew zaczynało już zmieniać barwę, by za kilka tygodni eksplodować prawdziwą feerią kolorów.

Szedł wolno, z przyjemnością wystawiając twarz na łagodne podmuchy wiatru, który rozwiewał mu włosy i targał poły płaszcza. Wieczne niebo co chwila zmieniało barwę. Człowiek miał ochotę usiąść gdzieś w spokoju i nacieszyć oczy tym niepowtarzalnym widokiem. Jan obiecał sobie, że jak tylko znajdzie się w domu, to usiądzie z kieliszkiem dobrego wina na werandzie. Tymczasem przyspieszył kroku. Zapomniał o antykwariatach i po kilku minutach stanął przed dostojnym budynkiem z czerwonej cegły, w którym mieściła się siedziba jego nowego klienta.

Księgarnia Brightstone'ów stanowiła prawdziwą instytucję. Był to najbardziej znany w Bostonie sklep z książkami. Jeśli jakaś pozycja nie znalazła się na jego półkach, to znaczyło to, że nie została jeszcze napisana. Patrząc na olbrzymie witryny, Jan uzmysłowił sobie, że dawno tu nie zaglądał. Jako dziecko często przychodził do księgarni z matką i zawzięcie buszował między kolorowymi półkami działu dla najmłodszych. Zawsze udawało mu się znaleźć jakąś fascynującą książkę, pełną wspaniałych ilustracji, którą miłe ekspedientki pakowały z uśmiechem w barwny firmowy papier. Przez całą drogę do domu niecierpliwie zerkał potem na pakunek, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy wreszcie usiądzie nad książką

i zapomni o bożym świecie. Później, kiedy zaczął chodzić do szkoły, nie miał już czasu na bez troski buszowanie pośród półek z książkami. A teraz, poruszony wspomnieniami z dzieciństwa, wpadł na pomysł, by jeden z pokoi w nowym domu przeznaczyć na bibliotekę.

Wszedł do środka i rozejrzał się po znajomym wnętrzu. Z przyjemnością wdychał zapach książek, pomieszany z miodową wonią środka do pielęgnacji drewnianych podłóg i regałów. Spojrzał w górę, na wysokie sufity, i przypomniał sobie, że na piętrze znajduje się dział historyczny, biograficzny i literatury amerykańskiej. A na samej górze przechowywano książki najcenniejsze, prawdziwe białe kruki, o jakich marzy każdy bibliofil.

Między półkami i stołami zarzuconymi kolorowymi wydawnictwami krążyło wielu klientów - znak, że interes idzie dobrze. Trochę go to zaskoczyło, bo przeczytał jakiś czas temu w gazetach, że szacowna bostońska księgarnia przeżywa poważne kłopoty z powodu konkurencji, jaką stanowią położone na obrzeżach miasta hipermarkety.

Dopiero po chwili zorientował się, że w księgarni wprowadzono pewne zmiany. Na parterze urządzono przytulne kąciki, w których można było usiąść i spokojnie przejrzeć wybrane książki. Wygodne fotele, proste stoły z litego drewna, mała kawiarenka, nastrojowa muzyka - wszystko to służyło bez wątpienia wygodzie klientów i przyciągało ich do sklepu.

Krążył kilka minut między regałami, z uznaniem przyglądając się tym udogodnieniom. Nie mógł odmówić sobie przyjemności i zajrzał do dziecięcego kącika, gdzie, ku swemu zadowoleniu, zastał wszystko po staremu, nie licząc kosza pełnego kolorowych zabawek i plakatów przedstawiających sceny z popularnych bajek. W rogu, obok schodów, dostrzegł mały sklepik oferujący miłośnikom książek najróżniejsze gadzety. Rzucił na nie okiem i już miał ruszyć w stronę biura, gdy poczuł zapach świeżo parzonej kawy. Choć pokusa, by usiąść w kącie z filiżanką i książką w ręku, była wielka, opanował się i wszedł zdecydowanym krokiem do sekretariatu biura.

- Dzień dobry. Nazywam się Jan MacGregor. Jestem umówiony z panią Naomi Brightstone - wyjaśnił uśmiechniętej sekretarce.

- Witam pana. Pani Brightstone jest w swoim gabinecie na drugim piętrze. Życzy pan sobie, żeby po nią posłać?

- Nie, dziękuję. Sam do niej pójde.

- Proszę bardzo. Poinformuję ją o pańskiej wizycie - sięgnęła po słuchawkę.

Jan przypomniał sobie, że księgarnia zawsze była znana z doskonałego personelu, co nawet teraz wyróżniało ją spośród innych sklepów, ponieważ uprzejma i profesjonalna obsługa wciąż należała do rzadkości.

Idąc po szerokich, drewnianych schodach, znów wrócił pamięcią do dni, kiedy to odwiedzał księgarnię wraz z matką. Ujrzał ją w wyobraźni - wychylała się za balustradę i prosiła, żeby zaczekał, aż skończy zakupy, a potem pójdą razem na lody do cukierni po drugiej stronie ulicy. Był zdumiony, że pamięć przechowuje takie obrazy. Musiał jednak oderwać się od wspomnień, gdyż jego uwagę zwróciły zmiany, które zaszły na piętrze. Zniknęły ciemne regały i przyćmione światło, które zapamiętał, a w ich miejsce pojawiły się lżejsze meble w zdecydowanie jaśniejszym tonie. Pośrodku sali ustawiono długi stół, co nadało pomieszczeniu nieco biblioteczny charakter. Siedziała przy nim para nastolatków, bardziej zajęta flirtowaniem niż przeglądaniem książek.

Teraz przypomniał sobie sympatie z lat szkolnych i studenckich. Te zaciszne i ciemne kąty czytelnicy były świadkiem niejednej sceny miłosnej. Cóż, pozostały po nich tylko romantyczne wspomnienia. Odkąd zaczął pracować w kancelarii, zabrakło czasu na cokolwiek poza pracą. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio był na randce, nie mówiąc już o tym, że już od dawna nikogo nie poznał. Pomyślał, że należałoby to zmienić. Nie zamierzał być przez całe życie pracoholikiem, zaczynał też odczuwać brak damskiego towarzystwa.

- Pan MacGregor? - wyrwał go z zamyślenia miły głos. Odwrócił się i przez chwilę patrzył na młodą kobietę, która szła w jego stronę. Prezentowała się niezwykle elegancko w doskonale skrojonym czerwonym kostiumie, do którego włożyła pantofle na niskich obcasach. Czarne, lśniące włosy zaplotła w warkocz. Była ładna, jednak jej spokojna, delikatna uroda nie od razu rzucała się w oczy. Coś dla prawdziwego konesera, pomyślał, ściskając szczupłą dłoń, którą wyciągnęła na powitanie.

- Pani Brightstone? - upewnił się. Skinęła z uśmiechem głową.

- Tak. Miło mi pana poznać. Przepraszam, że nie czekałam na pana na dole.

- Nic nie szkodzi. Zresztą to ja się spóźniłam, więc nie ma o czym mówić.

- Zapraszam do mojego gabinetu. Napije się pan czegoś? Kawy, herbaty, cappuccino?

- Czy cappuccino smakuje tak samo jak pachnie?

- Powiedziałabym, że lepiej, zwłaszcza jeśli skusi się pan na orzechowe ciasteczko. -

Jej szare oczy ponownie rozjaśnił ciepły uśmiech.

- W takim razie nie mam wyboru.

- Nie pożałuje pan. - Spojrzała na niego przez ramię i poprosiła, żeby poszedł za nią do biura. Po drodze wysłała jedną z pracownic po kawę. - Przepraszam za ten bałagan, ale nie skończyliśmy jeszcze kuracji odmładzającej - powiedziała z uśmiechem, otwierając przed nim drzwi.

- Nie ma problemu. Zauważyłem wszystkie zmiany. Jak najbardziej pożądane - pochwalił.

- Dziękuję. Proszę się rozgościć. - Wskazała krzesło stojące naprzeciwko biurka z wiśniowego drewna. - Przepraszam na moment, poproszę tylko sekretarkę, żeby przyniosła nam dokumenty.

Sięgnęła po słuchawkę i wyjaśniła rzeczowo, czego potrzebuje. Jan miał więc czas się rozejrzeć. Pokój musiał być niedawno odnowiony. Ściany pokryto gładką tapetą w odcieniu perłowym, który stanowił ciekawe tło dla spokojnych akwarel przedstawiających ulice Bostonu. Starannie poukładane papiery na biurku i równe rzędy segregatorów dowodziły, że właścicielka, gabinetu ceni ład i porządek.

Jan otworzył teczkę, zerkał jednak od czasu do czasu na kobietę siedzącą po drugiej stronie biurka. Zaskoczyło go, że jest tak młoda. Przed spotkaniem wyobrażał sobie, że będzie miał do czynienia z kobietą dobiegającą czterdziestki, tymczasem Naomi nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. Z dokumentów, które przestudiował w kancelarii, wiedział, że jest córką właścicieli księgarni. Należała do czwartego pokolenia zajmującego się rodzinnym interesem.

Przysłuchując się jej rozmowie z sekretarką, doszedł do wniosku, że pomimo młodego wieku nie brak jej stanowczości ani pewności siebie. Odznaczała się też wrodzoną klasą, której nie można kupić za żadne pieniądze. I wreszcie, co nie uszło jego uwagi, była ładna i wiedziała, jak się pokazać. Najlepszym dowodem był czerwony kostium, podkreślający dyskretnie zgrabną sylwetkę.

- Zaraz będzie kawa i ciasteczka - oznajmiła, odkładając słuchawkę. - Dziękuję, że pofatygował się pan do mnie. Niestety, księgarnia zabiera mi mnóstwo czasu, więc trudno by mi było wybrać się do pańskiej kancelarii.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Doskonale panią rozumiem, sam mam za mało czasu. Zresztą państwa księgarnia jest bardzo blisko mojego domu.

- To się doskonale składa. Mam nadzieję, że będzie pan do nas zaglądał nie tylko służbowo. Pańska sekretarka powiedziała mi, że przyniesie pan nam gotowe dokumenty...

- Zgadza się. Chodzi o tekst umowy dotyczącej przystąpienia do spółki. Jestem pewien, że zredagowaliśmy go zgodnie z życzeniem pani ojca. Proszę go przejrzeć - podał jej teczkę z dokumentami. - Rozumiem, że ojciec zdecydował się przejść na emeryturę?

- Niezupełnie. Rodzice doszli do wniosku, że chcieliby spędzać więcej czasu w Arizonie. Mają tam dom. Być może przeprowadzą się do niego na stałe, żeby być bliżej mojego brata i jego rodziny.

- A pani nie ma ochoty ruszyć na Zachód?

- O, nie! Boston w zupełności mi wystarcza - uśmiechnęła się nieznacznie, myśląc przy tym, że bardziej chodzi jej o księgarnię niż o samo miasto. - Mam zresztą coraz więcej pracy.

- Te wszystkie zmiany to pani pomysł?

- Tak - odparła krótko. Nie chciała mu mówić, ile ją to kosztowało wysiłku. - Rynek w ostatnich latach bardzo się zmienił. Upodobania klientów są teraz zupełnie inne niż, powiedzmy, dwadzieścia lat temu. Trzeba iść z duchem czasu - dodała.

Ktoś zapukał do drzwi, wstała więc zza biurka i odebrała z rąk młodej dziewczyny tacę z dużą filiżanką aromatycznej cappuccino, którą postawiła przed Janem.

- Proszę bardzo, pańska kawa. Między innymi dlatego przychodzi się dziś do księgarni - powiedziała, wskazując na filiżankę. - Nie chodzi tylko o to, żeby kupić książkę, ale również miło spędzić czas, spotkać się z przyjaciółmi, porozmawiać przy dobrej kawie.

- Nie dziwię się, bo kawa jest rzeczywiście znakomita - zauważył Jan, racząc się aromatycznym napojem. - Z dokumentów jasno wynika, że wprowadzone przez panią zmiany wyszły firmie na dobre. Wyniki sprzedaży za ostatnie pół roku są obiecujące.

- To prawda. W ciągu dziewięciu miesięcy sprzedaż wzrosła o piętnaście procent. Mam nadzieję, że za pół roku podskoczy o następne piętnaście.

- Trzymam w takim razie za panią kciuki. I życzę pani jak najlepiej. Przyznam, że jestem uczuciowo związany z tym miejscem.

- Naprawdę?

- Tak. Jako dziecko przychodziłem tu bardzo często, z matką.

- A potem? Czy również był pan naszym klientem?

- Przyznaję ze wstydem, że nie, ale obiecuję poprawę. Nie chciałbym pani zabierać więcej czasu. Proszę przejrzeć tekst umowy. Chętnie odpowiem na wszelkie pytania - zaproponował, odstawiając filiżankę i poprawiając się wygodnie na krześle.

Naomi sięgnęła do szuflady biurka i wyjęła z niej okulary w drucianej oprawie. Kiedy je założyła, Jan poczuł, jak mięknie mu serce. Zawsze miał słabość do kobiet w okularach. Okularnice bez trudu zawracały mu w głowie, a gdy były jeszcze tak ładne jak Naomi, ulegał im bez reszty. Teraz też nie mógł oderwać od niej pełnego zachwyty spojrzenia.

Na szczęście niczego nie zauważyła. Karcił się w myślach, bo ostatecznie miał do czynienia z klientką. Cóż było jednak począć, skoro klientka okazała się niezwykle pociągającą brunetką, na dodatek w okularach? Jej inteligentne, szare oczy wyglądały za szklami jeszcze piękniej. Pełne usta podkreślone pomadką w odcieniu gorącej czerwieni,

giętkie ciało, zgrabne nogi... Tylko święty mógł w obecności takiej kobiety myśleć wyłącznie o interesach. A MacGregorowie do świętych nie należeli, o czym powszechnie wiadomo było od dawna.

Jan toczył wewnętrzną walkę. Całą uwagę starał się poświęcić swojej filizance, po którą sięgał, żeby zająć czymś ręce. Niestety, nawet gdy nie patrzył na kobietę po drugiej stronie biurka, wyraźnie czuł kuszący i bardzo kobiecy zapach jej perfum. Zastanawiał się, jak też Naomi wygląda z rozpuszczonymi włosami.

Sam nie wiedział, kiedy postanowił zaprosić ją na lunch. W pierwszej chwili pomyślał wprawdzie o kolacji, ale szybko doszedł do wniosku, że lunch to zdecydowanie lepszy pomysł. Mniej zobowiązujący, za to bardziej formalny i całkiem na miejscu w ich sytuacji. Będą, oczywiście, rozmawiać o interesach, ale to nic nie szkodzi. Uniknie dzięki temu niepokojących myśli, jak na przykład tej, by przysunąć twarz do jej szyi i odnaleźć ciepłe miejsce, z którego płynął słodki zapach perfum.

Ponieważ wciąż była zajęta czytaniem, mógł bez przeszkód przyglądać się jej pięknym dłoniom. Paznokcie miała krótko obcięte i niepolakierowane. Najważniejsze jednak było to, że na smukłych palcach nie dostrzegł pierścionka. Przypuszczał więc, że nie jest z nikim związana, w każdym razie nie formalnie. A gdyby nawet - pomyślał buńczucznie - to niczego to jeszcze nie przesądza. Czekał, aż skończy czytać, i zastanawiał się, jak ma ją zaprosić na lunch, żeby zabrzmiało to naturalnie i, co najważniejsze, nie zostało odrzucone.

Tymczasem Naomi czytała z uwagą tekst umowy. Tych kilka stron miało dla niej ogromne znaczenie. Czekwała na tę chwilę bardzo długo, więc teraz, kiedy ujrzała czarno na białym, że zostaje dopuszczona do rodzinnej spółki, poczuła się oszołomiona własnym szczęściem. Najchętniej przycisnęłaby dokument do piersi i rozplakała się jak dziecko, które dostało wreszcie zasłużoną nagrodę. Niestety, nie mogła sobie na to pozwolić. Odłożyła ze stoickim spokojem umowę i zdjęła okulary, czym sprawiła Janowi ogromną przykrość.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Czy ma pani jakieś pytania? Coś jest niezbyt jasno sformułowane?

- Nie, zrozumiałam wszystko. Miałam na studiach zajęcia z prawa.

- W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak podpisać umowę. Będzie potrzebny świadek. Jeden z egzemplarzy zostanie przesłany pani rodzicom. Gdy go podpiszą, sprawa nabierze mocy prawnej.

Naomi wysłuchiwała tego w skupieniu, a następnie wezwała swoją asystentkę. W jej obecności podpisała dokumenty i wręczyła je Janowi.

- Bardzo dziękuję, że pan się tym zajął - powiedziała, podając mu rękę. Jej uścisk był niemal męski.

- Cieszę się, że mogłem zrobić coś dla tak znanej firmy - zrewanżował się. - Mam jeszcze coś dla pani - dodał z tajemniczym uśmiechem. - Od mojego dziadka, którego, jak mi się zdaje, już pani poznała.

- Oczywiście. Pamiętam doskonale pana MacGregora - zapewniła, rozchylając w uśmiechu czerwone usta. - Czasem zagląda do naszej księgarni.

- Właśnie. Prosił mnie, żebym przekazał pani listę książek, których poszukuje. Chodzi mu chyba o pierwsze wydania. Liczy na pani pomoc.

- Naturalnie. Z największą przyjemnością. Jeśli ma pan teraz chwilę czasu, zapraszam na drugie piętro, gdzie przechowujemy najcenniejsze pozycje. Gdybyśmy nie mieli którejś z wymienionych książek, postaramy się ją sprowadzić.

- Doskonale.

Naomi wstała zza biurka i skierowała się do drzwi, przechodząc tuż obok Jana, który również podniósł się z miejsca. Ich oczy spotkały się na chwilę. Zachęcony jej przyjaznym uśmiechem, powiedział jakby wbrew sobie:

- Wspaniale pani pachnie.

- Słucham? - spojrzała na niego z takim zdumieniem, jakby zobaczyła nagle ducha. Musiała dojrzeć w jego wzroku coś niepokojącego, bo spuściła nagle oczy, a na jej policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Jan miał wrażenie, że dziewczyna nie wie, co zrobić z rękami, gdyż poprawiła odruchowo włosy, choć z warkoczem było wszystko w porządku, a potem obciągnęła na sobie starannie wyprasowany i pozbawiony najmniejszej nawet fałdki kostium.

- Dziękuję. To nowe perfumy. Pomyślałam, że... - zająknęła się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Szybko jednak zapanowała nad sobą i zaproponowała już pewnym głosem: - Zapraszam na górę.

Przepuścił ją w drzwiach. Idąc za nią po schodach, przyrzekał sobie w duchu, że od tego dnia stanie się najwierniejszym klientem księgarni Brightstone'ów.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdyby Naomi miała wybrać miejsce, gdzie chciałaby zapaść się pod ziemię, byłby to bez wątpienia Wielki Kanion. Na szczęście miała coś do roboty i to uratowało ją przed całkowitą kompromitacją. Bez trudu znalazła dwie pozycje na liście Daniela MacGregora. Obiecała, że trzeciej poszuka później. Jan się zgodził, co przyjęła z ogromną ulgą. Podziękował uprzejmie za pomoc i zaczął się żegnać. Zrobił to w samą porę, bo jeszcze chwila, a Naomi zupełnie straciłaby głowę. Zdołała jakoś odprowadzić go do wyjścia i podać rękę na pożegnanie. Potem wróciła pospiesznie do swojego gabinetu, zamknęła starannie drzwi i zdruzgotana opadła na fotel. Położyła głowę na blacie biurka i mocno zacisnęła powieki.

- Ty idiotko! Głupia kozo! - szepnęła przez zaciśnięte zęby. Miała ochotę tłuc pięściami w biurko, ale powstrzymała się jakoś. Przyszło jej do głowy, że hałas zaniepokoiłby asystentkę. Przez kilka minut trwała więc w absolutnym bezruchu, upokorzona i pokonana przez własną nieśmiałość.

Tyle razy obiecywała sobie, że zdoła nad nią zapanować. Wystarczało, że jakiś przystojny facet okazał jej zainteresowanie, a zaczynała zachowywać się jak głupia gęś. Wydawało jej się, że papla bez sensu, że język płacze jej się niemiłosiernie, czerwieniła się w dodatku jak burak, co tylko pogarszało sytuację. I po co był ten cały wysiłek, by z brzydkiego kaczątka przeistoczyć się w pięknego łabędzia?

Jakiś czas temu Naomi postanowiła zmienić swój wygląd. Zrobiła to między innymi dlatego, że odczuwała brak zainteresowania ze strony mężczyzn. Walczyła długo i zaciekle, aż wreszcie z pulchnej, zahukanej i chorobliwie nieśmiałej dziewczyny zmieniła się w szczupłą, elegancką i pewną siebie młodą kobietę. Tylko ona wiedziała, ile ją to kosztowało. A kiedy już się zdawało, że zupełnie dobrze czuje się w swojej nowej skórze, jeden niewinny komplement sprawił, że zupełnie straciła głowę.

Zadręczała się tymi myślami przez cały tydzień, bo tyle potrzebowała, żeby sprowadzić książkę, którą Jan zamówił dla dziadka. Gdy zaś miała ją wreszcie przed sobą, starannie zapakowaną w firmowy papier, bolesny problem nieśmiałości wrócił jak bumerang. Musiała bowiem zdobyć się na odwagę, podnieść słuchawkę i wybrać numer kancelarii MacGregorów. Miała do przekazania prostą informację - książka jest do odebrania. To wszystko. A jednak od dobrych piętnastu minut nie była w stanie zadzwonić. Mogłaby

oczywiście zlecić tę sprawę swojej asystentce, uznałaby to jednak za akt tchórzostwa, przekreślający wysiłek ostatnich lat.

Nie pamiętała dokładnie, kiedy ostatecznie doszła do wniosku, że ma już dość samej siebie. Nie była w stanie patrzeć w lustro bez uczucia odrazy, a kupowanie ubrań było istną torturą. Sporo czasu upłynęło, nim wreszcie zrozumiała, że ataki niepokonowanego apetytu to próba ucieczki przed brakiem samoakceptacji. Chorobliwym obżarstwem próbowała zagłuszyć własną nieśmiałość. Nagle, gdy jak się jej zdawało, dotknęła już samego dna, poczuła się silniejsza. Być może dlatego, że pozostała jej tylko droga w górę. Postanowiła podjąć walkę i odkryć w sobie kobietę, jaką zawsze pragnęła być.

Najłatwiej było uporać się z niedoskonałościami figury. Parę miesięcy zdrowej diety i intensywnych ćwiczeń zrobiło swoje. Zmieniła też gruntownie garderobę. Rewolucja w szafie zaczęła się od wyrzucenia workowatych ubrań w niezbyt ciekawych kolorach. Zniknął granat, szarość, brąz, pojawiła się za to płomienna czerwień, ożywcza zieleń i szafir.

Były to jednak zmiany powierzchowne, które rzucały się w oczy, ale nie gwarantowały jeszcze sukcesu. Wspominając cały ten proces własnej transformacji, musiała przyznać, że najtrudniej było jej zmienić się wewnątrz.

Dużo ją kosztowało, by raz na zawsze wyjść z kąta, w którym zwykła się chować. Trwało wiele miesięcy, zanim wyrobiła w sobie nowe nawyki. Najpierw nauczyła się panować nad własnym ciałem. Przestała garbić się i kulić, ilekroć ktoś się do niej zwracał. Z trudem oduczyła się obgryzania paznokci i nerwowego poprawiania włosów. Kiedy razem z rodzicami znajdowała się w większym gronie, próbowała śmiało wychodzić naprzód, zamiast starym zwyczajem kryć się za plecami ojca albo matki. Po jakimś czasie przestała unikać ludzi i nie zadreżczała się już więcej myślami, że z pewnością jej nie lubią, bo nie jest tak urocza i wyrobiona towarzysko, jak matka ani pewna siebie i dowcipna, jak starszy brat.

W końcu trud się opłacił i otoczenie dostrzegło w niej interesującą, inteligentną osobę, którą w rzeczywistości Naomi była zawsze. Rodzice również zaakceptowali jej metamorfozę i choć początkowo mieli opory, ostatecznie zgodzili się powierzyć jej kierownictwo księgarni w Bostonie. Od tej pory wszystko szło bardzo dobrze. Aż do dnia, gdy w sklepie pojawił się Jan MacGregor i zburzył jej spokój.

Musiała jednak uczciwie przyznać, że na początku radziła sobie całkiem dobrze. W końcu Jan należał to mężczyzn, w których obecności ta dawna Naomi nie byłaby w stanie sklecić dwóch zdań. A przecież spisała się nieźle. Zapanowała nad drżeniem rąk, nie oblała się idiotycznym rumieńcem, nie poczuła pustki w głowie. Dopiero ta uwaga o perfumach ją pokonała. Wtedy wszystko diabli wzięli.

Przymknęła oczy, a wówczas z zakamarków jej pamięci wyłoniła się przystojna twarz Jana. Przypomniała sobie tytuły, które widywała czasem w plotkarskiej prasie. Brukowce uparcie nazywały go Przystojniakiem z Harvardu, i Naomi musiała przyznać, że był to przydomek w pełni zasłużony. Młody MacGregor miał w sobie mnóstwo męskiego wdzięku. Odznaczał się też klasą i stylem, a kiedy się uśmiechał...

Naomi czuła, jak mięknie jej serce, a krew zaczyna krążyć żywiej.

A mogło być tak pięknie, westchnęła przygnębiona. Po co wrywał się z tymi perfumami! Z drugiej jednak strony kupiła je dlatego, by mężczyźni zwracali na nią uwagę. Był to w końcu tylko zdawkowy komplement, a ona zaczęła plątać się i czerwienić jak pensjonarka.

A niech to wszystko szlag trafi! Ubawił się pewnie, widząc jej zmieszanie. Facet z jego wyglądem, urokiem, pozycją towarzyską z pewnością zasypywał kobiety tysiącem podobnych, nic nie znaczących frazesów. A one umiały reagować - swobodnie, inteligentnie, kokieteryjnie. Co zaś zrobiła panna Brightstone? Zadrzała jak osika i zapłonila się niczym piwonia! Pewnie śmiał się z niej przez całą drogę do domu. Albo, co gorsza, litował się nad nią.

Poczuła, jak ogarnia ją furia, ale i żal. Przez całe życie zmagala się z podłym uczuciem poniżenia, jakie rodzi świadomość, że wzbudza się w ludziach litość. Nawet rodzina głęboko jej współczuła. Nie miała do nich żalu, bo robili to z miłości i troski o nią, nieświadomie sprawiając jej ogromny ból. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej zmianę przyjęli z ogromną ulgą. Jej piękna matka odpowiadała cierpliwie na wszystkie pytania dotyczące mody, strojów i kolorów. Ojciec, kiedy żegnali się na lotnisku przed wyjazdem do Arizony, nie nazwał jej, starym zwyczajem, swoją małą córeczkę, tylko swoją ślicznotką. Słyszac to, Naomi poczuła się jak księżniczka z bajki.

Rodzice pozwolili jej pokierwać księgarnią, ponieważ nigdy nie wątpili w jej zdolności. Wiedzieli, że była niesłuchanie pracowita i wytrwała, a jednak długo się wahali, zanim ostatecznie wyrazili zgodę. Zwłaszcza ojciec nie chciał od razu zaakceptować zmian, jakie Naomi zamierzała wprowadzić. Nie uśmiechały mu się związane z tym wydatki, bał się ryzyka finansowego i nieuniknionych strat, które musieliby ponieść w razie niepowodzenia. Naomi wiedziała, że ojciec czuł się już zmęczony i że najchętniej sprzedałby albo wydzierżawił komuś księgarnię, a sam wreszcie przeszedł na zasłużoną emeryturę. Długo musiała go prosić, by tego nie robił. Po pierwsze czuła się mocno związana ze sklepem, a po drugie widziała w nim ratunek dla samej siebie. Tylko tutaj miała okazję się sprawdzić, pokonać własną słabość i udowodnić światu, że stać ją na bardzo wiele. Rodzice w końcu to

zrozumieli i zaufali jej. Od początku miała świadomość, że nie wolno jej zawieść ani ojca, ani matki. Podobnie jak samej siebie.

Otrząsnęła się z zamyślenia i zdecydowanym ruchem odsunęła telefon. Uznała, że najwyższy czas przestać uzalać się nad sobą z powodu małego potknięcia, które przydarzyło jej się w obecności Jana. Nie mogło to zawrócić jej z drogi, którą tak konsekwentnie od wielu miesięcy podążała. Przyrzekła sobie, że zwalczy swoje kompleksy, więc nie pozostało jej nic innego, jak dotrzymać słowa. Udowodni, że nie jest tchórzem i dlatego nie będzie do niego dzwonić. Postanowiła udać się do kancelarii MacGregorów i zmierzyć się ze swym problemem osobiście!

Podniosła się zza biurka, pewnym ruchem sięgnęła po książkę i nie oglądając się za siebie, wyszła z gabinetu.

Przez całą drogę do kancelarii powtarzała w myślach, że całkowicie kontroluje sytuację. To proste zdanie było jak modlitwa, która miała uchronić ją przed nieszczęściem. Kiedy stanęła przed stylową kamienicą z czerwonej cegły i popatrzyła na mosiężną tabliczkę z napisem: „MacGregor & MacGregor. Kancelaria prawnicza”, odwaga opuściła ją na moment, ale szybko przywołała się do porządku. Przejrzała się dyskretnie w wypolerowanym metalu, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem nie zjadła całej szminki. Makijaż i fryzura były w porządku, więc nie pozostało jej nic innego, jak mężnie wkroczyć do jaskini lwa. Odetchnęła kilka razy głęboko i pewnie przekroczyła próg kancelarii.

Niestety, w holu doznała kolejnego ataku paniki. Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Chłód marmuru, który poczuła na plecach, podziałał na nią kojąco. Powiedziała sobie w duchu, że jest w stanie zapanować nad sytuacją, że wszystko wynika z jej reakcji na osobę Jana. Kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, jak patrzył z czułym uśmiechem na parę nastolatków w jej księgarni, poczuła się całkowicie zbита z tropu. Chwilę potem ogarnął ją smutek, jak zawsze, gdy widziała coś, co było piękne i pociągające, ale dla niej niestety niedostępne. Przywołała się do porządku, powtarzając sobie, że Jan MacGregor przyszedł tu w interesach, a nie w celach towarzyskich. Była klientką jego kancelarii i nic więcej nie mogło ich łączyć. Teraz powiedziała sobie to samo. Jeszcze raz zaczerpnęła głęboko powietrza, zacisnęła pięści jak przed walką, po czym pchnęła masywne drzwi recepcji.

Pomieszczenie, w którym się znalazła, było eleganckie i stylowe. Utrzymane w tonacji przygaszonej zieleni, emanowało spokojem i pewnością, jaką daje wieloletnia tradycja. Wszystko, od antycznych mebli po marmurowy kominek, świadczyło o dobrym guście i klasie właścicieli. Naomi potrafiła to docenić, więc od razu jej się tu spodobało.

Zza biurka podniosła się sekretarka i przywitała ją z miłym, zawodowym uśmiechem.

- Dzień dobry pani. W czym mogę pomóc?

- Dzień dobry. Nazywam się Naomi Brightstone. Przyszłam, żeby...

Nie zdążyła dokończyć, bo nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do recepcji wpadła roześmiana, młoda brunetka.

- Wygrałam! Jeszcze raz sprawiedliwości stało się zadość! Nasze dzieci mogą spać spokojnie! - zawołała od progu. Kiedy dostrzegła zaskoczoną Naomi, bynajmniej nie straciła animuszu. Wręcz przeciwnie, rzuciła jej promienny uśmiech, jakby znały się od lat. - Witam! Zwykle zachowujemy się tutaj spokojniej, ale sama pani rozumie... Wygrałam! O, przepraszam, z tego wszystkiego się nie przedstawiłam. Jestem Laura Cameron.

- Naomi Brightstone, bardzo mi miło. I gratuluję - odwzajemniła uśmiech i mocno uścisnęła dłoń kobiety.

- Dziękuję bardzo. Przepraszam, czy jest pani z kimś umówiona? Zaraz, zaraz... Brightstone? Księgarnia?

- Zgadza się.

- W takim razie ja również gratuluję. Pani sklep to wspaniałe miejsce, zwłaszcza teraz, z tą nową kawiarenką.

- Podoba się pani? Bardzo się cieszę! - Naomi z każdą chwilą czuła się lepiej i pewniej, jakby udzielił jej się entuzjizm nowej znajomej.

- Zdaje się, że prowadzimy w pani imieniu jakąś sprawę, prawda? A raczej Jan ją prowadzi.

- Tak. Ale chodzi o coś innego. Mam tutaj...

- Przepraszam, nie przedstawiłam się jeszcze - przerwała jej w pół zdania Laura. - Jestem siostrą Jana.

- Tym bardziej mi miło. W takim razie mogę załatwić to z panią. Mam tu książkę, której poszukiwał pani dziadek. - Wyjęła z torby paczkę. - Proszę bardzo.

- Serdeczne dzięki. Na pewno nie chce widzieć się pani z Janem?

To niespodziewane pytanie wytrąciło Naomi z równowagi.

- Nie, ja... miałam kilka spraw do załatwienia w okolicy, więc... - plątała się coraz bardziej, toteż z prawdziwą ulgą usłyszała sygnał swojego telefonu komórkowego. - Przepraszam bardzo - sięgnęła szybko do torebki. - Słucham.

- Naomi? Jan MacGregor z tej strony.

- Kto? - spytała zdumiona, rumieniąc się bezwiednie. - Co za zbieg okoliczności!

- Nie rozumiem...

- Och, to nic takiego. Po prostu... mani już tę książkę, o którą prosiłeś, to znaczy... pan prosił. Dlatego pomyślałam...

- Świetnie! W takim razie załatwimy dwie sprawy naraz. Właśnie otrzymałem umowę podpisaną przez pani rodziców. Przepraszam, czy mogę mówić do pani po imieniu? Tak chyba będzie wygodniej...

- Oczywiście.

- Doskonale. Jak możemy się umówić? Pomyślałem, że wstąpię do ciebie po drodze z sądu, późnym popołudniem. Co ty na to?

- Nie rób sobie kłopotu. Ja...

- To żaden kłopot. Pamiętasz, mówiłem ci, że księgarnia jest blisko mojego domu, więc...

- Tak, pamiętam, ale ja jestem tutaj!

- To znaczy gdzie?

- W twojej kancelarii!

- Na dole? W takim razie zaczekaj, już schodzę! Cisza, która nagle zapanowała w słuchawce, lekko zbiła Naomi z tropu. Przez chwilę wpatrywała się w swój telefon, jakby czekając, aż znów się odezwie.

- To był pani brat - powiedziała w końcu, przenosząc wzrok na Laurę.

- Domyśliłam się. Rzeczywiście, zbieg okoliczności. A może telepatia? - zażartowała Laura, zastanawiając się, co mógł oznaczać nagły rumieniec na policzkach Naomi. Być może zgadłaby, gdyby nie Jan, który zbiegł jak burza ze schodów, przeskakując po kilka stopni naraz.

- Dzień dobry! - wyciągnął rękę do Naomi. Objął szybkim spojrzeniem jej sylwetkę i poczuł się pewniej, bo wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Może nawet piękniej. Uśmiechnął się, widząc, że wciąż trzyma w dłoni komórkę.

- Możesz się już rozłączyć - zauważył rozbawiony.

- Racja - schowała czym prędzej telefon do torebki, besztając się w myślach za własne gapiostwo. Brawo Naomi! Otwórz jeszcze usta i wywal język, a potem padnij mu do stóp!

- Co słyszać? Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotu tą książką dla dziadka?

- Ależ skąd. Miałam coś do załatwienia w okolicy, więc postanowiłam przy okazji ją podrzucić.

- Doskonale. Zapraszam do mnie, na górę.

- Nie chciałabym ci przeszkadzać.

- Nie ma obawy. Nie jestem w tej chwili zajęty - uśmiechnął się zachęcająco. Był tak zaaferowany tym niespodziewanym spotkaniem, że dopiero teraz zauważył siostrę. - Cześć, Lauro! Jak poszło w sądzie?

- Rewelacyjnie! Trafiony, zatopiony!

- I tak trzymać! - pochwalił ją, poklepując po ramieniu. - Wpadnę do ciebie później. Opowiesz mi wszystko ze szczegółami, dobrze? Zapraszam - zwrócił się do Naomi, biorąc ją delikatnie pod ramię i prowadząc w stronę schodów. Próbowła się wykręcać, tłumacząc, że pewnie jest zajęty, ale nie dał się zbyć. - Powiedz, jakim cudem udało ci się zdobyć tę książkę tak szybko? - pytał, kiedy szli po schodach.

- Mam swoje sprawdzone źródła. Zmieściliśmy się w cenie, którą podałeś, choć jest dość wysoka.

- Myślę, że nie odstraszy to mojego dziadka. Jeśli mu na czymś naprawdę zależy, zapomina o swym szkockim skąpstwie.

Była tak blisko, że wyraźnie czuł zapach perfum, które podczas pierwszego spotkania zawróciły mu nieco w głowie. Tym razem, nauczony doświadczeniem, nie wrywał się z żadnymi uwagami na ten temat. Bał się splotać Naomi, więc pilnował, by rozmowa nie zbaczała na niebezpieczne tory.

Wprowadził ją do obszernego pokoju, którego wystrój współgrał z klimatem całego domu. Także i tutaj znajdowało się sporo antycznych mebli. Jak zauważyła Naomi, niektóre były wyjątkowo cenne. Ściany aż po sufit zajmowały dębowe regały, pełne książek i kodeksów. Obok masywnego biurka stały wygodne fotele obite skórą w kolorze burgundzkiej czerwieni. Jan wskazał Naomi jeden z nich.

- Proszę bardzo, rozgość się.

- Dziękuję. To naprawdę piękny dom - zauważyła, rozglądając się dokoła.

- Kupił go ojciec, jeszcze przed ślubem z matką. Obydwoje chcieli urządzić kancelarię w przytulnych, tradycyjnych wnętrzach.

- I udało im się.

- Napijesz się kawy? Nie mogę wprawdzie obiecać, że będzie równie smaczna, jak cappuccino, którym mnie poczęstowałaś, ale może się jednak skusisz?

- Dziękuję, piłam już kawę. Naprawdę nie chciałabym zabierać ci czasu.

- Nie ma o czym mówić. Jak wspominałem, mam papiery od twoich rodziców - zaczął urzędowym tonem, bo intuicja podpowiadała mu, że tak będzie najlepiej. Chciał jakoś naprawić swoją niezręczność popełnioną podczas pierwszego spotkania, ale sam jeszcze nie wiedział, jak to zrobić. Nie zajął miejsca za biurkiem, tylko usiadł w fotelu obok niej. - Mam

w tej chwili kopie, ponieważ oryginały mogą przekazać ci dopiero w sądzie. Wtedy umowa nabierze mocy prawnej, ale i tak możesz już uważać się za wiceprezesa firmy Brightstone. Gratuluję.

Otworzyła usta, żeby mu podziękować, ale ze wzruszenia nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Skinęła tylko głową i zamknęła na chwilę oczy.

- Wszystko w porządku? - dotknął lekko jej ramienia.

Znowu skinęła głową, instynktownie podnosząc dłonie do ust. Odczuwała ogromną radość.

- Przepraszam - powiedziała cicho, gdy wreszcie udało jej się zapanować nad sobą.

- Nie ma za co. Doskonale rozumiem. - Ujął jej dłoń i poczuł, jak drgnęła, niczym porażona prądem. - Domyślałem się, że to dla ciebie ważna chwila.

- Najważniejsza w życiu - przyznała, zaskoczona własną szczerością. - Wydawało mi się, że jestem na nią przygotowana. Od dawna zamierzałam wziąć na siebie odpowiedzialność za księgarnię. Ale teraz, kiedy usłyszałam, że moje marzenia się spełniły, poczułam się tym wszystkim przytłoczona. Dziękuję za wyrozumiałość - roześmiała się i odetchnęła swobodniej. - Całe szczęście, że siedzę. W przeciwnym razie musiałbyś pewnie zbierać mnie z podłogi.

- Znam to uczucie. Doskonale pamiętam dzień, kiedy zacząłem pracę w kancelarii. Wszedłem do tego pokoju, usiadłem za biurkiem i następną godzinę spędziłem w fotelu, z głupawym uśmiechem na twarzy. Myślałem o tym, że właśnie zaczyna się najważniejszy etap mojego życia. Pamiętam, że odczuwałem euforię na przemian ze strachem.

- To tak jak ja.

Jego słowa dodały jej otuchy. Nie była już tak spięta, jak jeszcze przed chwilą. Zapanowała nawet nad drżeniem dłoni.

- To bardzo dziwne uczucie, kiedy człowiek uświadamia sobie nagle, że stał się kolejnym ogniwem w długim łańcuchu rodzinnej tradycji - stwierdziła zamyślona.

- Racja. Ale powiedz mi lepiej, jak masz zamiar uczcić swoją nominację na wiceprezesa?

- Uczcić? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Wiesz, że w ogóle o tym nie pomyślałam? Mam zamiar po prostu wrócić do pracy i...

- Nie żartuj! Praca może poczekać. Nie masz ochoty zjeść dobrej kolacji?

- Kolacji? Oczywiście, zjem coś, jak wrócę do domu. ..

Przez chwilę przyglądał jej się uważnie, chcąc odgadnąć, czy bawi się z nim w kotka i myszkę, czy też naprawdę nie rozumie. Najwyraźniej nie domyśliła się jego intencji, więc uznał, że pora postawić sprawę jasno.

- Posłuchaj, Naomi, chciałbym zaprosić cię dziś na kolację. O ile oczywiście nie masz innych planów - powiedział bez ogródek.

- Planów? Nie, chyba nie mam nic konkretnego do roboty. - Czuła, że jeszcze chwila, a znów zacznie paplać bez sensu. - Naprawdę, nie musisz czuć się w obowiązku...

Postanowił spróbować jeszcze raz.

- Czy zjesz ze mną kolację? - spytał stanowczo, obserwując z zachwytem, jak jej policzki zabarwia delikatny rumieniec.

- Chętnie. To miło z twojej strony - wydusiła z siebie.

- Może być siódma wieczór? Odpowiada ci?

- Myślę, że tak.

- Gdzie mam po ciebie przyjechać - do sklepu czy do domu?

- Może do domu. Podam ci adres...

- Nie trzeba. Jest w twoich dokumentach.

- No tak. Mieszkam bardzo blisko księgarni, więc do pracy chodzę pieszo. To naprawdę miła okolica i...

Boże, co ja znowu wyprawiam, jęknęła w myślach, przerażona własnym gadulstwem. Uznała, że zrobi najlepiej, jeśli natychmiast zamilknie, wstanie i pożegna się. Jeszcze pięć minut i Jan zacznie żałować, że zaprosił ją na tę kolację.

- Pójdę już - powiedziała, podnosząc się z miejsca. Wciąż ścisnął jej dłoń, nie wiedziała więc, co robić. Nie chciała być niegrzeczna i czekała, aż Jan ją puści. - Muszę wracać do pracy, do księgarni - tłumaczyła coraz bardziej spięta.

Jan dostrzegł w jej oczach zdenerwowanie. Nie potrafił odgadnąć jego przyczyny, więc na wszelki wypadek puścił jej dłoń, sam przestraszony, że być może zbyt się spoufalił.

- Wszystko w porządku? - spytał ostrożnie.

- Tak.

- Odprowadzę cię na dół.

- Nie trzeba. Poradzę sobie.

- W porządku. Aha, jeszcze jedno.

- Słucham.

- Książka...

- Prawda! Chyba dałam ją twojej siostrze. Nie, chwileczkę... Mam ją w torbie.

Rozzłoszczona własnym gapiostwem, wyciągnęła paczkę tak energicznie, że przy okazji upuściła telefon komórkowy. Jan rzucił się, by go podnieść. O mało nie stuknęli się głowami. Naomi miała ochotę zapaść się z miejsca pod ziemię, jednak widząc rozbawioną minę Jana, wybuchnęła śmiechem. Zaraz jednak poderwała się na nogi.

- Straszna ze mnie gapa - stwierdziła przeproszająco, podając mu książkę.

- Każdemu może się zdarzyć. Więc o siódmej, tak?

- Tak. Do zobaczenia.

Kiedy wyszła, Jan jeszcze chwilę stał w miejscu. Włożył ręce do kieszeni i zaczął kołysać się na piętach. Zabawne, pomyślał, nigdy nie posądziłbym jej o roztargnienie. A jednak... a jednak widocznie tak bardzo przeżyła podpisanie umowy, że na chwilę puściły jej nerwy. Nie był aż tak zarozumiały, by przypisywać to oddziaływaniu swej skromnej osoby. Choć z drugiej strony nie miałby nic przeciwko temu, by opanowana, praktyczna Naomi Brightstone poczuła się w jego towarzystwie lekko speszona.

Wrócił do biurka i zaczął zbierać dokumenty, ponieważ za pół godziny musiał być w sądzie. Przed wyjściem poprosił asystentkę, by zarezerwowała stolik na dwie osoby w restauracji Rinaldo. Perspektywa kolacji wprowadziła go w tak doskonały nastrój, że przez całą drogę do sądu nucił sobie pod nosem. Opanował się dopiero na widok swojego klienta. Cudem udało mu się skupić na rozprawie. Nie pamiętał, kiedy oczekiwał czegoś z równą niecierpliwością, jak spotkania z Naomi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Telefon zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie. Jan miał akurat obie ręce zajęte wiązaniem krawata, więc długo nie odbierał. Nie był poza tym w nastroju do rozmowy, dlatego spokojnie poczekał, aż włączy się automatyczna sekretarka. Kiedy jednak usłyszał znajomy bas przerywany energicznym posapywaniem, z uśmiechem sięgnął po słuchawkę.

- Halo? - odezwał się z lekkim roztargnieniem, bo ciągle się zastanawiał, jakie kwiaty kupić Naomi.

- Gdzie ty się włóczysz? - burknął Daniel MacGregor senior. - Już myślałem, że nie ma cię w domu i że będę musiał gadać z tą durną maszyną!

- Jak słyszysz, jestem na miejscu, ale zaraz wychodzę.

- Boże, moje wnuki to bez wyjątku łązengi. Nic dziwnego, że babcia ciągle się o ciebie martwi.

- Co takiego?

- Martwi się, bo nie usiedzisz w miejscu, tylko ciągle gdzieś się włóczysz.

- Chyba się dziadkowi coś pomyliło - w głosie Jana słychać było rozbawienie. - Zawsze dziadek mówił, że babcia martwi się, bo nigdzie nie wychodzę i tylko siedzę w pracy albo w domu z nosem w książkach.

- A co, może tak nie jest? - spytał niezrażony Daniel. - Wygląda na to, że popadasz ze skrajności w skrajność. Powiedz no, mój chłopcze, kiedy nas odwiedzisz?

- Dziadku, przecież dopiero co u was byłem. Na ślubie Duncana w zeszłym miesiącu, nie pamięta dziadek?

- Nie wmawiaj mi, że mam sklerozę! - huknął Daniel. - Pewnie, że pamiętam. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś przyjechał do nas znowu. Przecież nie mieszkasz na końcu świata.

- Racja. Skoro dziadek sobie życzy, to oczywiście przyjadę.

- Nie wątpię. Chyba nie chcesz, żeby twoja babcia zadreńczyła mnie na śmierć swoim gadaniem. A tak w ogóle, to co porabiasz?

- Właśnie wybieram się na kolację z przepiękną kobietą. I to dzięki dziadkowi!

- Dzięki mnie? Dlaczego tak mówisz? Ja nic nie zrobiłem, słowo daję! Ale na wszelki wypadek nie wspominaj o tym babci, bo zrobi mi prawdziwe piekło - tłumaczył się Daniel, wyraźnie przestraszony, że jego plan zostanie zbyt szybko rozszyfrowany.

- Dziadku, spokojnie. Po co te nerwy? - roześmiał się Jan. - Nie mam pretensji i nie posądzam dziadka o to, że chce mnie wyswatać.

- Więc o co chodzi?

- O nic. Moja randka to zwykły zbieg okoliczności. Pamięta dziadek listę książek, których miałem poszukać w księgarni Brightstone'ów przy okazji spotkania z jej kierowniczką?

- Pewnie, że pamiętani! I co z tego? Chyba mi nie powiesz, że nie mam prawa zamawiać sobie książek!

- Ma dziadek prawo robić, co tylko zechce. - Jan zaczął tracić cierpliwość. Nie potrafił pojąć, skąd ta nagła drażliwość, uznał więc, że to rezultat podeszłego wieku.

- I co z tymi książkami?

- Już są. Naomi przyniosła mi dzisiaj Waltera Scotta. Musiała go specjalnie sprowadzić. Dlatego chciałem się zrewanżować i zaprosiłem ją na kolację. Dlatego właśnie mówię, że dzięki dziadkowi spędzę miły wieczór w towarzystwie pięknej kobiety.

- No, nie ma o czym mówić! - sapnął Daniel uspokojony. Rozparł się w swoim fotelu i mrugnął chytrze okiem do lustra. Jan był bystry, ale widocznie nie na tyle, żeby domyślić się zgrabnie uknutej intrygi. Jeśli chłopak chciał kiedykolwiek dorównać swemu dziadkowi, to musiał się jeszcze długo uczyć. - Cieszy mnie, że spodobała ci się ta Naomi. To naprawdę przemiła dziewczyna. I bardzo wartościowa - zachwalał. - Mądra, skromna, inteligentna. A przy tym dobrze wychowana.

- Dziadku, to tylko kolacja - ostudził go Jan. - Niech dziadek nie obiecuje sobie zbyt wiele.

- A co niby miałbym sobie obiecywać? - Daniel zgrabnie odbił piłeczkę.

- No, nie wiem... Wydaje mi się, że dziadek znowu zaczyna.

- Co znowu zaczynam? Mówię tylko, że dziewczyna jest ładna i mądra. Przecież nie kłamię.

- Dobrze, już dobrze. - Jan spojrzął na zegarek. - Dziadku, przepraszam, ale muszę kończyć, bo robi się późno.

- To dlaczego tak się grzebiesz? Leć, bo jeszcze się spóźnisz! I zadzwoń niedługo do babci, niech się biedna nie zamartwia.

Kiedy Jan się rozłączył, Daniel aż zatarł ręce z uciechy. Wyglądało na to, że przynajmniej tym razem wszystko pójdzie jak po maśle.

Naomi, która w pracy potrzebowała zaledwie kilku minut na podjęcie ważnej decyzji, od dobrej godziny rozpaczliwie przetrząsała zawartość szafy. Obejrzała już wszystkie sukienki, ale wciąż nie była w stanie wybrać tej najlepszej. Była już tak zmęczona tym nie-

zdecydowaniem, że miała ochotę się rozplakać. W końcu przypomniała sobie złotą myśl matki: jeśli nie wiesz, w co się ubrać, załóż małą czarną.

Poszła za jej radą, ale natychmiast wyłonił się nowy problem - co zrobić z włosami. Warkocz? Kok? Opaska? Skończyło się na tym, że postanowiła zostawić je tak jak są, rozpuszczone. Na szyję założyła krótki, potrójny sznur pereł, pamiątkę po babci. Miała nadzieję, że nie jest zbyt wystrojona. Pełna desperacji, wsunęła stopy w czarne szpilki na wysokim obcasie, wiedząc doskonale, że przed upływem wieczoru poczuje ból w kręgosłupie. Machnęła ręką. Czego się w końcu nie robi, by ładnie wyglądać.

Obróciła się kilka razy przed lustrem, oglądając ze wszystkich stron swoją zgrabną sylwetkę. Efekt był zadowalający nawet dla osoby tak mało pewnej siebie jak ona. Jeszcze tylko parę kropel perfum, które tak bardzo podobały się Janowi, i mogła ruszać na podbój świata.

Zanim wyszła z pokoju, odbyła poważną rozmowę z własnym odbiciem w lustrze.

- Posłuchaj, Naomi - zwróciła się do ślicznej brunetki, która patrzyła na nią lekko wystraszonego wzrokiem. - Wyglądasz dobrze. Bardzo dobrze. Niczego ci nie brakuje, więc bądź uprzejma nie zrobić z siebie kompletnej idiotki. Pamiętaj, że nie stało się nic wielkiego. Młody, przystojny prawnik był na tyle uprzejmy, by zabrać cię do restauracji i uczcić ważny moment w twoim życiu. To wszystko, więc nie rób sobie żadnej nadziei. Zachowuj się jak poważna kobieta, a nie jakaś smarkula - zakończyła ze srogą miną.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Boże, dopomóż - jęknęła. - Tylko spokój może mnie uratować - powtórzyła sobie kilka razy, po czym zacisnęła dłonie, zamknęła oczy, policzyła do pięciu i dopiero potem poszła otworzyć.

Przywitała Jana z uprzejmym uśmiechem, pod którym skrywała zdenerwowanie.

- Piękny - szepnęła zachwycona.

- Dziękuję. Ty też nieźle wyglądasz - zrewanżował jej się z szelmowskim uśmiechem.

- Miałam na myśli bukiet! - roześmiała się, wskazując na pęk róż, który usiłował ukryć za plecami.

- Ach, o to ci chodzi. Proszę bardzo. Cieszę się, że ci się podobają.

- Są wspaniałe. Wejdz i rozgość się - zaprosiła go do środka i usadziła na fotelu w małym saloniku, a sama poszła włożyć kwiaty do wazonu.

Jan rozejrzał się z ciekawością po gustownie urządzonym wnętrzu. Podobnie jak gabinet w księgarni, także mieszkanie Naomi wyraźnie zdradzało jej praktyczną naturę.

Sprzęty i meble, które wybierała, były raczej tradycyjne, ale wszystkie bez wyjątku odznaczały się smakiem.

Naomi wróciła po chwili i ustawiła kwiaty na małym stoliku obok sofy. Cieszyła się nimi jak dziecko, bo był to pierwszy bukiet, który dostała od obcego mężczyzny, kogoś spoza rodziny. Ale Jan nie musiał o tym wiedzieć. Niech myśli, że przez całe życie dostawała bukiety wspaniałych róż.

- Są naprawdę cudowne - powtórzyła.

- Zupełnie jak ty.

- Dziękuję - odparła, czując niepokojące ciepło na policzkach.

- Masz też bardzo ładne mieszkanie.

- Szukałam czegoś niewielkiego, niezbyt daleko od księgarni. I w starej kamienicy. Nie lubię tych nowych, bezdusznych osiedli. Tylko stare, tradycyjne domy mają duszę.

- Mamy chyba podobny gust. Przynajmniej w kwestii architektury. Jakies dwa miesiące temu kupiłem stary dom. Podłogi skrzypią, okna są wypaczone, dach trochę przecieka, ale jestem zadowolony i nie zamieniłbym go na żaden nowoczesny apartament.

- Wychowałam się w takim domu. Rodzice dawno go sprzedali, ale ilekroć przejeżdżam obok, odczuwam wzruszenie - uśmiechnęła się trochę nieśmiało, zaskoczona własną szczerością. - Może masz ochotę na drinka? - spytała.

- Nie, dziękuję bardzo. Powinniśmy już wychodzić, zarezerwowałem stolik na wpół do ósmej.

- Więc chodźmy. Jestem gotowa.

- Włóż coś na siebie, bo wieje.

- Dobrze.

Posłusznie podeszła do szafy i zaczęła szukać aksamitnego szala. Jan stanął tuż za nią, więc kiedy odwróciła się, wpadła prosto w jego ramiona. Speszyło ją to tak bardzo, że cofnęła się zbyt gwałtownie i straciła równowagę. Wylądowała wśród wieszaków, a Jan musiał jej pomóc wydostać się na zewnątrz.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć - powiedział tonem usprawiedliwienia. Ale w duchu zacierał ręce. Nie miał żadnych wątpliwości, że działa na nią. Dziewczyna stała się przy nim nerwowa. - Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku. Nie wiedziałam po prostu, że za mną stoisz - tłumaczyła, skubiąc nerwowo brzeg szala, którym miała okryć ramiona.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponował i opatulił ją szczerze.

Naomi wzięła się w garść i nawet nie drgnęła, gdy dotknął jej skóry ciepłymi dłońmi.

- Idziemy? - spytała, sięgając spokojnym ruchem po torebkę. Nawet nie podskoczyła, gdy Jan, nie pytając o pozwolenie, wziął ją pod ramię.

W restauracji poszło jej jeszcze lepiej. Dyskretna muzyka, migotanie świec i doskonale wino wprawiły ją w doskonały nastrój. Zapomniała o nerwach, a Jan okazał się miłym kompanem. Potrafił nie tylko ciekawie opowiadać, ale i słuchać, co było wśród prawników prawdziwą rzadkością. Rozmowa toczyła się gładko i po pewnym czasie Naomi ze zdumieniem odkryła, że mają wiele wspólnych zainteresowań. Jan pochwalił muzykę, którą usłyszał w księgarni.

- Sama ją wybrałaś? - spytał.

- Tak. Bardzo lubię muzykę etniczną. Nie jest tak poważna, jak muzyka klasyczna, więc dobrze działa na klientów. A przy tym nie jest zbyt absorbująca.

- Byłaś w tym roku na Festiwalu Muzyki Celtyckiej?

- O tak. Na kilku koncertach.

- A widziałaś występy tancerzy?

- Oczywiście! Byli rewelacyjni!

- Też tak myślę. Te przystawki także są rewelacyjne. - Wskazał na talerz. - Chcesz spróbować mojej? - Podał jej na widelcu kawałeczek duszonego grzyba, a ona, prawie bez namysłu, nachyliła się w jego stronę i wzięła smakowity kąsek do ust.

- Pycha! - pochwaliła.

- Chcesz jeszcze?

- Nie, dziękuję. Muszę uważać, mam słabość do włoskich potraw.

- To tak jak ja. Potrafię nawet ugotować parę niezłych dań.

- Lubisz gotować? - Przyjrzała mu się uważnie, próbując wyobrazić go sobie, jak krząta się w fartuchu po kuchni.

- Zależy co i dla kogo.

- Możemy kiedyś urządzić zawody kulinarne. Moja potrawka z owoców morza przeciwko twojej kuchni włoskiej. Co ty na to?

- Przyjmuję wyzwanie. Zobaczymy, co uda nam się wysmażyć - powiedział z dwuznacznym uśmiechem. Zdawało mu się, że dostrzegł na jej twarzy lekki grymas, postanowił więc bardziej zważać na słowa. Po co się spieszyć? Miał już gotowy plan i wiedział, jak się zabrać do rzeczy. W rodzinie MacGregorów nie tylko Daniel celował w układaniu miłosnych scenariuszy.

- Mam dla ciebie pewną propozycję - powiedział nagle, a widząc jej przestraszony wzrok, dodał szybko:

- Propozycję zawodową, oczywiście.
- Zawodową?
- Tak. Mam nadzieję, że ci się spodoba.
- Zamieniam się w słuch.

- Mówiłem ci, że niedawno kupiłem dom. Nie wszystko jeszcze urządziłem, dwa pokoje wciąż stoją puste. Pomyślałem sobie, że chciałbym mieć w jednym z nich bibliotekę. Pomogłabyś mi w doborze książek?

- Oczywiście. - Sama była zaskoczona rozczarowaniem, jakie poczuła. Od początku było jasne, że Jan interesuje się nią wyłącznie ze względów służbowych. Jeśli liczyła na coś więcej, było po prostu naiwna.

- Musisz mi tylko powiedzieć, jakie wydawnictwa cię interesują - powiedziała tonem, jakim zwykle zwracała się do klientów. - Czy chodzi o rzadkie pozycje, które będą dla ciebie lokatą kapitału?

- Nie, nie. Chcę mieć praktyczną domową bibliotekę, a nie muzeum. Po prostu miejsce, gdzie można przyjemnie spędzić czas, poczytać, napić się czegoś dobrego. Nie chciałbym, żeby moi goście musieli wypisywać rewery jak w czytelnii. Na początek chciałbym zebrać książki, które lubię. Zresztą większość już mam. Co do reszty, to jestem otwarty na propozycje.

- Zgoda. Chętnie ci pomogę. Przygotuj listę pozycji, których ci brakuje, a potem zobaczymy.

- Doskonale. Znajdziesz trochę czasu, żeby wstąpić do mnie i zobaczyć pokój, który wybrałem na ten cel?

- Myślę, że tak. Kiedy?
- Może w najbliższą sobotę, o szóstej?

- Zgoda - odparła ponownie i skinęła głową, zaskoczona zarówno swoim opanowaniem, jak i zagadkowym uśmiechem Jana.

Kiedy wyszli z restauracji, był późny wieczór. Wiatr się nasilił i słychać było, jak buszuje w koronach drzew. Po nocnym niebie pędziły czarne chmury, zza których co chwila wyglądała okrągła tarcza księżyca.

Wieczór, który razem spędzili, udał się znakomicie. Gdy tylko rozmowa zeszała na książki, Naomi wyraźnie się ożywiła. Potrafiła mówić o nich z prawdziwą pasją, co sprawiało Janowi dużą przyjemność. Gratulował sobie doskonałego pomysłu, jakim było zaproszenie Naomi do urządzenia biblioteki. Zresztą nie był to tylko pretekst, by znów się z nią spotkać. Naprawdę marzył mu się bogaty księgozbiór, a Naomi była w tej dziedzinie specjalistką. A że

przy okazji bardzo mu się podobała, dodawało całej sprawie pikanterii. Jan miał cichą nadzieję, że ona również nie traktuje go tylko i wyłącznie jak prawnika, który załatwia dla niej pewne sprawy. Zgodziła się przecież na kolację, pozwoliła odwiedzić do domu...

Teraz poruszyła się nerwowo, gdy spojrzał na nią kątem oka.

- Ładna okolica - powiedział, gasząc silnik. - Rzeczywiście mieszkasz dwa kroki od księgarni.

- Dziękuję za wspaniały wieczór - odparta cicho. Poprawiła włosy, które opadały jej na twarz, a wtedy Jan wyraźnie poczuł zmysłowy zapach perfum. W porę jednak ugryzł się w język i powiedział po prostu, że on również doskonale się bawił i że cała przyjemność po jego stronie.

Wysiadł z samochodu i podszedł do jej drzwi. Ponieważ przez chwilę mocowała się z pasem, nachylił się, żeby go odpiąć, i wtedy jego twarz znalazła się blisko jej twarzy. Poczuł przyjemne ciepło rozgrzanego, pachnącego ciała. Zakręciło mu się w głowie, nie stracił jednak zimnej krwi. Cofnął się i podał Naomi rękę. Kiedy jednak wysiadła z wozu, nie wypuścił jej dłoni. Odprowadził ją do drzwi kamienicy, nie mając pojęcia, że dziewczyna przeżywa prawdziwe katusze.

Naomi ogarniała coraz większa panika. Nie miała pojęcia, jak powinna się teraz zachować. Zaprosić go na drinka? Nie! Wiedziała, że to bardzo ryzykowny pomysł. Nie była na to przygotowana. Bała się też, że puszczą jej nerwy, że zrobi coś głupiego. Uznała więc, że najlepiej będzie po prostu się pożegnać. Przynajmniej zostaną jej miłe wspomnienia.

Jan na szczęście wybawił ją z kłopotu. Kiedy weszli do holu, zatrzymał się i powiedział:

- Dobranoc, Naomi. Domyślam się, że jutro czeka cię męczący dzień. Pierwszy dzień w nowej roli wiceprezesa.

- To prawda - westchnęła. - Muszę wstać skoro świt. Zaplanowałam spotkanie z personelem, na którym będziemy omawiali kolejne zmiany.

- Wciąż masz nowe pomysły? Sprzedaż książek już nie wystarcza? - zażartował i pogłaskał kciukiem wierzch jej dłoni. - W takim razie nie będę cię zatrzymywał. Pozwolisz, że odprowadzę cię tylko do drzwi?

Kiedy szli po schodach, serce waliło jej jak oszalałe. Cały spokój gdzieś się ulotnił, a ponieważ ogarniało ją coraz większe zmieszanie, próbowała je zamaskować nerwową gadaniną. Po raz dziesiąty zaczęła opowiadać o tym, że chciałaby widzieć swoją księgarnię jako miejsce spotkań z ciekawymi ludźmi, popularnymi autorami, piosenkarzami, że chce opracować ofertę dla ludzi w różnym wieku, zainwestować w internetową kawiarenkę.

Jan słuchał cierpliwie, nie przerywając ani nie pytając o nic. Gdy stanęli pod drzwiami jej mieszkania, wziął ją za obie dłonie i przytrzymał je w swoich, silnych i ciepłych. Tego było już dla Naomi za wiele. Wiedziała, że jeszcze chwila, a zupełnie straci głowę i zrobi coś idiotycznego. Pomyślała sobie, że lada moment stanie się z nią to, co z Kopciuszkiem o północy - czar pryśnie, a wraz z nim zniknie wytworna młoda dama, której miejsce zajmie zahukana, przestraszona, nieszczęśliwa i nie kochana przez nikogo dziewczyna.

Jakby broniąc się przed nim, zrobiła krok do tyłu i zbyt gwałtownie wyswobodziła dłoń z jego uścisku. Sięgnęła do torebki, z której nerwowym ruchem wyjęła klucze. Upadły z metalicznym brzękiem na posadzkę, a wtedy Jan schylił się, by je podnieść. Skorzystał przy tym z okazji i znów ujął jej drżącą dłoń. Przez chwilę patrzył w oczy Naomi, jakby próbował znaleźć w nich odpowiedź na jakieś ważne dla niego pytanie. Chciał wiedzieć, czy się nie myli, a ponieważ doszedł do wniosku, że nie - postanowił zaryzykować. Ujął łagodnie twarz dziewczyny i pocałował delikatnie jej usta.

W pierwszej chwili się zaniepokoił. Naomi nie odwzajemniła pocałunku, tylko zastygła w miejscu jak słup soli. Nie drgnęła, jej ciałem nie wstrząsnął choćby najśłabszy dreszcz. Jan zamierzał już się wycofać, gdy nagle ożyła. Najpierw westchnęła głęboko jak osoba przebudzona ze snu, a potem rozchyliła wargi. Czuł pod palcami ciepłą falę jej gęstych włosów, zewsząd otaczał go obezwładniający zapach jej ciała. Zaszumiało mu w głowie. Przygarnął ją do siebie i mocniej otoczył ramionami. Zauważył uszczęśliwiony, że wreszcie odwzajemnia jego uścisk.

Rzeczywiście, Naomi zaciskała palce na rękawach jego płaszcza, jakby bała się, że straci równowagę. Kręciło jej się w głowie jak od szampana, przed oczami wirowały kolorowe plamy. Panika, która sparaliżowała ją w pierwszej chwili, ustępowała teraz miejsca jakiejś niesamowitej przyjemności. Czuła, jak rozpalone usta mężczyzny wytyczają gorącą ścieżkę na jej policzkach i szyi, jak niemal parzą ją w wilgotne wargi. Kiedy klucz znów wylądował na podłodze, drgnęła przestraszona, ale nie przerwała pocałunku.

Jan cofnął się i uchwycił zamglone spojrzenie szarych oczu, dostrzegł delikatne drżenie warg. Przesunął dłońmi wzdłuż ramion Naomi, dotknął pieszczotliwie czubek jej zgrabnego nosa swoim. Po chwili znowu tulił w dłoniach jej rozpaloną twarz.

- Chyba zrobię to jeszcze raz - szepnął i nie pytając jej o zdanie, pocałował ją tym razem bardziej zachłannie i namiętniej niż wcześniej. Z każdą sekundą jego podniecenie stawało się silniejsze, trudniejsze do okiełznania. Kiedy poczuł na swojej szyi nieśmiały dotyk palców Naomi, przestraszył się, że za chwilę straci nad sobą kontrolę. Z najwyższym

trudem odsunął się od niej i schylił po klucze. - Dobranoc, Naomi - powiedział po prostu i sam otworzył jej drzwi.

- Tak... - odparła słabym głosem. - Dobranoc. Jeszcze raz dziękuję.

Odwróciła oczy, w których malowała się niepewność, po czym weszła szybko do mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Jan nie odszedł od razu. Stał w miejscu, zastanawiając się, czy przypadkiem nie popełnił błędu. Tylko co miałyby być owym błędem? To, że nagle zaczął ją całować, czy to, że równie nagle przestał?

Zza zamkniętych drzwi dobiegł metaliczny brzęk. Znów upuściła klucze na podłogę. Na to tylko czekał. Uśmiechnął się do siebie i szybko zbiegł po schodach do wyjścia. Wiedział już, że się nie pomylił. Wychodząc na ulicę, obiecał sobie, że przy najbliższej okazji wykona kolejny krok. Kolejny krok, który zbliży go do Naomi Brightstone.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Naprawdę nie masz w domu ani kawałka czekolady? - spytała Julia, nie kryjąc gorzkiego rozczarowania.

Jan spojrzał na nią pobłaźliwie i pomyślał, że jego kuzynka jest jak zwykle piękna, jak zwykle niecierpliwa - i jak zwykle łakoma z powodu zaawansowanej ciąży.

- Skąd mam mieć, skoro wszystko wyjadłaś podczas ostatniej wizyty - odparł, wzruszając ramionami.

- Niemożliwe! - Julia poderwała się z krzesła i zaczęła przeszukiwać systematycznie kuchenne szafki. - Rzeczywiście, nie ma ani kawałka. Nie przeszedłbyś się do sklepu? - spytała przymilnie. - Wiesz, do tego na rogu. Nie zajmie ci to więcej niż pięć minut.

- Nigdzie nie będę chodził. Jeśli jesteś głodna, w lodówce są owoce i jogurt. W ostateczności możesz spróbować tego - zaproponował, podsuwając jej drewnianą łyżkę, którą mieszał gęsty, aromatyczny sos.

Julia, znając kulinarne talenty kuzyna, nie dała się długo prosić. Trzymając dłoń na wydatnym brzuchu, wyciągnęła szyję jak żyrafa i skosztowała gorącej potrawy.

- Pycha! - Zmrużyła zachwycona oczy. - A co będzie na deser?

- Czy twój mąż cię przypadkiem nie głodzi? - roześmiał się Jan.

- A co ma do tego mój mąż? - spytała zdumiona Julia, klepiąc się po brzuchu. - To małeństwo domaga się czekolady. Kiedy byłam pierwszy raz w ciąży, miałam stale ochotę na lody. Naprawdę nie masz choćby jednego, małego batonika? - spojrzała na Jana błagalnie.

- Nie, ale obiecuję, że zrobię zapas.

- Tylko pospiesz się, bo możesz nie zdążyć. Nie zostało mi już wiele czasu - powiedziała, patrząc z uśmiechem na kuzyna, który pochylony nad garnkiem, gwizdał cicho jakąś melodię. - Widzę, że jesteś cały w skowronkach - zagadnęła.

- Sama rozumiesz... kobieta!

- A, słyszałam coś o tym. Panna Brightstone, tak?

- We własnej osobie. Zresztą zaraz tu będzie, więc nie chciałbym cię popędzać, ale...

- Spokojna głowa. Patryk i Travis zaraz po mnie przyjadą, więc nie będę ci przeszkadzać. Gdzie masz projekt biblioteki?

- Na górze. Oglądałem go wczoraj wieczorem.

- W takim razie chodźmy. Chętnie rzucę na niego okiem.

- Dzięki, Julio! - Otoczył ją ramieniem i poprowadził w stronę schodów. - Nie wiem, jak poradziłbym sobie z tym remontem bez ciebie i Patryka.

- Bez przesady. Ty też nie stałeś z założonymi rękami. Naprawdę cię podziwiam.

- Za co?

- Za to, że zdecydowałeś się na kupno tego domu. Niewielu facetów w twoim wieku chciałoby zawracać sobie głowę takim zabytkiem.

- Ale ty byś się nie wahała, prawda?

- Prawda. Żaden apartament nie może równać się z domem. Zwłaszcza z domem, który ma swój klimat. - Przesunęła pieszczotliwie dłonią po wypolerowanej balustradzie schodów. - Parę dni temu rozmawialiśmy z Patrykiem, że ten dom bardzo do ciebie pasuje. Jest podobnie jak ty solidny, jasny, logiczny. Z jednej strony otwarty na to, co przyniesie przyszłość, z drugiej zapatrzony w to, co odeszło w przeszłość. - Przystanąła u podnóża schodów i dodała: - Wiesz co, mój drogi? Nie będę włąziła na górę, bo potem trzeba będzie zejść, a ja przez ten brzuch nie widzę własnych stóp.

- Rozumiem. Zaczekaj w salonie, sam przyniosę ci projekt. Usiądź sobie wygodnie.

- Nie chcę siadać. Chcę czekolady - odpaliła ze śmiechem.

- Następnym razem! Przysięgam! - zawołał, biegnąc po schodach.

Julia poszła do salonu, kiwając się jak pingwin. Po drodze jeszcze raz spojrzała krytycznym okiem na efekty swojej pracy. Musiała przyznać, że jest z nich zadowolona. Wszystko poszło szybko i sprawnie, głównie dzięki skuteczności oraz doświadczeniu jej męża, który był prawdziwym fachowcem jeśli chodzi o przebudowy i remonty, a firma, którą prowadził wraz z ojcem, od lat miała ustaloną renomę. Ona z kolei była specjalistką od nieruchomości i miała do nich oko jak mało kto, toteż cieszyła się, że namówiła Jana do kupna tego właśnie domu. Z przyjemnością obserwowała, jak jej kuzyn, początkowo nieufny, powoli zapalał się do projektu, aż w końcu naprawdę pokochał swoją nową siedzibę.

- Widzisz, kochanie, jaki piękny dom znaleźliśmy dla wujka Jana - powiedziała, głaszcząc się po brzuchu. - Uspokój się, malutki, i nie męcz mamy. Zaraz przyjedzie po nas tata i na pewno przywiezie olbrzymie pudło czekoladek. Widzisz, już tu jest! - zawołała, słysząc donośny dzwonek. Podeszła do drzwi, otworzyła je bez namysłu i stanęła oko w oko z niezwykle przystojną, choć mocno zakłopotaną brunetką.

Na widok Julii Naomi wyraźnie się speszyła. Niezwykła uroda płowowłosej kobiety sprawiła, że poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Ognista piękność wyglądała jak uosobienie zdrowia i piękna. Poza przymiotami ciała, musiała też mieć poczucie humoru, bo na widok Naomi wyciągnęła rękę i z ujmującym uśmiechem oznajmiła:

- Jestem Julia, kuzynka playboya z Harvardu. A ty jesteś Naomi, prawda?

- Zgadza się - odparła Naomi. - Widziałam cię już kiedyś, podczas spotkania kobiet biznesu. Słuchałam twojego wystąpienia. Bardzo ciekawe.

- Mój Boże, kiedy to było! Tym bardziej się cieszę, że mogłam cię poznać. Proszę, wejdź.

Odsunęła się, żeby wpuścić gościa, a potem zaprowadziła go do salonu, opowiadając po drodze, że Jan poszedł na górę po projekt biblioteki, którą ma dla niego zbudować jej mąż. Posadziła Naomi w fotelu, a sama poszła do kuchni, by przynieść coś do picia. Po drodze myślała, że Jan ma dobry gust, skoro wybrał sobie taką dziewczynę. Trochę nieśmiała, ale bardzo atrakcyjna. Doskonała figura, piękne włosy i oczy. Klasa widoczna na pierwszy rzut oka, wyliczała w myślach jej atuty, nalewając do szklanek sok.

- Słyszałam, że przejęłaś zarządzanie rodzinną księgarnią - zagadnęła, wchodząc do pokoju.

- Tak.

- A czy macie w tej waszej kawiarence ciastka czekoladowe?

- Oczywiście. Gorąco je polecam, są naprawdę pyszne.

- W takim razie musimy was odwiedzić, prawda, maleńki? - Julia czule pogładziła okrągły brzuch. - Spokojnie, nie kop mamy! - zaśmiała się, a dostrzegając zaniepokojone spojrzenie Naomi, uspokoiła ją, że wszystko w porządku. - Do porodu zostały jeszcze dwa miesiące. Ale moje dziecko najwyraźniej nie może żyć bez czekolady i dlatego tak strasznie się awanturuje.

- Nie może żyć bez czekolady? - spytała zdumiona Naomi, widząc, jak coś się rusza pod zielonym swetrem Julii. - Mam w torebce paczkę czekoladowych drażetek. Może...

- Poważnie? - Julia spojrzała na nią błagalnie.

- Poważnie. Zawsze noszę przy sobie coś słodkiego. Na wypadek, gdybym nie miała czasu na lunch - tłumaczyła Naomi, szukając w torebce plastikowego opakowania. - Proszę, poczęstuj się. - Podała je po chwili z uśmiechem.

- Uratowałaś nam życie! - zawołała radośnie Julia.

- Przrzekam, że dam dziecku twoje imię. Bez względu na płeć nazwę je Naomi!

- Akurat! Tak samo mówiłaś, kiedy byłaś w ciąży z Travisem, a ja oddałem ci całą porcję moich ulubionych lodów - wtrącił się niespodziewanie Jan, który niezauważony przez kobiety, wszedł przed chwilą do salonu.

- A co, może kłamałam? Nie masz na drugie Travis? - spytała Julia z miną niewiniątka. Rozerwała niecierpliwie torebkę i wsadziła do ust całą garść drażetek, mrużąc

przy tym z zadowoleniem. - Widzicie, moje dziecko od razu się uspokoiło - oznajmiła po chwili.

- Naprawdę? Przystało kopać? - Jan uśmiechnął się ironicznie, po czym położył dłoń na brzuchu kuzynki. - Rzeczywiście, nie rusza się. Chodź Naomi i sama zobacz, jakiego cudu dokonałaś swoimi MnM'sami.

Zanim Naomi zdążyła cokolwiek powiedzieć, przycisnął jej dłoń do brzucha Julii. Ten niespodziewany gest bardzo ją speszył, ale na szczęście nie zdążyła się nawet zaczerwienić. Jej palce dotknęły jakiegoś obłego kształtu. Po raz pierwszy w życiu czuła ruch nie-narodzonego dziecka, nic więc dziwnego, że zrobiło to na niej duże wrażenie.

- To... wspaniałe! - szepnęła, patrząc Julii W oczy.

- Tak, to naprawdę jest przeżycie! - roześmiała się Julia. Usłyszała dochodzący z zewnątrz dźwięk klaksonu i podniosła się z fotela. - Patryk przyjechał. Umówiliśmy się, że zatrąbi na mnie, jeśli Travis uśnie w samochodzie. Idę, na mnie już czas - powiedziała i zaczęła zbierać swoje rzeczy, nie zapominając o projekcie biblioteki. - Obiecuje, że przejrzymy go dziś wieczorem. Trzymajcie się. Miło było cię poznać, Naomi. I dzięki za ratunek! - roześmiała się ponownie, potrząsając plastikową torebką.

- Szkoda, że Travis usnął - westchnął Jan, obserwując przez okno, jak kuzynka wsiada do samochodu.

- To wspaniały dzieciak. Nie ma jeszcze dwóch lat, a potrafi zagadać człowieka na śmierć.

- Lubisz dzieci? - spytała Naomi.

- Bardzo - odwrócił się w jej stronę. - W naszej rodzinie nie może być inaczej. Jest nas tak dużo, że jak jedno dziecko się rodzi, drugie jest już w drodze na świat.

- Popatrzył na nią z ciepłym uśmiechem. - Nawet się z tobą nie przywitałem i nie podziękowałem, że przysłałaś. - Zbliżył się do niej i pocałował ją delikatnie w policzek. - Coś nie tak? - spytał zaniepokojony, wyczuwając nerwowy dreszcz na jej ramionach.

- Nie, wszystko w porządku - wykrztusiła, uciekając szybko wzrokiem w stronę okna. Uspokój się, kretynko, nakazała sobie w duchu. On tylko pocałował cię w policzek. Dorośli ludzie czasem to robią. Całują się na powitanie i na pożegnanie.

Na szczęście Jan odsunął się od niej i zniknął na moment w jadalni. Po chwili wrócił z dwoma kieliszkami w dłoni.

- Napijesz się wina? Białe czy czerwone?

- Nie, dziękuję. Przyjechałam samochodem. Poza tym myślałam, że obejrzymy pokój, w którym chcesz urządzić bibliotekę i... - przerwała, bo w tej samej chwili poczuła wspaniały zapach jakiejś potrawy. - Co tak cudownie pachnie?

- Cholera, mój sos! - wrzasnął Jan. - Mam nadzieję, że się nie przypalił! Przepraszam cię, muszę biec do kuchni!

- Pójdę z tobą.

Weszła za nim do jasnego, przestronnego pomieszczenia i zaniemówiła z wrażenia. Drewniane szafki, marmurowe blaty i parapety, świeże zioła w doniczkach grzejące w się w ciepłych promieniach słońca, ceglany kominek z polanami - wszystko to nadawało kuchni przytulny, swojski charakter.

- Widzę, że spodziewasz się gości. - Obrzuciła wymownym spojrzeniem garnki stojące na elektrycznej płycie. - Nie martw się, nie zabiorę ci wiele czasu.

- Daj spokój. - Jan przestał mieszać sos i popatrzył na nią jak na dziecko. - To ty jesteś moim gościem. Może jednak skusisz się na kieliszek? - spytał, sięgając po butelkę.

- No dobrze. Ale nie za dużo - odparła z nadzieją, że odrobina alkoholu pomoże jej się rozluźnić.

- Proszę - podał jej smukły kieliszek. - Pomyślałem, że skoro zawracam ci głowę swoją biblioteką i na dodatek zabieram czas w sobotnie popołudnie, to przynajmniej ci czymś poczęstuję. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nieźle gotuję?

- Niepotrzebnie robiłeś sobie kłopot. Przecież powiedziałam, że chętnie ci pomogę. Podoba mi się pomysł z biblioteką, więc z przyjemnością zobaczę, co da się zrobić.

- Powiedz mi jedno, molu książkowy: czy żeby zaprosić cię na kolację, zawsze będę musiał szukać jakichś pretekstów?

- Chyba nie - odpowiedziała cicho, wpatrzona w dno swojego kieliszka.

- A może naprawdę jesteś zainteresowana wyłącznie moją biblioteką? Powiedz mi, jak jest naprawdę. Czyja zupełnie cię nie obchodzi? - spytał przekornie.

Naomi podniosła wzrok. Jej spojrzenie ośmieliło go. Podszedł do niej i wyjął jej z dłoni kieliszek.

- Wiesz przecież, że mi się podobasz - powiedział. - Lubię być z tobą, dlatego chciałbym, żebyśmy mogli spędzać więcej czasu razem. Może warto lepiej się poznać?

Pochylił się i pocałował ją leciutko. Ciało Naomi natychmiast ogarnęło znane już odrętwienie i rozleniwienie. Tymczasem Jan powoli, zmysłowo przesunął ustami wzdłuż miękkiej linii jej brody, aż znowu poczuł pełne, wilgotne wargi. Nie od razu się rozwarły i połączyły z nim w pocałunku. Musiał cierpliwie czekać. Dopiero po chwili Naomi westchnęła

głęboko i otoczyła go ramionami. Zrozumiała nagle, że Jan jej pragnie, i ta myśl wstrząsnęła nią do głębi. Po raz pierwszy w życiu mężczyzna pożądał jej ciała i otwarcie to okazywał. Kiedy dotarła do niej ta prawda, poczuła ogromną słabość, jakby nagle opuściły ją siły. Kolana ugięły się pod nią, więc nie chcąc upaść, z całej siły przytuliła się do Jana. Nie przyszło jej do głowy, że spowoduje go tym do jeszcze śmielszych pieszczot - pocałował ją namiętniej, przesunął dłońmi po jej plecach, ramionach, po czym sięgnął zachłannie do pełnych, ciężkich piersi.

- Och, tak... naprawdę warto poznać się bliżej - szeptał gorączkowo, rozpinając guziki jej bluzki. Nie był w stanie opanować żądz, więc uległ jej i mocno przywarł ustami do ciepłego wgłębienia między nasadą jej szyi a obojczykiem. - Ale to potem... Wszystko opowiemy sobie później... Historie z dzieciństwa... marzenia... plany... I rozczarowania. Boże, tak bardzo cię pragnę, Naomi! Muszę... muszę cię mieć! Już, teraz...

- Tak... - westchnęła ulegle, lecz zaraz potem zaprzeczyła: - Nie! Zaczekaj! Potem... nie teraz...

Dyszała ciężko, mówiła bez ładu. Przeraziło ją to niemożliwe do opanowania pragnienie, które wypełniało całe jej ciało i odbierało wszelką wolę oporu.

- Może jednak teraz?

- Nie...! Proszę! - Oparła dłonie o jego klatkę piersiową, próbując odsunąć go od siebie. - Proszę - powtórzyła i odważnie spojrzała mu w oczy. - Proszę cię, przestań.

Wzrok Jana był nieobecny, zmacony pożądaniem, mimo to puścił ją i cofnął się o krok. Naomi dopiero teraz zdała sobie sprawę, co się stało, i zawstydziała się własnego zachowania.

- Przepraszam - szepnęła upokorzona.

- Nie musisz. Chyba... rzeczywiście trochę się zagalopowaliśmy - bąknął z zakłopotaniem. Musiało zaschnąć mu w gardle, bowiem szybko sięgnął po swój kieliszek i wypił wino do dna. - Miałem wrażenie, że odpowiada ci takie tempo - powiedział, z trudem opanowując irytację. Nie chciał być zły, bo też nie było ku temu żadnego powodu, jednak silne, niezaspokojone podniecenie sprawiło, że stał się rozdrażniony.

- Przykro mi, ale chyba się nie zrozumieliśmy. Myślałam, że zaprosiłeś mnie tutaj, żeby... - zaczęła nieśmiało, ale nie pozwolił jej dokończyć.

- A jak tłumaczyłaś sobie moje pocałunki tamtego wieczoru? I dlaczego sama mnie całowałaś? I to tak namiętnie?

- Nie wiem - powiedziała, tym razem głośno i pewnie. Nie chciała być ofiarą jego złości ani swojego własnego upokorzenia. - Naprawdę nie wiem - powtórzyła. - Nie mam... takich doświadczeń. Przykro mi, ale nigdy tego nie robiłam.

Jan uspokoił się momentalnie. Był całkowicie zaskoczony jej wyznaniem.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy się nie kochałaś? - spytał z niedowierzaniem. - Z nikim?

- Nigdy - przyznała szczerze, choć czuła się tak zażenowana, że miała ochotę zapaść się pod ziemię i przestać istnieć. - Wybacz, ale lepiej już pójdę - dodała i ruszyła wolno w stronę wyjścia.

Jan nie próbował jej zatrzymywać, więc spokojnie przeszła obok niego. Nie zawędrowała jednak daleko, bowiem ocknął się nagle i dogonił ją w holu.

- Naomi! Poczekaj! - Chwycił ją za ramię. - Proszę cię, nie wychodź! Daj mi chociaż minutę.

- Nie mamy o czym mówić. Nie zamierzam więcej przeproszać cię za to, co się stało. Czy raczej nie stało! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Wiem, to ja będę cię przeproszał, jeśli oczywiście zgodzisz się poświęcić mi chwilę - powiedział jednym tchem. Na wszelki wypadek puścił ją i w geście bezradności potarł dłońmi twarz. Rzeczywiście potrzebował teraz chwili spokoju. Chciał się nad wszystkim zastanowić.

- Naomi, naprawdę cię przeproszam - powtórzył, z przerażeniem myśląc o tym, co czuła, gdy dobierał się do niej bezceremonialnie, pewien, że ma do czynienia z kobietą doświadczoną. - Naprawdę, gdybym wiedział, nigdy w życiu nie pozwoliłbym sobie na takie zachowanie. Pewnie cię przestraszyłem?

- Trochę...

- Przysięgam: nigdy więcej tego nie zrobię. - Przysunął się do niej i ostrożnie dotknął ustami jej policzka. Pogłaskał ją delikatnie, jak małe, wystraszone dziecko.

- A może... - zawahał się - może byśmy zaczęli od nowa? Tak spokojnie, ostrożnie. W każdej chwili będziesz mogła się wycofać...

Naomi przyglądała mu się w milczeniu, jakby chciała odkryć jego prawdziwe zamiary. Odetchnęła kilka razy głęboko i dopiero wtedy spytała:

- Co masz na myśli?

- Proponuję, byśmy cofnęli się o krok.

- Jaki znowu krok?

- Wrócimy do punktu wyjścia. Należę wina, a potem pójdziemy na górę, do pokoju, w którym chcę urządzić bibliotekę. Pokażę ci projekt. Później coś zjemy. Co ty na to?

- Więc nie jesteś na mnie zły?

- Oczywiście, że nie. Mam nadzieję, że i ty się nie gniewasz. Powiedz, zostaniesz? Dasz mi jeszcze jedną szansę, żebym mógł... poznać cię bliżej?

- Zgoda. Mogę chyba zaryzykować - uśmiechnęła się blado.

- W takim razie przyniosę wino.

Wrócił szybko do kuchni, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Przeszkadzał mu trochę ból wywołany niezaspokojonym pożądaniem, przyrzekł sobie jednak, że tym razem będzie dużo ostrożniejszy. Nie miał zresztą wątpliwości, że upłynie dużo czasu, zanim odzyska zaufanie Naomi Brightstone. Na wszelki wypadek wolał nie mówić, że pragnie jej jeszcze bardziej.

- Bądź ostrożny, MacGregor. Uważaj, żeby nie narobić głupstw - mruknął do siebie, zabierając butelkę i czyste kieliszki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Naomi wiedziała, że nie musi się wstydzić braku doświadczenia. Ani tego że się do niego uczciwie przyznała. Inna kobieta na jej miejscu postąpiłaby w sposób wyrachowany. Powiedziałyby na przykład, że jeszcze nie jest gotowa, że potrzebuje więcej czasu albo że w ogóle nie jest zainteresowana bliższą znajomością. Osoba naprawdę perfidna mogłaby wręcz wodzić go za nos i mamić obietnicami w stylu „nie dzisiaj, kochanie, bądź cierpliwy”. A wszystko zmysłowym, ochryplym głosem, przy wtórze powłóczystych spojrzeń. Tak, tak, niejedna sięgnęłaby po takie środki, ale nie ona, nie Naomi Brightstone. Nie potrafiła uwodzić mężczyzn, nie umiała bawić się z nimi w kotka i myszkę ani prowadzić gierki, które sprawiają zwykle przyjemność obu stronom. Nigdy nie była wampem. Natura pozbawiła ją takich cech, więc nie pozostało jej nic innego, jak pogodzić się z sytuacją.

Pocieszała się tym, że nie wszystko stracone. Powiedzieli szczerze, co myślał, i napięcie zostało rozładowane. Jan wykazał się przy tym zaskakującą delikatnością. Przez resztę wieczoru nie wspomniał nawet słowem o tym, co się wydarzyło. Gdyby ktoś zobaczył ich później razem przy stole, nigdy by się nie domyślił, co między nimi zaszło.

Przestań się tym zadrećcać i zajmij się pracą, przykazała sobie surowo, próbując skoncentrować się na chwili bieżącej. W księgarni odbywało się właśnie spotkanie z popularną pisarką, które miało być inauguracją „Wieczorów z kobietą” organizowanych przez księgarnię firmy Brightstone. Naomi, ukryta w rogu sali, obserwowała z zadowoleniem, jak publiczność reaguje żywo na słowa autorki i słucha fragmentów jej najnowszej książki, zatytułowanej, non omen, „Piekielne randki... i jak je przetrwać”. Częste wybuchy śmiechu przyciągały klientów w coraz większej liczbie. Do stolika, przy którym autorka miała podpisywać swoje dzieło, ustawiła się już długa kolejka. Naomi czuwała nad wszystkim. W pewnym momencie odwróciła się - i wpadła prosto w ramiona Jana.

- Dobry wieczór - powiedział cicho i chwycił ją za ramiona, bo o mało się nie przewróciła. - Wyrastam ci bezustannie za plecami i pewnie masz już tego dość, co?

- Witaj. Przepraszam, nawet nie spojrzałam, czy nikt za mną nie stoi.

Spojrzała mu prosto w oczy i natychmiast napłynęły wspomnienia ich ostatniego spotkania. Wydawało jej się, że wciąż czuje na ustach smak pocałunków, więc instynktownie dotknęła dłonią warg, które nagle stały się suche i gorące. Poczowała na ramieniu lekki, jakby braterski uścisk jego dłoni i na szczęście powróciła dzięki temu do rzeczywistości.

- Udało ci się zebrać tu niezły tłum. - Jan wskazał z uznaniem publiczność zgromadzoną w sali.

- To zasługa Shelly Goldsmith.

- Ale pomysł był twój?

- Tak. I kierowniczkę działu. Razem przygotowujemy ten projekt. Przyszedłeś, żeby posłuchać fragmentów książki?

- I tak, i nie. Widziałem anons w gazecie, ale zdaje się, że przyszedłem trochę za późno.

Publiczność rzeczywiście zaczęła już wstawać z krzeseł.

- Ojej, przepraszam cię na chwilę.

Naomi ruszyła szybko w stronę podium, żeby uścisnąć autorce dłoń i podziękować za interesujące słowa. Jan obserwował tę scenę z oddali. Musiał przyznać, że Naomi prezentuje się przed publicznością doskonale, jak prawdziwa profesjonalistka. Zaprosiła pisarkę do stolika, na którym leżały gotowe do podpisu książki, pomogła jej zająć miejsce, zaproponowała kawę i smakołyki serwowane w kawiarence.

Skutecznie, fachowo, ale nie bezosobowo, skomentował w myślach jej zachowanie. I choć bardzo się starał, nie mógł się oprzeć pokusie, by nie spojrzeć na nią okiem mężczyzny. W ciemnozielonym kostiumie i krótkiej spódniczce wyglądała naprawdę pociągająco. Wiele uroku dodawała jej też prosta fryzura.

Jan pokręcił głową. Wiedział, że nie powinien tak na nią patrzeć. W końcu sam zdecydował, że trzeba dać dziewczynie więcej czasu, oswoić ją, przygotować na chwilę, która i tak była nieunikniona. Właściwie sam nie wiedział, po co tak naprawdę zajrzał do księgarni. Wiedział przecież, że Naomi będzie zajęta. W pierwszej chwili zamierzał pójść po pracy prosto do domu, ale pokusa, żeby popatrzeć na nią choćby przez moment, okazała się zbyt silna. Był zły na siebie, że zachowuje się jak zakochany szczeniak.

Patrzył z niechęcią na czytelników ustawionych w długiej kolejce po autograf. Wiedział, że Naomi nie podejdzie do niego wcześniej niż za godzinę. Nie pozostało mu nic innego, jak pójść do domu... albo pokręcić się między regałami. Z dwojga złego wybrał to drugie.

Naomi cały czas obserwowała go kątem oka. Widziała, jak odwrócił się i ruszył w stronę książek. Gdy tylko straciła go z oczu, opuściła ją cała energia, szybko jednak wzięła się w garść. Nie było sensu się oszukiwać - Jan przyszedł do księgarni wyłącznie jako klient. Znajdzie książkę, której szuka, a potem pójdzie w swoją stronę. Nie mogła tego zmienić. Była zresztą zajęta.

Minęła już dziewiąta, gdy tłum czytelników zaczął powoli rzednąć. Naomi nie mogła oprzeć się refleksji, że przygotowanie spotkania, które trwało niespełna dwie godziny, zajęło jej pracownikom ponad czterdzieści godzin wytężonej pracy. Na szczęście było warto, pomyślała pokrzepiona, odprowadzając wdzięcznego gościa do drzwi.

Kiedy Shelly Goldsmith rozpląnęła się w wieczornym mroku ruchliwej ulicy, Naomi westchnęła głęboko. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko cichego miejsca, gdzie mogłaby usiąść i odpocząć w samotności.

- Świetnie ci poszło - pochwalił ją Jan, który ponownie wyrósł przed nią jak spod ziemi. A więc zaczekał do końca! Nie tracił widać czasu, o czym dobitnie świadczyła okazałych rozmiarów firmowa torba wypchana książkami.

- Nie wiedziałam, że wciąż tu jesteś - przyznała Naomi. Nie była pewna, czy cieszyć się tym, czy też martwić.

- Miło spędziłem czas. Jak tak dalej pójdzie, będę musiał pomyśleć o dodatkowych półkach w mojej bibliotece.

- Dziękuję w imieniu firmy za dokonanie zakupów w naszym sklepie - wyrecytowała.

- Polecamy się na przyszłość. A tak na marginesie, znalazłeś wszystko, czego szukałeś?

Znalazłem ciebie, to najważniejsze, miał ochotę powiedzieć, zamiast tego uśmiechnął się tylko i stwierdził:

- Owszem, wszystko. Poza tym wykonałem za ciebie trochę brudnej roboty.

- Jakiej znowu brudnej roboty?

- No dobrze, powiedzmy, że szpiegowskiej - roześmiał się na widok jej miny. - Kręciłem się po sklepie i podsłuchiwałem, co mówią klienci. Muszę powiedzieć, że usłyszałem wiele pochlebnych opinii.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To świetnie! Mieliśmy nosa!

Błysk radości w jej oczach wynagrodził mu godzinę, którą z konieczności spędził na przeglądaniu książek.

- Skończyłaś na dziś? - zapytał, patrząc na nią z nieskrywaną nadzieją.

- Na szczęście tak - westchnęła z ulgą.

- Czy mogę w takim razie zaprosić cię na filiżankę doskonałej kawy Brightstone'ów? - Zauważył, że się waha, i zrozumiał, że wrodzona nieufność walczy w niej z pokusą. Postanowił jednak kuć żelazo póki gorące. - Szczerze mówiąc, chciałbym ci pokazać, jakich

zmian dokonaliśmy z mężem Laury w projekcie biblioteki. Zdaje się, że teraz mam dokładnie to, o co mi chodziło.

- Dobrze, z przyjemnością zobaczę - powiedziała po chwili. - Chcesz pójść na górę, do mojego gabinetu?

I znowu zostać z tobą sam na sam? Nie, to zbyt niebezpieczne, pomyślał.

- Może lepiej posiedzimy w kawiarni?

- Zgoda - przytaknęła skwapliwie. - Ale kawę ja stawiam. Tyle mogę zrobić dla tak dobrego klienta.

Ruszyła przodem, oglądając się dyskretnie, czy idzie za nią.

- Zmęczona? - spytał, kiedy usadowili się wreszcie przy miniaturowym stoliku.

- Niespecjalnie. Pod tym względem jestem nietypowa. Praca rzadko mnie męczy. Wiesz, że dzisiaj po raz pierwszy zatwierdzałam budżet na promocję i reklamę nowego projektu? W myślach widziałam już mojego ojca, jak krzywi się i narzeka, że wyrzucam ciężko zarobione pieniądze! - roześmiała się, udając odprężoną.

- Masz chyba dużo swobody w podejmowaniu decyzji?

- Tak. Na szczęście ojciec mi ufa. Krytykuje, ale ufa. Mam nadzieję, że nigdy nie będzie tego żałował.

Cały czas rozglądała się po kawiarence, jakby bala się spojrzeć w twarz swego rozmówcy. Stwierdziła z radością, że prawie wszystkie miejsca są zajęte, a klienci czują się w otoczeniu książek doskonale. Przy najbliższym stoliku kilka młodych kobiet zaśmiewało się do łez, słuchając, jak jedna z nich czyta na głos fragmenty „Piekielnych randek”.

- Wygląda na to, że twoja kawiarenka stała się popularnym miejscem spotkań. - Jan podążył za jej wzrokiem. - Dobrze, że udało nam się znaleźć wolny stolik.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że ludzie tu zaglądają. Jestem wtedy gotowa krzyczeć z radości. To chyba głupie, prawda? - dodała szybko, zaskoczona własną szczerością.

- Wręcz przeciwnie, to normalne. Czujesz, że twoje wysiłki zostały docenione. Widziałem zresztą, jak pracujesz, i mogę z czystym sumieniem pogratulować ci profesjonalizmu.

Sama nie wiedziała, co sprawiło jej większą przyjemność - to, że docenił jej pracę, czy też to, że ją obserwował. Tymczasem Jan kadził jej dalej:

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś była urodzoną właścicielką księgarni. To twoje powołanie. Powinnaś się cieszyć, bo nie każdy ma pracę, którą kocha.

- Chyba masz rację. Pamiętam, że już jako dziecko lubiałam tu przychodzić. Podglądałam ojca przy pracy, snułam się między regałami, patrzyłam, co robią kasjerki. A jakby tego było mało, w domu chciałam bawić się w księgarnię! Moja matka była zrozpaczona.

Uśmiechnęła się ze smutkiem do swoich wspomnień. Wciąż widziała rozczarowanie w oczach matki, która nie mogła pogodzić się z tym, że jej córka w niczym nie przypomina innych dziewczynek. To chyba wtedy mała Naomi zaczęła leczyć swe kompleksy, objadając się bez umiaru słodyczami.

Z zamyślenia wyrwała ją kelnerka, która podeszła do stolika, żeby przyjąć zamówienie.

- Cześć, Tracy. Dużo pracy, co? - zagadnęła ją Naomi.

- Od piątej mamy tu prawdziwy młyn. Co państwu podać?

- Dwa razy cappuccino? - Naomi popatrzyła pytająco na Jana.

- Tak. I coś słodkiego - zaproponował.

- Powinna pani spróbować naszego nowego deseru czekoladowego - wtrąciła kelnerka.

- Nie, Tracy. Wiesz przecież, że nie jadam takich rzeczy.

- Proszę jednak podać ten deser - odezwał się Jan. - Zjemy go na pół - dodał, patrząc Naomi prosto w oczy.

- Sześć tysięcy kalorii w jednej łyżeczce - burknęła.

- Spokojna głowa. Jestem pewien, że przez dzisiejszy wieczór spaliłaś znacznie więcej.

- Nie byłabym taka pewna.

- Powiedz mi lepiej, po kim odziedziczyłaś taką urodę - poprosił, przyglądając się badawczo jej włosom i twarzy.

- Słucham? - spytała, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Chodzi mi o twoją urodę. Masz włosy jak moja matka, bardzo gęste, czarne. Czy w rodzinie Brightstone'ów byli jacyś Indianie?

- Tak, ze strony ojca. A poza tym moja rodzina to prawdziwa mieszanka narodowości i temperamentów.

- Włosi, Francuzi, Anglicy. Ze strony matki Anglicy i Walijczycy.

- Moja matka jest spokrewniona z Komanczami, ale tylko moja siostra odziedziczyła po niej urodę.

- Jest bardzo piękna - westchnęła Naomi z uznaniem.

- Zgadzam się.

- Mam wrażenie, że cała wasza rodzina jest dość niezwykła. Ty jesteś chyba podobny do ojca, przynajmniej tak wynika ze zdjęć, które widziałam w gazetach. Pewnego dnia staniesz się interesującym połączeniem statecznego kongresmana i Przystojniaka z Harvardu.

- Roześmiała się na widok jego kwaśnej miny.

- Przepraszam, to było głupie - powiedziała szybko. W żadnym wypadku nie chciała sprawiać mu przykrości.

- Dlaczego głupie? Uważasz, że ani ze mnie przystojniak, ani materiał na kongresmana, tak? No, ładnie! Mogłem się tego spodziewać.

- Daj spokój - znów się roześmiała - wiesz przecież, że tak nie myślę.

Jan także się roześmiał, zaraz jednak spoważniał.

- Ten idiotyczny przydomek nigdy do mnie nie pasował. Kiedy zrobili mi to nieszczęsne zdjęcie na jachcie, miałem dwadzieścia parę lat. To idiotyczne - wzruszył ramionami - wystarczy zdjąć koszulę, ktoś robi ci zdjęcie i bach! Do końca życia jesteś zaszufładowany.

- Domyślam się, że to musi być bardzo denerwujące. Fotoreporterzy, całe to zamieszanie, wścibstwo prasy...

- Można się przyzwycząić.

- Wątpię. Od jakiegoś czasu muszę kontaktować się z dziennikarzami. Wiem, że tego wymaga moja praca, że księgarnia potrzebuje promocji, ale nie mogę powiedzieć, by mi to sprawiało wielką przyjemność.

- Bywa - skwitował krótko. - Chcesz spróbować? Nabrał trochę ciasta na widelec i podsunął jej pod nos. Chwyliła smakowity kęs, a potem patrzyła, jak Jan zjada kolejny.

- Rzeczywiście pyszne - pochwalił. - Jak to się nazywa?

- Czekoladowa pokusa.

- Trafna nazwa.

- Być może. Ale musisz jej ulec sam, bo ja już więcej nie chcę - zaprotestowała, kiedy próbował podsunąć jej następną porcję.

- Może jednak? Jeszcze jeden kawałeczek. Za zdrowie mamusi.

Kiedy otworzyła usta i zjadła posłusznie, pomyślał z zadowoleniem, że jednak nie jest taka niezłomna, za jaką chce uchodzić. Wyobraźnia zaczęła mu podsuwać niepokojące obrazy. W porę się opanował i sięgnął do teczki, z której wyjął poprawiony projekt biblioteki.

- Oto nowa wersja, o której ci mówiłem. Jestem ciekaw, co o tym myślisz.

Naomi wyjęła z kieszeni zakietu małe etui z okularami i założyła szkła, sprawiając tym Janowi ogromną przyjemność. Kiedy pochyliła się nad rysunkiem, owionął go zapach jej perfum. Zaszumiało mu w głowie.

- Podoba mi się, słowo daję! Dobrze, że zdecydowałeś się na te przeszklone szafy.

- To była twoja sugestia.

- Nie będziesz żałował. Całość wygląda doskonale. A jak jeszcze dojdzie biurko, fotele i pozostałe meble... I ten kominek w rogu. Ekstra!

Natychmiast wyobraził sobie, jak leżą, on i Naomi, na sofie w jego bibliotece i popijają wino z kryształowych kieliszków. Za oknami hula jesienny wiatr, na kominku trzaska wesoło ogień, a oni...

- Może przychodzą ci do głowy jakies zmiany? - spytał jak gdyby nigdy nic.

- Nie. Uważam, że projekt jest świetny.

- Cieszę się - odparł z uśmiechem. Z trudem oparł się pokusie, by wziąć ją za rękę i pogłaskać. Wiedział jednak, czym to się może skończyć.

Do zamknięcia sklepu zostało piętnaście minut. Naomi zerknęła na zegarek, zaskoczona, że czas minął jej tak szybko.

- Boże, ale się zagadałam. Późno już.

- Masz jeszcze coś do zrobienia?

- Nie. Mogę spokojnie pójść do domu. Na szczęście nie muszę być tu jutro przed południem, więc pośpię sobie dłużej.

- To może poszlibyśmy do kina?

- Teraz? - zdziwiła się.

- A czemu nie? I tak nie zaśnieś po kawie - zauważył, patrząc jej uważnie w oczy. W pierwszej chwili była oszołomiona tą propozycją, ale teraz zdawała się wahać. Jan nie zamierzał dawać za wygraną. - No to jak, jest jakiś film, który chciałabyś zobaczyć, a jeszcze nie widziałaś?

- Czy ja wiem? No dobrze, możemy pójść - zgodziła się wreszcie. - Tylko nie na żaden horror!

- Skąd! - Poderwał się z miejsca i schował do teczki projekt biblioteki. - Mam samochód, więc po filmie odwiozę cię do domu. Zgoda?

- Zgoda. Poczekaj chwilę, muszę coś zabrać z gabinetu.

Odeszła szybko od stolika, a on zadowolony z siebie obserwował, jak kobieta, z którą właśnie umówił się na randkę, wchodzi z wdziękiem po schodach. Pomyślał, że na tak piękną kobietę warto czekać. Byle nie za długo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jan potrafił czekać, zwłaszcza gdy miał pewność, że warto. Wierzył też, że najważniejsze w związku są trwałe podstawy, które należy z mozołem budować.

Przyjął tę metodę również w kontaktach z Naomi. Czerpał ogromną przyjemność z ich spotkań. Sprawiał mu radość każdy dzień, każda godzina, którą udało im się spędzić razem. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że poznaje ją naprawdę. I było to dla niego bardzo cenne.

Panował nad swym temperamentem, choć przychodziło mu to z największym trudem. Musiał zadowolić się platonicznym związkiem, lecz coraz częściej dochodził do wniosku, że jeśli coś się nie zmieni, to zmysły odmówią mu w końcu posłuszeństwa. Czasem miał ochotę wyć z wściekłości i niespełnienia, ale nigdy nie dopuścił do takiej sytuacji, jak podczas pierwszej wizyty Naomi w jego domu - za nic w świecie nie chciał jej znowu przestraszyć. Z upływem czasu coraz częściej dostrzegał, że jest dużo bardziej nieśmiała, wrażliwa i delikatna, niż początkowo przypuszczał.

A ponieważ nie chciał kusić losu, najwięcej czasu spędzali na gruncie neutralnym. Chodzili do kina, na koncerty, długie spacery. Potem, jakby wciąż było im mało, rozmawiali do późna w nocy przez telefon. Nigdy nie brakowało im tematów. Jan czasami kpił z samego siebie, że nie nawiązał równie niewinnego i romantycznego związku od czasu szkoły średniej. Ale też nigdy nie odczuwał tak głębokiej frustracji seksualnej. Kilka razy się zapomniał, Naomi jednak czmychała niczym przerażony królik, on zaś pozostawał sam na sam z wyrzutami sumienia. Dlatego starał się nie ryzykować i nie wystawiać swego ciała na pokuszenie.

Często się zastanawiał, jakie znaczenie ma fakt, że prawdopodobnie będzie pierwszym kochankiem Naomi Brightstone. Nie miał wątpliwości, że taka sytuacja oznacza nie tylko wielką przyjemność, ale i odpowiedzialność. Wiedział, że dla niej będzie to miało ogromne znaczenie, dlatego podchodził do sprawy bardzo poważnie i ostrożnie, jak do wszystkich ważnych kwestii w swoim życiu.

Teraz rozmyślał o tym po raz kolejny, przechadzając się po nowej bibliotece, która prezentowała się doprawdy imponująco. Półki, regały i przeszklone szafy lśniły świeżą politurą, odbijającą promienie słońca. Choć nie wszystko było jeszcze gotowe, Jan miał absolutną pewność, że w nowym domu będzie to jego ulubione miejsce. Z rozkoszą przesuwał

dłonią po idealnie gładkiej powierzchni wiśniowego drewna, wodził wzrokiem po płynnych liniach mebli.

Musiał przyznać, że Patryk doskonale wywiązał się z zadania. Robota była nie tylko bardzo staranna, ale także doskonale przemyślana i po mistrzowsku wykonana. W każdym szczególe widać był rękę doskonałego fachowca. Ciepły odcień drewna kontrastował z rozłożystą sofą i fotelami w kolorze żywego błękitu. Jan bardzo je lubił, pewnie dlatego że to Naomi pomagała mu w wyborze. Były poza tym bardzo wygodne i zachęcały do wypoczynku przy lekturze.

Staął przy drzwiach i jeszcze raz się rozejrzył. Regały, zgodnie z jego życzeniem, miały różną wysokość, dzięki czemu udało się uniknąć monotonii i typowo biurowej anonimowości. Na podłodze, między dwoma wysokimi oknami, stała mosiężna donica z wysokim drzewkiem cytrynowym - prezentem od rodziców. Podeszedł do rośliny i dotknął jej ciemnozielonych, błyszczących liści. W bibliotece znalazły się także inne przedmioty od członków klanu. Na gzymsie kominka stały dwa srebrne kandelabry, które dostał od dziadków. Pomiędzy nimi wspaniale prezentowała się porcelanowa waza z bukietem kwiatów z przydomowego ogrodu. Przyszło mu do głowy, że ten pokój nosi wyraźne piętno jego osobowości, ale także ludzi, których kochał i którzy byli mu szczególnie bliscy. Naomi zaliczała się do nich.

Usiadł w fotelu i znużonym ruchem przesunął palcami po włosach. Myśl o Naomi nie dawała mu spokoju. Cały czas miał przed oczami jej twarz. Kojarzyła mu się dosłownie ze wszystkim. Jeśli w ciągu dnia wydarzyło się coś szczególnie interesującego, natychmiast przychodziło mu do głowy, żeby jej o tym opowiedzieć. Wreszcie pewnego dnia pojął, że stało się nieuniknione - zakochał się.

Było to uczucie głębokie i poważne, niepodobne do niczego, co przeżył do tej pory z innymi kobietami. Podejrzewał, że była to miłość od pierwszego wejrzenia, choć początkowo brał ją za zwykłą fascynację. Kiedy jednak zrozumiał, że to coś zupełnie innego, poczuł się szczęśliwy. Zawsze bowiem wierzył w wielkie uczucie i w przeznaczenie, w istnienie kobiety, która jest mu pisana. Zawsze jej szukał, nawet w czasie beztrudnych, studenckich lat. Mógł zmieniać dziewczyny jak rękawiczki, flirtować z nimi i kochać się do upadłego, wiedział jednak, że przyjdzie chwila, gdy spotka swoją miłość i pozostanie jej wierny na wieki.

Niepokojące myśli nie pozwalały mu długo usiedzieć w jednym miejscu. Zerwał się z fotela i znów zaczął krążyć po pokoju. Doskonale wiedział, że jest jeszcze zbyt wcześnie, by powiedzieć Naomi o swych uczuciach. Nie była jeszcze gotowa. Podejrzewał też, że gdyby

powiedział jej, że ją kocha, na pewno poszłaby z nim do łóżka. Potem już bez problemu namówiłby ją do małżeństwa, a ona, oczywiście, zgodziłaby się. Pytanie tylko, czy i ona tego pragnęła.

Nie miał zielonego pojęcia, co Naomi naprawdę czuje. Nie wiedział, czym jest dla niej ich związek. Dlatego pod żadnym pozorem nie mógł wywierać na niej presji. Jeśli mieli być razem, decyzja musiała wyjść od niej.

Naomi nie bardzo wiedziała, na czym właściwie ma polegać jej rola. Mimo to odnalazła adres zapisany przez Julię na żółtej karteczce i trochę speszona perspektywą spotkania z nieznanymi osobami, zaparkowała samochód przed wspaniałym domem z czerwonej cegły. Wyłączyła silnik i siedziała przez chwilę za kierownicą. Myślała o tym, że wolałaby spędzić ten dzień z Janem. Chciała być tam, gdzie on, robić to, co on, dzielić z nim każdą chwilę. Zwłaszcza w dniu, kiedy miał urządzić bibliotekę. Zgromadził już książki, które razem wybrali, i miał ustawić je na półkach i regałach. Zaproponował Naomi, żeby mu w tym pomogła, ona jednak parę dni wcześniej przyjęła zaproszenie Julii na „babskie posiedzenie”. Mogła się właściwie wykręcić pod byle pretekstem, ale nie chciała tego robić. Polubiła Julię i nie chciała jej oszukiwać.

Doszła do wniosku, że nie ma sensu siedzieć dłużej w samochodzie. Tym bardziej że po raz pierwszy w życiu miała wziąć udział w podobnym spotkaniu. Oczywiście, gdy była nastolatką, jej koleżanki urządziły „dziewczyńskie imprezy”. Ona jednak nigdy nie brała w nich udziału. Trzymała się na uboczu, zbyt nieśmiała, by uczestniczyć w takich szaleństwach.

Uśmiechnęła się smutno do swoich wspomnień, po czym sięgnęła na tylne siedzenie po pudełko z ciastkami. Kiedy wyszła z auta, owionął ją intensywny zapach, tak charakterystyczny dla wczesnej jesieni. Wystawiła twarz na pieszczotę popołudniowego słońca, przeciągając się jak kotka, po czym ruszyła niespiesznie w stronę drzwi. Pocieszała się w myślach, że przecież jej nie zjedzą. Po chwili zapukała i obciągnęła nerwowo czerwony sweter. Julia mówiła, że należy założyć „strój nieobowiązkowy”.

- Witaj! - zawołała na jej widok uradowana Julia i wciągnęła ją bez zwłoki do środka.
- Co masz w tym pudełku?
- Ciastka czekoladowe.
- Wspaniale! Przyjechałaś w samą porę. Właśnie położyliśmy dzieciaki do łóżek.
- Szkoda. Miałam nadzieję, że zobaczę Travisa.
- Zobaczysz, zobaczysz, spokojna głowa. Ani on, ani Daniel, syn Laury, nie śpią zbyt długo - zapewniła ją Julia, prowadząc do pięknie urządzonego, stylowego salonu, gdzie na środku podłogi rozsiadła się Laura z miską chipsów na kolanach.

- Znacie się, prawda? - spytała Julia.

- Spotkałyśmy się raz w kancelarii. - Laura wyciągnęła rękę do Naomi. - Fajnie, że przyszedłaś. Co tam masz?

- Ciastka czekoladowe.

- O rany! Dawaj je szybko!

- Nie bądź taka łakoma! W końcu to ja jestem w ciąży, nie ty! - upomniała kuzynkę Julia, która przestraszyła się nie na żarty, że ta gotowa jest zjeść wszystko sama.

- A skąd wiesz? Może ja też zostanę mamą.

- Poważnie? - odezwała się z sofy delikatna blondynka, która do tej pory przysłuchiwała się tej rozmowie bez słowa, malując najspokojniej w świecie paznokcie. - Który miesiąc?

- Co ty! Żartuję. Naomi, poznaj Amelię, trzecią z naszej paczki - dokonała prezentacji Laura.

- Cześć, Naomi. Przepraszam, że nie podaję ręki, ale sama rozumiesz...

- Jasne. Bardzo mi miło.

- Mnie również. Dużo o tobie słyszałam. Często zaglądam do twojej księgi.

- Cieszę się.

- Mój mąż, Branson, będzie miał tam wieczór autorski.

- Branson Maguire? Uwielbiam jego książki. - Naomi popatrzyła na nią z zachwytem. Na samo wspomnienie słynnego pisarza zaśmiały jej oczy. - Mam je wszystkie, oczywiście z autografem.

- A wiesz, że Amelia była pierwowzorem bohaterki jego ostatniej powieści? - wtrąciła Julia.

- *Niezupełnie - zaprotestowała Amelia. - Nie mam nic wspólnego z psychopatyczną stroną osobowości tamtej pani doktor.*

Kuzynki roześmiały się zgodnym chórem i zaczęły dokuczać Amelii, mówiąc, że jej psychoza objawia się po prostu inaczej.

Po godzinie spędzonej z Julią, Amelią i Laurą Naomi czuła, że od nadmiaru kofeiny kręci jej się w głowie. Pochłonęła też, jak na siebie, mnóstwo słodczy i miała teraz lekkie mdłości. Nie mówiąc już o tym, że bolał ją brzuch od nieustannego śmiechu. Gdy leżała na miękkim dywanie, przysłuchując się wesołej paplaninie trzech sióstr, nie mogła oprzeć się refleksji, że kiedyś taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia. Dawna Naomi nigdy nie pozwoliłaby sobie na zbyt dużą swobodę i bliski kontakt z obcymi osobami. I nigdy nie

pochłonęłaby całej góry ciastek. Na szczęście nowa Naomi uczyła się szybko, jak korzystać z uroków życia.

- Pycha! - westchnęła Julia, zlizując resztki czekolady z palców. - Wiesz, Amelio, musisz koniecznie zobaczyć nową bibliotekę Jana. Jest na co popatrzeć.

- To prawda - przytaknęła entuzjastycznie Laura.

- Patryk odwalił kawał dobrej roboty.

- Nie zapominaj o mnie! W końcu to ja pomogłam mu zaprojektować całość - domagała się uznania Julia.

- No i Naomi miała co nieco do powiedzenia.

- Nie tak znowu wiele. Jan sam doskonale wiedział, czego chce - odparła skromnie Naomi.

- A ustawił już książki? - dopytywała się Julia.

- Robi to dzisiaj.

- A jak tam... wasze sprawy?

- Dobrze. Myślę, że udało nam się zaprzyjaźnić.

- Zaprzyjaźnić! - parsknęła Laura. - Przyjaciele nie patrzą na siebie tak jak wy. Znam mojego braciszka. Ostatnim razem wyglądał tak, jakby chciał się na ciebie rzucić!

- Bez przesady. - Naomi czuła, że rozmowa schodzi na niebezpieczny tor. - Możesz mi wierzyć, że Jan nie myśli o mnie w taki sposób.

- Od kiedy? I w jaki sposób?

Naomi odruchowo sięgnęła po kawałek czekolady.

- Być może kiedyś miał ochotę na romans ze mną, ale to już nieaktualne. Jestem tego pewna.

- Akurat!

- Chwileczkę. - Julia podniosła obie dłonie, jakby próbowała rozdzielić zwaśnione strony. - Posłuchaj, Naomi, myślę, że jesteśmy przyjaciółkami. A zatem możemy mówić otwarcie, prawda? - spytała i nie czekając na odpowiedź, stwierdziła: - To dobrze. Powiedz mi, czy ty do reszty straciłaś rozum?

- Ale... ja naprawdę nie wiem, o czym wy mówicie.

- O tym, że nasz braciszek oszalał na twoim punkcie. Jest beznadziejnie zakochany. Możesz z nim robić, co chcesz, bo pójdzie za tobą nawet w ogień. Prawda, Amelio? Przecież znasz Jana.

- Pewnie. Znam i kocham jak rodzonego brata.

- Studiowałaś medycynę - kontynuowała Julia. - Jak byś w takim razie określiła chorobę, na którą cierpi nasz Przystojniak? Co może dolegać facetowi, który cały swój wolny czas spędza z jedną kobietą, a gdy jest sam, to bez przerwy o niej mówi? Nie wspominając już o tym, że popada ciągle w głębokie zamyślenie. W dodatku gotuje pyszne kolacyjki dla dwojga!

- No cóż - zastanawiała się z poważną miną Amelia. - Medycyna zna oczywiście takie przypadki. Mogę więc śmiało powiedzieć, że facetowi, który ma takie objawy, po prostu... kompletnie odbiło. Ta choroba nazywa się miłość i nie ma na nią, niestety, żadnego lekarstwa.

- Widzisz? - Julia wymierzyła palec w osłupiałą Naomi.

- Mało tego. W biurze też jest ciągle nieprzytomny i nie sposób się z nim dogadać - wtrąciła trzy grosze Laura. - Sama słyszałam, jak w zeszłym tygodniu mówił sekretarce, żeby nie łączyła żadnych rozmów. „Chyba że zadzwoni panna Brightstone...”

- Tak - skinęła głową Amelia. - To tylko potwierdza moją tezę, że biedaczysko zapadł na nieuleczalną chorobę, wobec której medycyna jest bezradna.

Kuzynki wybuchnęły zgodnym śmiechem.

- Wcale tak nie jest! - zaprotestowała Naomi. - Uwierzcie mi, Jan traktuje mnie jak siostrę!

- Tym gorzej dla niego. Kaziroddstwo jest w tym kraju karalne - stwierdziła Laura i znowu wszystkie trzy zaniósł się od śmiechu.

- A dlaczego uważasz, że traktuje cię jak siostrę? - zainteresowała się Amelia.

- Bo... - Naomi nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wciąż nie była pewna, czy w tym gronie może pozwolić sobie na szczerość, ale postanowiła zaryzykować. - Zanim mu powiedziałam, że nie mam pojęcia o seksie, było zupełnie inaczej. Za to teraz w ogóle się do mnie nie zbliża. Czasem tylko cmoknie mnie w policzek. Spojrzy na mnie czasem takim wzrokiem, że przechodzą mnie ciarki, ale to wszystko.

- Boże! - wykrzyknęła Laura i aż zakrztusiła się czekoladą.

- Co ci się stało? - spytała zaniepokojona Amelia.

- Nic! - wykrztusiła Laura. - Mój biedny brat! Naomi wstała z podłogi. Czuli się głupio, patrząc na kuzynki, które ogarnął tym razem spazmatyczny, niepohamowany śmiech. Pożałowała swojej szczerości. Odkryła się przed nimi, a one wykpiły jej naiwność i brak doświadczenia.

- Boże, przepraszam! - Laura zdała sobie sprawę, że sprawiły jej przykrość, i próbowała ratować sytuację. Przycisnęła dłonie do twarzy i zaczęła ocierać łzy. Niestety,

złapał ją kolejny atak śmiechu, więc tylko skinęła głową na Amelię, by ta wytłumaczyła Naomi, o co chodzi.

- Nie gniewaj się na nas. Wiem, że to nie jest specjalnie zabawne, ani dla ciebie, ani dla Jana. Jednak z naszej perspektywy cała sprawa wygląda zupełnie inaczej. Jan musi teraz cierpieć prawdziwe katusze - tłumaczyła Amelia.

- Jak to?

- Po prostu. On się ciebie boi.

- To bez sensu.

- Wcale nie. - Amelia położyła dłoń na ramieniu Naomi. - Uwierz mi. Mówię to z własnego doświadczenia. Jan nie chce ci się narzucać, nie chce cię do niczego zmuszać. Dlatego czeka. Boi się zrobić fałszywy krok, bo wie, że mogłabyś się spłoszyć, a on za nic w świecie nie chciałby cię skrzywdzić. Dlatego traktuje cię po bratersku, choć na pewno nie jest mu łatwo. Jan umie być bardzo cierpliwy, dlatego czeka, aż ty zrobisz pierwszy ruch. Daje ci czas do namysłu, bo chce, żebyś dobrze rozeznała się we własnych odczuciach. Tak zresztą powinno być.

Naomi słuchała w milczeniu.

- Jesteś tego pewna? - spytała wreszcie.

- Absolutnie.

- A ja sądziłam, że on po prostu przestał się mną interesować. Że szkoda mu czasu na jakąś dziewczinę.

- Nawet tak nie myśl! - zaprotestowała gwałtownie Laura. - Znam dobrze mojego brata i wiem, że nigdy w życiu nie ciągnąłby kobiety do łóżka siłą. Im bardziej mu na tobie zależy, tym jest ostrożniejszy. Uwierz mi. Wiem, co mówię - zapewniła, ściskając rękę Naomi.

- Więc naprawdę myślicie, że on... - Naomi nie dokończyła. Na jej zaróżowionej twarzy pojawił się nagle błogi uśmiech.

- Oho, doktor Maguire, ma pani kolejny beznadziejny przypadek. To już chyba epidemia - zawołała Julia, spoglądając wymownie w sufit.

Było już ciemno, gdy Naomi zatrzymała się pod domem Jana. Wysokie okna rzucały blask, który rozjaśniał mrok w ogrodzie. Wysiadła i przez chwilę zastanawiała się, czy powinna wejść do środka. Próbowwała odgadnąć, co robi Jan. Czy wciąż układa książki w bibliotece? A może czeka na jej telefon? Czy spodziewa się jej? A jeśli w ogóle nie ma ochoty jej widzieć? Może zresztą wcale nie jest sam? Może jego kuzynki nie mają racji i wcale nie jest w niej zakochany?

W jej głowie kłębiło się od pytań. Czuła, jak opuszcza ją odwaga. Wsiadła z powrotem do samochodu i położyła dłonie na kierownicy.

Jan na pewno nie jest sam! Niby dlaczego taki atrakcyjny mężczyzna miałby spędzać samotnie wieczory w pustym domu? Na jedno jego skinienie znalazłoby się wiele kobiet, gotowych umilić mu czas. Pięknych, inteligentnych i doświadczonych. Po co mu taka gęś jak ona?

- Przestań tak myśleć - nakazała sobie surowo, 'uderzając z całych sił w kierownicę. Tak właśnie rozumowała dawna, zakompleksiona Naomi, z którą przecież postanowiła rozstać się raz na zawsze. - Tamtej dziewczyny już nie ma, rozumiesz? - powiedziała do siebie głośno. - Nie ma i nigdy nie będzie! Chyba nie pozwolisz sobie zniszczyć tego, co z takim trudem osiągnęłaś!

Wysiadła z samochodu. Wydawało jej się, że bijące z okien jasne strugi światła wabią ją swym blaskiem. Wciąż tkwiła jednak w miejscu, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Jeszcze raz powtórzyła sobie, że jest już kimś zupełnie innym. Być może proces przemiany jeszcze się nie zakończył, ale powinna cieszyć się i korzystać z tego, co już osiągnęła. Wiedziała przecież, że przy odrobinie wysiłku może stać się atrakcyjną kobietą. Potrafi ciekawie mówić, z powodzeniem prowadzi rodzinną firmę. Ludzie jej słuchają, darzą szacunkiem. Nikt nie uważa jej za pożałowania godną, nieszczęśliwą istotę, która nie umie zliczyć do trzech. Czyż nie zasługuje na zainteresowanie Jana? Przecież zaskarbiła sobie przyjaźń trzech niezwykłych kobiet, jego sióstr. Same jej powiedziały, że nie jest mu obojętna. Dlaczego miałyby im nie wierzyć? Po co miałyby kłamać?

- Dobrze, już dobrze. Idziemy - szepnęła. Odetchnęła jeszcze głęboko parę razy i ruszyła w stronę domu. Stojąc pod drzwiami, poczuła, że brakuje jej powietrza. - Za dużo kawy! - stwierdziła szybko i nacisnęła dzwonek.

Po chwili na progu ukazał się Jan. Miał na sobie znoszone dzinsy i granatowy podkoszulek. Był boso. Przez chwilę patrzył na nią zdumiony, lecz jego twarz szybko rozjaśnił przyjazny uśmiech. Naomi poczuła się trochę pewniej.

- Cześć! Nie sądziłem, że cię dzisiaj zobaczę!

- Tak, wiem... powinnam była zadzwonić i uprzedzić cię, ale trochę zasiedziałam się u Julii, więc...

- Ach, uczestniczyłaś w słynnym babskim zlocie - roześmiał się i bez pytania wciągnął ją do środka.

- Wiem, że moje kuzynki spotykają się co jakiś czas, ale naprawdę nie mam pojęcia, co można robić podczas takiego sabatu czarownic.

- Jak to co? Malować paznokcie, jeść czekoladę... Gadać o facetach.

- Tak? To faktycznie bardzo ciekawe. No i? Do jakich wniosków doszłyście?

- Czy ja wiem... Słuchaj, Jan, mogę się napić? - zapytała nieoczekiwanie. - Mam na myśli coś mocniejszego.

- Jasne. W bibliotece jest butelka wina. Przy okazji zobaczysz, co dziś zwojowałem.

Kiedy szli na górę, nie spuszczał z niej wzroku. Wyglądała tak pięknie. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy, a włosy wspaniale kontrastowały z ognistą czerwienią luźnego sweterka.

- Siedziałem w bibliotece przez cały dzień. Tak mnie to wciągnęło, że nie mogłem się oderwać - powiedział, kiedy stanęli pod drzwiami. - A teraz zamknij oczy i nie patrz.

Posłusznie wykonała polecenie, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go pociąga. Dopiero po chwili odważył się dotknąć delikatnie jej ramienia.

- Możesz już spojrzeć - powiedział cicho i wprowadził ją do biblioteki.

To, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Obróciła się kilka razy w miejscu, chcąc wszystko dokładnie obejrzeć. Regały, obciążone równymi rzędami książek, prezentowały się wspaniale. Barwne grzbiety obwolot sąsiadowały ze skórą i wytartymi złoceniami zabytkowych egzemplarzy.

- Przepięknie! - Złożyła z zachwytem w dłonie.

- Cieszę się, że ci się podoba. Próbowałem sobie wyobrazić to miejsce, gdy ty w nim będziesz.

- Ja?

- Tak. Pasujesz do niego, Naomi.

Spojrzała mu prosto w oczy i niemal w tej samej chwili ścisnął go ból pożądania. Jan poczuł, że jeszcze chwila, a nie będzie w stanie zapanować nad sobą. Na szczęście przypomniał sobie o winie.

- Widzisz, zupełnie zapomniałem, że chciałaś się napić.

Podszedł do niskiego stolika, na którym stała otwarta butelka. Napełnił trzy czwarte kieliszka i podszedł do niej z uśmiechem.

Jednak twarz Naomi była poważna, oczy również. Wiedziała, że nadeszła decydująca chwila. Albo teraz, albo nigdy, pomyślała. Zebrała się na odwagę i bez zbędnych wstępów spytała:

- Czy nadal masz ochotę pójść ze mną do łóżka?

- Co?! - Zawartość kieliszka wylądowała na granatowym podkoszulku.

- Wiem, że zabrzmiało to dość obcesowo, ale nie miałam pojęcia, jak to powiedzieć - wyjaśniła Naomi. - Jestem po prostu ciekawa, czy wciąż ci się podobam. Chodzi mi o to... czy jesteś mną zainteresowany. Jeśli nie, to mi powiedz, zrozumiem. Ale jeżeli boisz się mnie dotknąć tylko dlatego, że nie mam doświadczenia, to... to nie musisz mieć żadnych oporów. Nie chcę, żebyś był taki ostrożny i delikatny - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Jan patrzył na nią bez słowa. Po raz pierwszy w życiu był tak zaskoczony, że zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Przez jego głowę jak błyskawica przebiegła myśl, czy aby na pewno wybrał odpowiedni dla siebie zawód. Prawnik, któremu z wrażenia odbiera mowę, nie ma na sali sądowej większych szans.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dlaczego nic nie mówisz? - spytała Naomi, nie mogąc dłużej znieść pełnej napięcia ciszy.

- A jak ci się wydaje? - odparł i odstawił butelkę. - Czy dobrze cię zrozumiałem? Chcesz, żebym był bardziej zdecydowany?

- Chcę.

- I żebym cię dotykał?

- Tak, jeśli nadal masz ochotę... - umilkła, nie bardzo wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

Tym bardziej że Jan nie ułatwiał jej zadania. Nie mówił zbyt wiele. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał ją zahipnotyzować. Wprawdzie zdołał już nieco ochłonać, ale zaschło mu w gardle. Patrzył na Naomi i wciąż nie mógł uwierzyć, że oto stoi przed nim kobieta, której pragnął jak szalony, i otwarcie ofiarowuje mu swoje ciało. Na myśl, że będzie jej pierwszym mężczyzną, poczuł ucisk w krtani. Podszedł do niej i powiedział z uśmiechem:

- Proszę, by świadek udzielił jednoznacznej odpowiedzi na moje pytanie. Czy świadek chce, żebym trzymał od niego ręce z daleka? Tak czy nie?

- Nie - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Dzięki Bogu! - zawołał z ulgą. Potem objął ją i pocałował z czułością. - Czy pojmujesz teraz, jak bardzo cię pragnę? - szeptał, wodząc ustami po jej rozpalonej szyi.

- Tak - przytuliła się do niego całym ciałem. - Teraz pojmuję.

- To dobrze. Boże, o mało nie oszalałem! - wyznał, pociągając ją w stronę drzwi. - Myślałem, że umrę, że spalę się w oczekiwaniu!

- A ja myślałam, że chcesz się ze mną tylko przyjaźnić.

- Przecież się przyjaźnimy. Co nie znaczy, że mi to wystarcza!

Zaprowadził ją do sypialni. Kiedy znaleźli się w przytulnym, jasno oświetlonym pokoju, poczuła się zakłopotana.

- Zupełnie nie wiem, co robić - wyznała bezradnie.

- Nie myśl o tym. Zaufaj mi. Nie zrobię niczego, na co nie miałabyś ochoty. A jeśli będziesz chciała, żebym przestał, po prostu powiedz.

- Nie powiem - szepnęła. - Wiem, po co tu przyszłam.

Zbliżył się do niej ostrożnie, by nie spłoszyć jej jakimś gwałtownym ruchem. Postanowił nie gasić światła. Żałował, że nie napalił w kominku, ale nie miał zamiaru teraz się tym zajmować. Zbyt długo czekał na tę chwilę. Zbyt silna była jego namiętność.

Zatrzymał się przed nią na wyciągnięcie ramion i zajął głęboko w szare oczy. Dostrzegł w nich zaufanie, które tak bardzo pragnął zdobyć. Przysiągł sobie w myślach, że nigdy go nie nadużyje ani nie zawiedzie. Dopiero po chwili przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Kocham twoje usta - mówił. - Nie domyślasz się nawet, jakie są słodkie, jakie pociągające.

Naomi otworzyła oczy i zamruwała bezradnie powiekami. Jej zaskoczenie trochę go rozbawiło.

- Jesteś zdziwiona? Och, moja piękna Naomi, nie wiesz nawet, jak długo czekałem na tę chwilę.

Namiętność, z jaką pieścił jej usta, była najbardziej wymownym potwierdzeniem jego słów. Rozkoszował się smakiem pełnych warg Naomi, drażnił je, muskał, przygryzał zrazu lekko, potem mocniej, coraz bardziej niecierpliwy i spragniony. Z początku oddawała pocałunki nieśmiało, trochę niepewnie, jednak z czasem i ona poddała się sile swego pragnienia. Przytuliła się do Jana, wzdychając z ulgą, otoczyła jego szyję ramionami. Teraz ona zaczęła go całować, coraz mocniej, coraz goręcej. Jan wystraszył się, że wszystko to dzieje się zbyt szybko i oderwał się od niej na moment.

Drżącymi palcami zaczął rozplatać jej gęsty warkocz. Chciał poczuć w dłoniach gładkość jej włosów, pragnął wdychać ich zapach, zanurzyć w nich twarz. Owinął gęste pasma wokół palców, dotykał ich ustami, delikatnie całował drobny meszek na skroniach. W końcu odgarnął włosy z twarzy Naomi i ucałował jej czoło. Jego dłonie powędrowały w dół. Lekko podciągnął brzeg czerwonego sweterka, a gdy usiłowała okryć nim odsłonięty brzuch, nie pozwolił jej na to. Kiedy poczuła, jak jego palce zaczynają dotykać jej piersi, wstrzymała przerażona oddech. Instynktownie zacisnęła pięści i zamknęła oczy. Zrobiło jej się tak gorąco, że dopiero po chwili odzyskała nad sobą panowanie. Ale żywił już pociągnął ją za sobą. Przełamała nieśmiałość, ściągnęła z niego podkoszulek i spojrzała z zachwytem na nagi tors.

- Boże! - westchnęła, ujrawszy piękne, gładkie ciało. Kierowana instynktem, uniosła dłonie i położyła na jego piersi, czując pod palcami odurzające ciepło skóry. Poczuła też pod nimi nagły dreszcz, cofnęła więc wystraszona ręce, ale wówczas Jan roześmiał się i przycisnął je z powrotem do siebie.

- Nie bój się - szepnął jej do ucha. - I... zdejmij buty.

- Co?

- Buty... Zdejmij je.

Zrobiła, co kazał. Była tak zafascynowana jego bliskością, że zapomniała o obawie, wstydzie i strachu. Drgnęła dopiero wtedy, gdy poczuła, że rozpina jej spodnie.

- Spokojnie, Naomi. - Znieruchomiał na chwilę, potem znów zaczął czule ją pieścić. Jego usta potrafiły czynić cuda, pozwoliła więc rozebrać się i położyć na łóżku. Poczwała żar bijący od jego ciała i chłód miękkiej pościeli. Sprawilo jej to przyjemność, pomogło się rozluźnić. Z niecierpliwością czekała, aż dłonie Jana powędrują wzdłuż jej nagiego ciała. I powędrowały.

Każdy miękki, pieszczotliwy dotyk budził w niej nowe, zupełnie nieznanne uczucie. Chciała się na nim skoncentrować, ale było nieuchwytne. Rodziło się w dole brzucha, zalewało ją niepowstrzymaną falą, lecz po chwili gdzieś się rozplýwało i musiała cierpliwie czekać, aż powróci. Na szczęście usta i dłonie Jana potrafiły je rozbudzać z zadziwiającą łatwością.

Jan również był zadziwiony. Nigdy dotąd nie kochał się z kobietą w taki sposób. Pochłaniało go całkowicie pragnienie, żeby dać jej jak największą rozkosz. Chciał, żeby jej cudne ciało otworzyło się na nowe doznania, pojęło, jak dawać i odwzajemniać miłość. Czuł ją pod sobą, sprężystą i miękką jednocześnie. Wyginała się, gdy dotykał jej pełnych piersi i pieścił stwardniałe sutki, by po chwili zapaść się miękko i wtulić w jego ramiona. W pewnej chwili usłyszał, jak pyta go drżącym głosem, co ma teraz robić. Wyszepał w jej rozchylone usta, żeby dała się ponieść, żeby nie walczyła z własnym ciałem, a słuchała tylko tego, co podpowiada jej instynkt.

Kiedy całował jej piersi, przyciągnęła do siebie jego głowę. Czuła na całym ciele niecierpliwie dłonie kochanka. Dotykały jej ramion, bioder, ud. Gorące usta zostawiały na skórze mokry ślad. Wreszcie delikatnie rozsunął jej nogi i wszedł w nią ruchem ostrożnym, lecz płynnym i pewnym.

Ciałem Naomi wstrząsnął silny dreszcz. Jan zastygł nagle i trwał chwilę w bezruchu, a odważył się poruszyć dopiero wtedy, gdy ciało dziewczyny rozluźniło się i odprężyło. Przyjęła go w sobie, położyła dłonie na jego plecach, a wówczas westchnął z rozkoszą i zaczął napierać na nią miękko biodrami.

A potem ogarnął ich szal. Naomi miotala się pod nim, prężyła, próbowała wygiąć w łuk. Powtarzała nieprzytomnie jego imię i szeptała, że chce poczuć to mocniej, znowu, że chce czuć tę cudowną słodycz bez końca. On zaś czekał. Pokrywał jej piersi, ramiona i usta tysiącem gwałtownych pocałunków, powstrzymywał eksplozję rozkoszy, czekając na najwłaściwszy moment. I gdy zastygła wreszcie pod nim w całkowitym bezruchu, naparł na nią silniej i poruszył gwałtowniej biodrami, by po chwili usłyszeć stłumiony, gwałtowny krzyk ukochanej. Krzyk radości i spełnienia. Krzyk szczęścia.

Naomi leżała wtulona w jego ramionach, a jej ciałem wciąż wstrząsały delikatne dreszcze. Jan pogłaskał czule jej włosy i zapytał:

- Wszystko w porządku?

- Mhm - mruknęła jak kotka.

- Jak się czujesz?

- Dziwnie. Mam ciężką głowę, jakbym za dużo wypła. - Westchnęła głęboko i przytuliła się do niego mocniej. - Ale czuję się wspaniale. Taka... odprężona, zaspokojona, syta. I w ogóle nie jestem skrupowana, choć tak się tego bałam. Czy robiłam wszystko jak trzeba? - spytała sennie.

- Nie. Mówiąc szczerze, bardzo mnie rozczarowałaś. Chciałbym, żebyś już sobie poszła.

Gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Widząc jednak jego pełen rozbawienia uśmiezek, uspokojona opadła na poduszkę.

- Ale przyznasz, że mogłoby być lepiej. Gdybym miała więcej wprawy...

- Na szczęście nie masz, więc będę mógł udzielić ci jeszcze kilku lekcji. - Pochylił się nad nią i lekko pocałował w usta. - Chcesz jeszcze wina?

- Chcę.

Wstał i nagi poszedł do biblioteki. Naomi udawała, że na niego nie patrzy, a gdy tylko zniknął za drzwiami, gwałtownie przycisnęła rękę do serca, które nagle zaczęło łomotać jak oszalałe. Zamknęła oczy, wciąż nie mogąc pojąć, jakim cudem udało jej się zwrócić na siebie uwagę tak fantastycznego mężczyzny. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach nie sądziła, że jej pierwszy kochanek będzie nie tylko tak atrakcyjny, ale też tak niezwykle czuły. Lepiej nie zastanawiaj się nad tym za długo, napomniała się szybko. Cuda czasem się zdarzają. Po prostu zaakceptuj to i ciesz się, póki trwa twoje szczęście.

Spostrzegła nagle swoją nagość i szybko naciągnęła na siebie prześcieradło. W tym samym momencie na progu stanął Jan. Popatrzył na nią rozbawiony, kręcąc głową, jakby się czemuś dziwił. Potem usiadł na brzegu łóżka i podał jej kieliszek.

- Powiedz mi jedno, Naomi - poprosił. - Jak to się stało, że żaden facet nie miał tyle szczęścia co ja?

- Po prostu żaden się o to nie starał - odpowiedziała, czerwieniąc się po uszy.

- Nie wierzę. Może po prostu nie zauważyłaś, że się starali?

- Nie. Jakoś nie miałam nigdy powodzenia. W tych sprawach zawsze byłam niezaradna.

- Powiedziałbym, że to raczej oni byli niezaradni, skoro żaden nie zdołał wzbudzić twojego zainteresowania. - Niespiesznym ruchem sięgnął do prześcieradła, którym zasłaniała piersi. - Tylko kompletny dureń mógłby przejść obojętnie obok tak wspaniałych kształtów.

- Co ty mówisz! Zawsze, odkąd pamiętam, marzyłam o tym, żeby być wysoka i szczupła. Ale natura zdecydowała inaczej...

- I dobrze. Masz wspaniałe piersi.

- Okropnie cierpiałam z tego powodu.

- Dlaczego?

- Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć. Trzeba być nieśmiałą nastolatką, żeby zrozumieć, co się czuje, kiedy nagle...

- Nastolatka zaczyna zmieniać się w dorosłą, wspaniałą kobietę - dokończył za nią. - Przecież wiesz, że chłopaki mają bzika na tym punkcie. To dla nich prawdziwy cud.

- Przez całe lata robiłam wszystko, żeby ukryć ten cud przed światem.

Wino, które popijała małymi łyčzkami, zaczynało na nią działać. Naomi poczuła się odprężona, zdolna do tego, by śmiać się ze swoich dawnych zgryzot.

- Najgorsze, że wciąż to robisz - dodał Jan i z szelmowskim uśmiechem pociągnął za prześcieradło, które zsunęło jej się do pasa, odsłaniając cud, o którym mówili. - Tak jest dużo lepiej. Uwierz mi. Jeszcze trochę wina?

- Może?

Podciągnęła gwałtownym ruchem prześcieradło i okryła się nim po szyję. Wciąż się wstydziła.

- Powiedz mi, dlaczego się mną zainteresowałeś? - zapytała.

- Bo masz piękne piersi - odparł prostodusznie.

- Co?

- Piękne piersi - powtórzył.

Naomi wybuchnęła śmiechem, ale Jan nie tracił czasu. Jego dłoń już wędrowała ku brzegowi prześcieradła.

- Jak dopijesz, możemy zacząć od nowa - szepnął, muskając wargami jej ucho. - Powiem ci o innych powodach, dla których wpadłaś mi w oko.

- Naprawdę? - Wciąż nie mogła uwierzyć, że znów jej pragnie.

- Tak. I co ty na to?

- Z chęcią. Ale przenieśmy się do biblioteki. Zaskoczony? - spytała, widząc zdziwienie w jego oczach. - Przecież wiesz, że najlepiej czuję się wśród książek.

Usłużna wyobraźnia zaczęła podsuwać mu podniecające obrazy.

- Naomi? - odezwał się podejrzenie stłumionym głosem.

- Tak?

- Pospiesz się z tym winem!

To było cudowne, niepowtarzalne uczucie - leżeć w mroku rozproszonym jedynie blaskiem ognia na kominku, ze śpiącą Naomi Brightstone u boku. Jan miał wrażenie, że śni na jawie. Nie miał żadnych wątpliwości, że wreszcie znalazł kobietę, która jest naturalnym dopełnieniem jego istnienia. To, że stała się częścią jego życia, wydawało mu się jak najbardziej oczywiste. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak spędzają w tym domu kolejne lata. Widział dzieci, które im się urodzą, psa grzejącego się przy kominku. Był pewien, że stworzą szczęśliwą rodzinę, jak jego rodzice. Przez całe życie patrzył na ich związek, który był dla niego ideałem oraz wzorem do naśladowania. Sam czegoś takiego pragnął, a z Naomi miał szansę to osiągnąć.

Musiał tylko uzbroić się w cierpliwość. Do tej pory intuicja go nie zawiodła. Dzięki ostrożności i opanowaniu zdobył jej zaufanie. Przyszła do niego sama, w pełni świadoma swego wyboru. Dzięki temu mogli przeżyć wspaniałe chwile. Rozumiał, że musi dać jej pewien margines swobody, toteż postanowił, że odczeka kilka tygodni, by oswoiła się z nową sytuacją, a dopiero potem zaproponuje mieszkanie pod jednym dachem. Wszystko w swoim czasie, krok po kroku. Tylko w ten sposób mógł osiągnąć zamierzony cel.

Dam ci dość czasu i swobody, piękna Naomi, myślał, przygarniając ją do siebie. A potem będziemy mieli całe życie, żeby nadrobić wszystkie opóźnienia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jan odłożył słuchawkę i lekko zniecierpliwiony wzruszył ramionami. Wrócił do przerwanej pracy, jednak nie mógł skupić się na tekście umowy, którą właśnie przygotowywał. Jego myśli uparcie krążyły wokół rozmowy, którą przed chwilą odbył. Zastanawiał się, jaka przyczyna kazała Danielowi zadzwonić do niego po raz trzeci w ciągu niespełna dwóch tygodni i usilnie namawiać go, żeby przyjechał do Hyannis Port. Owszem, Jan chętnie by to zrobił, zwłaszcza jeśli mógłby zabrać ze sobą Naomi. Obojgu przydałby się krótki wypad nad ocean. Był jednak pewien problem.

Otóż Jan nie miał najmniejszych wątpliwości, co by się stało, gdyby Naomi przypadła do gustu seniorowi rodu. Natychmiast zaczęłyby się niezbyt subtelne aluzje do małżeństwa, rodziny, płodzenia dzieci. Ponieważ nieraz widział dziadka w akcji, wołał oszczędzić Naomi takich doświadczeń i nie stawiać jej w kłopotliwej sytuacji. Być może stary lis był przebiegły, ale on, Jan, również miał głowę nie od parady. Dlatego wołał nie ryzykować.

Z zadumy wyrwało go pukanie do drzwi. Odwrócił się i zobaczył w progu matkę. Uśmiechała się do niego, jak zwykle piękna i elegancka.

- Bardzo jesteś zajęty?

- Średnio.

- W takim razie proszę! - Podeszła do biurka i położyła na nim stos teczek.

- O, nie! - zawołał zrozpaczony. - Błagam, mamó, tylko nie sprawa pani Perinsky!

- No cóż, ktoś musi wziąć byka za rogi. - Matka położyła mu dłoń na ramieniu. - Tym razem pani P. postanowiła wytoczyć sprawę właścicielowi sklepu spożywczego. Powód: nie sprowadza jej ulubionego gatunku herbaty, przez co ogranicza jej prawa obywatelskie.

Jan otworzył pierwszą z brzegu teczkę i przerzucił stos najróżniejszych papierów, które jego przyszła klientka wprost uwielbiała gromadzić jako dowody.

- Myślę, że Laura poradzi sobie z tym dużo lepiej - stwierdził z nadzieją w głosie.

- Tym razem pani Perinsky wybrała ciebie. Zdaje się, że wpadłeś jej w oko.

- Mamó, ona ma jakieś sto pięćdziesiąt lat, o ile nie więcej!

- Być może. Ale to nie znaczy, że przestała lubić młodych, przystojnych blondynów - wybuchnęła śmiechem Diana. - Wiem, że to nic przyjemnego, ale jest naszą klientką od bardzo dawna. Przyszła do nas, kiedy nie było cię jeszcze na świecie.

- Ciebie też chyba nie - mruknął pod nosem.

- Niewiele się pomyliłeś - przyznała rozbawiona.

- W każdym razie trzeba się tym zająć. Ta kobieta jest po prostu samotna, chce ze wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Najlepiej będzie, jeśli spotkasz się z nią kilka razy, zjesz ciasteczka domowej roboty, wysłuchasz narzekań, a potem wyperswadujesz jej ten nie-szczęśny pomysł z pozywaniem Bogu ducha winnego sklepikarza.

- Mogę spróbować, ale będzie cię to sporo kosztowało - oznajmił.

- Czy dobry obiad to odpowiednie zadośćuczynienie za twoje straty moralne?

- Owszem, jeśli przygotujesz jakąś wykwinną pieczeń. I deser!

- Da się zrobić. Odpowiada ci niedziela?

- Tak, pod warunkiem, że zaproszenie obejmie jeszcze jedną osobę.

- Naomi?

- Tak - odparł. Nigdy nie rozmawiali na ten temat, więc teraz wpatrywał się z uwagą w twarz matki, chcąc odgadnąć jej myśli. - Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Skądże! Przecież wiesz, że bardzo ją lubię.

- A ja kocham!

- Och - westchnęła wzruszona Diana - mój syneczku...

- O co chodzi? - spytał zaniepokojony, podrywając się z miejsca. - Co się stało, mammo? Przecież lubisz Naomi.

- To prawda - zapewniła Diana i pogłaskała go po policzku. - Ale dla mnie zawsze będziesz moim małym synkiem. I dlatego tak się przejęłam. Najbardziej w świecie pragnę twego szczęścia.

Oparła głowę na jego ramieniu, nie mogąc powstrzymać się od myśli, że czas płynie zdecydowanie za szybko. Jeszcze nie tak dawno mały Jan wdrapywał się na jej kolana, a teraz był dorosłym mężczyzną.

- No i jestem szczęśliwy - powiedział. - Nie cieszysz się?

- Cieszę się, oczywiście, że się cieszę. Znalazłeś osobę, którą mogłeś pokochać. To wcale nie takie częste.

- Jeszcze chwila i też się wzruszę. - Jan przytulił matkę do siebie.

- Powiedz mi tylko jedno. Jesteś pewien, że to miłość, a nie chwilowa fascynacja? Wiem, że w twoim życiu było już wiele dziewczyn...

- Mammo! Za kogo ty mnie masz? Ja i dziewczyny - spytał z miną niewiniątka, czym całkowicie ją rozbroił.

- Może rzeczywiście przesadziłam - roześmiała się, targając mu włosy. - Nie wiem tylko, skąd te tabuny młodych dam, które przewinęły się przez nasz dom.

- Ja też nie!

- Powiedziałeś mi po raz pierwszy, że kogoś kochasz. Zakładam więc, że to coś poważnego.

- Bo tak jest.

- Szczęściara z niej! I wcale nie mówię tak dlatego, że jesteś moim synem!

- Może więc powiesz przy niedzielnym obiedzie coś pozytywnego na mój temat?

- Z chęcią.

- Tylko delikatnie, proszę. Naomi łatwo się peszy. Nie chciałbym, żeby zaczęła coś podejrzewać. Jeszcze gotowa się wystraszyć.

Diana zmarszczyła brwi.

- A czym miałyby się wystraszyć? Nie wie, co do niej czujesz? Nie powiedziałeś jej?

- Jeszcze nie, ale przymierzam się do tego. Mam już nawet pewien plan.

Diana westchnęła i popatrzyła na syna znacząco.

- Nie zrozum mnie źle, ale odnoszę czasami wrażenie, że przywiązujesz zbyt dużą wagę do planowania. A życie to nie fabryka, gdzie wszystko da się z góry ustalić.

- Wiem, mamo, ale tym razem to konieczne.

- A może tu nie chodzi o plan, tylko o mały spisek, co? Coś a la dziadek Daniel? - spytała, mrużąc oczy.

- Być może. Przyznam, że chętnie go zaskoczę. Chcę zobaczyć jego minę, kiedy będę mu przedstawiał kobietę, z którą mam zamiar się ożenić. I to bez jego ingerencji!

- Powodzenia - uśmiechnęła się Diana. Przypomniała sobie listę książek, którą jej teść dał Janowi, choć przecież równie dobrze mógł sam zamówić je przez telefon. Nie chciała jednak dzielić się tym spostrzeżeniem z synem. Woląca, by Jan pozostał w błogiej nieświadomości, że jest kowalem własnego losu.

Naomi osobiście zajęła się oknem wystawowym księgarni, gdzie miała być reklamowana najnowsza powieść Bransona Maguire'a. Czuła się w obowiązku, by potraktować go w szczególny sposób, odkąd poznała jego żonę i jej rodzinę. Żywiła zresztą duży sentyment do wszystkich MacGregorów, z którymi się ostatnio zetknęła, a szczególnie polubiła najmłodsze pokolenie - jej faworytem był mały Travis, syn Julii. Cóż, zawsze miała podejście do dzieci i umiała się nimi zajmować. Jej pierwsza praca w księgarni związana była właśnie z Kącikiem Dziecięcym. Raz w tygodniu, przez godzinę, czytała tam dzieciom książki. Z obopólną przyjemnością.

Nigdy jednak nie pomyślała, by mieć własne dzieci. Teraz to się zmieniło. Coraz częściej wyobrażała sobie, że pewnego dnia Jan zdoła ją pokochać. Nie wykluczała tego. Skoro tak bardzo się nią zainteresował, że zostali kochankami, to nic nie stało na

przeszkodzie, żeby jego sympatia przerodziła się kiedyś w poważne uczucie, jakie ona żywiła wobec niego.

Układając egzemplarze książki, wyobrażała sobie, że Jan ujmuje jej twarz w dłonie i patrząc w oczy, mówi: „Kocham cię, Naomi...”

- Naomi? - spytał ktoś wesoło i po przyjacielsku klepnął ją w ramię.

Rozejrzała się niezbyt przytomnym wzrokiem.

- Julia? Co ty tu robisz? Lada chwila możesz urodzić. Nie powinnaś sama wychodzić z domu. A tym bardziej prowadzić samochodu!

- Jakbym słyszała Patryka! Nie denerwuj się, nie przyjechałam sama. Patryk szuka miejsca na parkingu.

- Niepotrzebnie się fatygowałaś. Przecież wiesz, że w każdej chwili mogę ci wysłać książki do domu.

- Wiem, kochanie. - Julia przytuliła Naomi serdecznie. - Ale nie o to chodzi. Po prostu chciałam trochę pobyć z ludźmi. Siedzenie w domu mi nie służy. W ogóle jestem dzisiaj jakaś niespokojna, od rana ciosam Patrykowi kołki na głowie. Wpadł na pomysł, żeby mnie tu przywieźć i obłaskawić jakimś czekoladowym deserem.

- Chodźmy więc, zapraszam do kawiarenki.

Ruszyły w stronę kawiarni, która o tej porze świeciła pustkami. Julia pochwaliła wystawę, nad którą pracowała Naomi.

- Po takiej reklamie Branson nie będzie musiał martwić się o powodzenie swojej książki. Jestem pewna, że już pierwszego dnia ustawi się po nią długa kolejka.

- Mam nadzieję. Czytałaś już tę powieść?

- Nie. Nie mogę się teraz na niczym skupić, więc czytanie odpada. Zabiorę ją ze sobą do szpitala.

- Na pewno nie pożałujesz. Jest świetna.

- Wierzę. Ale chyba powinnam wziąć ze sobą coś jeszcze. Poszukam sobie, zgoda? - Zaczęła przechadzać się między regałami ciężkim krokiem kobiety w dziewiątym miesiącu ciąży, ale nic nie przypadło jej do gustu. - Chyba nie jestem dziś w nastroju do zakupów - stwierdziła w końcu, dając za wygraną.

- Może ja coś dla ciebie wybiorę?

- Dobrze... Ojej! - Julia zatrzymała się gwałtownie i chwyciła kurczowo najbliższej półki, strącając przy tym kilka książek.

- Co się stało? Kopie? - zaniepokoiła się Naomi.

- Nie, chce wydostać się na świat! Nic dziwnego, że jestem dziś taka rozdrażniona.

- Boże, co ty mówisz? - zawołała z przerażeniem Naomi. - Jak to wydostać się na świat? Teraz?

- Nie w tej chwili, ale już niedługo - odparła Julia, która wracała powoli do równowagi po wyjątkowo silnym skurczu. - Zdaje się, że nici z mojego czekoladowego deseru - dodała ze słabym uśmiechem.

Naomi również zbladła.

- Sądysz... że zaczęłaś rodzić?

- Na to wygląda.

- Spokojnie. Przede wszystkim musisz gdzieś usiąść. - Naomi rozejrzała się nerwowo, jakby zapomniała nagle, gdzie stoją fotele. Wreszcie zauważyła parę kroków dalej kanapę. - Tutaj! Siadaj sobie, a ja... co mam właściwie robić? Aha, poszukam Patryka!

- Dobry pomysł - pochwaliła Julia, osuwając się na miękką sofę. - Naomi? Tylko powiedz mu, żeby się pospieszył. Jestem pewna, że to nie potrwa długo.

Dwie godziny później Naomi krążyła nerwowo po szpitalnym korytarzu. Wszystkie wolne krzesła zajmowali MacGregorowie, szczęśliwi, że mają okazję do spotkania w rodzinnym gronie. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem zachowują spokój. Bawili się doskonale, opowiadając sobie, jak kto przychodził na świat.

Wszystko to wyglądało dość zabawnie, ponieważ każdy siedział z telefonem komórkowym przy uchu i relacjonował na bieżąco sytuację swoim bliskim. Matka Jana rozmawiała z rodzicami Julii, którzy byli już w drodze do Bostonu. Jego ojciec informował o wszystkim Daniela i Annę, czekających niecierpliwie, kiedy znowu zostaną pradiadkami. Niestety, w wesołym gronie nie było Jana. W pewnej chwili na korytarzu pojawiła się zdyszana Amelia i wszyscy jak na komendę rzucili się w jej stronę.

- I co? I co? Jak Julia?

Drzwi do sali porodowej pozostały lekko uchylone, usłyszeli więc kilka wyjątkowo soczystych przekleństw - znak, że mimo trudów porodu Julia jest w niezłej formie.

- Nie ucz mnie, jak mam oddychać, Murdoch! Myślisz, że sama nie wiem! Jak jesteś taki mądry, to kładź się tu i sam oddychaj!

- Jak słyszycie, Julia jest w swoim żywiole - poinformowała rozbawiona Amelia. - Patryk również. Muszę wracać, bo zaraz zacznie się parcie. Naomi, nie przejmuj się tak, bo jeszcze zemdlejesz. - Poklepała przyjaciółkę w policzek. - Zapewniam was, że wszystko jest dobrze. Nie ma żadnych komplikacji, puls dziecka jest równy, serce bije mocno. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim.

- Słyszałaś, Shelby? - wołała matka Jana do telefonu. - Wszystko dobrze, za moment zostaniesz po raz drugi babcią!

W tym momencie w szpitalnym korytarzu pojawił się Jan. Spocony, w poluzowanym krawacie, pytał zdenerwowany, czy już po wszystkim.

- Prawie! - zawołała Amelia z ręką na klamce drzwi prowadzących do sali porodowej. Zanim je za sobą zamknęła, MacGregorowie ponownie usłyszeli, jak Julia pomstuje na Patryka i położną.

- Nie mówcie mi, że mam przeć, sadyści! Sami sobie przyjcie!

Naomi poczuła, że robi jej się słabo, więc oparła się na wszelki wypadek o ścianę.

- O Boże, jak ona musi cierpieć. To ją pewnie strasznie boli, dlatego jest taka przerażona i...

- Julia przerażona? Nigdy w życiu! - roześmiał się Jan, szczerze ubawiony, ale i wzruszony reakcją Naomi.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Rodziłeś kiedyś? - zaatakowała go niespodziewanie podniesionym głosem. - Dlaczego się spóźniłeś? I to w takiej chwili! Gdzie byłeś tak długo?

- Miałem spotkanie z klientką, która wmusiła we mnie czternaście maślanych ciasteczek i zarzuciła stekiem bzdurnych oskarżeń pod adresem niewinnego sklepikarza. Wyrwałem się od niej najszybciej, jak mogłem. Może przynieść ci wody? - spytał troskliwie, widząc, jak bardzo jest niespokojna.

- Nie chcę żadnej wody! - Naomi odepchnęła jego rękę i bez słowa wyszła na zewnątrz. Kiedy po chwili wróciła, musiała znieść mężnie ciekawskie spojrzenia.

- Naprawdę mi przykro, że tak się zachowałam - przepraszała, oblewając się rumieńcem - Nigdy dotąd nie uczestniczyłam w porodzie. Pewnie dlatego jestem taka zdenerwowana. Nie rozumiem, jak możecie siedzieć tak spokojnie?

- Kochanie, w naszej rodzinie dzieci rodzą się z taką częstotliwością, że nikt się już tym nie przejmuje - powiedziała matka Jana, uśmiechając się do niej łagodnie.

- To prawda. Co rok to prorok - dorzucił Jan. - Może usiądziesz?

- Nie. Nie mogę wytrzymać w miejscu. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam - szepnęła, spuszczaając oczy.

- Nie ma o czym mówić. Możesz na mnie krzyknąć, jeśli ma ci to pomóc. Najważniejsze, że cię znalazłem. I to gdzie? W szpitalu, w trakcie porodu mojej siostry!

Otoczył ją czule ramieniem i zmusił, by jednak usiadła.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? - zapytała.

- Jak tylko dostałem wiadomość, że Julia rodzi, zadzwoniłem do biblioteki, żeby ci o tym powiedzieć. Twoja asystentka mi powiedziała, co się u was wydarzyło.

- To była kilka godzin temu. Boże, kiedy to się skończy? - znów westchnęła.

- Czy ja wiem? Kiedy rodziła Trávisa, też trwało to wieki.

- Jakie wieki? Raptem czternaście godzin. Trzy godziny krócej niż ja - sprostowała Laura.

- Jak dla mnie zupełnie wystarczy. - Jan pokręcił głową. Przypomniał sobie, że był wtedy nie mniej przerażony i zdenerwowany niż Naomi w tej chwili. - A gdzie jest Branson?

- spytał, szukając wzrokiem męża Amelii.

- Miał biedak pecha. Wyciągnął złamaną zapałkę - roześmiał się jego ojciec, który właśnie nadszedł z kubkiem herbaty.

- Jak to?

- Tak to. Zrobiliśmy losowanie. Ktoś musiał zostać z dziećmi. Biedny Branson prosił, żeby się za niego modlić - powiedział, podając herbatę Naomi. - Napij się, dziecko, od razu poczujesz się lepiej.

- Dziękuję.

Była zbyt onieśmielona, żeby odmówić, więc upiła posłusznie kilka łyków. Po chwili zniknął gdzieś nieprzyjemny ucisk w żołądku. Naomi poczuła się rozluźniona i spokojniejsza. Przestało ją nawet drażnić swobodne zachowanie rozbawionych MacGregorów.

Nagle drzwi sali porodowej otworzyły się na oścież i stanęła w nich rozpromieniona Amelia.

- Panie i panowie, mam wielką przyjemność oznajmić, że nasz klan powiększył się o nowego członka! A raczej członkinię - dodała wciąż tym samym podniosłym tonem. - Otóż dokładnie o godzinie szesnastej czterdzieści trzy pojawiła się wśród nas Fiona Joy Murdoch! Zarówno ona, jak i jej rodzice spisali się na medal!

Głos jej się załamał, a w roześmianych oczach błysnęły łzy. W korytarzu zawrzało jak w ulu. MacGregorowie ściskali się, poklepywali po plecach, nawet popłakiwali bez skrępowania. Ich radość i wzruszenie udzieliły się także Naomi, tym bardziej że potraktowali ją jak członka rodziny, obdzielając całusami i uściskami. Ogromnie się tym wzruszyła, a oprzytomniała dopiero wtedy, gdy ojciec Jana usiłował poczęstować ją cygarem. Tym razem zdecydowanie odmówiła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Naomi musiała przyznać, że nigdy dotąd nie spotkała równie żywej i kochającej się rodziny. Była im wdzięczna za ich serdeczność. Pozwolili jej uczestniczyć w niezwykłym momencie narodzin nowej ludzkiej istoty. Kiedy ojciec Jana zaproponował, żeby wybrali się gdzieś razem uczcić to radosne wydarzenie, nie było nawet mowy, żeby Naomi nie poszła z nimi. Porwali ją ze sobą niczym radosna, rwąca, kipiąca życiem fala.

Kiedy zaś po paru godzinach wyszła w towarzystwie Jana z eleganckiej restauracji, w której świętowano przyjście na świat Fiony MacGregor, prócz ogromnej radości odczuwała również wyrzuty sumienia. Wszyscy byli dla niej tacy serdeczni, tacy otwarci i szczerzy, a ona nie potrafiła odplacić im tym samym. Nie umiała być do końca szczerą, przynajmniej wobec Jana, choć to właśnie on był dla niej najważniejszym MacGregorem. Gdy więc zaproponował, żeby wstąpiła do niego na kawę, zgodziła się od razu i przyrzekła sobie, że nie będzie już niczego przed nim udawać.

- Mam nadzieję, że moja rodzina nie wymęczyła cię za bardzo - powiedział, otwierając przed nią drzwi swego domu.

- Skądże! Jak w ogóle coś takiego mogło przyjść ci do głowy? Czułam się z wami wspaniale.

- I dobrze, bo to jeszcze nie koniec. Najważniejsze nastąpi jutro.

- To znaczy?

- To znaczy, że przyjadą moi dziadkowie. Jak znam Daniela, to najpierw będzie chodził wokół kołyski, cmokał i kręcił głową, a potem skoncentruje się na tych, którzy jeszcze nie mają dzieci. Jeśli kuzyn Daniel i jego żona Lana zdążą na czas, to im dostanie się najbardziej, bo są już jakiś czas po ślubie, a wciąż nie mają potomstwa. No a potem - popatrzył na nią z uśmiechem - przyjdzie chyba kolej na ciebie.

- Na mnie? A to dlaczego? Przecież nawet mnie nie zna.

- To nic. Już taki jest. Dam głowę, że zaczniesz cię zamęczać pytaniami. Dlaczego taka piękna dziewczyna jeszcze nie wyszła za mąż? Czy lubi dzieci? A dlaczego jeszcze ich nie ma? - Jan naśladował z wprawą ciężki szkocki akcent Daniela MacGregora.

Po chwili zorientował się, że Naomi wcale nie jest do śmiechu. Jej szare oczy wpatrywały się w niego z powagą.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła, nie odrywając od niego wzroku. - Nie byłam w porządku wobec ciebie i twojej rodziny.

- To znaczy? - Jan zmarszczył czoło.

- Nie byłam z tobą do końca szczerą. Nie znasz mnie. Nie jestem taka, jak przypuszczasz.

- O czym ty mówisz? - spytał, podchodząc do niej. Objął ją, gotów udowodnić, że jest właśnie tą kobietą, której szukał.

- Poczekaj, pozwól mi dokończyć. - Naomi położyła dłoń na jego ustach. - Oszukałam cię, Janie. Najgorsze, że nie zrobiłam nic, żeby wyprowadzić cię z błędu. Bardzo chciałam przekonać samą siebie, że osoba, którą we mnie zobaczyłeś, to naprawdę ja. Teraz wiem, że to było bardzo nieuczciwe.

- Nic z tego nie rozumiem. Przecież gdybyś nie była tym, kim jesteś, nie byłbym tutaj z tobą.

- Dostrzegłeś mnie, bo zmieniałam wygląd. Ale to tylko pozory, nic więcej. Jestem pewna, że jeszcze dwa lata temu nawet byś nie spojrział w moją stronę. Tak jak inni. Kogo mogła zainteresować nieszczęsna grubaska, która obżerała się ciągle, by zagłuszyć żal, że nigdy nie będzie taka jak jej matka?

- Jak matka? - powtórzył, zaskoczony głębokim smutkiem, który brzmiał w jej słowach.

- Tak, jak matka. Przepiękna, smukła, bardzo kobieca i pełna naturalnego wdzięku. Czy wiesz, jak ciężko się dorasta, mając obok siebie żywy ideał? Wiedziałam, że nigdy w świecie jej nie dorównam. Więc pochłaniałam tony jedzenia i chowałam się po kątach w księgarni.

- Naomi, daj spokój. Było, minęło. Każda nastolatka przeżywa trudny okres - Jan próbował przerwać ten potok gorzkich wyznań.

- To nie był okres, tylko nie kończący się stan. Byłam chorobliwie nieśmiała, gapiowata, niezdarna. Postanowiłam z tym walczyć, bo któregoś dnia zrozumiałam, że nie mogę tak dłużej żyć.

- I udało ci się. Nie ma w tobie żadnej niezdarności. Jesteś piękna, elegancka, pociągająca.

Chciał przytulić ją do siebie, ale odepchnęła go i uciekła w kąt pokoju.

- Piękna! Elegancka! - powtórzyła ironicznie. - Szkoda tylko, że za sprawą komputera! Bez niego nie jestem w stanie zdecydować, co mam na siebie włożyć!

- Jak to?

- Nie rozumiesz? Mam na dysku plik, w którym skatalogowałam całą zawartość mojej szafy. Komputer dobiera najlepsze dodatki i kosmetyki do danego stroju. Mam też inny plik,

w którym zapisuję, jak byłam ubrana i kiedy. Nie ma więc obawy, że założę dwa razy to samo! Gdzie tu naturalność, klasa, styl? No gdzie?

Wyznanie to, choć poniżające, sprawiło jej ulgę.

- To ciekawe - uśmiechnął się Jan. - Powiedziałbym, że wręcz genialne. Co złego w tym, że znalazłaś sposób, by ułatwić sobie życie?

- Jak to, co złego? Powiedz mi, czy znasz normalną kobietę, która nie jest w stanie samodzielnie się ubrać?

- Nigdy o tym nie myślałem...

- Wiesz, co się stało tydzień temu? Wyłączyli prąd i nie mogłam włączyć komputera. Przeraziłam się do tego stopnia, że byłam gotowa zadzwonić do księgarni i skłamać, że jestem chora i nie przyjdę. To było naprawdę żałosne!

Jan czuł, że sprawa jest delikatna i że musi bardzo uważać. Nigdy nie spotkał równie wrażliwej osoby. Przez chwilę milczał, szukając w myślach jakiegoś argumentu.

- Nie zrozum mnie źle, Naomi - zaczął wreszcie ostrożnie. - Wiem, że wygląd, strój mają wielkie znaczenie, ale chyba nie aż takie. Nigdy zresztą nie myślałem, że dla ciebie liczy się tylko wygląd. Obawiam się jednak, że trochę za bardzo się tym przejmujesz.

- A co ty możesz o tym wiedzieć! - zaatakowała go ostro. - Urodziłeś się piękny i taki umrzesz. Odznaczasz się wrodzoną pewnością siebie, ludzie cię lubią...

- Ciebie też!

- Tak, ale dopiero od niedawna, bo przedtem nie mieli pojęcia o moim istnieniu. Gdybyś zobaczył moich rodziców! Obydwoje są tacy piękni. Mój brat ma wygląd amanta. A ja? Brzydkie kaczątko!

- Naomi, bądź rozsądna. Jesteś piękną, pociągającą kobietą. Uwierz mi!

- Akurat! Nie jestem piękna. Co najwyżej nauczyłam się tuszować swoje wady. I dobrze. To już coś. Trochę praktyki i dojdę do perfekcji w udawaniu kogoś zupełnie innego!

- Ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz? To niesamowite!

Podszedł do niej zdecydowanym krokiem i chwycił za ramiona. Nie pytając o zdanie, zaciągnął ją do holu i postawił przed wysokim lustrem.

- Powiedz mi, co widzisz! Tylko szczerze! - nakazał surowo.

- Widzę ciebie, pierwszego mężczyznę, który dostrzegł we mnie kobietę.

Jan poczuł, jak serce ściska mu żal. Zrozumiał wreszcie, o co jej chodzi. Wystraszył się, że Naomi chce być z nim wyłącznie przez wdzięczność.

- Nigdy w życiu nie czułam do nikogo tego, co czuję do ciebie - szepnęła. - Zawsze dreptałam gdzieś z tyłu, parę kroków za innymi. I tylko ty się zatrzymałeś, by na mnie poczekać.

- Naomi, przestań...

- Nie! Pozwól mi skończyć! - przerwała mu zdecydowanie. - Naprawdę nie mogę pozwolić, byś brał mnie za kogoś, kim tylko próbuję być. Gdzieś tam, głęboko w środku, wciąż jestem zahukaną dziewczyną, która w szkole średniej była tylko dwa razy na randce. Wciąż tkwi we mnie jakaś część tej żalostnej istoty, jaką byłam w czasie studiów. Brzydką, grubą kujonką, która każdą wolną chwilę spędzała z nosem w książkach. Nie jest łatwo wyrzucić z siebie kogoś, kim się kiedyś było... - Umilkła na chwilę, by zaczerpnąć powietrza przed następnym potokiem gorzkich słów. - Byłeś pierwszym mężczyzną, który dał mi kwiaty - mówiła dalej - który zaprosił na kolację, słuchał uważnie tego, co mam do powiedzenia. Nikt przed tobą nawet nie próbował... - dodała drżącym głosem, z trudem powstrzymując łzy. - Ty byłeś pierwszym, który mnie dotknął, pocałował i...

Jan patrzył na odbicie dwóch nachylonych ku sobie głów w kryształowej tafli lustra i z coraz większym przerażeniem uświadamiał sobie, że oto został pierwszym i jedynym mężczyzną Naomi Brightstone nie tylko w sensie fizycznym, jako kochanek, ale także w sensie uczuciowym - jako człowiek, którego pokochała i któremu chciała ofiarować swą wdzięczność i swe życie. Była to odpowiedzialność, z której nie do końca zdawał sobie dotąd sprawę. Gdy patrzył na wzruszoną twarz Naomi, na blade policzki, po których płynęła wąska stróżka łez, zrozumiał, że niechcący popełnił ogromny błąd. Przyszło mu do głowy, że przed ich spotkaniem Naomi była jak delikatny motyl, który czeka na odpowiedni moment, by samodzielnie rozprostować skrzydła. A on zdarł z niej tę ochronną powłokę i kazał wzbić się w powietrze, choć nie była jeszcze gotowa. Teraz musiał ponieść konsekwencje swej niecierpliwości. Nie tylko dać jej czas, lecz także pozwolić jej odejść.

Bo tylko wtedy Naomi Brightstone będzie mogła nabrać pewności siebie, poznać, ile jest warta. Przejrzeć się w oczach innego mężczyzny, tak jak teraz, w tym lustrze. I dopiero wtedy zdecydować, czy chce do niego wrócić. A on nie będzie mógł zrobić nic innego, jak tylko modlić się, żeby wybrała go spośród innych.

Co ja zrobiłem? Co ja najlepszego zrobiłem, powtarzał w myślach coraz bardziej zrozpaczony.

- Powiedz coś - poprosiła cicho, a wtedy westchnął ciężko i odezwał się głuchym, zduszonym głosem:

- Na pewno nie jestem jedynym mężczyzną, który cię pragnie i który chciałby z tobą być. Musisz to wreszcie zrozumieć. Tak samo jak to, że jesteś tym, kim jesteś. Piękną kobietą, którą widzę teraz obok siebie. - Przytulił ją mocno, wspierając brodę o czubek jej głowy. - Ty też ją widzisz. Pozwól jej istnieć, nie traktuj jak kogoś obcego. Ty i ona to jedno, naprawdę. Proszę cię, Naomi, zrozum to wreszcie.

- Nikt inny tego we mnie nie dostrzegł - odparła ze łzami w oczach. - Tylko ty.

- To nieprawda. Jestem pewien, że nigdy nie zwróciłaś na to uwagi. Poza tym od jakiegoś czasu chyba za bardzo cię absorbowałem, więc nie miałaś czasu dla siebie.

- Absorbowałaś mnie? Co ty wygadujesz?

- Tak było, przyznaj sama. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że do tej pory pochłaniała cię wyłącznie praca w księgarni. A tu ja wyskoczyłem z tą moją biblioteką i...

- Przecież sama chciałam ci pomóc!

- Wiem i doceniam to. Chcę tylko powiedzieć, że zabrałem ci mnóstwo czasu. Przez mnie nie mogłaś spotykać się z innymi ludźmi ani robić tego, na co miałabyś ochotę. I tylko nie mów, że należy mi się z twojej strony jakaś wdzięczność.

Odwrócił się i poszedł do salonu. Nie mógł dłużej znieść widoku jej zasmuconej twarzy, nie chciał patrzeć, jak cierpi przez niego i zмага się ze sobą. Żeby zająć czymś ręce, kucnął przed kominkiem i zaczął układać polana na palenisku. Postanowił dać jej pół roku. Sześć miesięcy, w czasie których będzie mogła dojść do ładu z własnym życiem, przyzwycząić się do nowego wcielenia, rozeznac w swoich uczuciach. A potem, gdy będzie gotowa na jego miłość, wróci po nią.

Usłyszał jej kroki za plecami. Stała za nim, ale nie odezwała się ani słowem.

- Gdybym wiedział, że zaczynasz nowy etap w życiu, wszystko na pewno wyglądałoby inaczej - powiedział cicho, zapalając zapałkę. - A tak sprawy wymknęły się spod kontroli i chyba wszystko potoczyło się zbyt szybko. - Podniósł się i odwrócił, żeby spojrzeć jej w oczy. - Myślę, że powinniśmy zdecydowanie zwolnić tempo.

Naomi już otworzyła usta, by zaprotestować, ale poczuła w sercu nagły ból. Dopiero po chwili była w stanie opanować się na tyle, by w miarę spokojnie spytać:

- Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej? Chcę usłyszeć prawdę. Wiesz, że nie mam większego doświadczenia w związkach z mężczyznami.

I na tym polega nasz problem, odparł w duchu Jan, a głośno zapewnił ją, że niczego przed nią nie ukrywa.

- Uważam, że byłoby dobrze zwolnić tempo - powtórzył - zrobić małą przerwę. Sam zresztą nie wiem.

- Powiedz prawdę. Nie chcesz już się ze mną spotykać!

- Wręcz przeciwnie. Bardzo chciałbym, żebyśmy widywali się dalej, i to jak najczęściej. Ale nie traktuj naszej znajomości w kategoriach związku wykluczającego wszystko inne. - Polana zajęły się ogniem, lecz bijące od nich ciepło nie mogło ogrzać jego lodowatych dłoni. Jan odwrócił się plecami do kominka i jeszcze raz popatrzył ukochanej głęboko w oczy. - Posłuchaj, Naomi, powinnaś spotykać się także z innymi mężczyznami - powiedział, nie do końca przekonany, czy postępuje właściwie. Nic innego nie przychodziło mu jednak do głowy.

- Spotykać się z innymi mężczyznami? - powtórzyła za nim jak echo.

Chyba po to, żebyś nie miał wyrzutów sumienia, spotykając się z innymi kobietami, dodała w myślach. To oczywiste, że takie były jego prawdziwe intencje. Jak mogła być aż tak naiwna, by przypuszczać, że ona jedna mu wystarczy?

- Doskonały pomysł - powiedziała w końcu z kwaśnym uśmiechem. - Jakie to szczęście, że zawsze byłam opanowana, prawda? Każda inna na moim miejscu poczułaby się dotknięta, jeśli nie wręcz obrażona taką propozycją, zrobiłaby ci dziką scenę. Ale nie ja. Nie ta łagodna, spokojna, niepozorna Naomi Brightstone. Rozumiem, że w ten subtelny sposób dajesz mi do zrozumienia, że jestem inna niż wszystkie - dodała cierpko.

- To prawda. Jesteś jedyna i niepowtarzalna. Jedna na milion.

- Jedna na milion. Ładnie powiedziane - stwierdziła, myśląc jednocześnie, że nawet jedna na milion nie może wystarczyć na długo tak atrakcyjnemu mężczyźnie, jak Jan MacGregor. - Cóż, mamy za sobą długi dzień - westchnęła, po czym odwróciła się i ruszyła do wyjścia. - Po tylu wrażeniach czuję się zmęczona. Pójdę już.

- Nie, proszę cię, nie idź! - zatrzymał ją gwałtownie. - Chciałbym... chciałbym, żebyś została.

Naomi stanęła w progu i przez chwilę wpatrywała się uważnie w jego twarz. Ogarnęła wzrokiem całą jego postać na tle trzaskających płomieni.

- Nie zostanę z tobą, nie chcę - przyznała otwarcie. - Ale powiem ci coś, co zawsze chciałam powiedzieć. Obiecałam sobie, że będę z tobą całkowicie szczerą, więc muszę dotrzymać słowa. Kocham cię. Od zawsze.

Wyszła szybko do holu, jednym skokiem dopadła drzwi i wybiegła na ulicę, prosto w mrok chłodnej, jesiennej nocy. Nie chciała widzieć, jak Jan zareaguje na jej wyznanie. Bała się, że powie coś, czym tylko pogłębi jej cierpienie.

Tymczasem Jan stał bez ruchu w pustym salonie i wydawało mu się, że ciągle słyszy jej słowa. Ciche „kocham cię” wciąż brzmiało w jego uszach niczym bolesny refren.

- Wiem, Naomi - szepnął. - Ale nieszczęście polega na tym, że nigdy nie miałaś szansy pokochać kogoś innego. Teraz ją dostałaś.

Nazajutrz czuł się wyjątkowo podle. Przez dwa następne dni snuł się z kąta w kąt jak zbity pies. Pod koniec tygodnia wydawało mu się, że oszaleje. Mimo to nie zbliżał się do telefonu. Zwalczył pokusę, żeby do niej zadzwonić albo jeszcze lepiej pojechać i dobijać się do drzwi, błagając, żeby wpuściła go do środka. W najtrudniejszych chwilach powtarzał sobie, że musi jakoś wytrzymać bez Naomi te sześć miesięcy, które sam sobie wyznaczył.

Pół roku, a potem zobaczymy, myślał, gapiąc się bez sensu przez okno, co było ostatnio jego ulubionym zajęciem. Skoro postanowił dać jej szansę, by posmakowała wolności, musiał być konsekwentny. Niech dziewczyna poznaje życie, samą siebie, innych mężczyzn. Niech no tylko jednak któryś z tych sukinsynów waży się tknąć ją choćby palcem, to...

No właśnie, co wtedy? Czy nie o to w końcu chodziło, żeby związała się z kimś innym? Bo skąd w końcu biedna mogła wiedzieć, czy naprawdę go kocha, jeśli nikt przed nim nie adorował jej, nie dotykał, nie wyznawał miłości, nie zasypywał prezentami ani nie szeptał czułych słów?

Postyszał niecierpliwe pukanie do drzwi. Miał ochotę wrzasnąć: „Wynocha! Nie potrzebuję towarzystwa!” Nie zrobił tego jednak, lecz postanowił zignorować natręta.

Ten jednak nie dawał za wygraną.

- O co chodzi? - spytał nieuprzejmie, a wtedy drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich zaspany Daniel MacGregor senior.

- Cóż to za barbarzyńskie zwyczaje? - fuknął. - Swoich klientów też pan tak wita, panie mecenasie? A może ten ton jest zarezerwowany wyłącznie dla członków rodziny?

- Przepraszam, dziadku. - Jan zerwał się z miejsca i od razu zatonął w niedźwiedzim uścisku Daniela, po czym pochylił głowę nad ręką Anny, która w ślad za mężem weszła do gabinetu.

- Dzień dobry, mój chłopcze - pocałowała go w policzek. - Co tam słychać?

- Nic, babciu. Byłem trochę zajęty, dlatego tak głupio wyszło...

- Nie zajmujemy ci dużo czasu - powiedziała łagodnie, rzucając przy tym wymowne spojrzenie na Daniela, który zdążył już się rozgościć. - Przyszliśmy się pożegnać.

- Pożegnać? Przecież dopiero co przyjechaliście!

- Nie wiesz, że żadna kobieta nie usiedzi za długo w jednym miejscu? - mruknął Daniel.

- Nie mów, mój drogi, że nie stęskniłeś się już za własnym łóżkiem. Przecież ciągle powtarzasz, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - odparła Anna. - Chcemy jeszcze wstąpić do Julii, a potem jedziemy do siebie - dodała.

- Szkoda. Będzie mi was brakowało.

- To dlaczego nie odwiedzasz nas częściej? - spytał z wymówką w głosie Daniel. - Coś mi się zdaje, że jesteś zbyt zajęty lataniem za spódniczkami i dlatego nie masz czasu dla swoich dziadków - perorował, waląc pięścią w poręcz fotela.

- Niech dziadek tak nie mówi. Obiecuję, że niedługo przyjadę. I wcale nie latam za spódniczkami.

- Błąd! Co się dzieje z Naomi? - nie wytrzymał stary. - Gdzie ona się podziewa, co?

- Pewnie jest w pracy. Dlaczego dziadek pyta?

- Jak to dlaczego? Przecież cała rodzina nie mówi o nikim innym, tylko o niej. Za to ty, mój chłopcze, jesteś wyjątkowo oszczędny w słowach. Poza tym chcę wiedzieć, dlaczego ani razu nie widziałem was razem? Podobno od jakiegoś czasu jesteście jak papużki nierozłączki.

- Niezupełnie - zaczął Jan ostrożnie. - Akurat teraz postanowiliśmy zrobić sobie małą przerwę.

- Przerwę! Jaką znowu przerwę? Chłopie, czyś ty rozum postradał? - Daniel zaperzył się tak bardzo, że jego policzki przybrały barwę buraka, co natychmiast zaniepokoiło Annę. - Ta dziewczyna jest stworzona dla ciebie i jeśli tego nie widzisz, to chyba jesteś ślepy! Widocznie zaszkodziło ci to ślęczenie nad książkami! Porządna, ładna, urocza i do tego z dobrej rodziny! A ten będzie sobie robił przerwy! Słyszelaś coś podobnego, moja droga?

- Danielu, stanowczo proszę, żebyś się w tej chwili opanował!

- Jak, powiedz mi, jak mam się opanować, skoro mój wnuk zachowuje się jak idiota! A może ci się wydaje, że jest za łagodna? - rzucił oskarżycielsko, mierząc palcem w pierś Jana. - Pamiętaj, że pozory mylą. Cicha woda brzegi rwie!

- Niech się dziadek uspokoi - poprosił Jan, zaskoczony gwałtowną reakcją Daniela. - Swoją drogą to ciekawe, skąd dziadek ma tyle informacji na temat dziewczyny, którą dziadek spotkał zaledwie parę razy w księgarni?

- Jak to skąd? - Daniel przestraszył się, że gotów jeszcze wszystko zepsuć przez własną niecierpliwość.

- Przecież dobrze znam jej rodzinę. To bardzo porządni ludzie.

- Danielu! - Anna wzniosła oczy do nieba. - Że też ja się od razu wszystkiego nie domyśliłam.

- Czego znowu? O czym ty mówisz, kobieto? - spytał Daniel, a w jego błękitnych oczach pojawił się wyraz dziecięcej niewinności, tak dobrze znany wszystkim członkom klanu. Znał ów wyraz także Jan, dlatego teraz wystarczyło mu jedno spojrzenie, by domyślić się prawdy.

- A więc jednak udało się dziadkowi mnie zrobić - stwierdził, siadając z westchnieniem na brzegu biurka. - „Poszukaj dla mnie tych książek, synu. Ta mała Naomi na pewno chętnie ci pomoże” - powiedział, naśladowując głos starego. - A ja naiwny niczego się nie domyśliłem. Chyba powinienem zmienić zawód.

- Pewnie. Z takim talentem do naśladowania możesz śmiało zostać komediantem! - odciął się Daniel, szczerząc zęby w złośliwym uśmiešku. - A w ogóle, to co ja takiego zrobiłem? Poprosiłem, żebyś przy okazji swoich obowiązków załatwił coś dla mnie. To wszystko! Czy ja ci kazałem spotykać się z tą dziewczyną? Trzeba było wziąć książki i dać jej święty spokój. Skoro tego nie zrobiłeś, to widocznie dziewczyna ci się spodobała!

- Spodobała się, nie zaprzeczam.

- I co mi teraz powiesz?

- Dziękuję.

- Dziękuję? - spytał zdumiony Daniel, który w pierwszej chwili nie bardzo wiedział, jak ma zareagować.

- Tak. Dziękuję, że dziadek zadał sobie tyle trudu, by poznać mój gust. I że znalazł dziadek kobietę, z którą mam nadzieję kiedyś się ożenić.

- Mój chłopak! Moja krew! - Daniel poderwał się z fotela niczym młodzieniaszek i z całych sił chwycił Jana w objęcia. - Widzisz, Anno? Przynajmniej on jeden potrafi docenić życiową mądrość swojego dziadka. Zawsze mówiłem, że jest moim ulubieńcem.

- Nie dalej jak dwa dni temu Julia była dziadka ulubienicą. Na własne uszy słyszałem, jak dziadek jej to mówił - wystękał Jan, z trudem łapiąc oddech w żelaznych objęciach starego.

- A co miałem powiedzieć, kiedy dziewczyna tak pięknie się spisała i urodziła mi wspaniałą prawnuczkę? - wyznał rozpromieniony Daniel, odsuwając Jana na wyciągnięcie ramion. Po chwili jednak uśmiech zniknął z jego twarzy. - Powiedziałeś: „Mam nadzieję kiedyś się ożenić”? A co to, u licha, znaczy?

- Dokładnie to, co powiedziałem.

- To znaczy ożenisz się z nią czy nie? Lepiej, żebyś powiedział „tak”, bo inaczej będziesz miał ze mną do czynienia!

- Tak, ale dopiero za jakiś czas. Póki co, postanowiłem dać jej trochę swobody, żeby mogła zastanowić się nad wszystkim. Parę miesięcy, a potem wystartujemy z miejsca, w którym stanęliśmy - tłumaczył cierpliwie.

- Parę miesięcy? Chryste, czy ja dobrze słyszę?

Chłopcze, w tej chwili leć do tej dziewczyny i padaj przed nią na kolana!

- Danielu, daj mu spokój - Anna zaczynała tracić cierpliwość.

- Ja mu zaraz dam taki spokój, że do końca życia mnie popamięta! - ryknął Daniel na całą kamienicę.

- Mów w tej chwili: kochasz ją czy nie?

- Kocham, ale dziadkowi nic do tego - odparł Jan.

- Zależy mi na niej i właśnie dlatego chcę dać jej to, czego potrzebuje. A Naomi potrzebuje wolności, pewności siebie. Dziadek to wszystko zaczął i jestem mu za to bardzo wdzięczny. Jednak dalej już sam będę decydował, co robić.

- Decydował? Chyba marnował czas jak jakiś...

- Przepraszam was bardzo - do rozmowy włączył się donośny głos ojca Jana, który wkroczył wolnym krokiem do gabinetu. Nawet zaciętrzewiony Daniel umilkł na moment na jego widok. - Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że w tym budynku pracują ludzie. Rodzinne awantury są dozwolone dopiero po godzinach urzędowania kancelarii.

- I co z tego? - wrzasnął stary, w którego najwyraźniej wstąpiła nowa energia.

- To, że bardzo ojca proszę, żeby się ojciec uspokoił - odparł Caine.

- Powiedz mi w takim razie, czy wiesz, o co chodzi twojemu synowi? Skąd wziął się jego ośli upór? Musiał odziedziczyć go po tobie. Wbij mu lepiej do tej pustej głowy trochę rozsądku. Ja w każdym razie umywam ręce!

- Doskonała myśl - stwierdził Caine, który nie miał ochoty wysłuchiwać ojcowskich wykładów. - Proponuję, żeby zrobił to ojciec od razu, a ja w tym czasie porozmawiam z Janem.

- Proszę bardzo! - Daniel skinął na Annę. - Zostawmy ich samych, moja droga. Jedźmy lepiej do Julii, ta przynajmniej jest rozsądna. A ty - zwrócił się do Jana i niespodziewanie trzepnął go w ucho - lepiej pilnuj, żeby ci ktoś tej twojej Naomi nie sprzątnął sprzed nosa. Idziemy, Anno! - zakomenderował, ale wpięrow pożegnał się łaskawie z synem. Dopiero potem Anna zdołała jakoś wyciągnąć go na korytarz, skąd długo jeszcze dolatywały groźne pomruki.

Caine uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak Jan masuje obolałe i zaczerwienione ucho.

- Twój dziadek wciąż ma krzepę - zauważył.

- To prawda. Ostatnim razem, kiedy tak od niego oberwałem, miałem chyba ze dwanaście lat. Zapomniałem już, jak to smakuje - odparł Jan.

- No to właśnie sobie przypomniałeś. I powiem ci, że dziadek moim zdaniem miał rację. Powinniśmy pogadać. - Caine usiadł w fotelu, wskazując synowi miejsce obok siebie. - Po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego od tygodnia jesteś w tak podłym nastroju, że strach się do ciebie zbliżyć.

- Mam swoje zmartwienia. Nigdzie nie jest napisane, że przez cały dzień mam być w skowronkach - warknął Jan. Wbił ręce w kieszenie spodni i odwrócił się do ojca plecami, dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

Caine nie dał się wyprowadzić z równowagi. Uniósł tylko brwi, popatrzył na syna z ukosa, po czym jeszcze raz poprosił, żeby usiadł.

- Pamiętaj, że nie tylko dziadek ma prawo dać ci po uszach - dodał niezwykle spokojnym tonem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jan posłuchał ojca i usiadł obok niego, ale zrobił to z wyraźną niechęcią i ociąganiem. Patrząc mu prosto w oczy, zaczął bębnić wymownie palcami o blat biurka.

I tym razem Caine nie dał się sprowokować. Pomyślał jedynie, że jego syn potrafi być bardzo uparty, czego on bynajmniej nie uważał za wadę. Znał doskonale liczne zalety Jana i wiedział, że syn bardzo rzadko wdaje się w awantury. Kiedy jednak ktoś próbował przyprzeć go do muru albo, co gorsza, zmusić do czegoś, potrafił stanąć okoniem. Był gotów walczyć i bronić swoich racji do upadłego, za co Caine mógł go tylko podziwiać.

- Powiedz mi, co jest między tobą a Naomi - zaczął bez owijania w bawełnę.

- Mam prawie trzydzieści lat - odparł spokojnie Jan. - Myślałem, że mężczyzna w tym wieku nie musi tłumaczyć się przed ojcem ze swoich prywatnych spraw.

- Masz rację. Z wyjątkiem sytuacji, gdy te prywatne sprawy narażają na szwank firmę. Chyba nie zaprzeczysz, że od pewnego czasu nie jesteś w szczytowej formie.

- Poprawię się.

- Nie wątpię. Jednak nim to nastąpi, powiedz mi, na czym polega kłopot? - spytał, kładąc rękę na ramieniu syna.

- Dajcie mi spokój, do jasnej cholery! - Jan zerwał się z fotela. - Uwierz mi, tato, wiem, co robię. Podjąłem pewną decyzję, bo jestem przekonany, że właśnie tak należało zrobić. Tak będzie najlepiej dla Naomi.

- A co właściwie postanowiłeś?

- Wycofać się na jakiś czas.

- Czy to jest także najlepsze dla ciebie? Nie ma wątpliwości, że kochasz tę dziewczynę. Masz to wypisane na twarzy.

- Właśnie. Dlatego w zamian chciałbym otrzymać to samo. Nie interesuje mnie nic pośredniego. Postanowiłem dać Naomi trochę czasu, żeby zastanowiła się dobrze nad tym, czego chce i co do mnie czuje.

- A jesteś pewien, że ona tego nie wie? Pytałeś ją o to?

- Posłuchaj, tato - powiedział Jan, siadając z powrotem w fotelu. - Problem polega na tym, że byłem jej pierwszym mężczyzną.

- Rozumiem. - Caine studiował przez chwilę własne dłonie. - Chcesz powiedzieć, że ją uwiodłeś?

- Nie, do niczego jej nie zmuszałem! Dałem jej czas, wycofałem się w odpowiednim momencie. Co więcej mogłem zrobić?

- Nic. - Caine wzruszył ramionami. - A teraz co? Martwisz się, że przed tobą nie miała innych kochanków?

- Nie o to chodzi. Po prostu dopóki nie zaczęliśmy się spotykać, Naomi nie miała żadnych... uczuciowych kontaktów z mężczyznami. Rozumiesz? Nigdy nie spotykała się z nikim, nie była zakochana.

- Myślałem, że nie ma już takich kobiet. - Zaskoczony Caine pokręcił ze zdumieniem głową.

- Jak widać są! Poza tym wmówiła sobie, że zainteresowałem się nią, bo ostatnio zmieniła wygląd i styl bycia. Ona nie czuje się w pełni sobą. Uczy się dopiero żyć z tym nowym wcieleniem, odkrywa swoje mocne strony. Nie wiem, czy mam prawo usidlić ją właśnie teraz, wpakować w małżeństwo, dzieci i rodzinę.

- A czy chociaż powiedziałeś jej, że ją kochasz, ale chciałbyś, żeby wpierv spróbowała czegoś innego?

- Nie. Bo gdybym jej powiedział, że ją kocham, na pewno nie chciałaby wysłuchać mnie do końca.

- Jak myślisz, co ona myśli o tobie?

- Wydaje jej się, że jest we mnie zakochana.

- Skąd pewność, że jej się tylko wydaje?

- Jak może być inaczej, skoro dotąd nie kochała żadnego mężczyzny?

- Hm, to rzeczywiście interesujący przypadek - zauważył Caine tonem wytrawnego prawnika. - Jesteś chociaż pewien swoich uczuć?

- Oczywiście!

- Na jakiej podstawie?

- Przedtem nie wyobrażałem sobie, bym mógł spędzić całe życie z jedną kobietą. A teraz nie mam z tym najmniejszego problemu. - Jan znów poderwał się z miejsca i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. - Powiedz, tato, co o tym myślisz? - zapytał wreszcie.

- A ma to jakieś znaczenie, co myślę?

- Oczywiście, że ma. Ogromne!

- W takim razie powiem ci, jakie jest moje zdanie. - Caine wstał z fotela i przez chwilę mierzył syna surowym wzrokiem. - Jesteś skończonym idiotą.

- Co?!

- To, co słyszysz. Muszę zgodzić się z moim ojcem i powtórzyć jego słowa. Jesteś idiotą, synu. Nie potrafisz obdarzyć kobiety zaufaniem. Twierdzisz, że kochasz Naomi, a jednocześnie odmawiasz jej zdolności do podjęcia świadomej decyzji. Uważasz, że jest zbyt naiwna i niedoświadczona, by stwierdzić, czy chce być z tobą, czy nie? Myślisz, że możesz decydować za nią? Jeśli faktycznie tak uważasz, to nie tylko jesteś idiotą, ale jeszcze zarozumiałym idiotą. Nie wiem, czy posłuchasz mojej rady, ale znowu muszę zgodzić się z moim ojcem. Na twoim miejscu czym prędzej pobiegłbym do tej dziewczyny i wszystko jej wytłumaczył. Na kolanach. O ile oczywiście będzie chciała słuchać, co masz jej teraz do powiedzenia.

Jan nie był wcale przekonany, czy ojciec i dziadek mają rację, mimo to pojechał pod dom Naomi. Siedział jakiś czas w samochodzie, w końcu nie wytrzymał. Najpierw poszedł na spacer, a potem wszedł na klatkę schodową i warował pod drzwiami jej mieszkania, czekając, aż Naomi wróci z pracy. Początkowo chciał złapać ją w księgarni, szybko jednak doszedł do wniosku, że nie jest to najszcześniejszy pomysł. Takie sprawy lepiej omawiać w bardziej kameralnych warunkach.

Godziny mijały, a Naomi nie wracała. Zaczął się martwić, że obrał złą taktykę. Gdyby poszedł do księgarni, miałby pewność, że ją tam zastanie. A tak siedział jak dureń pod jej drzwiami, nie mając nawet zielonego pojęcia, gdzie jej szukać o tej porze.

Kiedy wreszcie usłyszał na schodach znajome kroki, odetchnął z ulgą i oparł się o ścianę. Właśnie w takiej pozie zastała go Naomi. W pierwszej chwili zatrzymała się w pół kroku, wyraźnie zaskoczona tą niespodziewaną wizytą. Szybko jednak zapanowała nad sobą i jak gdyby nigdy nic podeszła do niego.

- Cześć. Stało się coś? - spytała z pozoru obojętnie.

- Nic. Długo pracujesz.

- Czasami - odparła, po czym wyciągnęła z torby klucze i zaczęła otwierać drzwi.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

- Obawiam się, że nie jest to najlepszy moment - odparła gładko, choć w głębi serca czuła wielki ból, widząc, w jakim Jan jest stanie.

- Proszę cię - przytrzymał drzwi. - Musimy porozmawiać. To bardzo ważne.

- W takim razie wejdź - zaprosiła go do środka.

- Tylko się streszczaj, bo nie mam zbyt wiele czasu. Muszę się przebrać, zaraz wychodzę.

- Można wiedzieć dokąd?

- Umówiłam się - skłamała.

- Z kim?

- A jak myślisz? - spytała, dostrzegając z satysfakcją zaskoczenie na jego twarzy.

- Z jakimś facetem?

- Zgadłeś. A teraz słucham. Co mogę dla ciebie zrobić?

Wyjdź za mnie i zostań matką naszych dzieci, to była pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy. Zachował ją jednak dla siebie, a głośno powiedział:

- Kiedy rozmawialiśmy u mnie ostatnio, nie wyraziłem się dość jasno.

- Wręcz przeciwnie. Byłeś szczery i precyzyjny aż do bólu.

- Nie. Bo nie wytłumaczyłem ci, o co mi chodzi.

- Nieważne. I tak zrozumiałam - zapewniła, nie patrząc mu w oczy. Bała się, że zdradzi ją spojrzenie pełne bólu. Bólu i nadziei. - Posłuchaj, Janie, powiedziałam ci, że nie jestem osobą, za jaką mnie uważasz. W końcu się z tym zgodziłeś. To wszystko, nie ma o czym dyskutować.

- Boże, więc tak to odebrałaś? Pozwól mi wytłumaczyć...

- Kiedy ja naprawdę mam mało czasu.

- Trudno. Twój adorator będzie musiał poczekać - powiedział to tak stanowczo, że nawet nie próbowała protestować. Patrzyła tylko z rosnącym zdenerwowaniem, jak jej pierwszy i jedyny ukochany krąży po pokoju, wyraźnie próbując zebrać myśli. - Dobrze - zaczął po chwili - powiedziałaś mi kiedyś, że nigdy dotąd nie byłaś z żadnym mężczyzną, że ja jestem pierwszy. ..

- Chyba sam o tym wiesz najlepiej!

- Nie chodzi mi o seks - mimowolnie podniósł głos i wyciągnął przed siebie dłoń gestem adwokata, który powstrzymuje zbyt natarcywe pytania prokuratora. - Związek dwojga ludzi - podjął swą przemowę - nie sprowadza się tylko do tego, że idą razem do łóżka. Oprócz seksu jest jeszcze wspólne spędzanie czasu, żarty, rozmowy do północy, oglądanie starych filmów w telewizji i miliony innych rzeczy. Jednym słowem, wszystko to, czego nigdy dotąd nie robiłaś z nikim innym. - Umilkł na chwilę, by zapanować nad sobą. - Otóż chciałem dać ci trochę czasu i swobody, żebyś mogła zakosztować życia, o którego istnieniu nie miałaś dotąd pojęcia. To dla mnie bardzo ważne, żebyś się dobrze namyśliła, nim postanowisz robić te wszystkie rzeczy tylko i wyłącznie ze mną.

- O ile pamiętam, radziłeś mi, żebym zaczęła spotykać się z innymi facetami. Rozumiem, że ty w tym czasie spędzałbyś czas w towarzystwie innych kobiet - siliła się na ironię, ale nie wypadło to zbyt przekonująco.

- Co takiego? - oburzył się Jan. - Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy! Nigdy nie mówiłem, że chciałbym spotykać się z kimś innym poza tobą! - krzyknął tak głośno, że sam się wystraszył własnej porywczosci. - Przepraszam cię - odezwał się po chwili - miałem dzisiaj ciężki dzień. Stąd te nerwy. W ogóle ciężko mi się ostatnio żyje.

- A myślisz, że mi to nie?!

- Wiem, i naprawdę jest mi przykro. Nie podniosę więcej głosu, obiecuję. Jeszcze raz powtarzam: uważałem, że powinnaś umówić się z kimś innym. Jak zresztą widać, nie miałaś z tym najmniejszych problemów.

- Posłuchałam przyjacielskiej rady. Skoro tego chciałeś...

- Ja? Nic podobnego!

- Znowu krzyczysz.

- Racja, wybacz. Może i chciałem, ale myślałem, że tak właśnie być powinno. Bo jak inaczej mógłbym cię prosić, żebyś za mnie wyszła? Chciałem, byś miała jakieś porównanie. Skąd możesz wiedzieć, że to, co do mnie czujesz, to miłość, skoro nigdy nie kochałaś innego mężczyzny? Po prostu postanowiłem być wobec ciebie w porządku.

- W porządku?! - teraz ona podniosła głos. - Jak mogłeś decydować, co jest dla mnie dobre? Jakim prawem? Dlaczego?

- Żeby cię ochronić!

- Przed czym? Chyba przed samym sobą! Wiesz co? Mam ochotę cię stłuc. Poważnie! Po raz pierwszy w życiu mam ochotę podnieść na kogoś rękę. Uważaj więc i nie podchodź do mnie - ostrzegła, widząc, że zrobił krok w jej kierunku.

- Naomi... - zwrócił się do niej łagodnie jak do rozżłoszczonego dziecka.

- Nie mów do mnie, jakbym była idiotką! Wiem, że za taką mnie uważasz, ale bez przesady!

- Przestań, proszę...

- Tak! Tak właśnie o mnie myślisz! Mała, głupiutka istotka, która nawet nie potrafi nazwać ani zrozumieć tego, co czuje! - wołała, miotając się po pokoju.

- Swoją drogą, znalazłeś dla mnie wspaniałą terapię. Jak myślisz, z iloma facetami powinnam się przespać, żeby zrozumieć, co to jest prawdziwa miłość? Z dziesięcioma? Nie, za mało? To może z dwudziestoma?

- Nie chcę, żebyś szła z kimkolwiek do łóżka! - wrzasnął Jan.

- Prawda, zapomniałam, że tu nie chodzi o seks - odezwała się cierpko Naomi po chwili głuchego milczenia. - Dobrze, w takim razie załatwmy sprawę inaczej. - Podbiegła do swojej teczki i wyciągnęła z niej żółty notatnik. - Proszę bardzo, napisz tutaj, ile muszę odbyć

randek, wycieczek za miasto, kolacji przy świecach i spacerów przy księżycu, nim będę w stanie rozeznąć się we własnych uczuciach. Jako prawnik nie powinieneś mieć z tym kłopotu.

Tego było za wiele, nawet dla człowieka tak opanowanego jak Jan. Złość zapłonęła w nim z taką siłą, że pociemniało mu w oczach. Jednym skokiem znalazł się obok Naomi, wyrwał jej z ręki notatnik, po czym cisnął go w kąt.

- W porządku! Wystarczy! Nie zamierzam marnować następnych sześciu miesięcy, czekając, aż się wyszumisz! - krzyknął jej prosto w twarz. - Chcę cię już teraz! To ją trochę otrzeźwiło. Złość zaczęła w niej walczyć z uczuciem ogromnej radości. Poczowała lekki zawrót głowy.

- Sześć miesięcy? - szepnęła. - Chciałeś czekać aż sześć miesięcy? Naprawdę tak dokładnie to wszystko przemyślałeś? W takim razie do zobaczenia w kwietniu - rzekła i ruszyła wolno w stronę drzwi.

Nie zdążyła ich jednak otworzyć, gdyż w tej samej chwili poczuła mocne szarpnięcie. Jan chwycił ją za ramię i przyparł do ściany. Ujrzała przed sobą jego wściekłą twarz, a wtedy poczuła się jeszcze bardziej szczęśliwa, tak szczęśliwa, jak nigdy dotąd.

A więc jednak udało się! Była zdolna obudzić w nim silne emocje! Potrafiła doprowadzić go do szału, mogła więc równie dobrze sprawić, by ją naprawdę pokochał! I to taką, jaka była. Niepozorną, nijaką, zahukaną. Prawdziwą Naomi.

- Zapomnij o tym! - wycedził z wściekłością. - Zapomnij o wszystkim, czego ci nagadałem. Nie będę czekał tak długo. I nie ruszę się stąd bez ciebie. Zostaniesz moją żoną, a jeśli za jakiś czas dojdiesz do wniosku, że popełniłeś błąd, to trudno, przepadło! Pamiętaj, że dawałem ci szansę.

- Dobrze - powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał, choć tak naprawdę miała ochotę krzyknąć z radości.

- A teraz możesz zacząć pakować swoje rzeczy! A jak nie... - urwał gwałtownie, bo niewiele brakowało, by posunął się za daleko w swych pogroźkach. - Poczekaj - zmieszał się nieco - nie usłyszałem, co powiedziałaś. Czy powiedziałaś „dobrze”? Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Tak! - zawołała, chwytając go za klapy marynarki. - Tak, ty głuptasie! - dodała, zaglądając mu w oczy. Potem zaś przyciągnęła go do siebie i pocałowała prosto w usta.

- Nie głuptasie, tylko idioto - powiedział ze śmiechem Jan, kiedy wreszcie pozwoliła mu złapać oddech.

- Oficjalna inwektywa w naszej rodzinie to aktualnie „idiota”.

- Dobrze, idioto - szepnęła wzruszona - niech będzie. Nawet nie wiesz, jaka jestem na ciebie wściekła.

- Masz do tego prawo - mruknął niewyraźnie, zajęty całowaniem jej policzków i szyi - pełne prawo...

- Kiedy już mi przeszło.

- Kocham cię, Naomi. - Ujął jej twarz w dłonie.

- Kocham cię, słyszysz?

Naomi przymknęła powieki. Przez moment zdawało jej się, że już kiedyś zdarzyło się to wszystko. Miała nieodparte wrażenie, że przeżyła już podobną chwilę, a uczucia, których doświadczała teraz, były tak samo silne jak wtedy. Płynęły przez całe ciało gorącą falą, rozgrzewały, dodawały sił i wiary w siebie.

- Powiedz to jeszcze raz - poprosiła. - Powiedz, że mnie kochasz.

Najpierw ją pocałował. Czule i delikatnie dotykał wargami jej brwi, oczu, policzków i wilgotnych ust.

- Kocham cię - powtórzył wreszcie. - Nie jest ważne, jak wyglądasz, choć zawsze będę powtarzał, że jesteś piękna. Kocham cię za to, kim jesteś. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

- Ja też pokochałam cię od razu. Nawet nie wiesz, jak bardzo było mi źle bez ciebie.

- Mam nadzieję, że też nie mogłaś spać po nocach - roześmiał się na wspomnienie wszystkich godzin, które spędził, wpatrując się w sufit.

- Dobrze ci tak. Byłoby niesprawiedliwie, gdybym tylko ja cierpiała z powodu twoich szalonych pomysłów. Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem przyjdzie ci do głowy zdecydować za mnie, co mam robić.

- Nie mów tak. - Jan zanurzył palce w jej gęstych włosach. - Przecież wiesz, że nic lepszego niż ja nie mogło cię spotkać.

- Ani ciebie nic lepszego niż ja - roześmiała się Naomi i oparła ufnie głowę na jego ramieniu.

Z PAMIĘTNIKÓW DANIELA DUNCANA MACGREGORA.

Mówią, że na starość z pamięcią dzieją się dziwne rzeczy. Człowiek nie może przypomnieć sobie, gdzie był i co robił poprzedniego dnia, za to dokładnie pamięta wydarzenia sprzed wielu lat. I pewnie coś w tym jest.

Ja na przykład pamiętam dzień, kiedy poznałem moja Annę tak, jakby to było wczoraj. Muszę przyznać, że nie od razu zwróciła na mnie uwagę. Mało tego, popatrzyła w moją stronę obojętnie, jakbym nie istniał. Ale ja się tym nie przejąłem. Byłem wtedy młody, krew się we mnie burzyła. Ot, wielkie, postawne chłopisko, Szkot aż do szpiku kości, który jakimś cudem wkręcił się na potańcówkę urządzoną przez, tak zwane „lepsze towarzystwo”. Tam właśnie zobaczyłem Annę, piękną i świeżą jak wiosenny poranek, zachwycającą w zwiewnej błękitnej sukience. Od razu wiedziałem, że musi zostać moją żoną. Ta albo żadna - powiedziałem sobie. Jednak Bóg mi świadkiem, że trwało długo i kosztowało wiele wysiłku, nim zdołałem ją do siebie przekonać.

Wszystko to pamiętam doskonale, każdy szczegół tamtego wieczoru. Światła, muzykę, zapach kwiatów i ulotny, delikatny aromat jej perfum. Utkwił mi też w pamięci dzień, kiedy przywiozłem ją, już jako moją Żonę, na to wzgórze, gdzie dziś wznosi się nasz dom. Pamiętam też ostrą, świeżą woń wilgotnej ziemi, kiedy sadziłem drzewo, żeby w ten sposób uczcić narodziny naszego pierworodnego syna. Rację mają więc ci, którzy twierdzą, że pamięć starego człowieka jest jak skarbiec, w którym przez całe życie gromadzi się nieprzebrane bogactwo przeżyć.

Muszę jednak powiedzieć, Że z równą precyzją potrafię odtworzyć zdarzenia ostatnich dni. Czy to znaczy, Że starość jest jeszcze daleko ? Ot, nie dalej jak tydzień temu mój wnuk się wreszcie ożenił. Do dziś dnia pamiętam każdą minutę tej pięknej ceremonii. Najbardziej wzruszyłem się w chwili, gdy wspianale oświetlony i udekorowany kościół wypełniły dźwięki organów. W takt tej podniosłej muzyki szła do ołtarza mała, śliczna Naomi, kolejna promienna panna młoda ze śliczną buzią osłoniętą welonem MacGregorów. Mówią, Że każda kobieta w dniu ślubu jest piękna. Święte słowa. Zresztą jak mogłoby być inaczej, skoro nie ma nic lepszego niż prawdziwa, odwzajemniona miłość. To ona dodaje urody, wydobywa wewnętrzny blask.

Jan czekał na nią przy ołtarzu, co chwila zerkając przez ramię, taki był niecierpliwy! I wiecie, co zrobił ten nasz Złoty Chłopiec ? Jak tylko ucichła muzyka, wziął Naomi za obie ręce. I zanim ksiądz zdążył otworzyć usta, na cały kościół powiedział: „Kocham cię, Naomi”!

Jego silny głos zabrzmiał jak uderzenie dzwonu. Od razu poszły w ruch chusteczki, tak się ludzie wzruszyli. A już ja najbardziej. Prawdą jest, że na starość człowiek robi się strasznie ckliwy.

Ostatni rok był bardzo pomyślny dla naszej rodziny. Mieliśmy trzy wesela, urodziła się córeczka Julii i Patryka. Bez fałszywej skromności powiem, że gdyby nie ja, nie mielibyśmy tylu powodów do radości. Mogę teraz spokojnie odpocząć, posiedzieć z Anną i wygrzać stare kości przy kominku. Za parę dni skończy się stary rok, nadejdzie nowy. Oby był równie udany, jak poprzedni. Żeby tak się jednak stało, muszą trochę pokombinować, wymyślić jakąś nową intrygę. Będę miał na to całą zimę, bo co innego robić, gdy wiatr wyje za oknem, a człowiek siedzi sobie ze szklaneczką zacnej whisky w dłoni? A z wiosną na pewno będę miał gotowy plan i wezmę się do dzieła! Nie mogę przecież zapomnieć o innych wnukach.